

## **Prolog**

- Jesteś tylko przeklętą tchórzliwą dziewczyną, Maxie! I niczym więcej!

Dziesięcioletnia Aleta Maria Maxwell, nazywana Maxie Kaktus przez tych, którzy mieli okazję zetknąć się z przejawami jej kłującej wściekłości, spojrzała zwięzonymi, błękitnymi oczami na uśmiechającego się ironicznie brata bliźniaka. "Tchórz" i "dziewczyna" użyte razem stanowiły obelgę, a zarazem zaproszenie do walki i Brudny Jim o tym wiedział.

- Nie jestem tchórzem! - wrzasnęła Maxie, z wojowniczym błyskiem w oczach. - Jesteś.

- Nie!

Brudny Jim cofnął się z krawędzi parowu, gdzie oboje leżeli plackiem na zakurzonej ziemi. W głębi wąwozu ich bracia - Blackjack i Tom - oraz przyjaciel Aaron Hunter napadli na dwóch poszukiwaczy srebra. Sto stóp od miejsca, gdzie dwaj górnicy stali z podniesionymi rękami, jak wrota do piekła rozwierała się brama kopalni. Głęboko pod ziemią mozolili się pozostali górnicy, nieświadomi tego, że owoc ich pracy znajdzie się wkrótce w jukach Maxwellów.

- Idziemy na dół, żeby lepiej to wszystko zobaczyć - oznajmił śmiałym głosem Jim.

- Jesteś głupi. Blackjack spierze nam tyłki.

-Tchórz!

Cierpliwość Maxie osiągnęła swój kres. Dziewczynka i tak miała sporo kłopotów by dzisiejszego -ranka udać się za Hunterem i braćmi. Wyślizgnięcie się ze strzeżonego obozowiska, gdzie jej ojciec i bracia rządzą szajką bandytów, nie było wcale łatwe. Ale chyba nie straci zbyt wiele z przedstawienia odbywającego się na dole, jeżeli przez parę minut zajmie się spuszczeniem lania swojemu b~aciszкови.

- Zobaczymy, kto jest tchórzem! - powiedziała, popychając go. - Na pewno nie ja, kurzy mózdzku!

Jim popchnął ją także, gdy tylko obydwójce stanęli na nogach.

- Maxie jest dziewczynką - zawył. - Małą, tchórzliwą dziewczynką!

Rzucił się do przodu, złapał jeden z grubych, czarnych warkoczy Maxie i pociągnął. Maxie odwzajemniła się, bombardując głowę, szyję i ramiona brata ciosami swych twardych, małych pięści. Tarzając się po skalistym gruncie, drapiąc, bijąc, kopiąc i młóćąc się pięściami, szybko oboje zapomnieli o rozgrywającym się poniżej \_ dramacie.

Nagle w powietrzu rozległ się strzał. Maxie i Jim zamarli, a potem jak szaleni wgramolili się na krawędź parowu, by zobaczyć, co się stało.

- Niech to szlag! - krzyknął Jim.

Strzał padł znad krawędzi parowu i sprawił, że w szeregi bandytów wkraść się chaos. Tom próbował okiełznać spłoszonego konia; Blackjack - przy pomocy krzyków i przekleństw - usiłował opanować muła, na którego przed chwilą ładował zrabowane srebro; Aaron Hunter trzymał w ręce pistolet wymierzony w dwóch górników, którzy wyglądali stosownej okazji do ucieczki.

- Tom! Chodź mi pomóc przy tym przeklętym mule! - krzyknął Blackjack.

Ukryty strzelec znowu dał znać o sobie. Koń Huntera stłjnął dęba, zakwicział z bólu i przewrócił się na bok. Hunter upadł na ziemię razem z wierzchowcem, ciężkie ciało zwierzęcia przygniotło mu nogę, pistolet zatoczył łuk w powietrzu i wylądował na piasku dwadzieścia stóp dalej.

Górnicy skoczyli do przodu. Chwycili broń, którą wcześniej musieli rzucić na ziemię i zaczęli strzelać na chybił trafił. W odpowiedzi zagrzmiał pistolet Blackjacksa. Puścił on miotającego się muła i, strzelając, pobiegł w stronę swojego konia. Jeden z górnikówu padł z dziurą pomiędzy oczami. Drugi próbował skryć się za drewnianą chatą, ale zanim zdążył przebiec pięć kroków, drugi i trzeci strzał Blackjacksa zachwiały nim. Obrócił się w powietrzu i padł na zakurzoną ziemię.

- Zjeżdżamy stąd! - krzyknął Blackjack wska-  
kując na konia.

- Ale Hunter. .. - próbował zaprotestować Tom. Kolejna kula odbiła się od krawędzi kanionu.

- Zostaw go, niech to szlag!

Strzały goniły braci, gdy poganiając konie wzdłuż parowu znikali za jego zakrętem. Nagle wszystko ucichło, słyhać było tylko skrzypienie tańczących na wietrze drzwi od górniczej chaty.

- Gówno! - powiedziała Maxie, wypuszczając powietrze z płuc z głębokim sapnięciem. - Co oni sobie myślą? Nie mogą przecież tak zostawić Huntera!

Brudny Jim pociągnął ją za rękaw.

- Chodź, Maxie. Musimy stąd zniknąć. W szybie jest więcej górników - wskazał na wejście do kopalni. - Jak stamtąd wyjdą i znajdą tych martwych facetów, będą szukać zemsty.

- No i kto jest tchórzem? - Maxie splunęła dla podkreślenia swych słów. Dopiero niedawno nauczyła się płuć - co wcale nie było łatwe - i lubiła wykorzystywać nową umiejętność przy każdej okazji.

- Musimy pomóc Hunterowi! - oznajmiła bohaterским głosem.

- O czym ty gadasz? Jeśli zejdziemy na dół, zabiją nas! Ja spływam!

- A wynoś się! I tak nic tu po tobie!

Maxie nie patrzyła na brata zbiegającego w dół wzniesienia w stronę małej, zacienionej kotlinki, gdzie uwiązali konie. Nie potrzebowała jego pomocy. Dług czekała na okazję, by pokazać ojcu i braciom, że nadaje się do czegoś innego poza noszeniem wody, praniem brudnych ciuchów, zbieraniem końskiego łajna i znoszeniem drewna na podpałkę! Właśnie jej się taka nadarzała!

Wzrok Maxie przyciągnął błysk światła po drugiej stronie kanionu - to słońce odbijało się od metalowej lufy strzelby. Strzelec mógł pozostać przez kilka minut w tym samym miejscu, by się upewnić, czy bracia Maxwellowie nie mają zamiaru wrócić. A jeżeli tak uczym ...

Uśmiech Maxie był tak szeroki, że rozciągnął wszystkie piegi na jej twarzy. Jeżeli ci *gringo* uważają, że bracia Maxwellowie są brutalni, niech poczekają, aż będą mieli do czynienia z ich siostrą!

Chwilę później Maxie okrążyła kanion i przykucnęła na sposób Apaczów trzydzieści stóp przed miejscem, gdzie skulony za skałą tkwił samotny mężczyzna, górnik, jak można było sądzić po jego wyglądzie. Koń i obładowany zapasami muł były przywiązane do pobliskiego krzewu mimozy. Co za pech, że górnik akurat teraz musiał wrócić z miasta i zamienił dobrą zabawę w krwawe zamieszanie. Koń nastawił uszu i odwrócił głowę, by popatrzeć na Maxie, ale mężczyzna wciąż wpatrywał się w głąb kanionu, a jego słuch starał się wychwycić stukot kopyt koni powracających bandytów,

Kamień z głuchym odgłosem uderzył w głowę górnika. Przez jedną przerażającą chwilę mężczyzna stał przykucnięty za skałą. Potem powoli upadł. Strzelba brzęknęła, gdy dotknął ziemi, Maxie ostrożnie dotknęła rozciągniętego ciała czubkiem buta. Strażnik leżał nieruchomo, jedynie jego klatka piersiowa nieznacznie unosiła się i opadała. Maxie wciągnęła głęboko powietrze.

Okaleczenie kogoś okazało się trudniejsze, niż myślała. Pozostawianie poza prawem było świetną zabawą, ale niektóre jej aspekty stawały się mało zabawne.

Najgorszą część planu miała już z głowy. Pozostało jej tylko wydostać Huntera spod zwłok jego konia, złapać obładowanego srebrem muła i wrócić do domu jako bohaterka. Maxie obeszła ostrożnie ciało swej ofiary i wspięła się na krawędź kanionu.

Huntera nie było - nawet z tej odległości mogła zauważyć krwawy ślad, jaki za sobą pozostawił. W każdej chwili szychta mogła się skończyć, a górnicy wylewając się przez bramę kopalni mogli natknąć się na niezbyt przyjemną niespodziankę -, martwego szefa grupy i właściciela kopalni. Najprawdopodobniej pójda krwawym tropem, znajdą Huntera i tak go podziurawią, że to, co z niego zostanie, nie będzie nawet przyzwoitym pożywieniem dla sępa. Albo okażą się jeszcze gorsi i powieszą go. O ile, oczywiście, ona nie znajdzie go pierwsza.

Piętnaście minut później, a pięć minut po tym jak pierwsza dzienna zmiana opuściła, kopalnię, odkryła ciała i zaczęła wydobywać z chaty broń i amunicję, Maxie znalazła Huntera. Leżał w kałuży krwi, twarz miał szarą, lewą stronę ciała purpurową: Przynajmniej jedna z kul górnika trafiła do celu.

- Obudź się! - Maxie szturchnęła go w niezraniony bok. - Cholera, Hunter! Obudź się! To miejsce jest pełne wszawych górników i nerwowych palców na cynglach, Zastrzelą wszystko, co się rusza. Nie mogłeś odczołgać się trochę dalej?

Hunter otworzył oczy i spojrzał na nią, potem jęknął:

- Co ty tu robisz? Nie - znowu zamknął oczy - nic mi nie mów.

- Wstawaj, Hunter! Musimy iść! - zarzuciła jego zdrowe ramię na swe wąskie barki i próbowała

postawić go na nogi. - Wszystko w porządku?

- Niech to diabli! Nie, nie, wszystko w porządku! Zostaw mnie!

- Chodź! Mój koń jest uwiązany w następnym kanionie.

- W następnym kanionie - Hunter zazgrzytał zębami. - Zapomnij o tym!

- Dasz radę! Chodź!

Dał radę, opierając swe długie, pałakowate ciało na jej mocnych, wąskich ramionach. Gniada klacz Maxie czekała na nich.

- Błyskawica jest dobrym koniem - powiedziała Maxie - daj jej tylko luźne wodze, a ona zawiezie cię prosto do Stronghold. I nie pozwól żadnemu z tych gównianych górników jechać za sobą.

Hunter chrząknął, ale jakoś udało mu się wgramolić na siodło, gdy Maxie podparła go kościstymi ramionami i popchnęła. Chwiał się przez chwilę, potem wyprostował się i wyciągnął rękę w dół, by pomóc jej wsiąść.

- Właż - wychrypiał.

- Błyskawica nie da rady uciec tym górnikom z dwoma osobarpi na grzbiecie - powiedziała Maxie - a oni tam tak wrzeszczą i szaleją, że chyba trafili na nasz ślad. Lepiej jedź, Hunter.

- Wsiadaj! - warknął.

Maxie łagodnie klepnęła konia po zadzie. Błyskawica skoczyła tak gwałtownie do przodu, że Huntera prawie zmiotło na ziemię.

Zanim grupa rozwścieczonych górników wyjechała z kanionu i skierowała konie w tę samą stronę, Hunter i Błyskawica byli tylko chmurką kurzu na horyzoncie. Bezpieczna za krzewami mimozy i akacji, Maxie przyglądała się przejeżdżającym górnikom, potem wstała i otrzepała kurz z koszuli i spodni. Czekał ją długi spacer do domu. Jeżeli będzie miała szczęście, dotrze tam jutro na śniadanie, może na lunch. Już poczuła, że burczy jej w brzuchu.

## ***Rozdział 1***

*Czerwiec 1868*

*Sonora, Meksyk*

Odgłos strzału odbił się echem od stromych ścian kanionu. W tej samej chwili kula przemknęła ze świstem obok głowy Aarona i uderzyła o piaszczyste dno doliny, dwie stopy obok tylnych nóg jego konia.

- Matko Święta! - jadący obok Aarona Simon Curtis wyskoczył z siodła i skrył się za swym wierzchołkiem ze zrećnością nie pasującą do jego siwych włosów i ppkrytej zmarszczkami twarzy.

Zanim jego stopy dotknęły ziemi, trzymał już w dłoni rewolwer. - Mówiłem ci, że nie wydestaniemy się stąd żywi! - powiedział.

Kolejne dwie kule uderzyły w piasek tuż przy przednich nogach koni. Simon uniósł rewolwer i zdesperowany poszukiwał celu. Aaron nie ruszał się, powstrzymywał jedynie tańczącego pod nim konia.

- Uspokój się, Simon. To tylko ostrzeżenie. Gdyby chciał nas trafić, bylibyśmy już martwi ..

- Też mi pociecha! - mruknął ironicznie Simon.

- Hej, ty tam! - Aaron zawołał w stronę ścian kanionu. - Pokój, przyjacielu! Jestem towarzyszem Maxwellów!

Odpowiedziała mu ogłuszająca cisza. Ptaki zamilkły w upale dnia, na~et najlżejszy wietrzyk nie poruszał gęstwina zarośli rosnących nad wyschniętym potokiem. Jedynym słyszalnym dźwiękiem było nerwowe poskrzypywanie siodel i niespokojne chrapanie koni. Obaj mężczyźni wsłuchiwali się w swój własny lęk, wyobrażając sobie wycelowaną w siebie lufę strzelby i palec naciskający na spust - mocniej, mocniej ...

Odgłos spowodowany przez schodzącego w dół człowieka przyciągnął uwagę obu mężczyzn.

Strażnik, trzymając wycelowaną w nich strzelbę, schodził na dół stromą ścieżką.

Simon uniósł rewolwer.

- Nie! - rozkazał spokojnie Aaron. - Czekaj! Mamy tu być uważani za przyjaciół, Simon. *Comprendre?*

Nie odrywając wzroku od strzelca, Aaron uniósł swój sponiewierany kapelusz i przecesał dłonią

gęste, brązowe włosy. Pot perlił się na jego czole, spływał w dół po wystających kościach policzkowych i po zaciemnionych kilkudniowym zarostem szczękach. To upał był tego powodem, przekonywał siebie Aaron, nie strach. Zaplanował wszystko dokładnie, a czekać musiał zbyt długo, żeby teraz coś miało się nie udać.

Strażnik doszedł do połowy drogi i skrył się za skałą niecałe pięćdziesiąt stóp od nich.

- Mówcie, czego chcecie - zapytał unosząc broń do ramienia.

- Przyjechałem, żeby zobaczyć się z Maxwellem - odparł Aaron.

Strażnik obdarzył ich krzywym, ukazującym ubytki w uzębieniu, uśmiechem.

- Dużo ludzi chciałoby zobaczyć Maxwella.

Dwóch albo trzech szeryfów znam z nazwiska. Kilku innych prawdopodobnie nie.

- Nie jesteśmy przedstawicielami prawa.

- Taak? - uśmiech zniknął, gdy strażnik położył palec na spuście - A skąd to mogę wiedzieć?

- Nazywam się Hunter. Aaron Hunter. Jeździłem z Maxwellami jakiś czas temu. Chciałbym po prostu znowu się do nich przyłączyć razem z moim towarzyszem.

Strażnik wpatrywał się w nich przez dłuższą chwilę.

- Znam to nazwisko - skostatował w końcu. - Chłopak, który się tak nazywał, był tu przez jakiś czas, tak mówili, naj szybszą strzelbą. Mówili też, że został zabity podczas obrabiania kopalni niedaleko Tobac, dawno temu.

Aaron wzruszył ramionami:

- Postrzelony, nie zabity. Osiem lat temu .

Oczy strażnika zwęziły się podejrzliwie:

- Osiem lat to kawał czasu, *amigo*. Gdzie cię nosiło?

- To moja sprawa, *amigo*.

Zapanowała napięta cisza, a Aaron mógł nieomal zauważyć, jak mozolnie kręcą się trybiki w mózgu mężczyzny, rozważającego konsekwencje posłania na ziemię ewentualnych przyjaciół Maxwella.

- Możecie jechać - zdecydował w końcu.

- Ale zostawcie tutaj broń. Tę strzelbę też - wskazał na przytroczony do siodła Aarona winchester.

Simon otworzył usta, by zaprotestować, ale Aaron uciszył go ruchem ręki.

- Nie lubię rozstawać się z tym na zbyt długo - jego czarne oczy zwęziły się, gdy oddawał pistolet i odczepiał strzelbę od siodła.

- Dostaniesz je z powrotem, *hombre*, jeżeli tylko będziesz jeszcze stał na nogach, kiedy wrócę wieczorem do Stronghold. Teraz wynoście się, zanim zmienię zdanie.

Usłuchali go pospiesznie, czując wciąż, przy każdym ruchu konia, wycelowaną w swe plecy broń strażnika. Dopiero po ujechaniu pół mili i minięciu kilku zakrętów zaczerpnęli głęboko powietrza.

- Miły facet - prychnął Simon.

- A kogo oczekiwalesz? - odpowiedział Aaron z krzywym uśmiechem. - Nauczyciela ze szkółki niedzielnej?

Kanion zwęził się i przeszedł w otoczoną urwistymi ścianami gardziel, dokładnie w tym miejscu, które Aaron zachował we wspomnieniach. Osiem lat temu po raz ostatni przejeżdżał tędy - pewny siebie, arogancki dzieciak, gotów walczyć z całym światem. Od tego czasu życie nauczyło go niejednego. Wykurował się z rany poniesionej z ręki górnika, został ranny w nogę podczas wojny secesyjnej, nauczył się doceniać pokój, gdy niefortunnie się zakochał i stracił swe wszystkie życiowe marzenia. Dorósł, stał się nieco mądrzejszy. Miał wystarczająco dużo rozsądku, by wiedzieć, że szuka guza, ale za mało, by zrezygnować ze swego pomysłu.

Byli zatrzymywani jeszcze trzy razy. Żaden ze strażników nie jeździł z Aaronem w latach, gdy pozostawał on poza prawem, ale dwóch z nich słyszało o nim. Trzeci po prostu przepuścił ich niedbałym ruchem strzelby, gdy tylko Aaron podał nazwisko Maxwella.

- Mam nadzieję, że pamiętasz, jak oni są rozmieszczeni - Simon ponaglił konia do kłusa, zrównując się z Aaronem. Oglądał się przy tym nerwowo dookoła, ścierając chustą pot z twarzy. Kurz zmienił jej kolor tak, że skóra nie różniła się barwą od zarostu. - Musisz zdjąć każdego z nich, jak będziesz wracał. Jeżeli te łajdaki zostaną ostrzeżone, będę nieboszczykiem.

Aaron wyszczerzył zęby:

- Za dużo się martwisz, kolego.

- I tylko dlatego tak długo żyję - Simon obrzucił pełnym zwątpienia wzrokiem zwięzające się coraz bardziej ściany kanionu. - Do licha! Wolałbym zabawić się z Koczisem i jego bandyckimi Cherrycows niż pakować się w tę bandę przestępców.

W miejscu, gdzie ściany kanionu wydawały się łączyć ze sobą, wyschnięte łożysko potoku skręcało gwałtownie w lewo. Przez pięćdziesiąt stóp jechali wąską szczeliną pomiędzy prostopadłymi granitowymi ścianami, potem nagle wydostali się na otwartą przestrzeń otoczoną wysokimi skałami. Do tak wspaniałego dzieła natury nie pasowały wydeptane ludzkimi stopami w piaszczystym podłożu ścieżki, rozpadające się chałupy rozrzucone wzdłuż granic kanionu i ludzkie głosy zakłócające ciszę.

- Jesteśmy na miejscu - powiedział Aaron zatrzymując konia. - Stronghold. Piekielna kryjówka dla każdego bandyty w przygranicznym kraju.

Simon rzucił okiem na granitowe ściany otaczające dojazd do kanionu: - Zbyt starannie to się ta banda nie pilnuje. Może tu wjechać pierwszy lepszy.

- Yhm. Ale nie wyjedzie. W każdym bądź razie nie bez zezwolenia Maxwella. Mogę się założyć, że przynajmniej dwóch strażników na krawędzi kanionu trzyma strzelby wycelowane w nasze plecy.

Nie zdążylibyśmy zrobić jednego fałszywego ruchu, a nafaszerowaliby nas ołowiem.

- To jest myśl, która poprawia człowiekowi nastrój

- Simon odchrząknął i splunął na piasek. - Nawet sobie nie wyobrażasz, jak się cieszę, że mnie tu przyprowadziłeś, *amigo*.

- Drobiazg - odpowiedział Hunter z uśmiechem. Stronghold było mniej więcej dokładnie takie, jakim je Aaron zapamiętał. Dym z kilkunastu palenisk wzbijał się w powietrze, łącząc swój gryzący aromat z odorem śmieci, kurzu i zapachem smażonych placków kukurydzianych. W dalszej części kotliny w corralu zmontowanym z długich, elastycznych łodyg kaktusa ocotillo spacerowały konie. Za corralem znajdowała się duża murowana szopa, chroniąca przed słońcem i deszczem siodła, uzdy i kosze z ziarnem.

U podstawy skał rozrzucona była paskudna mieszanina murowanych chat, namiotów ze skóry lub płótna i szałasów splecionych z krzewów mimozy lub łodyg ocotillo. Kilka porządniejszych domów chlubiło się ogrodzeniem, a nieliczne otoczone były małymi ogródkami. W większości jednak chałupy wyglądały tak samo podejrzanie, jak ludzkie szumowiny, którym udzielały schronienia.

Aaron i Simon siedzieli niepewnie na koniach.

Kilka osób kręciło się dookoła, były to przeważnie kobiety, niektóre z dziećmi uwieszonymi u spódnic. Paru mężczyzn siedziało przed domami lub opierało się o conal. Dwaj leżeli w cieniu wielkiej topoli, która rosła w miejscu, gdzie strumień wydobywał się ze skał.

Minęło kilka chwil, zanim jeden z rozwalonych pod topolą mężczyzn rzucił na nich ukośne spojrzenie potem ociężale podniósł się na nogi. Czarnobrody, z włosami tego samego koloru sięgającymi ramion, bandyta podchodząc do nich • położył rękę na kolbie rewolweru.

- Kim jesteście? - warknął.

- Jestem Hunter. Aaron Hunter -.- Aaron trzymał ręce z dala od boków, by pokazać, że nie jest uzbrojony. - Ten tutaj to mój partner, Simon Curtis. Przyjeżdżamy, żeby porozmawiać z Maxwellem.

- Gadaj zdrów.

Mężczyzna skierował wzrok na konie przyjezdnych, ich prowiant i pełne torby przy siodłach. Na ich widok jego oczy rozblęły pożądaniem.

Aaron odzwyczajnił jego spojrzenie wzrokiem zimnym i twardym jak stal. - Zapomnij, o czym myślisz, przyjacielu. Te torby przeznaczone są dla Maxwella. Na twoim miejscu poszedłbym po niego, zanim zrobisz coś, czego będziesz żałował.

Starli się wzrokiem, ale tylko przez chwilę. Brodacz zamrugał oczami, potem spojrzął w dół.

- Stójcie tutaj - mmlknął bandyta. - Zobaczymy, co Maxwell ma na ten temat do powiedzenia.

Oddalił się, a Simon parsknął: - Nie jest to coś, co nazwałbym owacyjnym powitaniem.

- Nie było mnie tu przez dłuższy czas - chłodno odparł Aaron - i niejedno mogło się zmienić. Uważaj na wszystko.

Obserwował, jak brodacza znikają ~ płytkiej jaskini znajdującej się w przeciwnej do corralu ścianie wąwozu. Zasłonięta częściowo wyswiechtanym płótnem jaskinia służyła jako saloon, miejsce spotkań i dom publiczny. Aaron pamiętał to dokładnie, ponieważ podczas dwóch lat, gdy nazywał Stronghold swoim domem, znaczną część czasu spędzał właśnie w tym miejscu.

- Gdzie, do cholery, oni wszyscy są? - zapytał Simon, rozglądając się dookoła.

- Wywołują awantury gdzieś indziej, albo są w jaskini. O tej porze na zewnątrz pracują tylko kobiety. - Taak - Simon rozejrzał się dookoła z dezaprobatą. - Nie spodziewałem się spotkać ich tutaj.

Aaron zachichotał: - Oczekiwałeś, że mężczyźni będą żyć bez kobiet?

- No, chyba nie. Nawet diabeł ma żonę.

- Większość z tych kobiet trudno nazwać żonami.

- Nie podejrzewałem, że nimi są.

Mężczyzna, który przysłuchiwał się konwersacji brodacza z dwoma jeźdźcami, nie przestawał się im przypatrywać. Jeżeli Maxwell szybko się *nie* pokaże, pomyślał Aaron, będziemy z Simonem mieli więcej kłopotów, niż jesteśmy w stanie ich unieść.

Brodacz wyłonił się wreszcie z jaskini, poprzedzany przez mężczyznę, którego Aaron rozpoznał natychmiast. Tych wymiarów i aroganckiego chodu nie sposób było pomylić. Kręgosłup Aarona nieznacznie się napiął, a jego ręce instynktownie przybliżyły się do pustych olstrów, gdy przywódca bandytów wstąpił na kamienne schodki prowadzące do jaskini. Maxwell obrzucił ich wzrokiem, Aaron odwzajemnił jego spojrzenie. W końcu wargi przestępcy skrzywiły się w uśmiechu.

- No to mamy tu twarz, której nie spodziewałem się już zobaczyć po tej stronie piekła - zeszedł ze schodów, i ruszył w ich kierunku, brodacza szedł jego śladem. - Hunter, chłopcze, myśleliśmy, że jesteś trupem.

- Nie - odpowiedział Aaron. - Jeszcze nie.

- Gdzieś się podziewał, stary?

- Tu i tam.

Maxwell nie zmienił się zbytnio, zauważył Hunter. To przerażające, że człowiek może być takim potworem i okazywać tak mało zewnętrznych tego oznak. Stał wyprostowany i wysoki, szerokie ramiona i wąskie biodra zaprzeczały jego wiekowi. Mocno kręcone jasne włosy i kobaltowo niebieskie oczy odróżniały go od jego - 'w większości meksykańskich - towarzyszy. W swoim eleganckim ubraniu, czysty, Maxwell wyglądał wystarczająco szacownie, by być w zażyłych stosunkach z gubernatorem Tucson. Może tylko coś w jego oczach sprawiało, że człowiek zaczynał myśleć o grzechotniku.

- To mój partner, Simon Curtis - Aaron skinął głową w stronę towarzysza. - Przez kilka miesięcy razem ciągnęliśmy robotę. Szło całkiem nieźle, ale myślę, że byłoby jeszcze lepiej, jeżeli dołączylibyśmy do was.

Maxwell zmarszczył brwi i potarł podbródek.

- Cóż, chłopcze, minęło sporo czasu, od kiedy po raz ostatni cię widzieliśmy. Sam nie wiem ...

Aaron sięgnął do tyłu i odwiązał torby, które tak zainteresowały brodacza. Z wysiłkiem podniósł je i rzucił przed nogi Maxwella. Upadły z głuchym i metalicznym dźwiękiem.

- To twoja działka z naszej ostatniej 'roboty, Kopalnia przy Arrivaca jest biedniejsza o mniej więcej czterysta funtów srebra.

Maxwell schylił się, otworzył torby i zajrzał do środka. Spojrzał na Aarona, unosząc jedną jasną brew:

- A gdzie reszta?

Aaron uśmiechnął się w odpowiedzi: - W bezpiecznym miejscu - powiedział. Patrzyli na siebie w napięciu przez kilka minut, po czym Aaron przerwał ciszę: - Nie jestem już takim głupcem, Harrison. Ani trochę.

-:-' Widzę - Maxwell podniósł się i polecił brodaczowi podnieść torby. Przyglądał się Aaronowi w

zamyśleniu, oceniając zmiany spowodowane przez minione osiem lat -- nie tylko potężniejsza sylwetka i szersze ramiona, ale coś nowego w jego oczach świadczyło, że nie jest to człowiek, którego łatwo oszukać czy zawieść.

- Widzę także, że nie jesteś już szczeniakiem, Hunter. Myślę, że znajdzie się dla ciebie i twojego przyjaciela miejsce w naszej małej rodzinie. Pod warunkiem, że będziecie słuchać moich rozkazów,

Aaron przytaknął zgodnie: - Będziemy posłuszni. Maxwell przyglądał mu się przez kilka chwil, w końcu usta wykrzywił mu półuśmiech: - Tylko uważaj, żeby tak było, Hunter.

Gdy Maxwell odszedł, a za nim obładowany ciężkimi torbami brodacz jak posłuszny muł, Simon uniósł kapelusz i przedramianiem otarł pot z czoła.

- Matko Święta, Jezusie! - powiedział ściszym głosem, gdy tylko Maxwell oddalił się na tyle daleko, by tego nie usłyszeć. - To najbardziej przeklęty diabeł, jakiego kiedykolwiek widziałem. Takich oczu mogłaby mu pozazdrościć niejedna dziewczucha.

- Tylko się nie daj im ogłupić - ostrzegł go Aaron, gdy zsiadali z koni. - Nawet Apacze zmykają, gdy widzą, że Maxwell nadciąga. A jego naj starszy . chłopak jest kubek w kubek taki sam.

Mały chłopiec z zakurzonymi stopami i splątaną grzywą czarnych włosów nad oczami podbiegł do nich i zaoferował opiekę nad końmi. Aaron rzucił mu miedziaka, gdy ten wziął zwierzęta za wodze.

- Chcesz 'powiedzieć, że ten diabeł ma rodzinę? - zapytał Simon.

- Tak. Maxwell przybył tutaj z dwoma naj starszymi synami, kiedy to miejsce należało tylko do grzechotników i Apaczów. Przyczepił się do bogatej dziedziczki z okolic Mexico City. Pogonił jej tatusia, który nie miał ochoty zostać teściem Maxwella. Musieli uciekać stamtąd, zanim ślub skończyłby się strzelaniną. Gdy zaczął żyć z napadów, ciągnął swą żonę wszędzie za sobą. Dała mu bliźniaki - chłopaka i dziewczynę, urodzone w tej piekielnej dziurze. Umarła przy porodzie, biedna kobieta.

- To przechodzi wszelkie pojęcie. Nie mogę sobie wyobrazić Maxwella jako tatusia.

- Nie wyobrażaj sobie, że on się zachowuje jak tatuś.

Upewnili się, czy chłopak zaprowadził konie do stajni, potem podążyli do jaskini, by dołączyć do swych nowych towarzyszy. *Cerveza* i wódka z agawy serwowane przy barze - fantastycznym drewnianym meblu przywiezionym wozem z Tucson - nie były specjalnie chłodne, ale jaskinia zapewniała schronienie przed upałem wczesnego wieczoru.

W saloonie było znacznie więcej ludzi niż na zewnątrz. Przynajmniej tuzin stołów z surowego drewna było zajętych, a grupa mężczyzn podpierała bar. Kilkanaście kobiet wędrowało od stolika do stolika, niektóre podawały drinki, inne tortillę, *frijoles*, *chile verde*, jeszcze inne oferowały siebie.

Aaron i Simon zajęli stolik, położyli bagaże i usiedli tyłem do ściany. Podejrzliwy wzrok pozostałych gości saloonu towarzyszył ich krokom, dopóki Maxwell nie przesłał im na poły kpiarskiego salutu. Na akceptujący znak przywódcy, bandyci zajęli się na powrót kartami, pić i dziewczkami.

- Podać coś, *senor*? - wyglądająca na zmęczoną dziewczyna o gładkich, czarnych włosach i tłustej cerze przysunęła się do ich stolika. Ubrana była w prostą bawełnianą spódnicę i typową meksykańską bluzę, ale z tak głębokim wycięciem, że ledwie zakrywała jej sutki. Przy każdym ruchu bluzka rozsuwała się, odkrywając duże, kołyszące się śniade piersi.

- *Cerveza* - powiedział Maxwell - i trochę tortilli i *frijoles*.

Simon zamówił to samo.

- Coś jeszcze? - zapytała. W jej ciemnych oczach pojawił się błysk, gdy potoczyła wzrokiem po twarzy, ramionach i klatce piersiowej Aarona, by w końcu zawiesić go pomiędzy jego nogami. Z pełnym uznaniem przysunęła się bliżej.

Aaron tylko rzucił pobieżnie okiem na piersi, które prawie szorowały mu po twarzy. Uśmiechnął się do dziewczyny ozięble: - Może nie teraz. *Gracias*.

Wydeła dolną wargę, pełną i wilgotną: - Cóż, jeśli zmienisz zdanie ...

Jej bluzka z jednego ramienia zsunęła się jeszcze niżej, gdy odchodziła. Simon wiercił się na krześle

i ciężko sapał.

Aaron odsunął krzesło z powrotem pod ścianę i rozejrzał się dookoła. Jaskinia wydawała się mniejsza, bardziej zadymiona i zapleśniała niż zachował ją w pamięci, dziwki były grubsze, a klienci brudniejsi. Barman nie był ten sam, ale bannan, którego Aaron znał - miał na imię Jose - dał się zastrzelić przez niezadowolonego klienta dwa dni przed tym, zanim Aaron wyruszył na swój ostatni napad.

Drinki i jedzenie podała im inna dziewczyna, pulchna, impertynencka i pachnąca tanimi, piżmowymi perfumami. Ona także próbowała szczęścia. Aaron uprzejmie, ale stanowczo zrezygnował z jej usług.

- Uważaj lepiej na każdy krok - ostrzegł go z krzywym uśmiechem Simon. - Te panie mogą pomyśleć, że nie jesteś ich przyjacielem. Nie mówiłeś

przypadkiem, że powinniśmy się tu zachowywać tak, by dopasować się do otoczenia?

Aaron ugryzł tortillę, którą posypał szczerze mieszaniną fasoli i chili: - Sam się zabaw z tymi paniami - powiedział między kęsami - ja wolę borykać się z krowami na pastwisku, a nie w łóżku.

Simon potrząsnął głową: - Nigdy nie spotkałem tak wybrednego faceta. Ta twoja laleczka ze wschodu zniszczyła w tobie mężczyznę, synu. Tutaj kobieta jest kobietą, a nie ma ich znowu tak dużo żeby wybrzydzać, jeśli nawet wyglądają czy pachną jak krowy.

Aaron, nachmurzony, nie zauważył wesołego błysku w oczach Simona.

- Poza tym, tam jest dziewczuszka, która ani trochę nie wygląda jak krowa. A co więcej, puściła do ciebie oko, gdy tylko wkraczaliśmy do tej świątyni rozkoszy.

Aaron podążył za wzrokiem Simona.

- Jesteś pewien, że to dziewczyna?

- Nigdy nie byłem pewniejszy.

- Nie może mieć więcej niż trzynaście lat.

- Żadna trzynastolatka nie ma takich cycuszków.

Aaron popatrzył przez chwilę, potem przytaknął:

- Masz rację, to dziewczyna.

- Głupio wygląda, gdy siedzisz tu jak jakiś przeklęty mnich - powiedział uroczyście Simon. - Tacy niedobrzy faceci jak ty, powinni cieszyć się kawałkiem babskiego ciała, tak tu na pewno wszyscy uważają.

- Zamknij się, Simon.

- Już się zamknąłem. To dlatego te damy kręcą tyłkami przed tobą, a nie przede mną.

Simon miał rację, stwierdził Aaron. Mała dziwka wgapiła się w niego jakby urosły mu rogi i ogon, ale kiedy spojrzał na nią, gwałtownie odwróciła wzrok. Zauważył powolny rumieniec rozpełzający się po jej szyi i policzkach. Zadziwiające! Dziwka, która się czerwieni!

Simon miał słuszość jeszcze co do tego, że ta dziwka w niczym nie przypominała krowy. Była niska, prawie jak dziecko, a jeśli miała jakiegokolwiek okrągłości, były one dobrze ukryte pod workowatymi spodniami i zbyt dużą koszulą. Piersi, które Simon uznał za tak nęcące, były tylko małymi wypukłościami poniżej miejsca, gdzie rozpięta pod szyją koszula odsłaniała fragment jej ciała. Twarz miała dziecinna - mały podbródek, wielkie błyszczące oczy, wdzięcznie zakreślone brwi i nieznacznie zadarty nosek. Lekka opalenizna na nosie i policzkach podkreślała delikatność jej skóry, upstrzonej kilkoma rozsianymi na twarzy piegami. Czarne jak sadza włosy związane były w dwa sięgające dziewczynie do pasa warkocze, ale pomimo, że były mocno ściągnięte, tu i ówdzie wymykały się z nich niesforne, mocno skręcone kosmyki. Najbardziej zaskakujący jednak, co zauważył Aaron nawet z tej odległości, był czysty błękit jej oczu.

- "Chyba nie będzie bolało, jak spróbuję" - uznał Aaron. "Ta mała ma coś w sobie".

Aaron był w połowie drogi, gdy stwierdził, że musiał już kiedyś widzieć tę dziewczynę. Może w burdelu w Motherlode, chociaż Mama Moses na ogół nie przyjmowała takich dzieciaków. Być może ta była nieco starsza, niż to się wydawało na odległość.

Dziewczyna obserwowała Aarona, gdy zmniejszał dystans pomiędzy nimi. Błękitne oczy zwęziły się nieco, gdy ich właścicielka zauważyła, że Aaron kieruje się do niej. Przez moment dotarła do



niego świadomość zapachu potu, który zasechł na jego skórze, dzikiego nieładu włosów i kurzu, którym przesiąknęła cała jego odzież. Lekkie utykanie, pamiątka po wojnie, którą dawno nauczył się ignorować, stało się bardziej wyraźne.

Wtedy przypomniał sobie nagle, gdzie się znajdował i kim ona była. Nigdy nie spotkał w Stronghold kapryśnej dziwki. One nigdy nie zwracały uwagi, jak bardzo człowiek był brudny, dopóki jego kieszenie wypełnione były brzęczącym złotem albo srebrem.

- *Hello*, panienko - zaczął Aaron w standardowy sposób. - Wyglądasz samotnie, siedząc tutaj tylko w swoim towarzystwie.

Dziewczyna spojrzała na grupkę kobiet i mężczyzn otaczającą ten koniec baru. Aaron mógłby przysiąc, że jej wargi szyderczo drgnęły. "Udaje trudną do zdobycia"- pomyślał.

- Co pijesz? - wyciągnął monetę z kieszeni i rzucił ją na bar. Czy tak mu się zdawało, czy krzątania i gwar w saloonie uspokoiły się? Czy czyjeś oczy śledziły jego drogę? Harrison Maxwell rzucił mu rozbawione spojrzenie, jedna z dziwek zaśmiała się cicho, a barman potrząsnął głową z wyraźnym błyskiem sympatii w oczach.

- No chodź, kochanie. Zamów' sobie drinka i poszukajmy jakiegoś bardziej ustronnego zakątka - wskazał wzrokiem na tył jaskini, gdzie dziewczyny prowadziły swój biznes. Kawałki zużytych koców dzieliły nisze umeblowane jedynie zauszonymi siennikami. Gdy Aaron był współmieszkańcem tego gniazda węzów, często korzystał z tych sienników, z zapalem osiemnastolatka chcąc udowodnić swą męskość.

Mała dziwka wpatrywała się w niego twardym wzrokiem, jakby czekała, *żeby* coś jeszcze powiedział.

Skinął w stronę leżącej na barze monety. - Nie bój się. Jest ich więcej tam, skąd pochodzi ta jedna. Jej oczy błysnęły. Uśmiechnęła się. Zza ślicznie wykrojonych ust błysnęły proste białe zęby, a Aaron poczuł w lędźwiach pierwsze sygnały prawdziwego pożądania.

Zaczął to wszystko jak przedstawienie .. Simon miał rację - musiał pasować do swojej roli. Ale nagle, gdy te czysto niebieskie oczy spotkały się z jego wzrokiem, pożądanie wzrosło. Wyciągnął rękę i otoczył talię dziewczyny, by łagodnie odciągnąć ją od baru. Jej talia była zadziwiająco wąska, a dotknięcie kobiecego ciała sprawiło Aaronowi taką przyjemność, że real(cja dziewczyny zupełnie go zaskoczyła. Błyskawiczny cios

kolanem w pachwinę natychmiast wybił mu jakiegokolwiek myśli o przyjemnym spędzeniu czasu.

- Ty pieprzony sukinsynu! - zasyczała.

Aaron zatoczył się do tyłu, zgiął we .dwoje i złapał za bolące miejsce. Wyprostował się, ale tylko po to, by stwierdzić, że nie jest w stanie uniknąć kolejnego uderzenia - tym razem w żołądek.

Aaron miał trudności z utrzymaniem się na nogach gdy ta, o dziecinnych wymiarach pięść, trafiła go w splot słoneczny. Powietrze gwałtownie uciekło mu z płuc, przed oczami zatańczyły czarne plamy. Był niemal bliski agonii, gdy jego napastniczka z satysfakcją zatarła ręce, odwróciła się i dumnie wyszła z jaskini.

Saloon rozbrzmiał śmiechem, gdy tylko zniknęła ta, mająca dziecięce rozmiary trąba powietrzna. Hunter oparł się o bar i łapczywie oddychał. Wywołało to jeszcze gwałtowniejszy śmiech - słychać było głębokie pohukiwania mężczyzn i chichot kobiet. Jedyne sympatyczny głos należał do ogromnego barmana, który po przyjacielsku poklepał Aarona po ramieniu.

- Nie zwracaj na to uwagi, człowieku. Te wyjące osły - wszyscy oni spróbowali, jak to smakuje, każdy w swoim czasie. A są w dodatku takimi głupcami, że wciąż próbują! - zaczął się śmiać wraz z innymi.

Następne sapnięcie Aarona miało charakter pytający. Barman uśmiechnął się.

- Myślałeś, że ona jest jedną z moich *putas*? Cóż, następnym razem, *senor*, będziesz wiedział lepiej. Ta mała to nie jest *puta*. To - pokazał gestem w stronę, którą wyniosła wyszła mała wilczyca - najmłodsza Harrisona Maxwella. Nazywamy ją Maxie Kaktus.

- Nawet mnie nie poznał! - wściekała się Maxie. - Ten łajdak nawet mnie nie poznał!

Hilda, siedząc na brudnej podłodze przybudówki z ocotillo, którą dzieliła z Maxie, wzruszyła kilkakrotnie ramionami i wróciła do zszywania gorsetu, podartego przez nadmiernie podnieconego

klienta. Była przyzwyczajona do wybuchów złości swojej przyjaciółki.

- No i co z tego? Minęło już kilka lat, no nie? - stwierdziła. Maxie kontynuowała tym samym oburzonym tonem: - Uratowałam życie temu sukinsynowi, a on teraz nawet nie wie, kim jestem! Myślał, że jestem wesołą panienką!

Hilda roześmiała się: - Musiał się z ciebie nabijać, dziewczusko. Większość facetów nie wzięłoby cię za kobitkę, a jeszcze mniej za dziwkę, nawet gdybyś była w barze całkiem goła.

Zignorowała piorunujące spojrzenie Maxie i kontynuowała: - On prawdopodobnie nie pamięta chudego dzieciaka, który kiedyś tam wyciągnął go z kłopotów. Faceci nie mają pamięci do takich rzeczy.

- Ja go poznałam! - obstawała przy swoim Maxie.

- Kochanie, każda kobieta zapamiętałaby tego mężczyznę. A czasami jesteś prawie kobietą, czy tego chcesz, czy nie.

Maxie skrzywiła się. Musiała przyznać, że przez parę minut nie wierzyła, że przybysz był Aaronem . Hunterem. Osiem lat temu jego ramiona nie były takie szerokie, a gdy szedł, nie zauważało się nieznacznego powłóczenia nogą. Chudy, krętowny chłopak o niewyparzonej gębie i złych oczach zniknął. Stał się wyższy, szerszy, bardziej umięśniony - prawie nie ten sam człowiek.

Ale to był on. Włosy miał takie same - brązowe i wijące się dookoła szyi jak nieprzebrany gąszcz. Jego twarz była ta sama, chociaż trochę się wypełniła, tak jak ' cała reszta, a mała blizna, której Maxie nie pamiętała, przecinała jedną brew. Ale oczy Huntera były inne. Tak samo ciemne, głębokie i złe, jak je zapamiętała. błyszczały teraz czymś nowym - czymś twardym i niebezpiecznym. Maxie nie całkiem wiedziała, co to takiego i nie była pewna, czy chce się dowiedzieć.

- Jeżeli chcesz wiedzieć, to ten Hunter jest chyba najlepiej wyglądającym. facetem, jakiego tu kiedykolwiek przyniosło. Zobaczyłam go jadącego dziś po południu i powiedziałam do siebie "HUdo, kochanie, teraz jest tu człowiek, dla którego chętnie byś się położyła na plecach". Poza tym wygląda, jakby od czasu do czasu prał swoje rzeczy. A tego nie można powiedzieć' o większości tutejszych chłopaków.

- On powiLlien mnie rozpoznać - mmknęła Maxie.

- Przestań. Jesteś wściekła, bo byłaś zbyt tchórzliwa, żeby przyjąć jego ofertę. Nawet dziewczucha, która nie żyje z leżenia na plecach byłaby zadowolona, mając go na sobie. To by ci dobrze zrobiło, Maxie. Wierz mi.

- To gówniane bzdury! - bw'knęła Maxie - Przysięgam! Jedyne, o czym myślisz, to rozkładanie nóg! - wściekła skierowała się do drzwi.

Hilda wzruszyła ramionami: - Lubię swoją pracę! - krzyknęła za swą współlokatorką - No więc?

"Więc co!" - mruczała MaNie, wychodząc z przybudówki w tę upalną noc. To co, że wypłakiwała swoje głupie oczy tego dnia, gdy Aaron nie wrócił do domu. Myślała, że nie żyje. Wszyscy tak myśleli. Przez osiem długich lat uważała go za martwego i snuła głupie marzenia, co byłoby, gdyby żył. Z wdzięczności za udzieloną mu pomoc pozwoliby jej zostać swoim specjalnym przyjacielem, jeździłaby razem z nim na napady, a on uczyłby ją, jak celniej strzelać i jeździć lepiej niż ktokolwiek w Stronghold. A potem pewnego dnia .zauważyłby, że ona dorosła. Zamieszkaliby razem w prawdziwym domu, który on zbudowałby specjalnie dla niej i spędziliby resztę swych dni jako partnerzy, napadając na kopalnie i dyliżanse pocztowe.

SZw'ając w zniechęceniu butami, Maxie skierowała się do ścieżki, która prowadziła na górę do strażnika strzegącego wejścia do obozowiska. Chciała być sama, by spokojnie wszystko przemyśleć. Była wściekła. Ale nie dlatego, że stchórzyła. Maxie Kaktus nie tchórzyła przed niczym! Dlatego, że była tutaj, dorosła w każdym calu, a Aaron Hunter nie tylko nie był martwy, ale gwizdał na nią, nie pamiętał jej. Ten sukinsyn prawdopodobnie nawet nie przypomina sobie, że ktoś dawno temu uratował jego bezwartościową skórę.

Maxie zauważyła ciemną postać wynurzającą się z mroku. Sięgnęła po rewolwer, który nosiła na biodrze, odciągając kurek przy wyciąganiu go z olstrów.

- Co ty tu robisz? - zapytała. Chociaż było ciemno, rozpoznała sylwetką Huntera.

Odwrócił się: - Kopanie i bicie nie wystarczy? - odpowiedział z cieniem uśmiechu w głębokim głosie. - Teraz masz zamiar mnie zastrzelić?

Opuściła rewolwer i schowała go z powrotem. - Mogłabym - stwierdziła.

- Bez wątplenia - ruszył obok niej. Ponownie zauważyła nieznaczące utykanie, które jednak nie przeszkadzało mu w dotrzymaniu jej tempa, gdy przyspieszyła. - Wyszłaś zaczerpnąć świeżego powietrza? - zagadnął

- Pilnuj swojego nosa.

Położył rękę na jej ramionach i zatrzymał ją.

- Słuchaj, Maxie. Przepraszam, ale nie wiedziałem, kim jesteś. Trochę urosłaś.

Czyli nie jest tak jak mówiła HiJda, że Maxie nie przyciągnęłaby uwagi mężczyzny, nawet gdyby się VI barze rozebrała. Patrzyła w milczeniu na Huntera.

- Gdzie ty w ogóle byłeś? - spytała ostrym, wrogim głosem: - Ja ... my wszyscy myśleliśmy, kiedy nie wróciłeś, że nie żyjesz.

- Miało to jakieś znaczenie?

- Dla mnie miało. - Maxie była zadowolona z otaczających ich ciemności, bo poczuła rozlewający się po twarzy rumieniec. - Miałeś mojego konia, pamiętasz? To był bardzo dobry koń.

- Taak. To był bardzo dobry koń.

Szli dalej, mijając ścieżkę, która prowadziła do strażnika, ale Maxie zapomniała o tym, że chciała być sama.

- Gdzie pojechałeś, skoro nie byłeś martwy?

- Stwierdziłem, że mam już dosyć Stronghold. - odpowiedział. - Dopóki nie wyzdrowiałem, ciągnąłem się z Indianami Pima, potem pojechałem do Gila City szukać złota.

Zainteresowanie Maxie wzrosło: - Znalazłeś coś? - Ani kawałka - odparł z uśmiechem. - Skończyłem dołączając do armii konfederatów. Posłali mnie na wschód, żeby walczyć na wojnie.

- Dlaczego teraz wróciłeś?

Usiedli na niskim występie, sterczącym ze skały jak krzesło.

Milczał przez chwilę, zanim odpowiedział:

- Nie miałem nic lepszego do roboty.

- Byłeś wściekły na Blackjacka i Toma?

- Co?

- Za to, że zostawili cię tego dnia w kopalni. Wróciłeś, żeby się zemścić?

Zaśmiał się gorzko.

- Blackjack i Tom? Nie. Nic nie mam przeciwko nim. Można równie dobrze nienawidzić muła za to, że kopie, czy człowieka za to, że dba o własną skórę. Przy okazji - ich mała siostrzyczka została i uratowała mi życie.

Powietrze wydawało się nagle między nimi zagęszczać. Maxie była zadowolona, że Hunter nie może zobaczyć jej twarzy. Była pewna, że maluje się na niej zbyt wiele głupich uczuć, które ją przenikały.

- Nie zapomniałem o tym, Maxie. Jestem twoim dłużnikiem. I jestem człowiekiem, który zawsze płaci swoje długi.

- Mmmm... Tak naprawdę, to był drobiazg - roześmiała się z zakłopotaniem i popatrzyła na swoje stopy. Nagle siedzenie w ciemności z Hunterem zaczęło się jej wydawać czymś naturalnym. - Poza tym, nie mogłam cię tam zostawić. Myślałam... cóż ... myślałam wtedy, że jesteś kimś w rodzaju bohatera.

Nie odpowiedział. Wydawał się jej bardzo bliski i bardzo duży, a gdy on obok niej siedział, czuła rozkoszne dreszcze.

Gdyby Aaron Hunter przebywał pod wygwieżdżonym niebem z prawdziwą kobietą, to nie rozwalalby się jak jaszczurka na skale, tłumaczyła sobie Maxie, ale prawdopodobnie spróbowałby ją pocałować. Był dla niej miły, dziękując jej uprzejmie za to, że go uratowała. Ona z kolei przyznała, że podziwiała go, kiedy jeszcze była dzieckiem. Taka sytuacja wydawała się wymagać czegoś naprawdę specjalnego.

Maxie nie wiedziała nic na temat pocałunków. Ale to nie mogło być trudne, bo dziewczyny,

pracujące w jaskini robiły to przez cały czas, a były bezużyteczne przy zajęciach wymagających rozumu czy odwagi. Wszystko, co musiała zrobić, to przysunąć się, objąć go i cmoknąć w wargę. I potem powiedzieć Hildzie, że nie jest tchórzem!

Bardzo szybko, zanim straciła nerwy, Maxie przysunęła się do Aarona, objęła go i, co więcej, udało jej się trafić w cel. Gdy jej usta dotknęły warg Huntera, całe jego ciało drgnęło jak ryba schwytana na haczyk, potem zamarło.

"Dlaczego, do licha. wszyscy się tym tak podniecają?" - dziwiła się Maxie. To nic specjalnego, pocałować mężczyznę.

Minęło parę sekund, i przekonała się, że jest zupełnie inaczej.

## **Rozdział 2**

Aaron siedział nieruchomy jak skała i tak samo zimny przez pierwsze kilka sekund po tym, gdy wargi Maxie dotknęły jego ust. Nie spodziewał się czegoś takiego po tym na wpół dorosłym dziecku z warkoczami i piegami. Jej dziecinnie miękkie usta, niezobowiązujący dotyk, niewinna pewność siebie niosąca ze sobą zmysłową obietnicę, uświadomiły mu, że żył bez kobiety od czasu Julii. Najdroższej Julii.

Pożądanie ogarnęło jego ciało jak wiosenna powódź. Zimna skała zamieniła się w rozgrzaną stal, gdy jego ręce uniosły się, by uchwycić Maxie w bolesnym uścisku, a usta przywitały jej nieśmiałą pieszczotę pieszczotą o wiele zuchwalszą. Maxie, przerażona zamarła. Jej ręce zaczęły go odpychać z zadziwiającą siłą; usta wykręcały się, próbując uciec przed jego pocałunkami. Ale on tylko pogłębił pocałunek, rozchylając językiem jej słodkie usta. Jedną z jego dłoni wplątała się w jej włosy, rozpuszczając warkocze; druga zsuwała się powoli w dół po jej piersiach, by w końcu zatrzymać się na wąskiej talii.

Maxie opierała się coraz słabiej, w końcu przestała. Jej usta zaczęły powoli akceptować męskie panowanie. Ręce przestały odpychać Aarona i sunęły w górę jego bioder, musnęły szerokie ramiona, by w końcu objąć go za szyję chwytem tyle niepewnym, co zdesperowanym.

Aaron przyciągnął ją do siebie. Zwierzęcy charkot narósł mu w gardle, gdy poczuł, jak ciepło ciała Maxie rozlewa się po nim niczym gorący, płynny miód. W jego wnętrzu rozerwały się tajemnicze pęta, zwalniające żywioł pochłaniający zarówno rozum, jak i sumienie. Z każdą mijającą sekundą nabrzmiewał coraz bardziej męską potrzebą. Nie chciał *niczego* innego, tylko znaleźć się z nią na ziemi, zerwać z niej te śmieszne, obszerne spodnie i spełnić do końca to, co nieświadomie zapoczątkowała.

Jego drżące ręce, przesuwające się po jej ciele, natrafiły nagle na zimną stal *pistoletu*, który Maxie nosiła zawsze na biodrze. Gwałtownie oprzytomniał, przypominając sobie, że trzyma w objęciach dziecko - zwykłego urwisa z poplamioną buzią i warkoczami, na wpół dorosłego berbecia z pistoletem, który nawet nie umiał się całować, to co mógł wiedzieć o tym, jak przyjąć na siebie mężczyznę i poprowadzić go do raju. A Aaron Hunter nie chciał być tym, który ją tego nauczył, był jej winny więcej, niż przypadkowe uwiedzenie. Nie był człowiekiem zapominającym o swych długach.

Odepchnął ją od siebie tak łagodnie, jak tylko potrafił, stwierdzając, że zawinęła się dookoła niego jak meksykański boa. Przez chwilę Maxie wyglądała na oszołomioną. Jej ręce rozplątały się i zsunęły z jego szyi, potem podniosły się do obrzmiałych ust, a następnie zajęły koszulę, która w dziwny sposób okazała się rozpiętą prawie do samego pasa. Zamknęła oczy, kołyszając się nieznacznie, potem otworzyła je znowu. Rozszerzyły się one, jakby Maxie była zaskoczona widząc Aarona siedzącego wciąż naprzeciw niej. Spojrzenie, które mu rzuciła - mieszanina niedowierzania z przerażeniem - sprawiło, że poczuł się spokrewniony z wężem.

- Po coś ty to, u diabła, zrobiła? - zapytał, cichym, wzrastającym gniewem - czy włóczysz się dookoła, całując każdego faceta, z którym rozmawiasz?

Jej oczy, błyszczące niebieskie nawet w cieniu nocy, stawały się coraz większe, gdy zaczęła się kulić. Ale powstrzymała się. Ściągnęła brwi i wyprostowała się. Aaron mógł prawie zauważyć, jak

Maxie usiłuje uspokoić napięte nerwy.

- Bez powodu - odpowiedziała wysuwając do przodu mały podbródek . .....: Byłam po prostu ciekawa, jak to smakuje. Wcale nie musiałeś zamieniać małego pocałunku w coś w rodzaju zapasów.

Uśmiechnął się:

- Musisz się dużo nauczyć o mężczyznach.

- Nie ma chyba wiele gorszych rzeczy do nauki.

- Cóż, nauczysz się więcej niż myślisz, jeżeli będziesz się dalej zachowywać jak coś w rodzaju ...

Boże! Jesteś tylko dzieckiem.

Zamiast się uspokajać, jego gniew wzrastał. Córka Maxwella zawsze działała mu na nerwy, osiem lat nie pozbawiło jej umiejętności dobierania mu się do skóry.

- Co ty w ogóle jeszcze robisz w tym miejscu? Myślałem, że twój ojciec będzie miał wystarczająco dużo rozsądku, by cię stąd gdzieś odesłać.

Maxie wzruszyła ramionami:

- Dlaczego miałby mnie gdziekolwiek wysłać? Gdzie miałabym iść? Moja rodzina jest tutaj tatuś, Blackjack, Tom i Brudny Jim. Człowiek musi mieć rodzinę, wiesz o tym.

"Człowiek musi mieć rodzinę". Aaron pomyślał o rodzinie, którą mógłby teraz mieć, gdyby Julia nie stała się zdobyczą mętów, takich samych, jak te diabły zamieszkujące Stronghold. Być może ten, kto ją zabił, stał koło niego w jaskini, albo był nazywany rodziną przez Maxie Kaktus. Musiał sobie przypomnieć, po co ryzykował życie - nie po to, żeby oszukać jakąś kuszącą łobuzicę, ale żeby wykurzyć szczury, które zamieszkiwały ten kanion. Częściowo w imieniu prawa, częściowo dla zamordowanej Julii, częściowo dla samego siebie.

- Spływaj, Maxie, zanim zapomnę, jaki z ciebie dzieciak.

- Nie jestem dzieciakiem!

Ręce na biodrach, piorunujący wzrok. Ani śladu wcześniejszego zakłopotania, zauważył Aaron. Prawdopodobnie nawet nie wiedziała, jak blisko była tego, by sponiewierał ją jak dziwkę.

- W porządku. Nie jesteś dzieckiem. Po prostu nie chcę, żebyś się tu kręciła.

- Ty nie możesz wydawać mi rozkazów - Jej usta skrzywiły się w wyzywającym uśmiechu. - Tylko tatuś mi rozkazuje.

Ekspresja jej wypowiedzi przypominała Aaronowi kościstą dziesięciolatkę, która posadziła go na swojego konia i posłała galopem daleko od okrutnej śmierci. Jego serce nieco złagodniało. Nie mogła przecież nic poradzić na to, kim była, albo kim miała się stać.

- Nie rozkazuję ci. Mówię ci po prostu, że chciałbym być sam. Jako przyjaciel. W porządku?

Maxie wzruszyła ramionami:

- W porządku. Zostań sobie. - Odwróciła się, odeszła kilka kroków, potem znów zwróciła się do niego: - Przepraszam, że cię pocałowałam, Aaron. Masz rację. To było głupie. - Jedna jej brew wygięła się w arogancki łuk - I niespecjalnie interesujące.

Patrzył za znikającą w ciemności Maxie, zauważając, że nawet w luźnych spodniach jej chód nie był

wcale dziecinny.

- No cóż, synu - zabrzmiał czyjś głos z ciemności - wydaje się, że akurat ta młoda jałówka nie jest całkiem gotowa, żeby ci jeść z ręki. Przynajmniej nie tak, jak większość z nich.

Aaron drgnął i ponuro potrząsnął głową:

- Jak długo tam byłeś, Simon?

- Wystarczająco. Rozglądałem się dookoła. Myślałem, że też to robisz, zanim cię nie zauważyłem tulącego się do tego szerszenia. Wyglądało, jakby jej bardzo zależało, żebyś zmienił o niej zdanie. Ostatecznie nie zauważyłem, żeby cię znowu tłukła pięściami.

- I oczywiście - powiedział Aaron ze śmiechem - stałeś i patrzyłeś.

- Takie stare dziadki jak ja też muszą mieć z czegoś przyjemność. Dlaczego przestałeś?

Aaron wskazał w kierunku, w którym zniknęła Maxie: - To tylko dzieciak. Zuchwała, ale nawet w połowie nie wie, co robi. Poza tym, mam ważniejsze rzeczy na głowie. Ty też.

Mógł się nimi zająć teraz, gdy nie czuł słodkiego smaku ust Maxie na swoich wargach, ani nie czuł

jej zapachu przy sobie. Do licha, pragnienie kobiety może zamienić mózg mężczyzny w papkę. Szybko wymazał irytującego diabełka ze swych myśli.

- Jak myślisz - spytał - długo będziemy musieli siedzieć w tej szcurzej norze, zanim będziemy mogli zacząć?

- Myślałem, że tęskno ci do tego, synu. Nie byłeś tym, kto .palil się do wyczyszczenia tego gniazda żmij? - Do wyczyszczenia, a nie do życia tutaj. To miejsce może każdego wyprowadzić z równowagi.

Simon uśmiechnął się:

\_ To miejsce, czy ta kobieta?

- Uważaj, bo zbliżasz się do krawędzi - kąciki ust Aarona uniosły się w uśmiechu, gdy po raz ostatni rzucił wzrokiem w kierunku, w którym odeszła Maxie: - Poczuję się o niebo lepiej, jak zostawię za sobą zarówno to miejsce, jak i tę kobietę.

- Nie jesteś w tym odosobniony, synu. Ale z tego, co słyszałem, dopiero za dwa, trzy dni większość ludzi Maxwella wróci z napadu koło Cananea.

- Mam nadzieję, że dożyjemy.

Simon uśmiechnął się:

- Myślę, że nam się uda. Dajmy sobie trochę czasu na zbadanie tego miejsca, wygranie paru partyjek pokera, zabawienie się z paroma damami ...

- Tylko pamiętaj, gdzie jesteś, *compadre*.

- To niemożliwe, żeby zapomnieć.

Aaron milczał, gdy wracali do jaskini. Poza paroma ochrypłymi dobiegającymi z niej głosami, noc była cicha. Miliardy gwiazd znajdujących się nad otaczającymi kanion skałami migotały pogodnie w czystym, pustynnym powietrzu, a delikatne pluskanie strumyka u podnóża ściany jakby na ironię podkreślało nocny spokój Stronghold - tej szcurzej nory naj gorszych wyrzutków. Tucson był bardziej hałaśliwy. Tubac i Motherlode też, Cananea, i każde z tych miast rozsianych na tej diabelskiej pustyni. Przygraniczni bandyci wzniesali niepokój, gdziekolwiek się pojawili, ale swoją własną kryjówkę zostawiali w spokoju. Kilku miało tutaj nawet rodziny. Sam Maxwell miał tu dzieci, a naj młodsza dwójka urodziła się i wyrosła w tej piekielnej dziurze.

Przeklęte dzieci Maxwella, dwóch jasnowłosych synów przywiezionych gdzieś z zachodu i bliźniaki - syn i córka - pozostałe po biednej pani, którą ich ojciec przywłócił tutaj z Meksyku. Taki bandyta, jakim był Maxwell, musiał spłodzić właśnie córkę. Niech to szlag trafi! Co można zrobić z pomiotem szatana, jeżeli ten pomiot jest dziewczyną?

- Simon - Aaron zwolnił. i przystanął. - Chcę cię o coś poprosić.

- Tak? - Simón zcl.awał się nie być zaskoczony.

- Kiedy to się zacznie, chcę, żebyś z tego wyciągnął Maxie.

Starszy mężczyzna parsknął rozbawiony: - Wyobrażałem sobie, że tak właśnie zrobisz.

- To nie jest tak, jak myślisz.

- Nie? To zabawne. Nawet w ciemności widziałem, jak ci błyszczały oczy, gdy ona odchodziła.

- Ona jest córką Maxwella, Simon. Wyrządziła mi wielką przysługę osiem lat temu. Nie mogę się jej odplacić stryczkiem.

- Ludzie z Motherlode nie mają zwyczaju wieszać dziewczyn.

Aaron roześmiał się gorzko:

- Jeżeli są rozwścieczeni, tę akurat powieszają.

- A co masz zamiar z nią zrobić?

- Niech mnie licho, jeśli wiem. Ty ją tylko wydostań spod kul. Coś wymyślę.

Maxie leżała na sienniku, słuchając chrapania Hi!dy. Kobieta nie pokazała się w domu aż do wczesnego świtu, wieczór musiała więc mieć bardzo udany.

Dzień się zaczynał, a Maxie wciąż nie udało się zasnąć. Tak działo się przez trzy ostatnie noce, od czasu przechadzki z Aaronem.

"Gdyby Hilda nie chrapała tak diabelnie głośno, mogłabym teraz zasnąć" - pomyślała zirytowana Maxie. Odwróciła się, poprawiła czaprak, służący jej za poduszkę i naciągnęła koc na głowę. Ale

nie zagłuszyło to ani dobiegającego z sąsiedniego siennika chrapania, ani myśli, które nie pozwalały się jej uspokoić.

Przeklęty Aaron Hunter! Martwy, był niegroźnym marzeniem, idolem, tworem dziecięcych fantazji. Gdy tylko czuła się znudzona, wyciągała go z zakamarków swojej pamięci i spędzała kilka godzin, wyobrażając sobie miłe chwile, które spędziliby razem, gdyby tylko przeżył.

Ale żywy, Hunter wytrącił z równowagi jej umysł, pobudził wewnętrzną energię i gonitwę myśli i niczym nie przypominał wyobrażenia stworzonego na podstawie wspomnień o młodym Aaronie - bohaterze dościgniętym przez wściekłych górników i, jak sobie wyobrażała, zabitym podczas gwałtownej, tragicznej próby oporu. Hunter, który przeżył, miał irytujący cień uśmiechu w oczach - nie miłego uśmiechu, ale cynicznej radości zmieszanej z lodowatym gniewem. Gdy patrzył na nią - a przyłapywała go na tym bardzo często - jego ładne ciemne oczy stawały się puste. Ten' sukinsyn miał przyjazne słowo dla każdego w Stronghold z wyjątkiem niej. Dla Maxie Kaktus, dziewczyny, która uratowała jego bezwartościowe życie miał tylko zgryźliwą minę i puste spojrzenie.

Maxie rzuciła się na łóżku i ponownie przyklepała poduszkę. To dopiero problem, gdy marzenie okazuje się żywe. Postać z marzeń mogła robić wszystko, czego tylko Maxie zapragnęła; żywy, oddychający mężczyzna był znacznie trudniejszy do kreowania. I dlatego była zadowolona, że sprawa tego łajdaka, ale ten mały pocałunek nie był dobrym pomysłem.

Na początku wydawało się, że w ogóle nie zauważył dotknięcia jej warg. Był nieruchomy jak granit, zimny jak stal. Już się zaczęła dziwić, dlaczego wszyscy robią wokół całowania tyle szumu, gdy nagle porwał ją w ramiona i zaczął się zachowywać, jakby chciał ją pożreć żywcem.

Jego dzika siła wprawiła ją w panikę, uściski tłamsiły jej ranliona, a to co robił z jej ustami, było dla niej jednocześnie przerażające i fascynujące. W całym swoim życiu nie czuła się tak bezbronna. W tym momencie poznała, co czuje mysz złapana przez sokoła albo antylopa stojąca przed oczami, głodnej pumy.

Ale to nie siła Huntera i jego zaskakująca dzikość męczyły Maxie w nocy i nie dawały jej spać. Gryzło ją to, że dała się tej dzikości porwać. Jakaś dziewczęca, stojąca na trzęsących się nogach część jej osoby chciała się poddać. I poddała się, niech to szlag. To ją dziwiło, myślała, że zna siebie lepiej. Pozwoliłaby Hunterowi zrobić ze sobą cokolwiek by zapragnął. Tak naprawdę, to wręcz go o' to błagała, wijąc się dookoła niego jak jedna z *putas* Hemando, robiąc z siebie idiotkę. A co zrobił Hunter? Odepchnął ją! Łajdak!

Maxie jęknęła głośno jak sto razy przedtem, gdy myślała o tym ponizającym momencie. Powinna zostawić te babskie sprawy takim kobietom jak Hilda. Hunter nie odepchnąłby Hildy.

Gdyby potem ten tchórz w jakimś momencie podszedł wystarczająco blisko, naplułaby mu w oczy. Ale on utrzymywał bezpieczną odległość, a zanim mogła pomyśleć o odpowiednim rewanzu, odjechał. Stary człowiek, który z nim przyjechał, został, ale nie chciał powiedzieć, dokąd Hunter się udał. Gdyby nigdy nie wrócił, byłaby naprawdę szczęśliwa. Od teraz Maxie Kaktus 'będzie się zajmować rzeczami, które zna. Oszukiwanie mężczyzn zostawi Rildzie i innym dziewczynom pracującym w jaskini.

Maxie właśnie zaczynała drzemać, gdy ze snu wyrwała ją salwa z karabinów. Szybkim skokiem znalazła się poza łóżkiem. Narastający powoli chór wystrzałów i przekleństw wskazywał na to, że nie była to poranna kłótnia mieszkańców Stronghold. Ktoś przebiegający obok uderzył w przybudówkę. Ostrzeżenie? Co się działo?

Hilda też się zbudziła: - Co to za przeklęty hałas? - spytała.

\_ Nie wiem - Maxie w pośpiechu wskakiwała w spodnie, koszulę i buty. - Co by to nie było, wygląda, że mamy kłopoty.

\_ Co by to nie było, powiedz, żeby byli cicho, co? \_ Powiem - Maxie skierowała się do drzwi, ale zanim do nich dotarła, przez płócienną zasłonę wpadł do środka Brudny limo

\_ Cholera! - wrzasnął, gdy się zderzyli. - Maxie! To napad! Leć do corralu i bierz konia! Wycho- dzimy przez tylne wyjście.

Nie został ani chwili dłużej, pobiegł zanim Maxie zdążyła otworzyć usta.

\_ Co on ma na myśli, mówiąc napad? - Maxie wystawiła głowę przez zasłonę i równie szybko cofnęła ją z powrotem. "To naprawdę napad!" - stwierdziła osłupiała "Bóg wie, kto". Podeszła do

siennika i sięgnęła po pas z pojedynczym olstrem, który zawsze leżał przy jej głowie. Trącając Hildę nogą, ostrzegła ją: \_ Lepiej się wygramol z łóżka, Rilda, i idź do jaskini, bo ta twoja przytulna kryjówka może być podziurawiona jak rzeszoto. Mamy gości i to z niezbyt przyjaznymi zamiarami. Maxie nie została, by słuchać przekleństw Hildy. Wyszła z przybudówki i zobaczyła jak strongholdzycy biegali tam i z powrotem strzelając, przeklinając, wrzeszcząc, ale niewiele czyniąc szkody siedzącym na koniach ludziom, którzy wpadali przez wąskie wejście. Jak napastnicy mogli minąć strażników wejścia, tego nie wiedział nikt. Ale zrobili to i teraz dokonywali pogromu.

Ogień z broni palnej był teraz ciągły. Bandyci strzelali na oślep w stronę atakujących, ale tylko kilka strzałów trafiło do celu. Każdy był tak zajęty zapewnieniem sobie schronienia, że jakkolwiek zorganizowany kontratak był niemożliwy.

Napastnicy musieli na to liczyć, domyśliła się Maxie, chowając się za ścianę przybudówki. Wczesne ranne godziny nie były najlepsze dla bandytów, otumanionych snem albo nocnym pićciem. Zresztą strongholdzka hołota - wyłączając jej ojca i braci - nie mogła się poszczycić rozumem o jakiegokolwiek innej porze dnia. Gdy Maxie próbowała zorientować się, co się dzieje, goły bandyta wyskoczył z namiotu, wycelował rewolwer w stronę najbliższego jeźdźca i strzelił. Żadnego efektu. Maxie parsknęła, zdegustowana. Ten idiota zapomniał naładować broń!

- Maxie! Maxie, dziewczyno! Tutaj jesteś! Rozejrzała się dookoła z rewolwerem w dłoni. Ale to tylko Simon Curtis wyszedł zza rogu przybudówki. - Chodź, dziewczyno - ruszył do niej gwałtownie. - Znam miejsce, gdzie będziesz bezpieczna.

Gestem ręki pokazała, żeby się nie zbliżał.

- Dziękuję. Mam własne plany.

Simon złapał ją za ramię, gdy ruszyła w stronę corralu:

- To nie czas na upór - obstawał przy swoim. - Chodźże ...

Jakby podkreślając jego pośpiech, kula wzbijała w powietrze kurz pod ich stopami, potem druga uderzyła w ziemię tuż za nimi.

- Puść mnie, Curtis! - Jeżeli nie dostanie się szybko do corralu, tatuś i bracia wpadną w pułapkę, czekając na nią. Wszyscy będą wisieć i to przez nią. - Powiedziałam ci, że mam swoje własne plany!

- A ja mam ...

Maxie nie dała mu skończyć, lokując dobrze wycelowany cios na środku jego klatki piersiowej. Puścił ją, gdy powietrze gwałtownie wydostało się z jego płuc, a kolana z wolna się pod nim ugięły.

Nie miała ochoty bić tego staruszka, ale to była jego wina. Nie chciał uwierzyć jej słowom, musiała w zamian użyć pięści. Najwyższy CZ1S. Bitwa była już praktycznie przegrana. Mężczyźni i kobiety ze Stronghold byli otaczani jak bydło i spędzani w g11łpki pod straż napastników. Tylko nieliczni byli jeszcze wolni i usiłowali toczyć beznadziejną walkę.

Maxie schowała się za wysoki kamień, który w spokojniejszych czasach używany był jako miejsce do gotowania tortilli i pieczenia *cile verde*. Teraz służył jej za kryjówkę przed odbijającymi się rykoszetem od ścian kanionu kulami. Usiłowała wybać najbezpieczniejszą drogę do corralu, gdy nagle zauważyła jakąś postać na koniu. Po raz pierwszy dojrzała mężczyznę, który wydawał się przewodzić napastnikom. Nie mogła uwierzyć własnym oczom.

Aaron Hunter! Nie siedział na tym samym koniu, na którym wyjechał, ani nie był tak samo ubrany. Nie mogła jednek pomylić z nikim innym wyglądu jego szerokich ramion, ani sposobu, w jaki dosiadał konia, ani żadnej z niezliczonych rzeczy, które zapamiętała podczas tych krótkich dwóch dni, kiedy przebywał w Stronghold. Nie myliła się. Napastników przyprowadził Aaron Hunter - łajdak, grzechotnik, najędźniejszy robak pomiędzy zdrajcami.

Maxie poczuła pistolet w dłoni, nie wiedząc zupełnie, jak się on w niej znalazł. Sprawdziła bębenek. Pusty. Niech to szlag trafi! Była tak samo bezmyślna, jak reszta strongholdzkich idiotów. Zazgrzytała zębami. Pusty, czy nie, uniosła rewolwer i wycelowała w twarz, która z wymarzonej przekształciła się w jej oczach w upiorną. Raz po raz pociągała za cyngiel, przeklinając przy każdym daremnym uderzeniu iglicy. W furii odrzuciła braJl. od siebie i pobiegła w stronę corralu,



nie dbając o to, że jakaś przygodna kula może przeciąć jej drogę.

Pół minuty później minęła conal i wpadła do dużej murowanej szopy, skrywającej prowiant i ziarno. Zawołała cicho w ciemność.

- Tatuś. Blackjack. Jestem tutaj. Żadnej odpowiedzi.

- Brudny Jim? Tom?

Jej wzrok przyzwyczaił się do ciemności i mogła zobaczyć, że szopa była pusta, tylko koń stał spokojnie z głową w beczce z ziarnem.

Pusta!

Gdzie oni byli? Ojciec i bracia nie uciekliby bez niej. Maxie popatrzyła na konia. Jego pysk znaczyła

łysina, kończąca się charakterystycznymi białymi plamkami na nosie. Maxie rozpoznała wałacha, którego Tom przyprowadził z ostatniego napadu. Tatuś i chłopcy zostawili go dla niej. Po co innego stałby w szopie z prowiantem, zamiast w corralu? Jej rodzinka uciekła jednak bez niej.

- Gówno! - Maxie z furią kopnęła stojak na siodła. Zawsze wiedziała, że ufać komukolwiek poza rodziną było czystą głupotą, a teraz zawiodła ją także rodzina. Niech ich szlag! Zerwał~ z kołka uźdżeniec. Gdy tylko dogoni. tę swoją rodzinę, natrze im uszu tak, że długo to popamiętają.

Wtem Maxie poczuła mrowienie w okolicach kręgosłupa. Ktoś wszedł za nią do szopy.

Hunter obracał konia w kółko, by obserwować, co się dookoła niego dzieje. Trzymał w ręce wycelowany w górę rewolwer, z odwiedzionym kurkiem i w pełnej gotowości. Ale nie musiał go używać. Wszystko szło zgodnie z planem, nawet lepiej. Simon wykonał swoje zadanie i zajął się strażnikami pilnującymi wejścia do Stronghold tuż przed świtem. Oddział Huntera wjechał tu nie zatrzymywany. Zaskoczeni bandyci niczego się nie spodziewali, byli nie ubrani, nie uzbrojeni, otepiali od snu albo przepici. Ci, którym udało się chwycić rewolwery lub strzelby, więcej biegali niż strzelali, a atakujący bardzo szybko spędzili ich w bezbronne, trzymane pod strażą grupy. Paskudne zadanie czyszczenia tego gniazda żmij, znanego jako Stronghold, było wykonane jeszcze zanim się zaczęło.

Jakiś ruch w okolicy corralu przyciągnął wzrok Huntera. Odwrócił konia. Nic tam nie było - przynajmniej nic nie zauważył. Ale czuł czyjś świdrujący wzrok tak dokładnie, jak strużkę potu ciekącą po plecach. Koń zatańczył pod nim w odpowiedzi na napięcie jeźdźca. Hunter pozwolił mu iść, stanąć dęba, odwrócić się, wydawał się być całkowicie pochłonięty jego zachowaniem. Nagle szybko się odwrócił i zauważył czarne warkocze i czerwoną koszulę. Nikt inny, tylko mała Maxie Kaktus przykucnęła za kamiennym paleniskiem. Jej pistolet był uniesiony, trzymała go mocno w obu rękach, palec naciskał już na cyngiel. Hunter schylił się instynktownie, ale wiedział, że musi zginąć.

Kilka sekund minęło, zanim stwierdził, że nie ma roztrzaskanej czaszki, a w piersiach nie czuje palącego bólu. Podniósł głowę. Maxie pociągała za spust raz po raz, nie zwracając uwagi na to, że jej rewolwer nie jest naładowany. Wyraz malujący się na jej twarzy był nieomal tak samo zabójczy jak kula.

Hunter miał już zamiar skierować konia w stronę tego małego diabła, gdy dwóch członków jego oddziału podjechało bliżej, zasłaniając sobą Maxie i odwracając jego uwagę.

- Mamy ich - zaraportował jeden. - Większość z tych wrzaskunów poddała się nie podejmując nawet walki.

Hunter przerwał mu: - Później. Muszę jeszcze zająć się jednym małym bandytą, niech to szlag.

Maxie w tym czasie zniknęła. Zaklął; po chwili jednak zobaczył drobną figurkę przebiegającą od corralu do szopy na prowiant. Nie tracąc czasu, Hunter spiął konia ostrogami. Kilka sekund później jego stopy dotknęły ziemi jeszcze zanim k06 zatrzymał się przed szopą.

W porządku, była tam, z uzdą w dłoni kierowała się w stronę stojącego w głębi szopy konia. Nie odwróciła się, gdy Hunter wszedł do środka, ale zatrzymała się i stała nieruchomo jak kamień.

- Wybierasz się gdzieś? - zapytał niedbałym głosem.

Odwróciła się. Diabelski ogień migotał w jej oczach.

- Myślisz, że możesz mnie zatrzymać?

- Dokładnie tak sędzę.

- Jeżeli spróbujesz, jedno z nas będzie martwe.

Hunter potrząsnął głową i uśmiechnął się.

- Zawsze używałaś zbyt wielkich słów, Maxie. Przez moment przyglądała mu się uważnie, jakby oceniając jego siłę i szybkość. Jej oczy zwały się.

- Mam u ciebie dług, łajdaku. Pamiętaj.

- Pamiętam - jego uśmiech nie był zbyt przyjemny. - Jestem człowiekiem, który zawsze spłaca swoje długi.

- To pozwól mi odjechać.

- Przykro mi, Maxie. Wyjdiesz stąd ze mną.

- Nigdy w życiu! - skoczyła do przodu i cisnęła mu uzdę w twarz. Złapał jej uniesioną dłoń, ale nie był przygotowany, gdy Maxie rzuciła się na niego z zagiętymi w szpony palcami.

Konie podskoczyły nerwowo, gdy upadli na ubitą, glinianą podłogę. Maxie była na wierzchu. Jej paznokcie orały mu twarz, celując w oczy, a gdy udało mu się ją odepchnąć, zwinęła dłoń w pięści i zaczęła go okładać w okolicy splotu słonecznego.

- Ty mały dziki kocie! - odchrząknął, gdyż ciosy Maxie omal nie pozbawiły jego płuc powietrza, potem z furią zrzucił ją z siebie.

Maxie upadła na podłogę z bolesnym jękiem. Hunter błyskawicznie znalazł się na niej. Złapał jej młocące powietrze pięści i przygwoździł je do ziemi.

- Łajdak! - wrzasnęła. - Zdrajca! Waż! Przyjęliśmy cię jak przyjaciela, a ty tak się odpłacasz! - Nie ma czegoś takiego, jak przyjaźń pomiędzy złodziejami i mordercami. Honoru też nie ma. Nie nauczyłaś się tego jeszcze, Maxie?

Próbowała się wydostać spod niego, ale jego ciężkie ciało przygniatało ją do ziemi. Jedyne, co mogła zrobić, to daremnie się miotać, zdzierając sobie skórę z pleców.

- Ty krowi placku! Puść mnie! - wrzasnęła.

- Jeszcze nie - chwytając oba jej nadgarstki swą dużą dłoń, drugą ściągnął z szyi chustę. - W tym miejscu możesz równie dobrze jak gdzie indziej poczekać, zanim wszystko trochę się uspokoi, a to powinno zatkać ci te brudne usta.

- Zawiązał knebel dookoła jej twarzy, ale ona wykorzystała uwolnione pięści, by skierować silny cios w jego głowę. Jej ostre, małe zęby, pomimo knebla, wgryzły się w jego ramię.

- Au! - jego krzyk, bardziej z wściekłości niż z bólu, zatrzęsł muiowanymi ścianami. - Ty mała kundlico! A ja tu próbuję coś dla ciebie zrobić!

Złapał jej nadgarstki i zawiązał je rzemieniem uździenicy. Gdy kontynuowała bombardowanie go związanymi rękami, zawinął linę dookoła łęku pobliskiego siodła i podciągnął jej ramiona powyżej głowy. Drugi koniec linki zawiązał dookoła kostek dziewczyny.

- To powinno cię unieruchomić!

Ale Maxie nie należała do tych, które łatwo się poddają. Z bolesnym wysiłkiem udało jej się podnieść barki z ziemi i skrócić biodra, prawie zrzucając siedzącego na niej okrakiem Huntera. Odzyskał równowagę, łapiąc ją za koszulę. Rzucił nią z powrotem o ziemię, pozbawiając oddechu.

- Ty mała ...

Obelga, którą chciał rzucić, nie pojawiła się na jego ustach, ponieważ podczas ich szamotaniny koszula Maxie doznała fatalnego uszkodzenia. Guziki z przodu oderwały się i bawełniane płótno rozchylało się, ukazując pulchną, krągłą i bardzo kobiecą pierś.

Hunter spojrzał i zadrżał. Gdy poranne chłodne powietrze dotarło do jej skóry, Maxie zadrżała także. Przez nieskończenie długi moment nie wypowiedzieli słowa. Hunter podniósł wzrok i napotkał spojrzenie Maxie. Przez chwilę w czystym błękitcie jej oczu pojawił się błysk lęku i pewnego dumnego wyzwania. Ale gdy on tak patrzył, kryształowy błękit pociemniał z furii. Spoza knebla udało jej się wydać obraźliwy skrzek, po którym nastąpiło zduszone mamrotanie, co Hunter bez trudu rozpoznał jako potok przekleństw.

Szybko zarzucił koszulę na jej obnażone ciało.

- Nie martw się, dziecko. Nie tak łatwo tracę kontrolę nad sobą i nie gwałcę takich niechlujnych obszarpańców jak ty.

To stwierdzenie wywołało w odpowiedzi kolejny skrzek wściekłości.

- Aaron! - w wejściu pojawiła się koścista figura Simona. Spojrzał na Maxie ostrożnie jak na skorpion. - Widzę, że znalazłeś tę młodą damę. Święta Panienko, ale ona wściekle bije!  
- Nie musisz mi tego mówić! - Hunter stanął na nogi, oddychając lżej, gdy biodra Maxie nie znajdowały się już pomiędzy jego nogami. Chciała kopnąć go w łydkę, gdy się podnosił. Uniknął ciosu akrobatycznym skokiem w bezpieczne miejsce.

Simon uśmiechnął się:

- Pełna życia, co?

- Wolałbym raczej spróbować związać grzechotnika - odwrócił się plecami od pełnego furii spojrzenia Maxie. - Co jest?

- Mamy już prawie wszystkich bandziorów. Maxwell i dwóch jego chłopaków zwało. Najmłodszego szczeniaka złapaliśmy. Jest kropka w kropkę tak samo zjadliwy, jak jego siostrzyczka.

Hunter czuł, jak oczy Maxie wypalają dziurę w jego plecach. - To bliźniaki - odpowiedział. - Jaki ojciec, taki syn. I córka.

- Cóż, przyjacielu, kilku chłopców chciałoby powiesić więźniów od razu tutaj, przy ich kobietach. Jeżeli chcesz dowiedzieć żywcem jakiegokolwiek bandytę do Motherlode, musisz się tym zaraz zająć.

- Idę - rzucił Maxie ostrzegawcze spojrzenie, ale nic nie powiedział.

Simon popatrzył na rozbrojoną dziewczynę, leżącą na podłodze szopy.

- Nie martw się, mała. Hunter wymyśli dla ciebie coś specjalnego.

\*\*\*

Maxie zacisnęła zęby, widząc wychodzącego z szopy Huntera. Miała nadzieję, że jego uszkodzona noga sprawia mu ból przy każdym kroku. Miała nadzieję, że Apacze złapią go i wetkną mu płonące drzazgi pod paznokcie, a potem będą zdierać każdy cal jego skóry, zanim zaczną błagać o śmierć. Miała nadzieję ...

Zamykając oczy, Maxie pograżyła się w myślach. Czego naprawdę pragnęła, to wydostać się stąd, zanim powróci Hunter. Nie było liny, która mogła ją długo utrzymać, ani człowieka, który mógł zawiązać węzeł, spod którego nie mogłaby się wydostać. Ale ile miała na to czasu?

Hunter przerzucił jeden koniec liny dookoła łęku siodła. Skręcając się i szamocząc, Maxie udało się uklęknąć i pochylić nad siodłem tylko po to, by stwierdzić, że jej palce były zbyt zdrętviałe, by cokolwiek zrobić, poruszały się jedynie niezdarnie w pętli. Użyła więc zębów, by odwiązać linę, co utrudniał knebel w jej ustach. W końcu lina opadła. Uwalniając się szybko z prostego węzła, jakim Hunter związał jej kostki, była w stanie uwolnić stopy i pozbyć się knebla . w kilka chwil. Węzeł na nadgarstkach wciąż utrudniał jej ruchy, ale przynajmniej trochę uczucia pojawiło się w dłoniach dziewczyny.

No to co, że miała wciąż związane ręce? Nie ma sprawy. Taki drobiazg nigdy nie zatrzyma Maxie Kaktus. Wszystko, co musiała zrobić, to okiełznać konia, wdrapać się na jego grzbiet i gnać jak sto diabłów do tylnego wyjścia ze Stronghold, które było tak zdradliwe, że każdy, kto pojechałby za nią, a nie znałby trasy, szybko znalazłby się w poważnych kłopotach.

Maxie złapała uzdę związanymi rękami. Powinna próbować siodłać konia? Potrząsnęła głową. Ze związanymi rękami zajęłoby jej to zbyt dużo czasu.

Koń podrzucił głowę do góry, nadstawił uszu i popatrzył, nie na nią, lecz na coś poza nią. Maxie zamarła.

- Maxie, kochanie, zawsze wiedziałem, że jesteś dzieciuch.

Odwróciła się.

Opierając się o drzwi, Aaron Hunter przyglądał się jej z grymasem na twarzy:

- Ale teraz, dziecko, moja cierpliwość się skończyła.

### **Rozdział 3**

Pośladki Maxie obijały się o siodło, co za każdym razem sprawiało jej ból. W głowie jej pulsowało, bolały ją plecy, a jedno ramię pokryte było siniakami w miejscu, gdzie chwycił je ten zdradziecki, parszywy, przeklęty Aaron Hunter. Lina, która łączyła nadgarstki z łękiem siodła, ocierała boleśnie skórę dziewczyny. Pot spływał jej na oczy i dalej na szyję, a ona nie miała możliwości, by go

zetrzeć.

Ale fizyczne dolegliwości były niczym w porównaniu ze zranioną dumą Maxie. Twarz wciąż ją paliła po upokorzeniu przeżytym w szopie. Ten potwór wszedł powoli - uśmiechając się tym swoim półuśmiechem, który wcale uśmiechem nie był - chwycił jej związane ręce, przerzucił ją przez kolano, spuścił bryczesy i sprął ją! Sprął ją! Tak, jakby nie była wystarczająco dobra, by do niej strzelić, albo przynajmniej zbić tak, jak mężczyźni biją kobiety. Nie! Hunter spuścił jej lania, jakby była nieznośnym dzieckiem! Gdy próbowała się wyrwać, bił ją po prostu mocniej, aż w końcu jej pupa piekła, jak po ataku tysiąca pszczoł. Ten brutal nie - czuł się usatysfakcjonowany, dopóki w oczach Maxie nie pojawiły się łzy, a przy każdym oddechu nie rozlegał się jęk.

Gdy Hunter postawił ją w końcu na nogi, patrzył na nią z tak zaciętym wyrazem twarzy, że miała nadzieję, że złamał rękę, albo przynajmniej palec. Ale kiedy splunęła na niego, zaśmiał się, a potem przyrzekł kolejną porcję lania, jeżeli Maxie dalej będzie się źle zachowywać.

Mówił tak, jakby Maxie mogła się źle zachować, przywiązana do siodła wałacha o piegowatym nosie, który cierpliwie truchtał w dół kanionu za dereszowatym ogierem Huntera.

Nawet, gdyby udało się jej odzepić linę prowadzącą od siodła Aarona, jego długonogi ogier nie miałby prawdopodobnie kłopotów z dognaniem jej konia. Wpatrywała się w ten szeroki, dereszowaty zad już od paru godzin i nie miała żadnych wątpliwości co do jego mocy, a także co do siły pleców i ramion dosiadającego deresza jeźdźca. Maxie nie chciała poczuć tej siły po-  
nownie w formie uderzeń spadających na jej obolałe  
siedzenie.

Hunter odwrócił się w siodle i popatrzył na nią.

- Jak leci, mała?

Rzuciła mu mordercze spojrzenie.

- Ciągłe tak samo milcząca, co?

Maxie zaoferowałyby mu dużo więcej poza milczeniem, gdyby tylko mogła uwolnić dłonie z krępujących je więzów.

\_ Tylko poczekaj, dziecko. Kiedyś mi jeszcze podziękujesz. Poza tym, wszystko jest chyba lepsze od stryczka albo więzienia.

Podziękuję mu tak, jak na to zasłużył, fuknęła Maxie, gdy Hunter się odwrócił. Podziękuję mu ciosem pięści w jedno z tych jego diabelsko czarnych oczu. To zetrze uśmiech z jego twarzy!

Jechali powoli, docierając do początku kanionu i skręcili na północ w kierunku granicy. <;:zerwcowe słońce wspinało się powoli na niebo oświecając malowaną brązami i zieleniami ziemię. Wiosenna trawa nie była jeszcze twarda i wysuszona letnim upałem i zmiękczała nierówne podłoże dywanem zieleni. Tu i tam pojawiały się ciemniejsze plamy krzewów mimozy, juki czy sotolu. Za parę tygodni krajobraz stanie się brązowy, wyschnie pod palącymi promieniami słońca. Nawet teraz narastający upał powodował migotanie powietrza. Ptaki milczały. Jaszczurki i węże szukały już schronienia w podziemnych norach albo w cieniu skał.

Oba konie z pokrytymi potem szyjami i zadami wydawały się być jedynymi istotami poruszającymi się po tym niezmiernym terenie. Ich chód wraz ze wzrostem temperatury stawał się coraz wolniejszy, a Maxie usypiała pod wpływem jednostajnego kołysania wierzchowca. Jej myśli przechodziły od pragnienia zemsty do użalania się nad swym własnym losem.

Hunter wiozł ją do rancza Agua Linda. Będzie tam bezpieczna, powiedział, a na ranczo jest wystarczająco dużo pracy, by mogła zarobić na swe utrzymanie. Maxie zachnęła się, wspominając jego słowa. Zarobić na utrzymanie, rzeczywiście! Ten łajdak o czarnym sercu będzie miał niespodzinkę, jeżeli myśli, że Maxie zegnie choćby palec, by zmywać podłogi albo doić krowy.

Chciała jednak zobaczyć Agua Lindę. Ranczo było legendą w tym granicznym kraju. Leżało sześć mil na północ od meksykańskiej granicy, dokładnie na trasie łupieżczych wypraw Apaczów. Podczas, gdy Apacze najeżdżali inne rancza i kopalnie na terytorium Ańzony podczas lat wojny, Pete Kelley i jego Agua Linda uparcie trwali. Maxie słyszała niezliczone historie na ten temat. Czerwonoskórzy próbowali zrównać to miejsce z ziemią, spalić je, zabić inwentarz, wymordować ludzi - czyli to, co zrobili z każdą inną osadą białych, z każdym ranczem czy kopalnią, w czasie,

gdy oddziały federalne wyruszyły, by walczyć na wschodzie. Ale Pete Kelley - Żelazny Pete, jak go nazywano - zamienił ranczo w fortecę. Zabijał dwóch Apaczów za każdego zamordowanego poganiacza, za każdą świnie, byka, czy zabitą jałówkę. Maxie zastanawiała się, co Kelley uważa za większą stratę - ludzi, czy swe cenne świnię - jedno i drugie faszerowane zazwyczaj przez Indian strzałami.

W innych okolicznościach Maxie mogłaby się cieszyć zawierając znajomość z takim twardym szelmą jak Kelley, ale nikt po tej stronie piekła nie będzie w stanie utrzymać Maxie Kaktus w czterech ścianach. Jeżeli Kelley jest po stronie Huntera, ona będzie musiała mu pokazać co czuje żelazo, kiedy się je ...

- Zatrzymamy się tu na chwilę.

Głos Huntera przerwał gwałtownie rojenia Maxie.

Przed nimi falowały wody rzeki Santa Cruz, chłodna arteria życia płynąca spokojnie na północ na 'spotkanie z Gila. Jej trawiaste brzegi były ocienione topolami a woda bulgocząco zapraszała, by usiąść i chwilę odpocząć.

- Konie powinny mieć przerwę - kontynuował Hunter, zsiadając - i mnie ona też się przyda.

Spojrzenie, które rzuciła mu Maxie, mogło pokryć szronem trawę nawet pod palącymi promieniami czerwcowego słońca.

- Ciągłe się dąszasz?

Aaron zaprowadził deresza w cień, potem wrócił.

Płomyk nadziei pojawił się w duszy Maxie, gdy Hunter zaczął rozwiązywać linę, która mocowała jej nadgarstki do łąki siodła.

- Gdybym był na twoim miejscu, nie próbowałbym uciekać - ostrzegł Hunter, jak gdyby czytał w jej myślach.- Jestem większy od ciebie, szybszy, nawet z tą nogą, a jeżeli będę cię musiał ścigać w tym piekielnym upale, stracę natychmiast cierpliwość - popatrzył na nią z tym swoim półśmieszkiem, który, jak się już Maxie przekonała, był równie niebezpieczny, jak irytujący. -- Słukę twój mały tyłek tak, że będzie ci się wydawało, że poprzednie lanie było tylko przyjacielskim głaskaniem.

Jej ręce były w końcu wolne. Maxie roztarła nadgarstki i jęknęła. Lina nie była zawiązana za ciasno, ale nic się nie stanie, jeżeli Hunter będzie myślał inaczej. Następnym razem może zwiąże ją jeszcze słabiej.

- Zsiadaj. Zaprowadź konie do wody, a ja przyniosę zarcie.

Hunter odwrócił się, podszedł do swego konia i ściągnął torby z grzbietu ogiera. Przez moment Maxie miała zamiar popędzić piegowatonosego wałacha galopem i uciec. Ale ewentualne konsekwencje porażki sprawiły, że zrezygnowała. Mogła zaryzykować kulę w plecy, ale nie rękę Huntera na swych nagich pośladkach. Jedno lanie na dzisiaj stanowczo wystarczy.

- Na co .czekasz? - Hunter rzucił torby w cień. Podniósł brew w górę, oczekując odpowiedzi.

Maxie uniosła podbródek:

- Sam sobie zaprowadź konie do wody, ty sukinsynu. Nie ruszę dla ciebie palcem.

Jego brew uniosła się wyżej.

- Nie mam zamiaru jeść twojego mięsa, czy też wypełniać twoich poleceń, iść, gdzie pokażesz, ani siadać, gdzie mnie posadzisz. Nie ruszę się stąd ani o krok.

Hunter wydawał się zastanawiać, unosząc kapelusz i przegamiając palcami brązowy kosmyk włosów, który opadł mu na oczy. Mała blizna nad jego okiem pofałdowała się złowieszczo.

- Cóż - powiedział chłodno - niezbyt mnie obchodzi, co będziesz jadła. Ale twój koń potrzebuje trochę wody i odpoczynku ód twojego tyłka spoczywającego na jego grzbiecie.

Maxie skrzyżowała ręce na piersiach i usiadła głębiej w siodle:

- Wypchaj się, gnojku.

Hunter dwoma krokami podszedł do wałacha. Tak szybko sięgnął w górę i ściągnął ją z siodła, że Maxie nie miała okazji do obrony. Spadła na ziemię jak kłoda.

- Zsiądziesz, gdy ci każę, będziesz jadła, gdy ci każę, będziesz iść, siedzieć, skakać, kucać albo stać, gdy ci każę. Albo pożałujesz, że tego nie robisz, ty diabelskie nasienie!

- Idź -się najesz krowiego gówna!

Hunter złapał ją w pól i podniósł do góry, aż jej oczy znalazły się na poziomie jego twarzy.

- Jedna z pierwszych rzeczy - warknął - które zrobisz, to poskromisz swój brudny język. Ludzie, do których cię zabieram, nie lubią kiedy kobiety przeklinają, plują, albo na przykład, biegają w bryczesach.

- Oni mogą ... !

Hunter potrząsnął nią: - Nie przeciągaj struny, mała. - Nagle upuścił ją i powiedział: - Idź na dół do strumienia i u~yj się. Pachniesz, jakbyś od tygodnia nie widziała mydła. W mojej torbie znajdziesz kawałek.

- Nie mam zamiaru się kąpać! Ty sam mógłbyś sobie wyczyścić usta!

Uskoczyła przed jego pierwszym wściekłym chwytem, ale drugi pozbawił ją równowagi. Ręka Huntera trzymała ramię dziewczyny w stalowym uścisku i w żaden sposób nie pozwalała się jej uwolnić.

- Odczep się ode mnie, ty mizerny, osrany synu brudnej sowy!

- Ostrzegalem cię co do twojego języka.

Maxie ryła piętami ziemię, gdy Hunter pchał ją, najpierw w stronę juków, z których wydostał kawałek mydła, a potem w stronę rzeki.

Rzeka Santa Cruz była rwąca i płytka, przetaczała się po gładkich kamieniach i mijała pokryte mchem otoczaki. Ale pod pokręconym drzewem mimozy woda tworzyła mały zbiornik o spokojnej powierzchni.

Hunter pchnął Maxie w kierunku drzewa. Przystawił jej do twarzy kawałek mydła.

- Wykąp się, Maxie. Śmierdzisz.

- Wsadź to sobie ...

Jej obrazowa sugestia zakończyła się skrzekiem, gdy złapał ją za koszulę i podniósł na nogi. Potrząsnął mydłem przed jej nosem:

- Ty wybierasz, dziecko. Łagodnie, czy surowo.

Maxie rzuciła mu prawie przymilny uśmiech, po czym jej kolano wystrzeliło w stronę jego pachwiny. Ale tym razem Hunter był szybszy. Uskoczył w bok, zawijając swą jedną nogę dookoła jej nóg i wywracając ją na ziemię. Chwycił ją za kostkę i ściągnął but. Unikając wściekłego kopnięcia zdjął jej drugi but, potem oba rzucił na brzeg.

- Tylko tak dalej - powiedział, gdy sypnęła mu pełną garścią ziemi w twarz. - Zobaczymy, czy nie uda nam się nieco ochłodzić twoje go temperamentu.

Hunter podniósł Maxie za kołnierz koszuli i siedzenie bryczesów. Z potężnym sapnięciem wyrzucił ją w powietrze. Jej krzyk zakończył się głośnym pluskiem, gdy wylądowała w wodzie. zatoczka, która kilka sekund wcześniej była tak spokojna, zamieniła się gejzer, gdy Maxie usiłowała dotknąć stopami piaszczystego dna. Burzyła powierzchnię wody, prychając i kaszląc. Warkocze jej się rozplątały, a włosy opadły na twarz mokrymi splotami. Woda była lodowata - niech to diabli! - i smakowała rybami. Maxie nie umiała pływać i prawie zabrudziła bryczesy ze strachu, zanim jej stopy nie znalazły dna, podczas gdy ten Hunter o kamiennym sercu siedział na brzegu i zaśmiewał się jak szalony kojot.

Hunter podniósł mydło ponownie w górę:

- Masz zamiar być grzeczną dziewczynką, Maxie?

- Idź i wręcz sobie jeżozwierza, wiesz gdzie gnojku!

Hunter westchnął, odłożył na bok mydło i ściągnął buty:

- No cóż, będzie, jak sobie życzysz.

Maxie cofnęła się, gdy Hunter wszedł do strumienia. Ale im dalej szła, tym zatoczka stawała się głębsza. Woda sięgała już jej do pasa i Maxie wyobraziła sobie, jak wpada w głębinę przy kolejnym kroku do tyłu.

- Nie będę się kąpać - Maxie wyciągnęła rękę, by go odepchnąć. - To nie jest ani zdrowe, ani przyzwoite!

Hunter chwycił odpychającą go rękę:

- Co ty, u diabła, możesz wiedzieć na temat przyzwoitości? - spytał, po czym złapał Maxie za włosy, wepchnął ją pod wodę i wyciągnął z powrotem, chwytając ciężko powietrze i parskającą.

- Powiniennem być ci pozwolić odejść z tatuśkiem - mruknął Aaron, próbując przytrzymać wijącą się dziewczynę jedną ręką, a drugą wetrzeć jej mydło we włosy. - Nie udałoby mu się narobić tylu kłopotów, gdyby miał ciebie na głowie.

Maxie wrzasnęła, gdy mydło dostało się jej do oczu.

Hunter zanurzył ją znowu, potem zsunął jej koszulę na wysokość ramion, by skrępować ich ruchy. W czasie, gdy szamotała się, by uwolnić ramiona, ściągnął z niej bryczesy.

Lepiej byłoby się już utopić, pomyślała Maxie, gdyby tylko udało się jej wciągnąć Huntera ze sobą. Kopnęła do tyłu, próbując go trafić, ale ten chytry łajdak uskoczył. Ze spodniami zsuniętymi do kostek Maxie 'straciła równowagę i runęła w naj głębsze miejsce zbiornika. Jej prześladowca przyciągnął ją z powrotem.

Maxie wysunęła nogi z bryczesów, wyciągnęła ręce z krępującej je koszuli i wstała. Spieniona woda zakrywała jej stopy i kostki, nic więcej. Krople ściekały z jej czarnych, splątanych kędziorów, biegły strumykami przez rowek pomiędzy pełnymi piersiami, zbierały się na króciutko w pępku, a potem płynęły maleńkimi wodospadami w stronę bujnego ciemnego gąszczu u zbiegu ud. Stamtąd wędrowały prowokacyjnymi ścieżkami w dół smukłych nóg, zanim nie połączyły się na powrót z rzeką opływającą łydki dziewczyny.

Rumieńce pojawiły się na szyi i potem na twarzy Huntera, pogłębiając jego opaleniznę.

- A ja cię nazywałem dzieckiem! - gwałtownie odwrócił się do niej plecami. - Bierz mydło i myj się sama!

Maxie dojrzała w tym swą szansę. Jej jedynym' pragnieniem była ucieczka, a gdy szerokie plecy Huntera odwróciły się, kolba jego pistoletu znalazła się bezpośrednio w zasięgu jej ręki. Skoczyła, złapała broń i odskoczyła, zanim zdążył zareagować.

- Mam zamiar cię zabić, skurczybyku.

Hunter odwrócił się, gdy Maxie złapała pistolet, ale nie wystarczająco szybko, by złapać, uskakującą przed nim z gracją nagiego leśnego duszka, dziewczynę. Ruszył w jej kierunku, potem zatrzymał się nieomal dotykając nosem lufy swego własnego naładowanego rewolweru.

- Mam zamiar cię zabić - powtórzyła Maxie, smakując dźwięk siły swych słów - ponieważ jesteś śmierdzącym zdrajcą i oddałeś swoich przyjaciół pod opiekę prawa. Być może przez ciebie mój brat Brudny Jim dynda teraz na końcu śmierdzącego sznura.

Powoli, ostrożnie Hunter uniósł ręce i położył je sobie na głowie: - Ja nie oddałem przyjaciół pod opiekę prawa, Maxie. Ja jestem prawem.

- Jeszcze jeden dobry powód, by cię zabić. Maxie uchwyciła pistolet w obie dłonie, które nie wiadomo dlaczego zaczęły drżeć. Poczula strużki potu pod pachami. Jedyne, co musiała zrobić, to nacisnąć spust. Hunter był bezbronny, jego szeroka pierś była znakomitym celem. On zrujnował jej życie, zniszczył jej dom, pozabijał przyjaciół, może nawet brata. Co za kawał przekłętą tchórza siedział w niej, że stała drżąc, zamiast strzelać?

- Lepiej strzelilj, Maxie - oczy Huntera, te diabelskie czarne oczy, które wprawiały ją w drzenie, nawet, gdy miała dziesięć lat, obserwowały jej twarz, pistolet i inne szczegóły, które wydawały się go interesować. - Jeżeli masz zamiar stać tutaj goła, lepiej strzelaj, albo się ubierz. Inaczej zrobię coś, co ci się nie spodoba, nawet, jeżeli będę musiał iść pod kule.

Jego oczy przesunęły się po jej ciele z zachwytem, by zatrzymać się na piersiach, poteni na zbiegu ud. Nagle Maxie uświadomiła sobie, że była naga a Hunter wpatrywał się w nią jak roznamiętniony mężczyzna patrzy na kobietę. Pistolet zakołysał się, gdy Maxie instynktownie spojrzała w dół na swoje obnażone ciało.

Hunter złapał prawą rękę Maxie, pistolet wystrzelił w niebo, gdy oboje runęli do strumienia. Szamotanina była krótka. Hunter znalazł się na wierzchu, przyciskając Maxie do łóżyska strumienia, podczas, gdy ona usiłowała utrzymać głowę nad powierzchnią wody.

- Dostyc tego - wyrwał z jej ręki rewolwer i rzucił go na brzeg. - Ten twój przekłety wygląd dojrzałej kobiety - zazgrzytał, stawiając Maxie na nogi i ogarniając wzrokiem jej postać pełnymi podziwu oczami. - Zobaczmy, czy potrafisz zachowywać się jak kobieta.

Popychając ją w kierunku zbiornika, rzucił za nią mydło:

- Teraz się kap!

Dotarli do Agua Linda, gdy gwiazdy zaczęły się pojawiać na ciemniejącym niebie. Maxie była tak czysta, jak jeszcze nigdy w życiu, ponieważ Hunter nie pozwolił jej pominąć ani kawałka skóry, ani najmniejszego loczka. Powinna wyglądać odpowiednio, by mógł ją pokazać cywilizowanym ludziom, powiedział, jakby Maxie była barbarzyńskim prostakiem z obozu Apaczów.

Nienawidziła sposobu, w jaki na nią spoglądał, gdy się myła. Siedząc na brzegu rzeki, gdy ona niechętnie pluskała się w wodzie, obracając rewolwer na palcu, błyskając kretyńskim półśmieszkiem, wyglądał, jakby cieszył się z jej poniżenia. Nie cierpiała go z każdą minutą coraz bardziej, a kiedy wyruszyli dalej, spędziła kilka godzin w siodle na przemian zarzucając sobie, że go nie zabiła, gdy miała ku temu okazję, bądź też planując bolesny sposób, w jaki umrze Hunter, kiedy ponownie znajdzie się w zasięgu jej broni.

Gdy w końcu dotarli do ranczo Kelleya, na dworze pozostało tylko tyle światła, by lekko rozjaśnić uprawiane pola, mały sad graniczący z rzeką Santa Cruz, stodołę, duży szałas i piętrową chatę. Kilkanaście solidnie wyglądających zagród kryło grube, pochrzające świny, a stado koni stało spokojnie w ocotillowym corralu.

Sam dom był bardziej fortecą, niż miejscem do mieszkania. Potężne mury otaczały teren wielkości mniej więcej jednej czwartej Stronghold, jak oszacowała Maxie. Zamknięte szczelnie przed intruzami, umocowane na prawdziwych metalowych zawiasach, wrota były jedynym wejściem, jakie dojrzała. Trzej strażnicy stojący na górze muru majaczyli na tle ciemniejącego nieba. Gdy Maxie i Hunter pojawili się, strażnicy trzymali broń w pogotowiu. Teraz Maxie zrozumiała, dlaczego zarówno jej ojciec i bracia, jak i większość bandytów z terenów granicznych, unikała napadów na to miejsce.

- To tylko ja, Duffy - zawołał Hunter. - Prowadzę gościa do La Dony.

- Jak tam, Hunter - jeden ze strażników odpowiedział, zniżając broń. - Nie oczekiwaliśmy ciebie dzisiaj wieczorem.

- Nie miałem zamiaru dzisiaj wieczorem tu przyjeżdżać - zgodził się Hunter. - Szeftowa w domu?

- Gdzieś tu jest. Pete też - odwrócił się i krzyknął do towarzysza: - Nie stój tu jak pień, otwórz bramę. A ty, Ramon, idź powiedzieć Donie Medinie, że szeryf Hunter jest tutaj.

Wchodząc przez wrota Maxie mogła zauważyć, że ściana obwodowa nie była całkiem skończona.

W obrębie niekompletnego kręgu murów obronnych stała jednopiętrowa murowana siedziba wyposażona w cztery okna z prawdziwego szkła, umieszczone po obu stronach rzeźbionych drewnianych drzwi. Brukowany chodnik prowadził do osobnego budynku kuchennego i, kilka kroków dalej, do zewnętrznego kamiennego pieca. Zapach w powietrzu - dym z płonącej mimozy, pieczone tortille i kurz - przypomniał Maxie Stronghold. Tak znajomy, a jednak nie całkiem ten sam. Poczuli bolesny spazm tęsknoty za domem.

Przywitało ich dwoje ludzi. Żelazny Pete wyglądał w każdym szczególe tak wspaniale jak go opisywano - wysoki, smukły, opalony. Jego włosy były wystarczająco długie, by zwisać strąkami dookoła uszu. Głębokie bruzdy przecinały mu twarz od nosa do ust, nadając jej permanentnie nachmurzony wyraz. Wyglądał na najtwardszego ranczera w granicznym kraju, ale to wrażenie psuł fakt, że z niewymuszonym uczuciem otaczał ramieniem barki niskiej kobiety stojącej obok niego i, że oczy mu miękły, gdy ona się do niego uśmiechała. Nikt, kto naprawdę zasługiwałby na miano Żelaznego Pete' a, nie powinien mieć tak łagodnych oczu z powodu kobiety. Z całą pewnością mężczyźni, których Maxie знаła, tak by się nie zachowywali.

Kobieta stała otoczona ramieniem Kelleya. Mała, ciemnowłosa, o łagodnej twarzy, przypominała Maxie obrazek z Madonną, który znajdował się na okładce starej Biblii należącej do jej matki.

- Bry wieczór, Hunter - oczy Kelleya, które wydawały się lśnić nienaturalną jasnością w świetle pochodni, przesunęły się od Huntera do Maxie, potem z powrotem do Huntera. -- Kogoś ty przyprowadził?

- Pete. - Hunter uchylił kapelusza w stronę ciemnej, małej kobiety stojącej obok Kelleya. - Medina. Ja ... eh ... mam do was prośbę.

Maxie wysłuchiwała nutkę niepewności w głosie Huntera i rozkoszowała się myślą, że może jego plany nie były tak precyzyjnie obmyślane, jak to mu się wydawało. Rozchmurzyła się jeszcze



bardziej, gdy Oczy Mediny spoczęły na niej, zatrzymując się na moment na jej związanych rękach, przesuwając się po ubraniu, które było w kiepskim stanie po szamotaninie w wodzie i wróciły do Huntera z pytaniem, które było wręcz piorunujące.

- Aaron, dlaczego to dziecko jest przywiązane do siodła?

- Ja ... - zachmurzył się, szukając odpowiedniego wytłumaczenia. - To długa historia, Medino.

Mała kobieta, która wydawała się posiadać autorytet nieproporcjonalny do swych wymiarów, podeszła do konia Maxie i spojrzała w górę na jej twarz.

- Mój Boże, dziewczyno, co ty masz za siniak na policzku! A twój ... - drgnęła, przyglądając się twarzy Maxie bardziej dokładnie. - Aaron! Co to za dziecko?

Pete zachmurzył się, gdy jego wzrok wędrował od żony do Maxie i Huntera: - Może lepiej wejdziemy do środka. Nie ma sensu pozwalać moskitom, by zjadły nas żywcem.

Maxie nigdy nie widziała domu tak dużego jak dom Kelleya, ale żeby powiedzieć prawdę, ilość uczciwych domów, w których kiedykolwiek się znalazła, można było policzyć na palcach jednej ręki. Frontowe drzwi prowadziły do małego, wykładanego cegłą przedsionka, jasno oświetlonego zrobionymi z podków kandelabrami. Medina zaprowadziła ich do pokoju, którego okna wychodziły na dziedziniec. Maxie wydawało się, że dom zbudowany był w podobny sposób, jak jeden z domów, które widziała w Meksyku - z murowanymi pokojami osadzonymi na prostokącie dookoła otwartej przestrzeni centralnej. Okna pozwalały przyjrzeć się kilkunastu drzewom, a w powietrzu unosił się delikatny zapach kwiatów.

W pokoju znajdował się ręcznie tkany wełniany dywan, pokryta materiałem sofa, trzy wygodnie wyglądające drewniano-skórzane krzesła, dwa małe, z grubsza ociosane stoliki i prawdziwe pianino. Maxie przypomniała sobie, że widziała taki instrument w barze w Tucson.

- Siadajmy - poprosiła ostrym głosem Medina - i posłuchajmy opowieści Aarona.

Hunter podprowadził Maxie w stronę fotela. Musiał rozwiązać jej rękę, żeby mogła zsiąść z konia, ale wciąż trzymał ją pod ramię, a wyraz jego twarzy wskazywał, że każda próba złego zachowania byłaby grubym błędem. Żądał, by zachowywała się przyzwoicie w tym "cywilizowanym towarzystwie", ale najwyraźniej nie zawahałby się przed wymierzeniem jej niecywilizowanego szturchańca, gdyby uznał to za stosowne.

- Co ci się stało wargę?- zapytał Pete siadając na sofie obok żony.

Hunter dotknął palcem lewego kącika ust, który napuchł po kontakcie z pięścią Maxie.

- Cóż - zaczął z krzywym uśmiechem - to było tak...

Maxie była zmuszona siedzieć i wysłuchiwać łągarstw, które Hunter opowiadał na temat jej życia. Powiedział Kelleyom, że była córką Harrisona Maxwella, ale ich reakcja nie była taka, jakiej Maxie się spodziewała, ponieważ Hunter przedstawił ją jako kogoś w rodzaju słabej, nic nie wiedzącej dziwczynki, która nie brała udziału w zabawach jej ojca i braci. Nie powiedział też nic o tym, jak kiedyś uratowała mu życie. Stary Żelazny Pete mógłby się zdziwić, dowiadując się, że jego przyjaciel, wielki szeryf, jest takim samym złodziejem koni, porywaczem bydła, łupieżcą kopalń - albo przynajmniej kiedyś takim był - jak reszta tych wolnych duchów, które oddział Huntera przyprowadził pod nos kata. Teraz był chodzącą cnotliwością, świętszym od papieża łajdakiem, prawiącym kazaJjia o dobrych manierach i "cywilizacji".

. Podczas, gdy Hunter opowiadał, oczy Mediny nie odrywały się od twarzy Maxie. Gdy zakończył krótką historię prośbą, by Maxie mogła znaleźć schronienie w Agua Linda i dostać jakąś robotę, by nie być darmożjadem, Medina uśmiechnęła się.

- Powinam była wiedzieć - powiedziała. ~ Ona jest bardzo podobna do Marii Teresy.

- Słucham? - Hunter zmarszczył brwi.

- Znałam matkę Maxie, Aaronie. Rosłyśmy razem jako dzieci.

Oczy Maxie wystrzeliły w stronę twarzy Mediny i przez krótki moment spoczywały na niej z niepowstrzymaną ciekawością.

- Było tak mało ludzi w północnej Sonorze, teraz też nie jest ich dużo, że rodziny hodujące tu bydło dobrze się znały, nawet jeżeli widywaliśmy się niezbyt często. Maria Teresa i ja chodziłyśmy razem do szkoły w Mexico City i byłyśmy dobrymi przyjaciółkami, zanim nie poślubiła Harrisona Maxwella i nie odjechała. - Medina spojrzała na Maxie, która natychmiast opuściła wzrok na

podłogę. ~ Ona jest całkiem podobna do Marii Teresy, Aaronie. Nie ma w niej ani kropli krwi Maxwella.

- Jest znacznie więcej niż kropla krwi Maxwella w tej dziewczynie - odparł Hunter. Możecie mi wierzyć.

Medina zignorowała uwagę Huntera.

- Możesz zostać w Agua Linda tak długo, jak tylko zechcesz ... Maxie? To nie może być twoje prawdziwe imię, kochanie, czy tak?

Maxie uparcie milczała. Czowała się jak koń na aukcji, obmacywana, oglądana i omawiana, jakby była głuchym zwierzęciem. Jak ma na imię, to jej sprawa. Ci "cywilizowani" idioci mogli nazywać ją, jak im się podoba. Nie planowała przecież tutaj długiego pobytu.

Medina uniosła brwi, gdy Maxie rzuciła jej nieprzychylnie spojrzenie, ale jej głos wciąż brzmiał uprzejmie.

- Jak sobie życzysz, moja droga - uśmiechnęła się i dodała: - Zostaniesz na noc, Aaronie?

Aaron wstał, czując się wyzwolony w momencie przekazania odpowiedzialności za Maxie na kogoś innego.

- Nie, dziękuję, Medino. Mam kupę roboty i więźniów w mieście. Muszę jechać.

\_ Cóż, zostawimy was więc, żebyście mogli sobie powiedzieć do widzenia - .Medina skinęła w stro

nę męża, który wzruszył ramionami i wyszedł za nią z pokoju.

Maxie spojrzała morderczo na Huntera:

- Założę się, że ci twoi miłujący prawo, cywilizowani przyjaciele chcieliby usłyszeć, czym się zajmowałeś parę lat temu. Mogliby cię więcej nie dopuścić do swych eleganckich rozmówek, gdyby wiedzieli, że nie byłeś bardziej cywilizowany od tych biednych ludzi, których zamierzasz powiesić.

- Idź za nimi i powiedz im to, Maxie - Hunter uśmiechnął się w sposób, którego Maxie nie cierpiała. - Zobacz, co to ci da.

- Zrobię tak, że pożałujesz tego, co mi zrobiłeś, Hunter, możesz być pewny. Będziesz gorzko żałował.

Hunter wcisnął kapelusz na głowę i ruszył w stronę drzwi. Odwrócił się i rzucił jej ostatnie spojrzenie z zamyślonym wyrazem twarzy.

- Być może już teraz żałuję, dziecko.

#### **Rozdział 4**

- Ck nie jest zbyt eleganckie pomieszczenie

- Elsa Herrmann, którą Medina przedstawiła jako kucharkę i gospodynię Agua Linda, wprowadziła Maxie do pokoiku, który razem z kuchnią mieściły się w budynku zewnętrznym - Ale za to jest tu chłodno. Magazynowaliśmy tutaj warzywa, ale od kiedy wykopano piwnicę, trzymamy je pod ziemią, a ten pokój jest wolny. Dona Medina kazała wstawić tu łóżko, żeby pan Hunter miał miejsce do spania, jak przyjeżdża z wizytą.

Pulchna Niemka prawie wypełniła sobą pokój, gdy weszła do środka. Rozejrzała się dookoła, zacisnęła usta widząc pajęczynę rozciągniętą od kąta pokoju do sufitu, poprawiła niewielką poduszkę leżącą na łóżku, potem otworzyła okno.

- Każę jutro Justinowi i Duffiemu zmontować wieszak na twoje ubrania i wbić kilka kołków w ściany. Ty możesz poprosić Marię albo Catalinę o miotłę i szczotkę z wiadrem. Na pewno będziesz chciała wymyć ściany i podłogi, zanim się położysz spać.

"Dlaczego miałabym chcieć sprzątać" - dziwiła się Maxie. Ten mały pokój był i tak czystszy od każdego miejsca, w którym kiedykolwiek kładła głowę do snu. W Strongholo sypiała w przybudówce z klepiskiem zamiast podłogi. Ten pokój miał ściany wyszorowane do białości, podłogę z cegły i okno wpuszczające chłodne? nocne powietrze. Żelazne łóżko miało wspianą, wypchaną trawą materac. Maxie prawie wepchnęła weń palec, żeby sprawdzić, czy naprawdę jest

tak miękki, na jaki wygląda, ale przypomniała sobie, że nie zostanie tu na tyle długo, żeby rozkoszować się tym wygodnym życiem. Wyglądając na zadowoloną, niemiecka kucharka gdaknęła coś do siebie - prawie, jak kura znosząca jajko, pomyślała Maxie - i położyła trzymany w rękach pakunek na łóżku.

- Pokojówki, Maria i Catalina, poprosiły mnie, żeby ci to dać - Frau Herrmann wyjęła dwa staniki z prostej białej bawełny i dwie długie do kostek spódnice z kolorowego mateliału. Popatrzyła z dezaprobatą na koszulę i bryczesy Maxie. - Zauważyły, *te* nie masz przyzwoitego ubrania. Dona Medina zaś przesyła ci szczotkę, grzebień i mydło.

Maxie spojrzała bez entuzjazmu na wszystkie te drobiazgi. Jak na jeden dzień, dzięki temu osłowi Hunterowi, miała stanowczo dosyć mydła i nie miała zamiaru wdziawać tych eleganckich kobiecych fatalaszków, skoro wytrzymała' ciuchy Brudnego Jima wciąż nadawały się do noszenia, może z wyjątkiem kilku brakujących guzików i małych rozdarć tu i ówdzie. Jeżeli ta chodząca doskonałość Dony Mediny i jej kucharka uważają, że Maxie Kaktus ma zamiar skakać z radości z powodu tych głupich szmat, myć ręce i twarz przy każdym kroku, gotować, sprzątać i troszczyć o to pełne osłów ranczo" to się mylą.

- Wyglądasz na zmęczoną, dziewczyno. Dlatego jesteś taka markotna?

- Nie jestem zmęczona - warknęła Maxie. Frau Herrmann spojrzała na nią groźnie.

- Może jednak zapomnimy dzisiaj o sprzątanii. Idź do łóżka. Może obudzisz się w sympatyczniejszym nastroju. Wstajemy przed wschodem słońca, żeby nastawić drożdże na chleb. Pan Kelley zawsze chce mieć obok tortilli, dobry drożdżowy chleb. Umiesz piec chleb?

- Nie - nie wiedziała, jak się piecze chleb i nie miała zamiaru się dowiadywać. Do diabła z sympatycznością.

- Jutro się nauczysz. Teraz idź spać. W kuchni jest cysterna z wodą do picia i koryto do mycia. Teraz cię zostawię. Śpij dobrze.

Czy ci głupcy o niczym innym nie myślą poza myciem? O rety! Czy człowiek musi być tak cholernie czysty?

Maxie opadła ciężko na łóżko. Była zmęczona. Ale nie mogła teraz odpoczywać będąc otoczona wrogami, którzy wyobrażali sobie, że uda im się trzymać ją w zamknięciu jak jedną ze swych świń. Nie może spać, powinna czuwać. Ci głupcy nie zamknęli drzwi, ani nie zabarykadowali okna. Rankiem może być już w połowie drogi do ... dokąd?

Rzeczywiście, dokąd? Stronghold było zniszczone, jej rodzina uciekła, przyjaciele siedzieli w więzieniu albo wisieli. Maxie była złapana w pułapkę i bezbronna jak kurczak pod rzeźnickim nożem. Wzdychając, podniosła do góry miękki biały staniczek, mnąc materiał w dłoni i marząc, by ta zgnieciona kulka materiału była głową Aarona Huntera.

Wiele razy podczas następnych dni Maxie miała okazję, by przeklinać Aarona Huntera i to piekielne miejsce, do którego ją przyprowadził. Piękne podziękowanie za uratowanie mu życia! Już więzienie, a nawet stryżek byłyby lepsze od Agua Linda, zdecydowała po kilku dniach Maxie.

Gdy człowieka wieszają, wszystko trwa tylko kilka minut. A tortury na ranczo Pete'a Kelleya wydawały się nie mieć końca. Maxie uważała, że nie zrobiła w swoim krótkim życiu nic tak podłego by zasłużyć na karę, jaka ją spotkała. Pracowała od wschodu słońca do późnego popołudnia pod surowym okiem Elsy Herrmann, która była gorsza od najgorszego Apacza w zadawaniu tortur swoim ofiarom. Frustracja Maxie wzrastała z każdym zadaniem, które musiała wykonać. Dotąd nie zajmowała się kobiecymi pracami i zawsze broniła się przed zrzucaniem na jej głowę "babskiej roboty". Nigdy przedtem nie robiła wędlin, nie szorowała podłogi, nie pielila ogrodowych ścieżek, nie łątała koszul, nie doiła krów, nie wyprawiała skór, nie robiła mydeł czy świec, ani nie trzepała dywanów. Poza tym nie piekła ciasta, nie dusiła gulaszu, nie piekła tortilli, nie robiła masła ani nie miesiła chleba. Co więcej, absolutnie nie chciała się tego wszystkiego uczyć. Nie przepadała też za codziennymi spotkaniami z Doną Mediną, podczas których uczyła się czytać i pisać z głupiego dziecięcego elementarza. Medina powiedziała jej, że elementarz należał do jej młodszego syna, który został zabity podczas napadu Apaczów na Agua Lindę siedem lat temu. Maxie złagodniała na chwilę, gdy Hiszpanka opowiedziała jej historię śmierci swojego chłopca, ale stwardniała przy następnym trudniejszym słowie, o które się potknęła. Komu w ogóle

potrzebne czytanie i pisanie albo ciągle pouczenia na temat manier, których udzielała Medina podczas każdej lekcji!

Maxie mogłaby znieść upokorzenia związane z wykonywaniem tak służebnych i bezużytecznych zadań, gdyby okazywała w ich kierunku jakiekolwiek uzdolnienia. Ale do wszystkiego, czego oczekiwała od niej Frau Herrmann i Dona Medina miała dwie lewe ręce. Jakiś czas temu nie podołała pierwszemu kobiecemu zadaniu, jakie spróbowała wykonać - całowaniu Aarona Huntera. Teraz przegrywała sromotnie we wszystkim, czego oczekiwano od niej jako od kobiety.

Maxie Kaktus była osobą nienawykłą do porażek.

Umiała z talentem kłamać, wspaniale się skradać, jeździć konno jak wiatr i strzelać jak diabeł. Jej pięść, choć mała, mogła zbić z nóg dorosłego mężczyznę. W picciu, przeklinaniu i oszukiwaniu w pokera mogła pokonać każdego mężczyznę. Ale gdy chodziło o gotowanie, sprzątanie, szycie i całowanie, była beznadziejna - przynajmniej tak to wyglądało.

Upokorzenie ciągłymi porażkami nie czyniło więzienia Maxie łatwiejszym do zniesienia. Całymi dniami była ponura i nadąsana, a nocami płakała w poduszkę. Wiele razy, gdy wszyscy na ranczo spali, stawała w oknie swego małego pokoiku i wpatrywała się w mrok, cała przesiąknięta chęcią ucieczki, wybiegnięcia w prerię i pogrzebienia w mroku niepamięci Aarona Huntera, Agua Lindy, gotowania, czyszczenia, szycia, prania, mycia się za uszami i pod paznokciami (Boże, każdy na tym przeklętym ranczo miał fioła na punkcie mycia!). Patrząc w ciemność za oknem, mogła sobie wyobrazić, jak wymyka się przez okno i powoli przesuwają się w cień pod murami. Strażnicy byliby senni i nieuważni, nie mając nic do roboty poza wpatrywaniem się w milczące gwiazdy i sprawdzaniem, czy nie nadciągają Indianie albo bandyci. Nie zauważyliby, gdyby Maxie cichutko przemknęła przez wrota tuż pod ich nosami.

Pustynia powitałaby ją jak stracone i ukochane dziecko. Użyczyłaby jej schronienia przed wrogami, gmatwając szyki każdemu, kto chciałby za nią podążyć. W końcu Aaron Hunter, Żelazny Pete, Medina i ta kwaśna niemiecka gospodyni musieliby się pogodzić z tym, że zostali oszukani i wymanewrowani przez Maxie Kaktus. Mieliby szczęście, gdyby nie namówiła ojca i braci na napad na Agua Lindę i danie im wszystkim lekcji, jak należy traktować Maxwellów.

Ale Maxie miała wystarczająco dużo rozsądku, by stwierdzić, że jej marzenie o ucieczce na pustynię było całkowicie niepraktyczne. Wykraść się stąd mogła dosyć łatwo. To nie był problem dla Maxie Kaktus. Mogła ukraść piwo spod nosa bandyty, przejść ścieżką wysypaną luźnymi kamieniami tak cicho, że nawet Apacz by jej nie usłyszał, wtopić się w cień umiejętniej niż zając. Strażnik musiałby mieć oczy sowy, by wysledzić jej ucieczkę.

Problemem było, jak potem przeżyć. Pomimo fantazji Maxie preria nie była przyjacielska i Maxie o tym wiedziała. Bez konia i broni nie będzie miała jakiegokolwiek szansy. Słońce usmaży ją na skwarę, o ile Apacze nie dostaną jej pierwsii. Pre-ia była znacznie efektywniejszym zamknięciem niż zamek w drzwiach lub kraty w oknach. Tak więc, zanim ojciec i bracia nie przyjdą jej na ratunek, Maxie będzie musiała po prostu wytrzymać.

Złośliwie marzyła, by Aaron Hunter był w Agua Linda tego dnia, gdy przybędzie tu jej tatuś i zażąda oddania swej źle traktowanej córki. Wtedy ten oślizgły wąż będzie gorzko żałował, że zadarł z Maxwellami. Z całą pewnością będzie! A jej tatuś przyjedzie. Cała armia amerykańska i wszyscy Apacze Arizony nie powstrzymają Harrisona Maxwella przed przyjsciem na ratunek temu, kto należy do 'jego rodziny!

Ale dni mijały smętnie bez śladu ojca czy braci i z każdym dniem Maxie stawała się mniej pewna siebie, a bardziej zgryźliwa. Odmówiła noszenia staników i spódnic, które jej ofiarowano, nie chciała się uśmiechać, a nawet do nikogo odzywać. Młodzietki pokojówki, Maria i Catalina, zaczęły jej unikać. Elsa Herrmann mruczała coś po niemiecku i spoglądała na Maxie z teutońską niechęcią. Także cierpliwość Donii Mediny malała i w końcu pewnego ranka się wyczerpała, to samo stało się z Maxie.

Pięć dni po tym, jak Hunter przywiózł Maxie do Agua Lindy, jej bezpieczniki - zawsze słabe i gotowe do wybuchu - przepaliły się całkowicie. Dziewczyna pracowała cały ranek w gorącej kuchni. Pod dokładnym i - jak sądziła Maxie - niechętnym wzrokiem Elsy starannie odmierzała mąkę, sól, drożdże i mleko na chleb, który tak lubił Pete Kelley. Ugniatała to wszystko aż do bólu

rąk, uformowała każdą gumiastą bryłę ciasta w równiutkie bochenki i odłożyła je na bok do wyrośnięcia.

Jak zawsze, jej wysiłki skończyły się katastrofą. Dwie godziny później bochenki były wciąż ciężkimi, ciągnącymi się bryłami, nie nadającymi się nawet dla świń, a co dopiero dla Pete'a Kelleya. Elsa potrząsnęła głową i pouczyła Maxie, że mleko było za ciepłe, a ugniatanie zbyt gwałtowne. Jej krnąbrna uczennica odpowiedziała ognistym spojrzeniem, kopnięciem w stół i pełnym godności opuszczeniem pokoju.

Wyskakując, Maxie wpadła całym ciężarem na Catalinę, która właśnie miała wejść kuchennymi drzwiami. Czysta bielizna wypadła z dłoni dziewczyny, upadła na ziemię i leżała stłamszona w grubym pokładzie kurzu.

- *Estupida!* - wrzasnęła pokojówka. - Idiotka! Patrz, co ty ... ! - Catalina urwała, jej oburzenie znikło pod wpływem pełnego okrucieństwa spojrzenia, którym obdarzyła ją Maxie. - Ja ... ja przepraszam ... - powiedziała pojednawczym głosem.

Maxie przepchnęła się obok niej bez słowa. Nie miała wiele sympatii dla pokojówek. Paplały zazwyczaj ze sobą jak bezmyślne dziewczyny, a Maxie była pewna, że ta paplanina najczęściej jej właśnie dotyczyła. Catalina będzie musiała jeszcze raz wyprać bieliznę, ale bez wątpienia spędzi miłe chwile, śmiejąc się wraz z Marią z niezręczności Maxie.

Maxie skierowała się w stronę wyrwy w murze, mając zamiar przejść dookoła do stajni i znaleźć chłodne miejsce, gdzie będzie się mogła na parę godzin skryć.

- E, popatrz, Sam! Niezły widok, co?

Maxie zwolniła kroku. Pięciu mężczyzn leżało pod ścianą stajni. Maxie widziała większość facetów pracujących na ranczo. Pomagała podawać im posiłki na drewnianym stole, który wypełniał jeden kraniec szafasu, cierpliwie zносиła docinki na temat swoich bryczesów. Te twarze, pomyślała, nie były jej znane. Pokryte kurzem, wyglądały tak, jakby ich właściciele właśnie powrócili z wyprawy w teren.

- Nigdy kogoś takiego nie widziałem - odpowiedział z uśmiechem kolejny poganiacz bydła. - Myślisz, że to baba?

- Nie wygląda na taką - wycedził pierwszy.

- Nie wypełnia tych bryczesów tak, jak powinna kobitka. Koszuli też - zachichotał.

Trzeci dołączył do konwersacji:

- Za drobna na babę.

Grupa mężczyzn ruszyła ze śmiechem, by zablokować jej drogę do stajni. Maxie stanęła i przyglądała się im zwięzonymi oczami, trzymając na biodrach zwinięte w małe pięści dłonie.

- Może to meksykański gówniarz. Oni hodują takich drobnych.

- Nie. Meksykanie nie noszą warkoczy. Noszą je Indiańcy.

- Kelley nie wpuszcza tutaj Indiańców. To młoda meksykańska dziewczucha.

- Co jest, mała? Nie masz forsy na sukienkę?

- Ja ci ją kupię, jeżeli będziesz dla mnie miła.

- Pokażę ci, jaka jestem miła - odpowiedziała

Maxie z błyskiem w oczach.

Skoczyła do najbliższego mężczyzny i zanim zdążył się zorientować, wyciągnęła nóż z pochwy przytroczonej do jego pasa. Po raz pierwszy od wielu dni Maxie poczuła się jak w domu. Teraz przynajmniej mogła zrobić coś, co dobrze umiała.

Nóż błysnął w dół i w poprzek, świszcząc w powietrzu. Przecięty pas poganiacza rozdzielił się, spodnie zsunęły mu się do kolan, a koszula rozsunała w miejscu, gdzie guziki zostały dokładnie odcięte od materiału. Nóż błysnął jeszcze raz, długie, czerwone kalesony mężczyzny dołączyły do spodni.

Poszkodowany wybałuszył oczy. Popatrzył w dół, wyraźnie skonfundowany widokiem swego raczej wydatnego brzucha. Oczy Maxie powędrowały w tym samym kierunku, potem niżej. Zaczęła się śmiać.

Poganiacze zgięli się w dzikim śmiechu, podczas gdy twarz ich towarzysza zaczęła nabiegać czerwienią. Maxie niedbale podrzuciła nóż w powietrzu, a potem cisnęła go na ziemię tuż obok stóp

swej ofiary. .

Śmiech był coraz głośniejszy, potem urwał się nagle, jakby przeciął go nóż Maxie.

- Aleta Maria Maxwell!

Dona Medina wymusiła na Maxie podanie imienia dzień przedtem. Dziewczyna wzdragła się słysząc je, nawet jeżeli ton głosu nie był na tyle przerażający jaki był właśnie teraz.

- *Dios!* Co się tam dzieje? Sam, Abraham, Tyler?

Poganiacze spuścili oczy, podczas gdy ich towarzysz gwałtownie podciągał spodnie.

- Ramon? Leo?

Sam odchrząknął:

- Eh ... Cóż, my właśnie ...

- Wszystko jedno - powiedziała Medina. Spojrzała na Maxie i westchnęła: - Mogłam być tego pewna.

Mała pani Agua Lindy nie była wyższa od Maxie, ale wydawało się, że patrzy jej w oczy z bardzo wysoka.

- Chodź ze mną - powiedziała.

Maxie uniosła podbródek wyżej i uparcie, odmownie zacisnęła usta.

- Teraz! - Medina sięgnęła po ucho Maxie, skręcając je i ciągnąc.

- Au! Boli! Przekłęta! Przestań!

- Powiedziałam teraz!

- Przekłęte gówno! Możesz ... Auu! - Maxie zamachnęła się, gdy Medina silniej wykręciła jej ucho, ale La Dona zręcznie uniknęła uderzenia, uskakując do tyłu i łapiąc ramię Maxie żelaznym chwytem. Mała pani była szybsza, niż na to wyglądała - silniejsza też. Maxie miała do wyboru - iść za nią, albo mieć skręcone ramię.

Medina przeciągnęła wierzgającą Maxie przez wyrwę w murze i oparła ją o chropowate cegły:

- Ty i ja musimy się teraz porozumieć, młoda damo.

- Powiedz to ...

- Powstrzymaj teraz język i słuchaj! Mam już dość twojego dzieciennego zachowania, twojej zgnięłej mowy i twoich głupich dąsów. Już czas, by~ dorosła i okazywała trochę szacunku ludziom dookoła, nie wyłączając siebie samej.

- Ty nie możesz mi ...

- Milczeć!

Maxie wybałuszyła oczy, słysząc krzyk, który wydobył się z delikatnych warg Mediny.

- Z całą pewnością mam prawo mówić, co masz robić. Jesteś u mnie zatrudniona, żyjesz w moim domu. Wzięłam cię do siebie ze względu na pamięć twojej matki i przyjaźń, jaką żywię dla Aarona Huntera. Ale nie mam zamiaru znosić twojego skandalicznego zachowania ani chwili dłużej.

Zrozumiałaś?

Maxie prychnęła pogardliwie.

- Od teraz będziesz ubierać kobiece szmatki, używać przyzwoitego języka i będziesz grzeczna dla wszystkich. Elsa powiedziała mi, że Maria i Catalina podarowały ci część swej własnej odzieży. Jeżeli ich rzeczy na ciebie nie pasują - spojrzała na koszulę i bryczesy Maxie pełnym obrzydzenia wzrokiem - możemy znaleźć w mojej garderobie coś, co będziesz używać, zanim uszyje się dla ciebie odpowiednią odzież.

- Nie mam zamiaru nosić głupie babskie ciuchy. - Maxie splunęła tuż obok wypolerowanych bucików Mediny.

Medina westchnęła:

- Widzę, że lekcje gramatyki też się przydadzą.

Przyglądała się Maxie długo, z oczami pełnymi smutku.

- Aleta Mario, twoja matka była łagodną istotą i prawdziwą damą. Jesteś do niej bardzo podobna i nie mogę ci nie pomóc, wierząc, że gdzieś wewnątrz ciebie żyje. jeszcze jakaś jej cząstka. Jak ona by rozpaczała, widząc swoją córkę ubraną jak włóczęga, plującą i przeklinającą.

Medina utrafiła w czułe miejsce Maxie. To, że matka nie była jedną ze strongholdzkich dziwek, zawsze było dla dziewczyny powodem do wielkiej dumy. Dona Teresa była prawdziwą damą z

eleganckiej hacjendy - ze służącymi, wspianiałymi meblami, miękkimi łózkami, chińską porcelaną i kryształowymi szklankami. Poświęciła cały ten komfort z miłości do Harrisona Maxwella i oczywiście, patrzyła na córkę z nieba każdego dnia z miłością i aprobatą. Maxie tak to sobie wyobrażała w czasach dzieciństwa, stąd gdy usłyszała coś wręcz przeciwnego, uderzyło ją to jak ogon skorpiona.

- Nie masz pojęcia, co myślałaby moja mamusia!

Nie obchodzi mnie, że ją znałaś! Kłamiesz, mówiąc, że bym ją zmartwiła!

Medina pokiwała przecząco głową: - Mogłabym ci dużo powiedzieć o twojej matce, gdybyś chciała słuchać, Aleto. Chciałabyś się dowiedzieć, jaką była wspianiałą damą?

Maxie ze złością zdusiła ciekawość, ale nie było to łatwe. Jedynymi ludźmi, którzy mogli coś jej opowiedzieć o Marii Teresie Delgado Maxwell, to ojciec i przyrodni bracia, Blackjack i Tom. Ich opisy, dotyczące głównie zamożności rodziny Delgado, pozostawiały wiele do życzenia.

- Nie! - odpowiedziała, z uparciem kamienną twarzą. - Ja wiem wszystko o mojej mamusi! Ona nie zmuszałaby mnie do wkładania tych idiotycznych dziewczęcych ubrań i nie będę ich wkładać. Ja jestem tak samo dobra, jak niejeden mężczyzna. Potrafię celnie strzelać, dobrze jeździć konno' i nie będę wkładać tej kretyńskiej spódnicy!

- Mój Boże, co twój ojciec z tobą zrobił? - zapytała łagodnie Medina. - Czy myślisz, że jazda konna i strzelanie czynią cię kimś lepszym? Chodź, coś ci pokażę.

Ciągnąc Maxie za sobą, Medina przeszła na tył domu i zdjęła przymocowaną do ściany strzelbę. W Agua Linda broń" była zawsze w zasięgu ręki. Medina załadowała strzelbę, wróciła do przerwy w murze, podniosła broń do ramienia i strzeliła. Pięćdziesiąt jardów dalej, na brzegu rzeki, odpadła mała gałązka topoli.

Maxie aż zamrugowała z uznania. Ta kobieta celowała do czegoś tak małego!

- Rzuć kamień do góry - zakomenderowała Medina.

Maxie spełniła polecenie. Wybrała okrągły kamyczek o średnicy około trzech cali i wyrzuciła go w powietrze. Medina strzeliła. Kamień rozleciał się. Tylko kurz wirował leniwie w powietrzu.

- Każdy idiota może się nauczyć strzelać - powiedziała Medina - albo jeździć konno. Jeżeli naprawdę jesteś kimś, Aleto, naucz się być damą mającą przynajmniej połowę gracji twojej matki. Teraz nie jesteś niczym więcej, jak sprawiającym kłopoty, krnąbrnym dzieckiem, a jeżeli szybko nie dorośniesz, mam zamiar wychowywać cię kijem. Obiecuję ci to.

Maxie miała zamiar coś odpowiedzieć, gdy po drugiej stronie muru rozległ się strzał. Strażnik wykrzyknął niezrozumiałe ostrzeżenie, a w powietrzu rozgrzmiały salwy ognia.

La Dona gwałtownie wciągnęła powietrze.

- Apacze! Niech to szlag!

A więc ta pruderyjna kobieta umiała przeklinać, pomyślała Maxie, gdy biegły, by schronić się za nierówną krawędzią muru. Może nie była w końcu taka zła.

- Polują na nasze biedne świny, te diabły. Schowaj się! - Medina złapała Maxie za jeden z warkoczy i wciągnęła ją za dającą schronienie ścianę.

- Chciałam tylko popatrzeć przez niższą część muru - Maxie swędziały ręce, by złapać w nie broń. - Czy oni tu wrócą?

- Jeżeli będziemy miały szczęście, to nie. Chodź, pobiegnijmy do domu.

Ruszyły dokładnie w momencie, gdy krawędź muru okrążył płowy kuc z przytulonym do jego szyi prawie nagim Apaczem. "Eeeeeiiy" - wrzasnął dzikus i uniósł broń. Medina odwróciła się i strzeliła. Kula trafiła śmiałka w pierś, zanim zdążył nacisnąć spust.

- Jeden trafiony - Pani Agua Lindy spokojnie przewiesiła strzelbę przez ramię. Maxie przyglądała się jej wielkimi ze zdumienia oczami.

- Biegnij do domu - ponagliła Maxie Medina.

- Ale ...

- Idę zaraz za tobą.

Maxie dotarła do zamkniętych drzwi w momencie, gdy kolejny śmiałek przegalopował przez wyrwę w murze. Złapała za klamkę i pociągnęła. Drzwi były zamknięte. Zaczęła w nie tłuc pięściami. Kącikiem oczu zauważyła, że Medina unosi broń i bierze Apacza na muszkę. Brzęk nie

naładowanej broni rozległ się echem w obrębie ogrodzenia. Szarżując prosto w stronę La Dony wojownik uśmiechnął się złowieszczo. Uniósł swą kamienną maczugę, przygotowując się do uderzenia.

- O, matko! - krzyknęła do siebie Maxie.

## **Rozdział 5**

Scena wydawała się rozgrywać w zwolnionym tempie - szarżujący kuc Apacza, bezbronna w tej chwili Medina, która rzuciła się do ucieczki, nagi dzikus. Maxie schyliła się, podniosła kamień wielkości połowy jej pięści i cisnęła nim w stronę Indianina.

Kamień osiągnął cel. Apacz runął na ziemię, kuc pogalopował dalej bez jeźdźca. Maxie skoczyła w stronę wojownika, ale ten odzyskał świadomość, gdy tylko dotknął gruntu. Podniósł się, wstrząsnął głową, po czym ruszył w stronę Mediny, która w desperackim pośpiechu ładowała broń. Indianin po raz kolejny z krwiożerczym uśmiechem uniósł maczugę.

Wszystko to działo się w przerażającym tempie, nie pozostawiając czasu na myślenie - tylko na reakcję.

Maxie rzuciła się na Apacza i wylądowała na jego plecach. Indianin zacharczał, gdy zaczęła okładać pięściami jego głowę, a potem rozpoczął podskakujący taniec, dziksz od najbardziej nawet niesformego wierzgania koni, na których kiedykolwiek siedziała Maxie. Dziewczyna spadła z niego, rąbnęła siedzeniem o ziemię, ale natychmiast zerwała się na nogi. Apacz jednym skokiem odwrócił się, jego twarz była pełna furii. Zawył z wściekłości i uniósł maczugę. Maxie zrobiła unik i zaatakowała głową. Uderzyła Indianina pod żebra. Wojownik zatoczył się, odzyskał równowagę, ale natychmiast poczuł pięść Maxie na swej twarzy. Odepchnął ją na bok ze złością.

- Zobaczmy, jak ci się to spodoba, *Cochise!* Wycelowała cios stopą w kierunku jego pachwiny.

Odskoczył na bok. Nagle z tyłu rozbrzmiał huk wystrzału. Usta Apacza wciąż były rozciągnięte w idiotycznym grymasie, ale w jego czole pojawiła się krwawa dziura. Bez krzyku, ani nawet bez jęku wojownik osunął się na ziemię.

- Idziemy! - Medina szturchnęła Maxie, której stopy nagle jakby przymarzły do podłoża - Czekasz na jeszcze jakiegoś?

Tym razem Catalina odpowiedziała na ich łomotanie do drzwi i wprowadziła je do tylnej jadalni.

- Przepraszam, *senara*. Byłyśmy z przodu domu.

Wszystkie drzwi są zabarykadowane. *Senor Pete* jest na murze z mężczyznami.

- W porządku, Catalino - powiedziała Medina uspokajająco. - Udało się nam. Nie martw się tak, dziecko. Te diabły zostaną wkrótce przegnane.

- *Si, La Dona*.

Maxie wciąż nie mogła złapać tchu. Pot spływał w dół po obu stronach jej twarzy. Jak Medina mogła to, co się wydarzyło, przyjąć tak spokojnie? Wyglądała tak, jakby strzelała do Apaczów każdego dnia i nic sobie z tego nie robiła.

Pokazując Maxie, że ma iść za nią, Medina weszła na dziedziniec, pełen drzew owocowych, kwiatów i kamiennych ławek, otoczony ze wszystkich stron przez prostokąt domu. Tutaj, w tym najbardziej chronionym miejscu, znajdowała się rzecz najcenniejsza - studnia. Medina uśmiechnęła się, gdy Maxie ofiarowała jej czerpak, by pierwsza mogła z niego skorzystać. Pociągnęła mały łyk, potem oddała czerpak z powrotem.

- Jestem ci coś winna za twą odwagę, Aletto Maxwell. W walce jesteś tak samo dobra, jak mężczyzna - Medina uśmiechnęła się szeroko. co sprawiło, że jej twarz wyglądała nieprawdopodobnie młodo. - Ale ja chcę, żebyś była tak dobra, jak każda kobieta, moja mała przyjaciółko. I zbaczysz, że mi się to uda! To jest największa rzecz, jaką mogę uczynić dla dziewczyny, która właśnie uratowała mi życie.

Żołądek Maxie skręcił się i dziewczyna po raz pierwszy w życiu zorientowała się, że sytuacja, w jakiej się znalazła, mocno się skomplikowała.

- Szlag by to trafił, chcę mieć to przeklęte srebro z powrotem, niech to diabli. I chcę, żeby te przeklęte, brudne sukinsyny zadyndały na gałęzi, zanim zajdzie słońce! - szalejący John Hamblin



nie był w stanie wysilić się na bardziej oryginalne przekleństwa. Jego furia wzrastała z każdym krokiem, gdy biegał wzdłuż chaty małej kopalni Santa Rita, klnąc i pocąc się, i przybierając z wściekłości kolor głębokiej purpury.

- Te przeklęte łajdaki zabrały przynajmniej pięć tysięcy w srebrze, niech ich diabli wezmą! Hunter nacisnął kapelusz na oczy i rozejrzał się dookoła. Górnicy Hamblina stali ponuro słuchając tyrady szefa. Teren kopalni wyglądał tak, jakby poza codzienną pracą nic się tu nie wydarzyło. Ciała dwóch zastrzelonych podczas napadu górników zostały spalone. Większość dziennej szycoty powróciła do pracy na dole - Hamblin nie był człowiekiem, który pozwoliłby swoim ludziom uchylać się od pracy nawet wtedy, gdy dwóch z nich zginęło, próbując ochronić jego majątek.

- Ilu ich było? - zapytał Hunter właściciela Santa Rity.

- Trzech. Może czterech. Te przeklęte łajdaki są gorsze od Apaczów. Napadli tuż po tym, jak dzienna szycota zjechała na dół do tunelu - rzucił swym ludziom ponure spojrzenie: - Czterech ludzi było jeszcze w chacie. Łajdaki zostali tam i pozwolili zabrać tym sukinsynom, co tylko chcieli.

Poza tymi dwoma, którzy stawili opór i zarobili kulkę we wnętrzości, zauważył milcząco Aaron. Hamblin mrugnął znacząco:

- Złap tych łajdaków Hunter, a będziesz bogatszy odwieście dolarów, obiecuję ci to.

Hunter nie lubił Hamblina i niespecjalnie obchodziła go nagroda, którą ten mu oferował. Ale wojna z granicznymi bandytami była jego osobistą sprawą. Wszyscy wiedzieli, że narzeczona Huntera pochodząca ze wschodu, została zamordowana przez bandytów w drodze na swe wesele. Tak więc, gdy obrabowano kopalnię, najechano ranczo czy napadnięto na wagon pocztowy, ofiary wzywały Huntera. Wyobrażały sobie, że czynią mu uprzejmość, dając mu szansę na zabicie kolejnych bandytów albo na uczynienie z nich pensjonariuszy miejscowego więzienia. Hunter ścigał bandytów i morderców z jednego krańca granicznego kraju na drugi, jednych łapiąc, innych zabijając, jeszcze innych tracąc z oczu. Potem podjął walkę przeciwko ich brudnemu legowisku - przeciwko Stronghold.

Niestety, nawet wykończenie wszystkich bandytów nie mogło Hunterowi zwrócić Julii, nie mogło mu dać rodziny i zapewnić spokojnego życia, którego tak pragnął, gdy po powrocie z wojny prosił Julię o rękę. Ale wendeta uspokajała trochę jego serce. Nie był w stanie uratować Julii, ale przynajmniej mógł ją pomścić.

- Muszę sformować oddział - powiedział w końcu Hunter. - Znajdzie się wystarczająco dużo ludzi, by pojechać za takie pieniądze, jakie oferujesz, ale to zajmie kilka godzin.

Hamblin wskazał na grupę z nocnej zmiany: - Nie potrzebujesz oddziału z miasta. Każdy z tych sukinsynów pojedzie z tobą. - Mężczyźni zaszurali nogami i patrzyli w ziemię. - Oni pojedą z tobą - zaryczał Hamblin - albo wykopię ich przeklęte brązowe tyłki z powrotem za granicę! *Comprendre?* Jak można było przypuszczać, gdy Hunter opuszczał kopalnię, żaden z górników nie pojechał za nim. Skradzione srebro nie należało do nich, a Hamblin nie był człowiekiem inspirującym ani do przyjaźni, ani do pełnej poświęcenia lojalności. Prawdopodobnie nikt na tym terytorium nie ruszyłby palcem, żeby mu pomóc, gdyby nie ofiarowana przez niego nagroda.

Hunter był pewien, że to Maxwellowie wczesnym rankiem najechali Santa Ritę. Wystarczająco długo przebywał z nimi, by poznać ich metodę - napad w świetle dnia, gdy większość górników była pod ziemią, przypadkowe zabójstwa, taktyka uderzenia i ucieczki. Gdyby Hunterowi udało się pojmać Maxwellów, tych piekielnych przestępców, jakimi byli, całe okoliczne tereny stałyby się znacznie spokojniejsze.

Maxwellowie jednak byli przbiegli jak łasice, gdy chodziło o wyszukiwanie kryjówek. Zwinni jak łasice też. Z całej śmierdzącej rodziny Maxwellów tylko Maxie nie była wystarczająco sprytna, by wymknąć się z przygotowanej przez Aarona pułapki. Brudnemu Jimowi, schwytanemu z resztą strongholdzkich bandziorów, udało się wyślizgnąć Samowi Curtisowi gdzieś pomiędzy granicą meksykańską a Motherlode. Bez wątplenia dzieciak dołączył do starszych braci. Jedynym Maxwellem, którego Hunter złapał i upilnował, była mała Maxie.

Aaron skrzywił się na tę myśl. Maxie. Niech ją diabli. Dlaczego ta przedstawicielka Maxwellów, z którą dopiero co miał tyle 'kłopotów', wciąż pozostawała w jego myślach? Była ulepiona dokładnie

z tej samej gliny, co reszta rodziny. A fakt, że była kobietą, czynił ją podwójnie niebezpieczną. Hunter przez ostatnie tygodnie powstrzymywał się przed składaniem wizyt w Agua Linda. Jakaś jego cząstka chciała zobaczyć Maxie, chciała sprawdzić, czy kryształowy błękit oczu dziewczyny i figlarnie kuszący wyraz jej twarzy - zauważalny pomimo ponurej miny nie były tylko produktem jego wyobraźni. Aaron był ciekawy, jak Maxie radzi sobie w nowym miejscu i czy wybaczyła mu wyciągnięcie z piekielnej kryjówki jej ojca. To akurat nieprawdopodobne, pomyślał. Tkwiła sercem w tym gnieździe grzechotników, nie rozumiejąc, że zabierając ją stamtąd, działał dla jej dobra. Jej pseudonim był bardzo trafny - rozważał dalej - twarda jak kaktus, i tak samo kolczasta. Jeden dzień sam na sam z Maxie Kaktus wystarczy, by mieć jej dosyć. Im dalej będzie się trzymał od Agua Lindy, zdecydował Hunter, tym lepiej dla niego.

. Jechał w stronę miasta, próbując myśleć o zadaniach na dzień dzisiejszy. Ale jego myśli uporczywie zaprzętała Maxie - niechłujny mały łobuziak, który potrafił w mgnieniu oka zmieniać się w kobietę. Stała przed jego oczami, nawet wtedy, gdy zostawił ją z dala za sobą. Nawet czyste rysy Julii nie rysowały się przed nim z taką dokładnością, jak brudna twarzyczka Maxie Kaktus. Oczywiście, Julia była damą, nie tak jak Maxie. Maxie była trucizną, której jedna kropla rozrastała się w mózgu mężczyzny jak grzyb. To dlatego jej łobuziarska twarzyczka przyćmiewała w Piłmięci Aarona słodkie rysy Julii, to dlatego niejednym razem budził się złany potem, śniąc o nagiej Maxie - delikatnej nimfie wylaniającej się z rzeki, wciąż płonącej w jego myślach i lędźwiach. Hunter ujechał cztery mile, gdy nagle poczuł dziwny niepokój i stwierdził, że coś było nie całkiem w porządku. Taki właśnie instynkt umożliwił mu przeżycie dwóch lat poza prawem, czterech krwawych lat wojny i kilku pełnych przemocy lat po wojnie. Obraz Maxie powędrował z powrotem w głębokie zakamarki jego pamięci.

Aaron zatrzymał ogiera. Koń nastawił uszu - zwierzę objawiało zainteresowanie czymś z przodu. Pięćdziesiąt jardów dalej droga zwężała się do przesmyku w wąwozie, którego porośnięte krzewami ściany wznosiły się stromo po obu stronach. Hunter nie widział niczego podejrzanego, wszystko było na swoim miejscu, ale wewnętrzne napięcie zadziało jak ostrzeżenie.

Gdy kula świsnęła mu koło uszu, było już za późno, by stwierdzać, czy jego instynkt działał prawidłowo. Hunter zeskoczył łukiem z konia, ze strzelbą w jednej ręce, a rewolwerem w drugiej. Zanim zabrzmiał drugi strzał, Aaron pobiegł zygzakiem szukając kryjówki i znajdując niszę . pomiędzy dużym otoczakiem, a grubym pniem sosny. Jego koń zarżał ze strachu i uciekł, gdy dwa kolejne strzały odbiły się od kamienia, który dawał Aaronowi schronienie.

- Ty głupcze! - schowany, za krawędzią kanionu Blackjack Maxwell odwrócił się do swojego brata Toma i z furią wytrącił mu strzelbę z rąk. Broń zadźwięczała, uderzając o skały. - Ty gówniany głupcze! Powiedziałem, że czekamy, aż podjedzie bliżej!

- On się zatrzymał! - odwrzasnął Tom. Konieczność zachowania ciszy już nie istniała. - On nie miał zamiaru dalej jechać!

- Gówno! - kontynuował Blackjack. - To ty się pospieszyłeś, ty kamienny łbie! Jedyłą rzeczą, której nie możemy teraz zrobić, to puścić go żywcem. On ma zbyt długą pamięć.

Podniósł winchester i wystrzelił dwa razy w stronę kryjówki Aarona. Obie kule odbiły się rykoszetem od kamienia i poleciały gdzieś tłalej. Odpowiedź Huntera była szybka i dokładna. Jeden strzał był wystarczająco bliski, by posłać odłamki skały, o którą uderzyła kula, w twarz Blackjacka, drugi trafił w drzewo trzy cale od głowy Toma. Brudny Jim, który przez ostatnie kilka minut nic nie mówił ani nie strzelał, wyjrzał zza kamienia.

- Niech to szlag, dobry jest! - powiedział Jim z uśmiechem. - Chyba nie masz zamiaru podchodzić do niego bliżej, Jack?

- Zamknij się - warknął Blackjack. - Zobaczymy, jaki będzie dobry z jedną z moich kul w swoim śmierdzącym sercu.

- Nie uda ci się władować w niego kuli teraz, gdy wie, gdzie jesteśmy. A z tego, co wiem o Hunterze od tego jego tyczkowego zastępcy, możemy dostać nie złego kopniaka w dupę, jeżeli się nie wycofamy.

- Wycofać się? Po tym, co on nam zrobił? Co to za gówniane gadanie? - Blackjack popatrzył na Jima zwięzonymi oczami .. -... Stronghold było najlepszym miejscem, jakie mieliśmy, zanim on nie

wróci i go nie zniszczył.

Powiedziawszy to, Blackjack wziął swój rewolwer wyjął bębenek: - Tom, słuchaj ...

- Co? - spytał Tom, który dotąd przysłuchiwał się biernie wymianie zdań pomiędzy braćmi.

- Obejdz Huntera dookoła i zwróć na siebie jego uwagę tak, byśmy mogli z Jimem podejść z innej strony.

- Do diabła, nie! Nie ja, Jack. Hunter jest zbyt dobry. Zabije mnie, zanim wy dwaj go dostaniecie!

- To bardziej uważaj, żeby tego nie zrobił - powiedział Blackjack. - To twoja przeklęta wina. Gdybyś tak szybko nie wystrzelił, ten łajdak byłby już trupem. Idź! - wypchnął Toma z gęstwiny krzewów, gdzie przez cały ranek czekali, urządziwszy zasadzkę. - I zabierz ze sobą rewolwer, ty idioto!

Tom zrobił to, co Blackjack mu kazał. Tak już było od ich wczesnego dzieciństwa. Blackjack nie był silniejszy, ale o niebo sprytniejszy. I dlatego Blackjack myślał za obu, Tom natomiast zawsze wykonywał to, co brat mu polecił.

Ale tym razem Tom próbował pomyśleć sam. Chociaż trybiki w jego głowie były solidnie zardzewiałe, przekazywały mu jednak, że tym razem Jack wpakował ich wszystkich w piekielne tarapaty.

Rozmyślnie najechali tego ranka Santa Rite, by sprowokować Huntera. To Tom rozumiał. Kopalnię i Motherlode łączyła tylko jedna droga, która nie była piekłem dla konia i jeźdźca i Hunter był zmuszony jechać właśnie nią. To było także zrozumiałe. Plan wydawał się łatwy jak dziecięca układanka. Hunter byłby martwy, a chłopcy Maxwella mogliby przestać się nim przejmować.

Po męczącym schodzeniu w dół i okrążaniu kanionu Tom w końcu zauważył swą zdobycz.

Przypadł do ziemi tak płasko, jak tylko potrafił, chociaż oczy Huntera zwrócone były w stronę tej krawędzi kanionu, za którą wciąż czekali Blackjack i *limo*. Żołądek Toma skurczył się z napięcia.

Do diabła ze ściąganiem uwagi Huntera i oddawaniem Jackowi całej chwały wynikającej z zastrzelenia tego łajdaka, zdecydował Tom. Strzelanie w plecy, to była jedna z rzeczy, w których Tom był naprawdę dobry. Załatwi więc sprawę osobiście.

Uniósł pistolet i strzelił. Iglica opadła na pusty magazynek - Tom nigdy nie był w stanie zapamiętać, ile jeszcze strzałów mu pozostało. Ale ten dźwięk spowodował, że Hunter odwrócił głowę - trzymany w ręku pistolet też. Tom schował się za kamień, gdy Hunter strzelał, potem ruszył do przodu jak wściekły byk. Obaj mężczyźni runęli na ziemię jak jedna masa. Strzelba i rewolwer Aarona przeleciały kawałek w powietrzu i upadły na ziemię daleko poza zasięgiem walczących. Po chwili obaj stali na nogach, z dłońmi zwinętymi w pięści, okrążając się nawzajem jak pragnące krwi wilki. Nieco zbyt późno Tom przypomniał sobie, że została mu w odwodzie jeszcze jedna broń i wyrwał zza pasa nóż. Pchnął nim yv przód, ale Hunter zrobił unik, potem jednym gibkim ruchem przyskoczył i złapał nadgarstek Toma stalowym chwytem. Milcząc walczyli o kontrolę nad ręką - i nożem - Toma. Pot oblał ich obydwo, biegnąc strumykami w dół naprężonych szyi i mocząc koszule.

Walka skończyła się gwałtownie, gdy lufa rewolweru dotknęła skroni Huntera.

- Bang - powiedział Blackjack z drwiną w głosie. - Jesteś zabity, Hunter.

Tom odprężył się - i to był błąd. Hunter szybkim ruchem, złapał nóż, chwycił Toma za szyję i przystawił mu do niej tę groźbę krwawej śmierci.

- Widziałeś kiedyś drgawki faceta, któremu kula przeszywa mózg, Blackjack? - zapytał Hunter chłodnym, opanowanym głosem. - Moje ramię drgnie i przejdzie dokładnie przez gardło twojego brata. Będzie tak samo martwy jak ja, gdy tylko pociągniesz za spust.

Blackjack zawahał się. Hunter był zlany potem i pokrwawiony, ale wyglądał spokojniej, niż powinien wyglądać człowiek, któremu przystawiono do głowy pistolet. Ręka trzymająca nóż przy gardle Toma była nieruchoma jak skała. Czarne oczy, utkwione nieporuszenie w twarzy Blackjacka były zimne jak stal - pogardliwe, bez śladu lęku. Blackjack, nie wiedząc dlaczego, nagle sam zaczął się bać.

Cofnął pistolet, ale wciąż celował w Huntera.

- Puść go - polecił.

- Cofnij się - rozkazał Hunter. - Ty też - spojrzał na Brudnego lima, który stał obok Blackjacka z

rewolwerem w dłoni. - Możecie mnie dostać, ale wasz braciszek pomaszeruje do piekła tuż za mną: Obaj bracia powoli cofnęli się, trzymając rewolwery wciąż wycelowane w kierunku Huntera.

- Wystarczy - oczy Blackjacksa zwięzły się złowieszczą. - Puść Toma i nazwijmy to remisem. Zabiję cię innego dnia.

- Nie należę do ludzi, których łatwo zabić, Maxwell.

- A ja mam dużo praktyki w uśmiercaniu hidzi, których trudno zabić - odparł szyderczo Blackjack.

- Ciekawy jestem.

- Następnym razem - zakończył Blackjack.

Hunter pociągnął Toma za sobą, gdy podnosił z ziemi swój rewolwer. Przyłożył go Tomowi do

skroni, a nóż schował za pas.

- Nie będzie następnego razu, Blackjack. Rzućcie broń, chłopcy. Aresztuję was za napad na Santa Ritę.

- Nigdy!

Tom chrząknął, gdy jego brat odciągnął kurek pistoletu.

- Zdaje się, że mało cię obchodzi życie braciszka.

- Założę się, że Tom woli być martwy, niż siedzieć w więzieniu. Nie jest tak, Tom?

Głos Toma zadrżał: - Do diabła, Jack ... !

Jego protest został przerwany kanonadą z broni Blackjacksa. Hunter skoczył za kamielem, gdy Tom wyrwał się z jego chwytu i pobiegł w kierunku braci. Blackjack, wrzeszcząc przeraźliwie, strzelał raz po raz by osłonić ich odwrót. Gdy zniknęli w kanionie, Blackjack wciąż krzyczał jak triumfujący Apacz.

Hunter wydostał się z ukrycia i spojrzał na braci wspinających się do miejsca, gdzie znajdowały się ich konie. Spojrzał na swój rewolwer - zrobiony w starym stylu Colt 36, który nosił ze sobą od początku wojny - i trzymając go pieczołtliwie w dłoni zastanawiał się, co zrobiliby Maxwellowie, gdyby wiedzieli, że pistolet był pusty - wszystkie sześć komór.

Hunter pokiwał niezadowolony głową, potem powoli się uśmiechnął. Był głupcem. Nie ma co do tego wątpliwości. Jak żółtodziób pozwolił sobie na błędzenie myślami, co o mały włos nie skończyło się bardzo źle. Maxie Kaktus - mała łobuziarska wiedźma - zajmowała jego myśli, podczas, gdy jej niebezpieczna rodzinka urządziła na niego pułapkę. Ta dziewczyna jeszcze kiedyś go zabije.

Biedna Maxie. Jej bracia nawet nie zapytali, co się z nią dzieje, łajdaki.

- Co o tym myślisz? - Maxie położyła igłę i nitkę na stole i uniosła do góry ciemnoniebieską lnianą spódnicę. Dumnie ją rozpostarła. - Każdy ścieg na swoim miejscu.

Pies Jake, leżący na dywanie u stóp Maxie łypnął okiem w jej kierunku uderzył kilka razy leniwie ogonem w podłogę.

Maxie wstała i przyłożyła spódnicę do talii: - Nie jest to chyba doskonale, ale jest wystarczająco dobre. Przerabiam to już trzeci raz. Medina mówi, że jestem w szyciu coraz lepsza.

Jake spojrzał z aprobatą swymi ciemnobrązowymi oczami i zamerdał jeszcze raz ogonem. Maxie uśmiechnęła się do niego.

- To właśnie w tobie lubię, Jake. Nie mówisz dużo i nie obchodzi cię co i jak ktoś do ciebie mówi, byleby mówił. Masz więcej rozumu niż większość ludzi, których znam.

Głos Frau Herrmann słychać było zanim ona sama weszła do pokoju.

- I znowu ten parszywy wilk w salonie? Maxie! Ostrzegłam cię!

- On nie jest wilkiem. I La Dona powiedziała, że mogę go mieć.

- Nie w salonie!

- On nie... on nic nie zrobi temu przekłętemu salonowi!

Elsa, zdesperowana, podniosła do góry ręce.

- Wyoście się obydwójcie! Maxie, idź i posiekaj warzywa na gulasz. Hej! Daj tę spódnicę, niech Maria ją przepierze. I trzymaj tego psa z dala od kuchni!

Maxie prawie potknęła się o spódnicę wychodząc z domu. Strój należał do Cataliny, która była wyższa od Maxie o kilka cali. La Dona nalegała, by Maxie sama przerobiła stroje dla siebie - dobra lekcja szycia, zdecydowała. Maxie protestowała gorąco, ale Medina była nieugięta, uśmiechając

się do mej łagodnie, jednocześnie wymagała wykonania swoich instrukcji. Maxie wyczuwała w tym uśmiechu odrobinę uczucia. Sprawiało to, że czuła się dziwnie. Nikt nigdy nie interesował się nią na tyle, by nalegać, żeby uczyła się czegoś, czego uczyć się nie chciała.

Nie tylko sympatia Mediny sprawiała, że Maxie czuła się w Agua Linda dziwnie. Obserwowanie La Dony i jej męża powodowało, że wszystkie poglądy Maxie na temat związku kobiety i mężczyzny ulegały zachwianiu. Pete Kelley rozmawiał ze swoją żoną. On nie mówił do niej, by zrobiła to czy tamto, załatała to, przyszyła tamto; on z nią normalnie rozmawiał. A Medina rozmawiając z nim czasem nawet potrafiła odezwać się ostrzej. Pete był twardym mężczyzną, nie bał się Apaczów ani bandytów ale nigdy nie bił swojej żony - chyba, że robił to wtedy, gdy Maxie nie mogła tego zobaczyć. To wszystko powodowało, że Maxie miała uczucie, jakby znajdowała się w miejscu, w którym wszystko postawione jest na głowie.

Jake szedł za Maxie przez zakurzony dziedziniec do kuchni, gdzie na stolnicy leżały umyte ziemniaki, cebula i buraki. Zamachał wyczekująco ogonem, gdy Maxie zaczęła siekć i wrzucać warzywa do garnka.

- . Pies nie jest, a przynajmniej nie powinien być wielbicielem zieleniny - komentowała Maxie, rzucając w kierunku psa kawałek ziemniaka, który został zręcznie schwytany w powietrzu.

- Si - w drzwiach stanęła Maria i rzuciła Jake'owi rozbawione spojrzenie - a gdyby *senora* Elsa widziała, że dajesz zwierzęciu nasze dobre jedzenie, następnym razem mielibyśmy gulasz z psiego mięsa.

Maxie wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się. Zawarła z dwoma meksykańskimi dziewczynami zawieszenie broni. Prawdę mówiąc, Maria pomogła jej szyć tę nową lnianą spódnicę, z której Maxie była lak dumna

- Oczywiście, gdy Dana Medina nie patrzyła. A Catalina nie powiedziała słowa nagany wczoraj, gdy Maxie potknęła się o wiadro z mydlinami i załatała szorowaną właśnie podłogę w jadalni. W zamian za jej wyrozumiałość, Maxie czuła się zobowiązana do pomocy przy czyszczeniu całego tego bałaganu, a udzielona pomoc sprawiła jej jakąś dziwną satysfakcję. Gdy Elsa ujrzała Maxie na kolanach, szorującą podłogę razem z Cataliną, uniosła wysoko brew i uśmiechnęła się do nich obu. Maxie nie podejrzewała, że ta kobieta w ogóle umie się uśmiechać.

- Jeśli Elsa zbliży się do mojego psa, sama znajdzie się w kociołku, gotując się na wolnym ogniu. Maria zachichotała: - Nie to miałam na myśli.

- A ja tak - Maxie rzuciła psu kolejny kąsek.

- Jake ciężko pracuje. Zasluguje od czasu do czasu na poczęstunek.

- Jake ciężko pracował - skorygowała Maria. - Teraz jedyne co robi, to łązi za tobą w kółko.

Jake był mieszkańcem stajni należących do Agua Lindy, dopóki Maxie nie znalazła go pewnego gorącego popołudnia, gdy w wolnym boksie szukała kryjówki, by wypłakać nagromadzone łzy. Pies wpatrywał się w rozpaczającą dziewczynę, a gdy ona oderwała twarz od mokrych od łez dłoni, znalazła się nos w nos ze zwierzęciem, które wyglądało jak kombinacja mastiffa i wilka. Pies był czarny i kudłaty, ze stojącymi, ostrymi uszami i bardzo kosmatym ogonem, zagiętym dziwnie w dół w połowie długości. Długi pysk był nakrapiany szarymi plamami. Na jednej łopatce znajdowała się bezwłosa blizna - pozostałość, jak później dowiedziała się Maxie, po płonącej strzale Apacza. Maxie miała mało doświadczenia z psami. Większość psów w Stronghold spotkał taki los, jaki Maria przewidywała dla Jake'a, a kilka z tych, które tego uniknęły, było parszywymi, na pół dzikimi poszukiwaczami odpadków. Gdy minął pierwszy lęk, Maxie stwierdziła, że język psa był przyjaźnie wywieszony, a jego ogon powiewał na boki w geście pozdrowienia.

- I co się tak cieszysz? - rzuciła Maxie. - Nie ma powodu, żeby się śmiać! Właśnie spaliłam całą partię chleba, ta niemiecka wiedźma ukradła moje bryczesy i nie chce ich oddać, a ja pod! iurawiłam sobie palce na wylot, próbując coś uszyć.

Od tego momentu stali się przyjaciółmi. Jake był dobrym słuchaczem. Nigdy nic poprawiał wymowy Maxie, nigdy nie krytykował jej zachowania i zawsze zdawał zgadzać się z jej punktem widzenia. Jakby wyczuwając pokrewną duszę, duży pies deptał jej po piętach jak zakochany szczeniak, pozwalając jej zniknąć z pola swego widzenia tylko, gdy był ciał tego zmuszony. Po trzech dniach błagania - a przynajmniej czegoś zbliżonego do błagania, co dumna Maxie mogła

jeszcze znieść - dziewczyna przekonała Donę Medinę, by pozwalała psu wchodzić do domu. Od kiedy wiek i stare rany spowolniły jego ruchy, poganiacze rzadko wykorzystywali Jake'a jako psa pasterskiego, a lojalne zwierzę nie zasłużyło na taki los, jak samotne obumieranie z bezczynności. Medina nawet ucałowała Maxie w policzek po wysłuchaniu błagań związanych z Jake'em.

- Masz dobre serce, kochanie, i jesteś znacznie miłsza, niż ci się to wydaje.

Maxie, zaskoczona, nie wiedziała, co powiedzieć.

Aprobata z czyjejś strony była czymś rzadkim w jej młodym życiu. Dziwne, jak człowiekowi robiło się od tego przyjemnie.

- Zostało jeszcze trochę biszkoptów? - zapytała Maria. - Czy też je dałaś psu?

- Są w skrzynce na chleb - odpowiedziała Maxie. Nie mogła powstrzymać uśmiechu. Tego ranka po raz pierwszy zrobione przez nią biszkopty ani się nie spaliły, ani nie zamieniły w suszoną glinę. Nawet Frau Hemmann zaaprobowała je i obdarzyła Maxie jednym ze swych rzadkich uśmiechów, które były zaskakująco ciepłe, jak na tak srogą kobietę. Ten mały sukces sprawił, że Maxie była dumna z siebie jak kura po zniesieniu pierwszego w życiu jajka. Gdy się jednak nad tym zastanawiała, uznała to za warte śmiechu. Pomijając wszystko inne, dlaczego miałoby ją obchodzić, że ktoś na ranczo zaaprobował jej osiągnięcia w gotowaniu, albo, że sam Pete Kelley zmiotł trzy zrobione przez nią biszkopty? Gotowanie wciąż było dla niej idiotycznym babskim zajęciem, czyż nie tak?

- Aha - wspomniała zdawkowo Maria - La Dona chce cię widzieć, jak będziesz miała chwilkę czasu. Mogę skończyć te warzywa, jeśli chcesz.

Duma Maxie z porannego sukcesu prysnęła jak bańka mydlana. Co mogła zrobić złego tym razem? Przeszukiwała pamięcią kilka ostatnich dni, próbując przypomnieć sobie, jakie zadanie mogła wykonać na tyle źle, by zwróciło to uwagę Dani Mediny. Z grymasem zadała to pytanie, tym razem stawiając je nieco inaczej - czego nie zrobiła źle?

- Co zrobiłaś źle tym razem? - powtórzyła Medina z nieznacznym uśmiechem. - Taki wojowniczy ton, Aleta, nie przystoi damie.

Maxie skrzywiła się. Imię "Aleta" szarpało jej nerwy jak kolce kaktusa naga skórę. Było odpowiednie dla ubranej w falbanki niewiasty o ziemistej twarzy, a nie dla Maxie.

- Nie jestem damą i nie chcę nią być.

Medina nie przestała się uśmiechać:

- Jeszcze nie, być może. Ale zrobiłaś już kilka kroków w tym kierunku, kochanie. Dlatego właśnie chciałam z tobą porozmawiać.

- Chciałam ci zaproponować, byś towarzyszyła mi w podróży do miasta, jako, że muszę pojechać po trochę towarów kolonialnych i parę jardów materiału. Mogłybyśmy zostać tam i w niedzielę rano pójść do kościoła a wieczorem na spotkanie towarzyskie. Ale jeżeli wolałabyś raczej zostać tutaj ...

- Nie! Nie! Chcę pojechać!

- Zasłużyłaś na nagrodę, Aleta. Wiem, że w ciągu ostatnich dni starałaś się, jak mogłaś. Dobrze ci szła praca z dziewczętami i nawet BIsa cię pochwaliła. Cieszy mnie też, że próbowałaś załagodzić nieporozumienia między tobą, a niektórym i z naszych pracowników.

Rzeczywiście próbowała! Maxie nie powiedziała Medinie, że wymknęła się podczas dwóch nocy do szalasu na zewnątrz i grała w pokera z poganiaczami bydła. Obłowiła się niesamowicie - nawet bez oszukiwania. Ci chłopcy nic nie wiedzieli o pokerze.

- Myślę, że zasłużyłaś na to wyjście - powiedziała Medina z uśmiechem. - A ty?

- Tak, Ma'am!

Odejść od gotowania, szycia, czyszczenia podłóg i mycia talerzy! Maxie wykonała nie mający nic wspólnego z damą taniec radości, który zakończył się potknięciem o rąbek spódnicy.

Medina roześmiała się.

- Z całą pewnością nie możesz tego włożyć na siebie, jadąc do miasta. Gdzie jest ta nowa spódnica, którą wczoraj pomagałam ci podwinąć?

- Maria ją pierze - powiedziała Maxie z przerażeniem. Czy La Dona każe jej zostać w domu tylko dlatego, że nie ma nic odpowiedniego do ubrania? - Przypuszczam, że na podróż do miasta

możemy wpakować cię w coś mojego. Mamy podobne wymiary. Zobaczmy, czy znajdzie się coś, co będzie pasowało.

Pełna entuzjazmu Maxie podążyła za Mediną, gdy ta udała się w stronę swojej sypialni. Dla wycieczki do miasta zrobi wszystko - nawet ubierze suknię i będzie udawać damę. Oczy jej błyszczały, a krok odzyskał charakterystyczny rytm, którego brakowało przez ostatnie kilka tygodni. Znowu odzyskała nadzieję; na możliwość ucieczki.

## **Rozdział 6**

Miasto Motherlode kiedyś jeden z podróżników określił jako krostę na siedzeniu Arizony. Wznosiło się na płaszczyźnie pustyni jak brunatna plama - nierwały, bezkształtny zbiór drewnianych i murowanych budynków w opłakanym stanie, które stawiam? w pośpiechu, i które równie szybko miały obrócić się wniwecz, gdy pobliskie pokłady srebra ulegną wyczerpaniu i miasto zostanie opuszczone.

Jednak gdy wóz z Agua Lindy grzechotał wzdłuż pełnej kurzu głównej ulicy Motherlode, Maxie przypatrywała się miastu rozszerzonymi z ciekawości oczami. Dla reszty grupy z Agua Lindy - Mediny, Bisy i kilku pracowników, którzy im towarzyszyli (Pete nigdy nie pozwalał La Donie na opuszczanie rancza bez odpowiedniej grupy strażników, nawet jeżeli na miejscu zostawało zbyt mało nik do pracy; ku zdziwieniu Maxie ten mężczyzna był 'bardzo rozważny, jak na takiego twardziela) - miasto było po prostu miastem; dla Maxie zaś krainą cudów. Siedem lat temu Maxie była w Tucson, a dwa razy w życiu została na noc w Tubac. W jej oczach Motherlode było więc perłą cywilizacji.

- Czy to jest sklep z tekstyliami? - zapytała Maxie :4 entuzjazmem, gdy mijali imponujący drewniany dom. Pomalowany na jaskrawy żółty kolor budynek miał balkon na drugim piętrze i werandę na pierwszym, co dodawało mu pretensjonalnej elegancji.

- Nie, Aleto. Sklep z tekstyliami jest tam - Medina wskazała przycupnięty murowany budynek w dole ulicy.

- Ten jest brzydki - Maxie obiegnęła zachwyconymi oczami fantazyjne, ale tandetne upiększenia, które zdobiły okap żółtego domu. - Gdybym ja miała sklep tekstylny, chciałabym, żeby tak właśnie wyglądał. Czy ktoś tu mieszka?

- Tak, kochanie - odparła Medina.

Elsa zaśmiała się w głos, a jeden z towarzyszących im poganiaczy mrugnął do Maxie i samymi ustami, nie dobywając głosu, podpowiedział słowo "burdel".

- Och! - odpowiedziała w ten sam sposób Maxie i łobuzersko uśmiechnęła się w podziękowaniu.

Czy panienki Hernanda nie byłyby zachwycone takim miejscem? W prawdziwym domu i z miękkimi łózkami, prostytutka nie byłaby wcale taką ciężką pracą.

Miejscowy dom publiczny był jednym z niewielu drewnianych budynków w Motherlode.

Drewniany był także kościół z wieżą i kilka bogato wyglądających rezydencji, usytuowanych za innymi domami, z dala od zakurzonej ulicy. Reszta miasta była murowana, zbudowana z szarobrazowej gliny. Każde miejsce, w którym prowadzono interes, ogłaszało się zarówno słowami, jak i symbolem. Maxie mogła zidentyfikować bank, cztery saloony i miejsca gry hazardowej, sklep metalowy, miejsce wynajmu koni, sklep z uprzężą i więzienie. Jeden z budynków, którego symbolu nie знаła, był teatrem, jak ją poinformowała Medina. Poza trzema miesiącami w roku stał on pusty. Ale poprzedniej zimy mieszkańców Motherlode uraczono przedstawieniem w wykonaniu grupy aktorów z Nowego Jorku. Kolejny budynek sprawiający na Maxie wrażenie rezydencji, był małym hotelem z połączoną z nim jadłodajnią.

- Musimy, jak widzę zacząć poważnie naukę czytania - skomentowała Medina. - Co za szkoda, że twoja matka umarła i nie mogła się zająć twoją edukacją. Potrafiła czytać w pięciu językach i płynnie mówić trzema. Jedyna rzecz, jakiej jej brakowało, to mądrości w miłości.

- Ona wyszła za mojego ojca! - przypomniała jej z oburzeniem Maxie.

Medina milczała, zamyślona.

Podczas dni, które nastąpiły po napadzie Apaczów, Maxie chytrze wyciągnęła od Mediny całkiem sporo informacji na temat swojej matki. Włosy Marii Teresy były tak samo czarne jak włosy Maxie,

a jej figura tak samo drobna. Pochodziła z bogatej rodziny, dokładnie tak, jak opowiadał Maxie ojciec - była damą z dobrymi manierami, chodzącą w jedwabnej odzieży. Medina powiedziała, że matka Maxie była słodka i pełna poświęcenia, a także niezbyt roztropna. Maxie nagle . zastanowiła się, czy jej matka nie żałowała poświęcenia swego wspaniałego życia dla Harrisona Maxwella. Gdyby przeżyła swój pierwszy poród, czy zostałaby z nim? Czy kobieta, którą opisywała Medina byłaby szczęśliwa w Stronghold? Maxie podejrzewała, że nie. Podejrzenie to wzrastało w niej od momentu, gdy po raz pierwszy zaczęła pojmować, że Agua Linda reprezentuje sobą pełnię takiego życia, jakiego Maxie sobie dotąd nie wyobrażała.

Medina skierowała zaprzęg mułów do krawędzi ulicy i zatrzymała go przed przysadzistym, murowanym budynkiem, na którego znaku znajdowała się igła i nitka oraz worek mąki. Maxie zeskoczyła z wozu i rozejrzała się dookoła. Wszystko wydawało się jej bardzo atrakcyjne. Nigdy przedtem nie widziała tak wielu ludzi w jednym miejscu. Drewniany chodnik ciągnący się wzdłuż ulicy wydawał się być istną arterią, na której przelewały się potoki ludzi.

Dwie meksykańskie matrony przeszły niedbale obok, zupełnie jakby spacerowały ulicą w Meksyku i nie musiały przepychać się pomiędzy zajmującymi chodniki *gringos*. Kilku przechodzących mężczyzn nie zwróciło uwagi na meksykańskie *senory*, ale na widok kobiet z Agua Lindy z respektem unieśli kapelusze. Maxie zerknęła na Medinę, niepewna jak należy się zachować w takiej sytuacji. Do tej pory każdy zwracający na nią uwagę mężczyzna chciał poklepać ją po siedzeniu lub po innej części ciała. Nieprzyzwyczajona do bycia obiektem czyjegoś szacunku, Maxie nie wiedziała, czy powinna dygnać - chociaż tego nie potrafiła - czy też uśmiechnąć się lub dotknąć w odpowiedzi róna swojego kapelusika. Medina i Elsa skwitowały męską uprzejmość po prostu uśmiechem, więc Maxie zrobiła to samo. Uśmiechanie się było jedyną pasującą do damy umiejętnością, jaką w pełni opanowała.

Podczas gdy Medina rozdiała zadania towarzyszącym im pracownikom rancza, Maxie wpatrywała się uważnie w dół ulicy, gdzie do i z saloonu wchodziły i wychodziły najgorsze męty. Chociaż słońce stało jeszcze wysoko, te zatłoczone miejsca rozbrzmiewały aż na ulicy dźwiękami muzyki i kłótni.

Maxie poczuła ukłucie tęsknoty. Tutaj, tylko pięćdziesiąt stóp dalej, znajdował się jej świat - tego pijących i ostro walczących mężczyzn, którzy żyli według swych własnych reguł i nie liczyli się z nikim. Ci faceci pasowaliby do Stronghold, a może i pojawili się tam raz czy dwa. Jej bracia z całą pewnością też czuliby się tu jak w domu z grupą mężczyzn wychodzących z najbliższego salonu gry, chwiejących się na nogach i śpiewających piosenki ochrypłymi głosami. Oczywiście Blackjack był przystojniejszy od wszystkich tych ludzi - prawdopodobnie także lepiej strzelał. A Tom mógłby stłuc jedną ręką trzech takich twardzieli na miazgę.

- Idziesz?

- Gdzie?

Głos Mediny podział na Maxie jak zimny prysznic.

Przez chwilę wydawało się jej, jakby Stronghold nie było opuszczone, a ona i jej rodzina żyli dawnym dobrym życiem - wolnym i dzikim.

- Do sklepu, Aleta - powiedziała Medina z nutą zniecierpliwienia w głosie. - Elsa poszła do hotelu, ale ja chciałabym po drodze zrobić trochę zakupów.

- Idę - rzucając ostatnie tęskne spojrzenie na chulikańską część miasta, Maxie pozwoliła przepchnąć się przez drzwi.

Natychmiast otoczyły ją zapachy - kawy, tytoniu, nawet słodki odór cukierków, dochodzący z baryłek stojących przy kontuarze, który biegł prawie przez całą długość sklepu. Za kontuarem stał otyły, nieszkodliwie wyglądający mężczyzna, którego jedynym charakterystycznym szczegółem były najbardziej krzaczaste wąsy, jakie Maxie dotychczas widziała. Za wąsaczem, wystawione na półkach zakrywających ścianę od podłogi do sufitu, stały butelki różnych kształtów i rozmiarów, wypełnione zielonymi, jaskrawoniebieskimi, czerwonymi i czarnymi płynami.

Sprzedawca zauważył zaniepokojenie Maxie.

- Najlepszy zapas toników na zachód od St. Louis, panienko. Leczą fluksję, skurcze żołądka, bóle zębów, wypadanie włosów i nadszarpnięte nerwy. Czym mogę służyć?



Medina odpowiedziała za Maxie:

- Potrzebujemy dzisiaj tylko kilka jardów tkaniny, Mr. Pruitt. I trochę mąki, soli, cukru, tytoniu ... - podała mu listę. - Może się pan tym zająć, gdy my popatrzymy na materiały?

- Oczywiście, pani KelJey.

Maxie udała się za Mediną w stronę tylnej ściany sklepu, gdzie wystawione były materiały na sukienki. Jak ta mała Hiszpanka mogła skoncentrować uwagę na odzieży, wstążkach i koronkach, gdy w sklepie znajdowało się tyle fascynujących rzeczy, tego Maxie absolutnie nie mogła zrozumieć. Sklep był naprawdę pełen skarbów - stanowił kolekcję wszystkiego, co człowiek chciał mieć lub czego mógł potrzebować. Oszklona prawdziwym szkłem szafka zawierała arsenał takiej broni, przy której Blackjack rozdziawiłby gębę. Wśród nich były nowoczesne bębnowe rewolwery nie wymagające ładowania prochu i ołowianego naboju, a jedynie lśniącej, samowychodzącej, skutecznej kuli. Cała ściana naprzeciw szafki z bronią zapelniona była stertami siodeł, uzd, uprząży, kantarów i wędzideł. Półki wzdłuż kolejnej ściany zajmowały bańki i słoje wypełnione delikatesami, o jakich Maxie nawet się nie śniło. Były tam jeszcze baryłki z krakersami, słodkimi ciasteczkami, piklami - ogromne bogactwo wspaniałych i interesujących rzeczy.

A jedyne, co chciała pooglądać Medina, to materiały na sukienki!

- Myślę, Aleto, że ta czerwona wełenka będzie dobrze na tobie wyglądała podczas zimy. A tę błękitną bawełnę możemy wykorzystać od razu, może z koronką na brzegu ... Wybór nie jest bardzo duży, ale ...

Wybór był z całą pewnością większy, niż Maxie miałyby ochotę oglądać. Rzuciła tęskne spojrzenie na wykończone skórą bryczesy. Nigdy w życiu nie miała nowej pary.

- Cóż, myślę, że weźmiemy to - Medina odłożyła na bok cztery zwoje materiału i dwie szpule wstążek. - Zanieś to panu Pruittowi, Aleto. Albo czekaj. Może powinniśmy także przyjrzeć się; czepkom.

- Elsa dała mi jeden ze swoich czepków - zaprotestowała Maxie.

Czepki! Żeby odpowiedzialne kobiety wkładały tak bezsensowną część garderoby! Dobry kapelusze chronił ciało przed słońcem, zabezpieczał przed deszczem i służył jako wiaderko na wodę, jeżeli wymagała tego potrzeba. A kobiece czepki pełne były bezużytecznych koronek i wstążek i zasłaniały cały świat z wyjątkiem małego kawałka na wprost oczu.

- Z całą pewnością powinnaś mieć więcej niż jeden czepki, Aleto!

Maxie westchnęła. Gdy wraz z Mediną opuszczały sklep z tekstyliami Mr. Pruitta, jego właściciel był bogatszy o należność za dwa czepki, materiał na cztery sukienki, -całą gamę wstążek i koronek, parę wysokich chłopięcych butów (Maxie uparła się by je nabyć) i parę małych damskich kapci, poza typowym dla Kelleyów rachunkiem za artykuły żywnościowe. Maxie spoglądała zmartwiona, gdy pracownicy rancza ładowali zakupy na wóz. Przy jej zarobkach - a zastanawiając się nad tym nawet nie wiedziała, czy w ogóle cokolwiek zarabia - będzie stara i pomarszczona, zanim spłaci Kelleyom dług za materiały i inne fatalaszki.

- Pójdziemy do hotelu, żeby sprawdzić, czy Elsa dostała pokoje? - zapytała Medina. - Myślałam, żeby ci zaproponować spacer po mieście, ale dzisiejsze popołudnie jest chyba zbyt gorące.

- Yhm - odpowiedziała bez przekonania Maxie.

Zezowała właśnie w stronę mężczyzny i kobiety, którzy szli w ich kierunku drewnianym chodnikiem. Mężczyzna wyglądał bardzo podobnie do ... niech to diabli! To był on! Aaron Hunter! Gdyby Maxie miała więcej czasu na myślenie, zanim Medina i Elsa zabrały ją w tę podróż, być może uświadomiłaby sobie, że będą one dążyć do spotkania tego łajdaka. Był on przecież w Motherlode przedstawicielem prawa. Czy nie tak jej powiedział? A zaprzyjaźniona z tą nędzną kreaturą Medina z pewnością będzie chciała się z nią przywitać.

Podczas ostatnich tygodni Hunter nigdy na długo nie opuszczał myśli Maxie. Setki razy wyobrażała sobie sposoby, przy pomocy jakich zmusi go, by pożałował tego, że popsuł jej życie i by błagał ją o wybaczenie. Ale nie była przygotowana na ujście żywego Aarona, maszerującego w jej kierunku krokiem swobodnym i pewnym - poza nie znacznym utykaniem - jakby miał pełne prawo do spacerowania na wolności, podczas gdy ludzie, których zdradził, tkwili gdzieś za kratami lub, co

gorsze, spoczywali w grobach ze skręconymi karkami.

Maxie stała jak zamurowana, niezdolna oderwać wzroku od człowieka, który zatrząśł fundamentami jej świata. Zarost, który poprzednio zaciemniał jego szczękę, znikł, uwidaczniając - mogła to zobaczyć nawet z tej odległości - wyglądające bardzo korzystnie dołeczki w policzkach. Jego włosy były przycięte znacznie staranniej niż wtedy, gdy widziała go po raz ostatni. Wiatr rozwiewał je delikatnie, gdyż Hunter nie miał na głowie kapelusza.

Pierwszą rzeczą, jaką zauważyła Maxie u towarzyszącej mu damy, był jej czepek, kontrastujący z oświetloną słońcem, gołą głową Huntera. Był on najbardziej frywolnym, najgłupszym szczegółem garderoby, jaki Maxie kiedykolwiek widziała. Ocieniał twarz kobiety, powodując jej kredową bladość. Szczupłe ręce towarzyski Huntera, przyodziane w koronkowe rękawiczki, z pewnością nie wykonywały innych prac poza delikatnym szyciem - oczywiście nie w chwilach, gdy ich właścicielka wychodziła na spacer z wysoce poważanym szeryfem Motherlode. Jej sukienka, pokryta idiotycznymi kokardami i koronkami, z pewnością nie zakrywała okrągłości tej suki, pomimo tego, że sięgała od szyi do końców palców. Dziewczyna nie miała na sobie ani uncji mięśni, oceniła ją Maxie. Była zbyt pulchna.

- Medina. Maxie - rzekł Hunter, kłaniając się. Maxie aż podskoczyła w reakcji na uprzejme powitanie. Była tak zajęta krytykowaniem towarzyszącej Aaronowi kobiety, że nawet nie zauważyła, jak para ta podeszła bliżej. Otworzyła usta by odpowiedzieć, po czym je zamknęła. Wszystko, co miała Hunterowi do powiedzenia, już powiedziała. Jeżeli powiedziałaaby to, co naprawdę czuje, Medina bez wątpienia wyszorowałaby jej usta mydłem.

Medina westchnęła, gdy Aaron i jego przyjaciółka zniknęli w drzwiach sklepu tekstylnego.

- Chyba będziemy musiały trochę popracować nad umiejętnością zachowania się, wśród ludzi, Aleto.

- Kto to był?

Medina spojrzała na nią ze zdziwieniem:

- Jestem pewna, że go rozpoznałaś.

- Nie. Nie Hunter: Co to za dziewczyna?

- Cynthia Pruitt. Jej ojciec jest właścicielem sklepu.

Maxie spojrzała w kierunku ciemnego wnętrza.

- Ona jest śliczna, nieprawdaż? - kontynuowała Medina. - I bardzo utalentowana. Aż żal patrzeć, jak tak piękna dziewczyna marnuje młodość w takim miejscu.

- Nie wygląda na to, żeby ją marnowała - powiedziała spokojnie Maxie. Dobrze by, zdaje się, posłużyło Hunterowi, gdyby ta podobna do cukrowej waty, wysoce utalentowana Cynthia Pruitt nabiła go w butelkę. Miała nadzieję, że ta kobieta kiedyś go unieszczęśliwi.

Jej tęsknota za domem wzrosła, a w myślach zaczął przeważać gniew na mężczyznę, który tak bezwzględnie zniszczył jej dom, jej rodzinę, jej życie.

- Wydaje się, że Hunter trochę bardziej kuleje - stwierdziła z satysfakcją.

Medina posłała jej enigmatyczne spojrzenie: - Pete mówił, że parę dni temu Aaron wpadł w pułapkę zorganizowaną przez kilku granicznych zbirów, którzy wcześniej napadli na Santa Ritę. Udało mu się uratować, ale wrócił do domu na piechotę. Piętnaście mil.

Dobrze mu tak za to, że jest po złej stronie prawa, uśmiechnęła się do siebie Maxie. Będzie dobrą dziewczyną i odegra ciJa La Dony rolę dobrze wychowanej panienki, zdecydowała. Potem będzie czas, by wykorzystać ten krótki wyskok do miasta. Nad Aarona Huntera nadciągały ciemne chmury. Będzie gorzko żałował, że kiedykolwiek zadarł z Maxie Kaktus Maxwell.

Dwie godziny później Maxie stanęła przed drzwiami więzienia. Wpatrywała się w barierkę, jakby to był przedsionek piekła. Z pewnością po raz pierwszy któreś z Maxwellów dobrowolnie wchodziło do więzienia. Ale przecież drzwi nie zatrzasną się, zamykając ją wewnątrz, przypomniała sobie Maxie. Była wolna jak ptak, nie tak jak biedny Brudny Jim i reszta.

Krótkie popołudniowe spotkanie z Hunterem ponownie rozżarzyło jej gniew. Maxie było wstyd, że zajmując się swoimi własnymi kłopotami zapominała, że miała znacznie więcej szczęścia od swych towarzyszy. Dzięki Aaronowi Hunterowi gnili oni teraz w więzieniu, podczas gdy jej problemem było jedynie szorowanie podłóg czy noszenie spódnicy. Odosobnienie w Agua Lindzie

zawęziło jej uwagę do swoich spraw i nawet zaczęła się przyzwyczajać do tej głupiej cywilizacji. Ale widok twarzy wroga przypomniał jej, że Maxwellowie byli po jednej stronie tego świata, a Kelleyowie, uczciwi mieszkamcy Motherlode i Aaron Hunter – zwłaszcza on – po drugiej. Z zaciśniętymi wargami Maxie popchnęła drzwi.

Więzienie było mroczne i chłodne. Jedyne jego umeblowaniem było biurko, kilka rozchwianych krzeseł i wybrzuszony piec. Ściany były udekorowane kilkoma listami gończymi, rysunkiem przedstawiającym pobliskie góry Cello Colorado i stelażem na broń. Trzy cele znajdowały się w osobnym pokoju, do którego drzwi były akurat otwarte. Maxie przyglądała się widocznym przez żelazne kraty wątpliwym wygodom. W każdej celi były po dwie prycze z cienkimi materacami, a w jednej chrapał rozwalony mężczyzna, od którego zalatywał tak silny zapach alkoholu, że Maxie czuła go w sąsiednim pokoju. Nie było łańcuchów, kajdan, ani tłumu biednych więźniów ze Stronghold – to miejsce nie wyglądało tak, jak Maxie sobie wcześniej wyobrażała.

Simon Curtis popatrzył na Maxie z uprzejmym zapytaniem, gdy zamknęła za sobą drzwi. Jego twarz znieruchomiała na kilka sekund, potem rozciągnęła się w uśmiechu.

- Święta Mario, kogo tu widzę! I to w kiece, ni mniej, ni więcej!

- Gdzie Hunter?

- Nie tutaj – odparł Simon. – Na pewno się ucieszy, bo się za tobą stęsknił.

Maxie uśmiechnęła się zuchwale.

- Wciąż jesteś zły, że cię rąbnęłam, co, Curtis?

- Nie – odpowiedział Simon. – Dostawałem już gorzej, dziewczyno. Ale nie od tych, którym chciałem pomóc.

- Kiedy Hunter wraca? – spytała.

- Szeryf wyszedł załatwić pewne sprawy. Nie sądzę, żeby miał czas na pogaduszki z takimi jak ty.

- Sprawy, można się obśmiać!

Zaskrzypiały drzwi.

- Myślałem, że Medinie udało się do tej pory zrobić jagniątko z wilczycy – powiedział Hunter – a tu okazuje się, że jednak nie.

Maxie odwróciła się. Jej puls gwałtownie przyspieszył. Do diabła! Za każdym razem, gdy widziała Huntera, działo się to samo.

- Twoja przyjaciółka spuściła cię ze smyczy? – zapytała z odcieniem irytacji w głosie.

- Tak – odpowiedział Hunter łagodnie. Przyglądał się jej uważnie. – Źle, natomiast, że Medina spuściła ciebie.

Simon spoglądał raz na jedno, raz na drugie, podczas gdy powietrze między nimi wydawało się gęstnieć.

- Pójdę chyba do hotelu na kawę. Masz coś przeciwko temu, Aaron?

Hunter drgnął, jakby dopiero teraz zdał sobie sprawę, że w pokoju znajdował się Simon. Uśmiechnął się:

- Tchórz?

- Po prostu spryciarz – odpowiedział Simon. Gdy drzwi zamknęły się za jego zastępcą, Hunter spytał: – Co tutaj robisz, do diabła? Myślałem, że Medina ma na tyle rozsądku, by nie' puszczać cię samej w takim mieście jak to.

. - Medina wie, że potrafię o siebie zadbać – odparła Maxie.

- Nie przeczę. Ale kto zabezpieczy miasto przed tobą?

Maxie rzuciła mu jadowite spojrzenie, gdy przechodził przez pokój i siadał za biurkiem.

- Gdzie jest mój brat? – zapytała nagie, zmieniając temat. – Skąd, u licha, mogę wiedzieć, gdzie jest twój przeklęty brat? Prawdopodobnie strzela do kogoś w którymś, Bogu ducha winnym, górniczym obozie.

- Moja rodzina strzela tylko w obronie własnej – oświadczyła Maxie. – Słyszałam, jak Curtis ci raportował, że otoczył Jima razem z innymi ze Stronghold. Nie zaprzeczaj.

- Z przyjemnością mogę to potwierdzić – przyznał Hunter. – Ten chłopak powinien siedzieć w więzieniu, tak jak i reszta twojej rodzinki.

- Jeżeli go zraniłeś ...

- Niestety - Hunter wyraził grymasem swoje ubolewanie - uciekł, zanim się tutaj w ogóle dostał.  
- Brudny Jim zwał! - wykrzyknęła Maxie radośnie. Wiedziała, że to zrobi, to jasne. Nie było wystarczająco mocnego więzienia, by upilnować Maxwella. - A reszta?  
- Większość przetransportowaliśmy do terytorialnego więzienia w Yumie - odpowiedział jej Hunter.  
- Wszystkich poza trzema. Pete i Tyler Jackson oraz Manuel Garcia zostali powieszani. Dwa miesiące temu ostrzelali ranczo kilka mil stąd - tylko dla zabawy, jak sądzę. Zabili małego chłopca.  
- Brudny Jim uciekł - powiedziała Maxie do siebie. Nie mogła zmartwić jej wiadomość o śmierci Garcii i Jacksonów: Oni byli obłeśni; nie tak jak jej ojciec i bracia. - To ci chyba udowodniło, że Maxwellowie nie są tacy łatwi do pobicia, jak myślałeś.

Hunter przesłał jej złośliwy półśmieszek:

- Znam przynajmniej jednego, który jest.

Twarz Maxie pokryła się czerwienią.

- Kiedyś będziesz tego żałował, gdy Maxwellowie ściągną cię z tego twojego wysokiego konia.

Hunter odchylił się razem z krzesłem i położył zakurzone buty na biurku: - To twoja rodzinka będzie ściągnięta, Maxie. Pamiętaj, żebyś się zachowywała w Agua Linda tak, by nie trzeba cię było do nich dołączyć.

Maxie odwróciła się do niego plecami, podeszła do okna.

- Co ci się wydaje, że kim ty jesteś, Hunter?

Myślisz, że jesteś Bogiem albo kimś w tym rodzaju, siedzącym tutaj na wszechmocnym tronie i osądzającym wszystkich dookoła? Wiedziałaś kiedyś, co to jest prawdziwa wolność. Teraz jesteś tylko małym gnojkiem, myślącym o manierach dziesięć minut przed wykonaniem jakiegokolwiek kroku.

Hunter milczał.

- Dlaczego nie możesz po prostu zajmować się swoimi sprawami i pozwolić innym na to samo? Mówisz tak, jakby Maxwellowie byli czymś w rodzaju choroby! Dobrze wiesz, że są po prostu dzicy i wolni. Mężczyźni z rodu Maxwellów nie mogliby wytrzymać w takim mieście jak to, ani - rozejrzała się dookoła - w takiej obskllmej dziurze, jak ta. Oni muszą czuć się swobodni w każdej chwili swego życia.

- Okradanie ciężko pracujących ludzi, zabijanie ich nazywasz swobodą?

- Maxwellowie nie są zabójcami! - upierała się głośno. - Moi bracia strzelają tylko w obronie własnej!

- A ile razy jeździłaś z nimi, Maxie?

- Dużo - skłamała. Tak naprawdę była z nimi trzy razy, wliczając w to obrabowanie kopalni, w której uratowała potem Aarona Huntera. Nawet gdy jej bracia łaskawie pozwalali jej pojechać z nimi - podczas obydwu razy byli mocno podpici - tkwiła jak kołek, trzymając konie, z dala od jakiegokolwiek akcji. Ale Hunter tego nie wiedział.

- Mam powody, dla których robię to, co robię, Maxie - odparł Aaron z dziwnym wyrazem twarzy. - Zaraz zgadnę. Powiedziałaś, że nie byłeś wściekły na moich braci za pozostawienie cię w kopalni. To jednak cię tak wkurza?

- To coś innego, dziecko. Coś bardzo osobistego. Trzymaj się od tego z daleka.

Maxie odwróciła się twarzą do niego, jej oczy miały błyskawice.

- Rozwaliłeś moją rodzinę, ty brudny, pełzający węży, a to dla mnie też jest osobiste. Powiem każdemu, kto będzie chciał słuchać, że przeklęty bohaterski szeryf z Motherlode jest mordercą, złodziejem, rewolwerowcem, porywaczem bydła, rabusiem dyliżansów i czym tam jeszcze. Skoro oni uważają, że bandyci są tacy podli, powinni wiedzieć, że ty do nas doskonale pasujesz! Gdy Maxwellowie będą szli do więzienia, ty będziesz maszerował razem z nimi!

Hunter zrobił krok w jej kierunku. Maxie cofnęła się wbrew swej woli. Jego słowa były jednak spokojne, rzeczowe i pewne siebie.

- Jak sądzisz, jak by ci się podobało więzienie w Yumie? O ile wiem, nie ma tam specjalnych ułatwień dla kobiet. Oczywiście, gdy dobrzy obywatele Motherlode zorientują się, jak ważną rolę pełniłaś w gangu Maxwellów, prawdopodobnie powieszą cię i będzie z głowy. Może to będzie najbardziej miłosierny sposób.

Maxie nie cofnęła się ani kroku. Zaciśnęła szczęki i stała w miejscu, ignorując nagłe ukłucie czegoś, co pojawiło się, gdy Hunter podszedł bliżej.

- Nie męcz mnie, Maxie. Miałem dług wobec ciebie i spłaciłem go. Mam jeszcze jeden dług - tym razem krwawy - w stosunku do każdego sukinyńskiego granicznego bandyty, który porusza się po tym terenie, i ten dług też mam zamiar spłacić.

- Ja się ciebie nie boję, Hunter - oświadczyła Maxie i nagle poczuła, że kłamie.

- Cóż, być może powinnaś, dziecino - zrobił kilka kroków w kierunku biurka, potem odwrócił się. Wisząca w powietrzu groźba zniknęła, gdy zaśmiał się drwiąco z samego siebie: - Czasami sam się boję Aarona Huntera, taka z niego kanalia o czarnym sercu. Lepiej uważaj na mnie, Maxie.

Spojrzenie, jakie jej rzucił, chociaż Maxie nie potrafiła go do końca odczytać, przstraszyło ją bardziej od gróźb. Gdzieś w tych diabelsko czarnych oczach tkwiło wyzwanie, któremu jeszcze nie potrafiła sprostać. Nie miało to jednak nic wspólnego z groźbą odtransportowania jej do więzienia.

- Uważaj przynajmniej na swoje własne ostrzeżenia, Hunter - przestrzegła, próbując pokryć lęk ostrością głosu.

- Naprawdę powinienem - powiedział miękko, gdy odwróciła się i zniknęła za drzwiami. - Gdybym miał rozum w głupim łbie, to powinienem.

Maxie wyskoczyła na ulicę, z obrzydzeniem kopiąc rąbek spódnicy. Jak można zrobić porządny krok z tą masą materiału wirującą dookoła nóg! Kobiety muszą być stuknięte, żeby chcieć w takim czymś chodzić. Maxie zaś szurnięta nie była. Co ona właściwie robiła, maszerując ulicą w tej przeklętej spódnicy i w czepku? Dlaczego rozmawiała z Hunterem, zamiast trzasnąć go pięścią w szczękę, tak jak na to zasłużył? Była córką Harrisona Maxwella, a prawdziwy Maxwell nie da sobie bezkarnie dmpchać w kaszę!

. Zbliżając się do hotelu, zwolniła. Medina i Elsa bez wątpienia siedzą jeszcze w jadalni, sącąc swoją lemoniadę. Maxie powiedziała im, że rozboleła ją głowa i wymówiła się od ich towarzystwa uprzejmymi słowami, co zachwyciło Medinę. Ból głowy, odkryła Maxie, był naj wspanialszą wymówką, pozwalającą kobiecie na wycofanie się z czegokolwiek. Maxie pomaszerowała na górę do swojego pokoju, po czym wyskoczyła przez okno i spadła na ziemię dziesięć stóp niżej. Łądowanie było nieco twarde, ale Maxie przetrzymywała już gorsze rzeczy. Jakaś przechodząca matrona i jej meksykańska służąca rzuciły jej zdziwione spojrzenia, ale poza tym jej ucieczka zakończyła się całkowitym sukcesem. Teraz zastanawiała się jedynie, jak znajdzie się z powrotem w pokoju.

Nagle dopadła ją myśl, że może by tam nie wracać. Jak zauważył Hunter, Medina spuściła ją ze smyczy. Maxie byłaby głupia, nie czyniąc z tego użytku. Szorowanie podłóg, pieczenie biszkoptów, noszenie spódnic i cała ta reszta zamieszały jej w głowie. Po raz pierwszy od wielu tygodni była wolna - i właśnie miała zamiar dobrowolnie pomaszerować z powrotem do więzienia. Ale z niej kurzy mózdzek!

Maxie przystanąła na moment, niezdecydowana. Na myśl o tym, by nie wracać do Agua Lindy coś schwyciło ją za gardło. Jake będzie za nią tęsknił. Medina będzie rozczarowana, a Pete'owi może będzie brakowało jej biszkoptów - tak mu smakowały. Zaczęła już zaprzyjaźniać się z niektórymi pracownikami, a nawet kwaśna Elsa zaczynała wydawać się całkiem niezłą. Jej rodzina była jednak ważniejsza niż cokolwiek innego. To było wszystko, co miała na świecie. Niech diabli wezmą Agua Lindę!

Powziąwszy decyzję, Maxie odwróciła się od hotelu i odeszła, nie pozwalając sobie nawet na pożegnalne spojrzenie. Jej myśli wirowały od planów,; po pierwsze, jak wydostać się z Motherlode, by nikt o -tym nie wiedział, jak potem odnaleźć rodzinę, która - niech to diabli - nie wydawała się zbyt spieszyc z poszukiwaniem córki i siostry!

Maxie zabrała się zatem do dzieła. Jej pierwszym przystankiem był sklep pana Pruitta, do którego uśmiechnęła się najbardziej niewinnym ze swych uśmiechów.

- Dona Medina zapomniała, kiedy była tu wcześniej... chciałaby parę spodni i roboczą koszulę dla ... dla chłopaka jednego z robotników.

- Ach - kiwnął głową pan Pruitt. - Ta pani Kelley to chodząca dobroć. Traktuje tych Meksów, jakby byli jej własnymi dziećmi. Nie zasługują na to.

Maxie zeszywniała, czując każdym kawałkiem ciała dumę ze swego meksykańskiego pochodzenia. Czy ten idiota uważa, że skoro Maxie ma niebieskie oczy i jasną skórę, to jest kimś innym od reszty "Meksów"? Czy Dona Medina była zrobiona z lepszej gliny tylko dlatego, że wyszła za Amerykanina? Ale uśmiech Maxie nie zmienił się. Kłamać zawsze umiała znakomicie.

- Wiszące tam bryczesy powinny być dobre. Pan Pruitt wyszedł zza kontuaru i towarzyszył jej, gdy dokładnie oglądała bryczesy i grubą, denimową koszulę.

- Jak duży jest ten chłopak, panienko?

- Mój rozmiar... to znaczy jest mniej więcej tego wzrostu, co ja. Te wyglądają na dobre.

- A nie potrzebuje on butów?

Jak to dobrze, że włożyła jedno ze swych nowych butów, zanim uciekła z hotelu!

- Tylko koszulę, spodnie i kapelusz. To wszystko. Właściciel sklepu starannie poskładał odzież i owinał pakunek grubym brązowym papierem.

- Dopiszę to do rachunku Kelleyów, panienko.

Maxie powoli wyszła na ulicę. Następnym jej krokiem będzie znalezienie miejsca, w którym mogłaby zmienić te idiotyczne babskie ciuchy, a potem trzeba będzie zdobyć konia. Nie mogła liczyć na to, że ucieknie na piechotę, ale jeżeli uda jej się ukraść wierzchowca albo muła, będzie mogła pojechać do Złotego Kanionu, kolejnej bandyckiej kryjówki na południe od granicy meksykańskiej. Może tam akurat przebywać jej rodzina, a jeżeli nie, to zapewne ktoś będzie wiedział, gdzie przebywają Maxwellowie.

Maxie udało się znaleźć odludny zakątek wciśnięty pomiędzy zaplecze domu gry, a piętrową szopę. Zrzuciła swe damskie szmatki i błyskawicznie wciągnęła nowe bryczesy i denimową koszulę. Nie całkiem pasowały, ale nadadzą się. Zaczynała się znowu czuć jak Maxie Kaktus.

Ze złośliwym uśmieszkiem zmięła zrzuconą sukienkę i zaczęła wciskać ją za pełną pustych butelek beczkę. Nagle przestała i westchnęła, uśmiech zamienił się w grymas. Rozprostowała sukienkę, starannie wygładziła wszystkie fałdy i zapakowała ją w brązowy papier pakunkowy, który posłużył panu Pru i ttwi do owinięcia jej bryczesów i koszuli. Ta sukienka należała do Mediny, pomyślała z zakłopotaniem. Zatrzyma ją na pamiątkę po kobiecie, której wydawało się na Maxie zależeć. Gdyby to była jedna z jej własnych sukienek, z pewnością wyrzuciłaby ją bez cienia żalu.

Za to czepek wcisnęła za beczkę z wielką satysfakcją. Gdy zawinęła warkocze na czubku głowy i ukryła je pod nowym, płaskim kapeluszem o dużym rondzie, naciągając go głęboko na oczy, uznała, że nawet sama Medina nie rozpoznałaby jej, gdyby przypadkiem minęły się na ulicy. Aleta Maria odeszła. Maxie wróciła. Nareszcie.

Wsunęła sukienkę Mediny pod pachę, wyszła powoli na ulicę i skierowała się w stronę stajni należących do wypożyczalni koni, która znajdowała się po drugiej stronie miasta. Minęła już hotel, oba domy gry, sklep pana Pruitta, więzienie, sklep z uprzężami, teatr. Maxie dziwiła się, dlaczego nie rozpoznał jej Aaron Hunter, gdy mijała otwarte drzwi do jego biura. Bez wątplenia pograżył się w marzeniach o swojej bladolicyj przyjaciółce.

Maxie dotarła prawie na miejsce. W jej głowie pojawił się pomysł porwania konia tuż spod nosa kowala. Corral, konie czekające na podkucie i stajnia były doskonale widoczne z kuźni, gdzie jej właściciel tkwił nad swym kowadłem. Zadanie wymagało naprawdę sprytnego złodziejaszka. Ale w końcu nie na darmo Maxie nazywała się Maxwell.

Potem, jakby wbrew swej woli, spojrzała na ostatni budynek dzielący ją od wypożyczalni koni. Był to ten przyciągający wzrok domek, który zauważyła, gdy wjeżdżali do miasta, miejsce, o którym poganiacz bydła Sam powiedział, że jest domem publicznym.

Budynek przyciągnął uwagę Maxie, gdy po raz pierwszy go zobaczyła. Teraz, pomimo wagi czekającego ją zadania, nie mogła odmówić sobie okazji, by przyjrzeć mu się bliżej. Z wystudiowaną nonszalancją przeszła z ulicy na ganek domostwa i rzuciła okiem przez zasłonięte okno. Dom wydawał się spać w popołudniowym słońcu. Maxie wpatrywała się intensywnie, ale wszystko, co mogła zobaczyć, to zarys pokoju za koronkową firanką. Meble - z tego, co mogła zauważyć - wydawały się zbyt delikatne, by można było na nich usiąść. A same firanki - ich delikatna koronka była bielsza od wybielonej na słońcu kości! Czego by panienki ze Stronghold nie dały za taki pałac jak ten. Eleganckie krzeselka i koronki, i prawdopodobnie łóżka ze sprężynami.

Jeżeli jeszcze kiedykolwiek zobaczy Hildę, musi jej opowiedzieć, jak pracują naprawdę eleganckie panie. Będzie kwiczeć z zazdrości i to samo zrobiłaby każda z dziwek uprawiających swój zawód na zapchlonych siennikach u Hemando.

- A kogóż my tu mamy? - powiedział głęboki głos tuż za nią. - Małego podglądacza? Jesteś nieco za młody, by kręcić się koło tego interesu, chłopaczku.

## **Rozdział 7**

Maxie, zaskoczona, aż podskoczyła, i zwróciła się twarzą w stronę kobiety, która z pewnością była najwspanialej wyglądającą prostytutką, jaką kiedykolwiek widziała. Co do tego, że ta dama była prostytutką, Maxie nie miała żadnych wątpliwości. Miała spojrzenie i postawę dziwki. Maxie ocierała się o prostytutki przez całe swoje młode życie i rozpoznawała je przy pierwszym spotkaniu.

Ale jaka ta była wspaniała! Jej twarz była umalowana z subtelną umiejętnością artysty; zaś włosy - płomiennie rude - otaczały artystyczną twarz starannie ułożonymi lokami.

Zielony jedwab i biała koronka sukni raczej akcentowały niż skrywały figurę, której okrągłości rzeczywiście były godne uwagi. Maxie była pewna, że większość mężczyzn aż by się paliła, by dać tej pani zarobić. Mężczyźni właśnie tacy byli.

Niebieskie oczy rudowłosej wpatrywały się w Maxie z żartobliwą tolerancją. Głos miała ochryply i prawie tak niski jak mężczyźni:

- Przyjdź za parę latek, . chłoptasiu, to się tobą zajmiemy. Ale póki co, zjeżdżaj. Możesz przynieść złą opinię mojemu domowi.

- Nie jestem chłoptasem! - obruszyła się Maxie. Dziwka uniosła wysoko podkreślone ołówkiem brwi. - Nie?

- Nie masz oczu? Jestem kobietą! Taką samą jak ty!

- Cóż, może nie dokładnie taką samą jak wywierająca takie wrażenie niewiasta, przyznała w myśli Maxie, ale w każdym bądź razie kobietą. Kilka miesięcy temu ucieszyłaby się, gdyby ktoś ją wziął za chłopaka. Ale dzisiaj, z pewnych powodów, sprawiło jej to ból.

Rudowłosa oglądała ją z góry do dołu. - Masz rację - powiedziała w końcu.

- A co ty właściwie robisz, zaglądając w moje okna, kochanie?

Maxie wzruszyła ramionami:

- Po prostu patrzę. Nigdy nie widziałam tak wyszukanego burdelu. To naprawdę miłe miejsce.

- Tak? Cóż, jest naprawdę miłe. I ciężko się napracowałam, by je zdobyć.

- To twoje?

- Załóż się, że tak. Jestem Mosalleria Cartwright. Większość narodu nazywa mnie po prostu Mama Moses.

- Czy nie polujesz przypadkiem na robotę?

- Na robotę? Tutaj? - roześmiała się Maxie.

Ona i dziwka! Co za pomysł. Nie potrafiła nawet pocałować. mężczyzny bez wzbudzania w nim gniewu. Zdechłaby z głodu próbując się z tego utrzymać.

- Chcesz zobaczyć dom? - zapytała Mama Moses bardziej przyjaźnie, gdy już wiedziała, że Maxie nie przyszła prosić ją o zatrudnienie.

- Naprawdę? Mogłabym?

- Cóż, na ogół nie zapraszam tu pierwszych lepszych. Ale skoro należysz do tych, którzy potrafią docenić jakość ... To jest dom pierwsza klasa, wiesz. Na usługi moich klientów jest wszystko, co najlepsze .

Maxie poszła za rudowłosą, podziwiając sposób, w jaki przy każdym kroku podskakiwały pióra przy jej kapeluszu. Zostanie tylko tak długo, by to wszystko obejrzeć, obiecała sobie.

- Tutaj przyjmujemy naszych gości - Mama Moses dumnie zatoczyła ręką, pokazując wspaniały saloon, który mieścił się za hallem wejściowym. Pokój był piękny, z ciężkimi brokatowymi draperiami, inkrustowanymi stolikami, obciążniętymi welwetem krzesłami i pianinem. Terytorium Arizony stawało się coraz bardziej cywilizowane.

- Za hallem mamy mały pokój taneczny i bar, oczywiście. Ale nie pozwalamy upijać się naszym

dżentelmenom, rozumiesz sama. To jest lokal o wysokim standardzie, nie saloon.

- O rany! Co by Hilda dała, by móc się rozłożyć na takiej sofie - skomentowała Maxie, zdejmując kapelusz i przyciskając go z rewerencją do piersi.

- Hilda? - Mama Moses taksującym spojrzeniem zmierzyła grube, błyszczące warkocze, które uwolnione spod kapelusza Maxie opadły w dół, sięgając do połowy pleców dziewczyny. - Kto to jest Hilda?

- Moja przyjaciółka, która tkwi w tym samym interesie, co ty. Tyle, że nigdy nie miała takich luksusów. Cóż to za fantastyczne poduszeczki! A ten dywan!

- Dywan jest importowany - powiedziała z dumą Mama Moses.

- Panie, które tu pracują, muszą być naprawdę niekiepskie!

- Jasne! Jesteśmy,

Głos, wysoki i nosowy, pochodził od drobnej, smukłej dziewczyny o długich blond włosach i najbłedszej skórze, jaką Maxie kiedykolwiek widziała.

- Kto to jest? - dziewczyna ziewnęła ukazując niekompaktne zęby. Jej cieniutki penis nie pozostawiał wątpliwości, że wszystkie inne części ciała były w porządku. - Nowa?

- Sophie zwracaj uwagę na maniery. Powiedz dzień dobry... nawet nie znam twojego imienia, kochanie.

- Maxie.

- Maxie? - zachichotała Sophie. - Co to za imię? Przyszłaś na miejsce Charlotty?

- Maxie jest tylko gościem - wyjaśniła Mama Moses. - Podziwia nasze umeblowanie.

Dwie kolejne mieszkanki domu zeszły w dół po schodach, ubrane tak samo jak Sophie.

- Ile razy wam powtarzam, że macie się ubierać, zanim zejdziecie na dół? To nie jest żaden zwykły burdel, to ...

- Tak, Ma'am. - odpowiedziała posłusznie jedna z dziewcząt. Miała także rude włosy - ten kolor musi być popularny, pomyślała Maxie.

Druga spytała z grymasem:

- Kto to jest?

W ciągu dziesięciu minut wszystkie dziesięć dziewcząt Mamy Moses znalazło się na dole, rozpięrając się na sofach, siedząc na podłodze ze skrzyżowanymi nogami lub opierając się o pianino. Maxie znalazła się w centrum uwagi opowiadając im historię - tylko w połowie sfabrykowaną - o tym, jak kiedyś wygrała w siedem kart srebro wartości pięćdziesięciu dolarów od Billy'ego Joe Cartera. Maxie pominęła ten drobny szczegół, że raczej oszukała Billa, niż go rzeczywiście ograła. Dziwki były zafascynowane. Billy Joe wyrobił sobie całkiem niezłe imię parę lat temu, zarówno jako gracz, jak i jako ostry rewolwerowiec.

Maxie czuła się swobodniej, niż kiedykolwiek podczas ostatnich tygodni. prostytutki były towarzystwem bardzo swojskim, a poza tym stanowiły pożądaną zmianę po cywilizowanej kompanii, z którą ostatnio przebywała. Nie poprawiały jej wymowy, nie mówiły, że ma stać prosto, nie przyglądały się z przerażeniem jej bryczesom, ani nie wzdragały się, gdy Maxie wyrwało się jakieś przekleństwo.

- Billy Joe często tu kiedyś przychodził - powiedziała jedna z dziewczyn, nawiązując do opowiadania Maxie. - Pamiętasz go, Carmen? Ty też tu wtedy byłaś. Do diabła, to był taki przystojniaczek, że prawie sama bym mu zapłaciła. Lubił to robić ostro i szybko, ale zawsze, wychodząc, zostawiał mi coś ekstra.

- Si - odpowiedziała Carmen. - Jak na przykład popękane wargi. To wszystko, co kiedykolwiek dostałam od tego człowieka.

- Cóż, teraz idzie ci lepiej, więc nie narzekałabym na twoim miejscu - wtrąciła Sophie z rozdrażnieniem. - Gdyby Aaron Hunter chciał się do mnie dobrać, nie wzięłabym żadnego innego klienta.

Maxie nadstawiła uszu.

- Aaron jest słodki, si - wzruszyła ramionami Carmen i uśmiechnęła się. - Ale przecież muszę z czegoś żyć. A on nie był tutaj już dosyć długo. Ponad trzy tygodnie.

. - Powiem ci, dlaczego - wycodziła Sophie ze złośliwą satysfakcją. - Włóczył się po całym mieście



z panną Lilią Prissy Pruitt, ot co.

Carmen rzuciła na Sophie mordercze spojrzenie. - To nic nie znaczy. Taka jak ona nie może dać Aaronowi tego, czego on naprawdę potrzebuje. Ten facet ma jaja jak ogier. - Połączyła dłonie, by zilustrować swój opis. - To daje prawdziwej kobiecie ...

- Uważaj na to, co mówisz, Carmen - zbesztiała ją Mama Moses, rzucając okiem na Maxie.

- Och, ja wiem wszystko na temat pana Aarona Huntera - sapnęła Maxie. - O ile zdołałam stwierdzić, on jest świnią, a nie ogierem.

Cała ta nieoczekiwana gadanina o Hunterze przypomniała Maxie, że zamarudziła znacznie dłużej niż powinna.

- Muszę iść, Mamo Moses. Dziękuję za pokazanie mi domu. Bardzo mi było przyjemnie was poznać.

- Powinnaś zostać i zamieszkać w pokoju Charlotty - powiedziała dziewczyna o imieniu Jacqueline.

- Mogłabyś się tu trochę obłowić, wiesz.

Maxie i Mama Moses zaprotestowały w tym samym czasie.

\_ Zaskakujesz mnie, Ma - powiedziała Jacqueline. - Nie zauważasz skarbu, który masz pod samym nosem.

Wstała, pociągnęła za tasiemkę wiążącą jeden z warkoczy Maxie i rozpostarła czarne, niesforne fale jak błyszcząca narzutę na ramionach dziewczyny

\_ Patrz na to - dotknęła palcem wystających, o czystej linii kości policzkowych Maxie - i na to.

Mogłabym zrobić z niej coś pierwsza klasa.

\_ Tak - zadrwiła Sophie - a jeszcze bardziej byś chciała, żeby jakaś amatorka znalazła się na miejscu Charlotty, wtedy jej dawni klienci zaczęliby przychodzić do ciebie.

Jacqueline wykonała sprośny gest w kierunku Sophie:

\_ Myślisz, że każdy jest taki wredny, jak ty - ujmując Maxie za rękę, pociągnęła ją w kierunku schodów. - Chodź ze mną. Pokażę ci coś.

\_ Muszę iść! - zaprotestowała Maxie. Ale była otoczona tłumem rozentuzjasmowanych dziwek, które nagle zostały ogarnięte ideą uczynienia z niej takiej samej piękności, jak one. Z równym powodzeniem mogłaby próbować wydostać się z rąk bandy spragnionych krwi Apacz'Ów.

\_ Włóżmy jej tę sukienkę, którą Sophie miała na sobie wczoraj wieczorem - zaproponowała któraś z dziewczyn, gdy zawlokły Maxie do pokoju Jacqueline.

\_ Dlaczego nie zaofferujesz jej jednej ze swoich sukien? - zaprotestowała Sophie.

\_ Bo w jedną moją suknię wlażyłyby dwie takie jak ona, ty suko! Ona nie jest większa od pięciu minut.

\_ Ale ma to, co potrzeba - skomentowała Carmen, gdy rozsunęła koszulę Maxie. - Patrzcie tutaj.

Maxie wyszarpnęła koszulę z powrotem, jej twarz płonęła.

- Nie mam pojęcia, dlaczego ubierasz się jak chłopak, kochanie - wtrąciła się Jacqueline - skoro masz takie cycuszki.

- Wprawiliście to dziecko w zakłopotanie - skarciła je Mama Moses. - Zostawcie jej ubranie w spokoju.

- Ale jej buzia wymaga trochę uwagi - upierała się Carmen.

Cieni i pudrów leżących na toalecie Jacqueline wystarczyłoby z pewnością, by wymalować wszystkie dziwki od Tucson do San Francisco, pomyślała z desperacją Maxie. A każda z dziewczyn miała własne zdanie na temat, gdzie położyć ten odcień, a gdzie inny. Zanim minęło kilka minut, Maxie była pewna, że zaczyna wyglądać jak dama z portretu w saloonie Garcii w Tucson.

- To ... niezłe - skłamała, gdy wreszcie pozwolono jej spojrzeć w lustro. Próbowała się uśmiechnąć, ale wydawało się jej, że maska na jej twarzy popęka.

- Mówiłam wam, że będzie pierwsza klasa! - powiedziała triumfalnie Jacqueline.

"Pierwsza klasa" to nie było określenie, którego Maxie użyłaby w stosunku do siebie. Jej oczy wyglądały na bardziej niebieskie niż kiedykolwiek, a ciężkie pukle włosów były ciemniejsze i dłuższe, niż to sobie wyobrażała. Cienie różu pod kośćmi policzkowymi powodowały, że twarz zdawała się wręcz ascetycznie szczupła, a piegi - znaki szczególne, które miała od zawsze - znikły całkowicie. Wyglądała, stwierdziła Maxie, jak perfekcyjnie opierzona dziwka. Jacqueline miała

rację, mogła żyć z tego interesu, gdyby tylko to nie oznaczało ... cóż, tego właśnie, co oznaczało.  
- Nieźle. Naprawdę. Ale teraz już muszę iść przypomnieć im Maxie. - Chyba lepiej będzie, jak to wszystko zmyję.

- Dlaczego nie zaproponujesz temu dziecku roboty, Ma?- zasugerowała Carmen. - Patrz, jaka się zrobiła śliczna.

- Nie potrzebuję amaterek - powiedziała Mama Moses bez wrogości. - Rebecca, przynieś dziewczynie coś do umycia twarzy. Nie może wyjść na zewnątrz umalowana, jak do roboty.

Rebecca opuściła grupę, która otaczała Maxie i ruszyła do drzwi. W połowie drogi zatrzymała się i zamarła zaskoczona.

- Dzień dobry paniom.

Wszystkie dziewczyny, jak jedna, odwróciły się na dźwięk męskiego głosu. Carmen wydała cichy pisk zachwyty, a Jacqueline zachichotała.

- Aaron Hunter! - skarciła go czułym głosem Mama Moses. - Wszedłeś cicho jak Indianiec! Przecież wiesz, że panom nie wolno wchodzić na górę przed szóstą.

- To tylko przyjacielska wizytka, Ma. Nie interes. Myślałem, że może znajdę tutaj ... kogoś 2;najomego - jego oczy spojrzały na Maxie z takim wyrzutem, że dziewczynie prawie zaparło dech w piersiach. - Co za interesująca nowość w twojej stajni, Ma. Trochę obniża twój standard, nie uważasz?

\*\*\*

- Macie ją - powiedział Aaron do Mediny, stawiając wierzgającą Maxie na nogi na środku hotelowego pokoju. - Jak widzę, powrót do jej naturalnego poziomu nie zajął jej dużo czasu.

- Aaron! - skarciła go Medina, ale jej uprzejma reprimenda została zagłuszona odgłosami furii Maxie.

- Ty parszywy, pełzający na brzuchu, sukinyński łajdaku! - Maxie prawie syczała, tak była wściekła. - Jak myślisz, kim ty jesteś, żeby tak nosić mnie tyłkiem do przodu przed moimi przyjaciółmi.

- Aleta! - powiedziała Medina surowo. - Uważaj na swój język, młoda kobieto!

- Aleta? - zarechotał Aaron. W jego ustach to imię brzmiało jeszcze gorzej niż normalnie. - Aleta?

- Tak! Mam na imię Aleta, ty padalcu! Z tym też masz zamiar coś zrobić? - zacisnęła obie pięści.

Uśmiech, jaki jej posłał, był jeszcze gorszy od jego rechotania.

- No, Aaron, uspokój się! - zdenerwowała się Medina. - Ale ta, siadaj! Obydwoje zachowujecie się jak pięciolatki. Cóżes ty, na Boga, zrobiła ze swoją twarzą? A to ubranie?

- Zastanawiam się, czy powiedzieć ci, gdzie znalazłem ten pakunek, Medino - zaczął Aaron.

- To nieprawda! - wrzasnęła Maxie. - Masz zamiar rozkoszować się każdym słowem, opowiadając, gdzie byłem, panie Duży i Mocny!

- Zamknij się, ty diabelskie nasienie! Masz po prostu szczęście, że to ja cię znalazłem, a nie któryś z klientów Ma, który lubi takie młode i ogniste kurewki! Nie sądziłem, że podoba ci się ta profesja, której właśnie chciałaś spróbować, Maxie.

- Nie chciałam ... !

- Znalazłeś ją w domu Mamy Moses? - zapytała nad podziw spokojnie Medina. Ale pod oliwkową cerą jej twarz zbladła.

- Bóg mi świadkiem! Przepraszam, że zwałem ci na głowę tego małego czorta, Medino. Powinienem być raczej wiedzieć, niż myśleć, że ktoś taki jak ona mógłby ...

- Aaron!

- Nie miałam zamiaru zostać dziwką - wykrzyknęła Maxie. - Podziwiałam dom, a Mama Moses zaprosiła mnie do środka. Zapytała, czy szukam pracy, a ja odpowiedziałam, że nie.

- Ty ... podziwiałaś dom? - zapytała Medina, jakby podziwianie domu publicznego było czymś wyjątkowo nadzwyczajnym.

- No. Te panie były po prostu przyjacielskie. Malowały mnie, chcąc, żebym lepiej wyglądała, kiedy ten ... ten szeryf - wypluła to słowo z siebie, jakby było trucizną - władował się i wyniósł mnie jak worek mąki. Przy okazji, Hunter - dodała słodkim głosem - Carmen tęskni za tobą. Ma parę miłych rzeczy do powiedzenia na temat twoich ...

- Dosyć! - Aaron zacisnął zęby, gdy Medina rzuciła mu dość szczególne spojrzenie. - Co ty na sobie masz? Wychodząc do miasta byłaś ubrana jak przyzwoita dziewczyna.

Maxie wysunęła naprzód swój drobny, spiczasty podbródek: - Miałam zamiar wyjechać. Chciałam znaleźć moją rodzinę i powiedzieć im, że ten półgłówek, ten tępy bałwan jest wciąż na ich śladzie.

- Oni już to wiedzą - powiedział Aaron i skrzywił się, gdy Medina parsknęła śmiechem.

- Sądzę, że w tej chwili jest w tym pokoju więcej niż jeden półgłówek - stwierdziła Medina, odzyskując spokój i patrząc na Maxie surowo. - Aaronie, dziękuję ci, że ją znalazłeś i nie sądź, że uważam, że "zwaliliś mi ją na głowę". Kobieta potrzebuje wyzwania przez cały czas, to utrzymuje ją w młodości.

Maxie przyglądała się im obojgu.

- Być może najlepiej będzie, jeżeli zostawisz mnie teraz z Aletą sam na sam, żebyśmy mogły omówić to jak kobieta z kobietą.

- Raczej jak kobieta ze skorpionem.

- Aaron!

- W porządku. Idę. Jak się nią zmęczysz, Medino, przyprowadź ją do mnie z powrotem. Ja znajdę sposób, żeby utrzymać ją z dala od kłopotów.

\*\*\*

Aaron łagodnie zamknął drzwi za sobą, starając się nie dać ponieść irytacji. Najpierw to małe półdiabły przychodzi do jego biura i beszta go jak wściekła wiewiórka, a potem zwiewa i ląduje w domu publicznym. Mógł być wściekły jak diabli, ale jego złość kierowała się bardziej w stronę jego samego, niż w stronę Maxie, a to denerwowało go jeszcze bardziej.

Schodził po schodach do hotelowego hallu pogrążony w tak głębokim zamyśleniu, że nie zauważył nawet pozdrawiającego go recepcjonisty. Będąc na ulicy nie zwrócił uwagi na wczesnowieczorny upał, ani na chuligańskie śpiewy dochodzące z saloonu "Pod Srebrnym Siodłem", ani na przechodniów, którzy niepewnie przyglądali się jego ponurej minie.

Gdyby miał chociaż trochę rozumu, uznałby tę dziewczynę za stracony przypadek, ale przyłgnęła do jego myśli jak rzep do psiego ogona. Gdzieś wewnątrz kolczastej małej Maxie Kaktus tkwił zarodek łagodności, który mignął mu tylko w przelocie. Otoczony cierniami, chował się głęboko w jej sercu - fascynujący, nieodparty. Być może miał nadzieję, zabierając Maxie do Agua Lindy, że Medina będzie umiała sprawić, by ten pąk zakwitł, ale teraz zaczynał sądzić, że nikomu nie uda się dokonać takiego cudu.

Dlaczego nie mógł być rozsądny i nie zapominał o tej dziewczynie? Była komplikacją, której absolutnie w życiu nie potrzebował. Aaron potrząsnął głową, uśmiechając się zawzięcie. Czy kiedykolwiek w życiu był rozsądny?

Maxie wpatrywała się w drzwi, które zamknęły się za plecami Aarona.

- Gnojek - wyszeptwała.

- Aleta!

Niech to diabli! Medina miała uszy jak sowa.

Medina westchnęła i popatrzyła na Maxie w sposób, który sprawił, że dziewczyna poczuła się gorsza od siedzącej pod kamieniem pluskwy.

- Dlaczego chciałaś uciec, Aletto? Wydawało mi się, że zaczynasz się przyzwyczajać do rancza. Miałam nawet nadzieję, że czujesz się z nami szczęśliwa.

Maxie nachmurzyła się. Jak mogła być szczęśliwa, podczas gdy jej rodzina cieszyła się swobodą i niebezpieczeństwami, a ona skrobała garnki i łażyła dookoła w tych idiotycznych spódnicach?

- Widok Huntera przypomni mi skąd pochodzę gdzie jest moje miejsce.

- To nie ma znaczenia, skąd pochodzisz, Aletto. Liczy się to, dokąd podążasz.

Maxie wpatrywała się z uporem w podłogę.

- To nie ma żadnego związku z panną Pruitt, prawda? - Medina rzuciła jej spojrzenie niewątpliwie zbyt głęboko penetrujące.

- Do diabła, nie! Co mnie obchodzi, komu Hunter dotrzymuje towarzystwa? Tyle mnie to obchodzi, co zeszłoroczny śnieg.

Mała Hiszpanka spojrzała na Maxie przeciągle, potem pokiwała głową, jakby nie spodobały się jej wyciągnięte wnioski. - Aleto, kochanie... Jest tyle rzeczy, których nie wiesz o szeryfie Hunterze. To nie jest człowiek, któremu można mieszać szyki.

Maxie zachnęła się:

- Wiem bardzo dużo o Aaranie Hunterze. Dużo więcej, niż ty.

- Jeżeli myślisz, że Pete i ja nie znamy przeszłości Aarona, to jesteś w błędzie - uśmiechnęła się, gdy Maxie, zaskoczona, poderwała głowę. - Jak powiedziałam wcześniej, ważne jest nie skąd pochodzisz, ale dokąd zmierzasz. A ty jeszcze ciągle nie wiesz wszystkiego o Aaranie, Aleto. Zostaw go w spokoju ..

- Powiedz jernp, żeby mnie zostawił w spokoju. I mojego tatusia i braci też.

Maxie opadła na krawędź łóżka. Nagle poczuła się bardzo zmęczona. Hunter mówi o jej rodzinie tak, jakby byli skorpionami, które trzeba wytepić!

Medina podeszła, by usiąść koło niej i objęła ją macierzyńskim gestem. - Czy wiedziałas, że to twój tatuś i bracia obrabowali Santa Ritę? To oni byli tymi ludźmi, którzy otoczyli Aarona i próbowali go zabić.

- Gó ... Nieprawda! W mojej rodzinie nie ma zabójców! Oni nie chcieli zabić Huntera. Próbowali po prostu go ostrzec. To wszystko. Gdyby próbowali go zabić, nie byłoby go tutaj!

- Aarona Huntera niełatwo zabić, Aleto. Udało mu się wyjść z tego cało. Ale byli tam po to, by go nafaszerować kulami. Co do tego, nie ma wątpliwości.

Serce Maxie uderzało szybciej. W jej rodzinie nie było zimnolqwistych zabójców, zapewniała samą siebie. Ale wizja głębokich, ciemnych oczu Huntera martwo skierowanych w niebo, jego szerokiej, muskularnej klatki piersiowej rozdartej przez kulę, natrętnie wciskała się w jej myśli. Jej tatuś i bracia nigdy by tego nie zrobili!

- Oni są moją rodziną - zapewniła Maxie, zarówno Medinę, jak i siebie. - Ja należę do nich.

Medina dotknęła podbródka Maxie i odwróciła jej twarz ku sobie. Maxie z ociąganiem spojrzała w oczy starszej kobiecie.

- Twoja rodzina dokładnie wie, gdzie jesteś, Aleto. Oni bywają w barach w Tucson i w Tubac. Tam każdy wie, że Aleta Maria Maxwell żyje w Agua Lindzie. Nie sądzisz, że gdyby chcieli mieć cię ze sobą, to przyjechaliby, żeby cię odebrać?

Wiedzieli, gdzie jest. Dlaczego nie przyjechali po nią? Maxwellowie powinni trzymać się razem.

- Pomyśl o tym, kochanie - dodała Medina. Maxie myślała o tym i myślała, aż wreszcie zapragnęła jalcoś się tych myśli pozbyć.

Następnego ranka Medina oświadczyła, że ona Elsa idą do kościoła, a Maxie z nimi.

- Kościół? - jęknęła Maxie. Nigdy nie była w kościele w swym nieświętym życiu i niespecjalnie sobie tego życzyła.

- To dobrze zrobi twojej duszy - powiedziała z namaszczeniem Elsa.

- Nie mogę iść do kościoła - Maxie myślała gorączkowo. - Jestem ... jestem katoliczką. Nie przypuszczała, by ten mały kościółek, który wczoraj widziały, był katolicki. Jeśli katolicy szli do jakiegokolwiek innego kościoła, szli do piekła, czyż nie?

- To nie szkodzi, kochanie - zapewniła ją Medina. - Tutaj przychodzą ludzie wszystkich wyznań. Najbliższy ksiądz katolicki jest. w Tucson, więc musi nam wystarczyć wielebny Cahill.

- Kościół z pewnością pomoże - powiedziała z zadowoloną miną Elsa - na te diabły buszujące po twojej głowie.

Kościół zdecydowanie nie przyniósł Maxie ulgi. W kolejnej sukience pożyczonej od Mediny - pierwszą zostawiła w domu mamy Moses, gdy tak gwahownie została stamtąd wyniesiona - siedziała, albo raczej wierciła się przez pełne dwie godziny na niewygodnej, drewnianej ławie. W porównaniu z tym cały dzień w siodle wydawał się drobiazgiem. Wszyscy, jak się jej wydawało, wpatrywali się w nią. Hunter i Maxie nie opuszczali poprzedniego popołudnia domu Mamy Moses cichaczem, stąd ze spojrzeń, jakie ku niej kierowano, Maxie wnosiła, że całe Motherlode wie, iż była niesiona z domu publicznego tyłkiem do przodu na ramionach szeryfa.

Jedynym wiernym, który na nią nie patrzył, był sam szeryf, siedzący w przedniej ławce razem ze swą białą jak lilia przyjaciółką o drobnej twarzy. Spojrzał na Maxie tylko raz, gdy wchodziła z

Mediną i Elszą, potem odwrócił głowę i nie popatrzył do tyłu ani razu, jakby jej widok był dla niego czymś wstrętnym. Był gorszy od tych zadufanych w sobie snobów z Motherlode, pomyślała Maxie. Rankiem będzie śpiewał psalmy w kościele, a po południu pozwoli się obślinać córce sklepikarza - oczywiście w najbardziej przyzwoity sposób. A kiedy zapadnie noc, będzie się tarzał po łóżku z Carmen i pozwoli jej gruchać na temat wymiarów swoich ...

Maxie pograżyła się w myślach, niekoniecznie zachwycając się drogą, jaką one podążały.

- Zapłata za grzech jest ogień, ogień wieczny, ogień tak gorący, że w porównaniu z nim ogień ziemski jest niczym - mówił pastor. Chyba zwracał się do niej, stwierdziła Maxie. Z całą pewnością patrzył wprost na nią.

- Biblia mówi nam, że myśl o grzechu jest tak samo zła jak sam grzech. Ci z nas, którzy chcą podążać do nieba muszą być stale gotowi i wyczuleni na zło, które czatuje na nas za każdym zakrętem, a także na tych, którzy pokazują nam niewinną twarz i chcą nas wciągnąć w grzech i degradację swoimi ...

Droga do nieba nie wydawała się Maxie zbyt interesująca. Patrzenie na szerokie plecy Huntera było o wiele bardziej ciekawe. Czy on naprawdę wierzył w te bzdury, które pastor pakował w głowy swoim parafianom? Czy to dlatego zmienił się z rozsądnego przestępcy w podążającego prostą drogą przedstawiciela prawa?

Msza wreszcie dobiegała końca. Wierni wstali, niepewnie odśpiewali hymn i podreptali - jak stado bydła, pomyślała Maxie - w stronę drzwi, gdzie czekał wielebny Cahill, by pokropić święconą wodą odchodzącą gromadę. Niektórzy z członków kongregacji pozdrowili Medinę i Elsę. Kilku posłało w ich kierunku spojrzenie wyrażające sympatię. Do Maxie nikt nie powiedział złamanego słowa. Patrzyło na nią sporo ludzi - matrony morderczo, mężczyźni z dziwnym zainteresowaniem.

Maxie czuła się jak pijana z gniewu, zanim jeszcze dotarła do drzwi. Zauważyła, że Medina jest czerwona - czy ze złości, czy ze zdenerwowania, tego Maxie nie wiedziała. Fakt, że mała Hiszpanka, która na swój sposób była miła, od kiedy Maxwellówna została podrzucona w jej progi, stała się również obiektem plotkarskiego zainteresowania tych ludzi, spowodował, że wściekłość Maxie jeszcze się podwoiła. Nawet Elsa czuła się niepewnie, co Maxie zauważyła bez trudu.

- Dzień dobry, pani Fairchild - zwrócił się wielebny do pulchnej kobiety znajdującej się przed Maxie. - Tak się cieszę, że podobało się pani kazanie. Tak, ja też uważam, że było bardzo na czasie. - Pańska żona grała dzisiaj cudownie na pianinie - powiedziała kobieta. Jej uśmiech był tak anielski, że sarni święci musieli się zwijać z zazdrości.

Maxie miała dosyć słuchania tej idiotycznie uprzejmej pogawędki. Sama miała co nieco do powiedzenia jego świątobliwości. Z niewinnym uśmiechem na twarzy wymierzyła pulchnej matronie niewielkiego szturchańca.

Kobieta odwróciła, głowę, zobaczyła, kto jej dotknął i zamarła. Jej uśmiech zamienił się w cierpki grymas niechęci i szybko ruszyła do przodu.

- Cześć, Wielebny - Maxie uśmiechnęła się do pastora, wyciągając rękę do przyjacielskiego uścisku.

Nie czyniąc w zasadzie ani jednego kroku w tył, wielebny Cahill wzdrygnął się, jakby Maxie oferowała mu żywego grzechotnika. Z pełnym radości błyskiem w oczach Maxie chwyciła jego dłoń i potrząsnęła nią energicznie.

- Jeżeli chodzi o to, co mówiłeś ... - uśmiechnęła się diabelsko. - Wszystko, co chcę powiedzieć, to nawzajem, Wasza Łaskawość.

Medina szybko odciągnęła Maxie sprzed oczu zdumionego pastora i wypchnęła ją na dziedziniec.

- Aleta Maxwell, co ty sobie myślisz? - jej głos załamał się. Westchnęła.

Maxie uśmiechnęła się. Za co Medina mogła się na nią gniewać? Jedyne, co chciała, to przyjaźnie pozdrowić kaznodzieję.

Hiszpanka spróbowała znowu.

- Aleta, czasem ty jesteś po prostu ... po prostu ...

Medina wciąż usiłowała znaleźć właściwe słowo, gdy Maxie poczuła na sobie czyjeś spojrzenie. Cała kongregacja wpatrywała się w nią od czasu do czasu w trakcie mszy, ale ich zainteresowanie

nie uderzyło jej z taką siłą.

Odwróciła się, wiedząc już wcześniej, czyj wzrok napotka. Aaron Hunter stał ze swą przyzwoitą przyjaciółką w niewielkiej odległości od nich, nie odrywając od Maxie oczu. Gdy spojrzała na niego, zachichotał i powiedział coś do swej falbaniastej towarzyszki. Ona skinęła głową w jego kierunku i miękko się roześmiała.

Śmiali się z niej, czyż nie? Maxie zacisnęła zęby i ruszyła w ich kierunku. Obejrzała Cynthię Pruitt od góry do dołu zwięzonymi oczami.

- Coś zabawnego? - spytała.

Panna Pruitt przestała się śmiać, a Hunter rzucił Maxie ostrzegawcze spojrzenie.

- Och - zamrugła powiekami panna Pruitt. - Panno ...

- Maxwell - podsunął Hunter napiętym głosem.

- Panno Maxwell. Myślę, że to było wspaniałe - zniżyła głos, a w jej wspaniale zielonych oczach zabłyśły iskierki humoru. - Najwyższy czas, by ktoś przeklął naszego dobrego wielebnego i wypuścił z niego trochę tego gorącego powietrza. To naprawdę się pani udało!

Maxie aż zamrugła z wrażenia:

- Pani naprawdę tak myśli?

- Och, zdecydowanie. Ja nigdy bym się na to nie odważyła. Ale jestem zadowolona, że ktoś to zrobił.

Maxie myślała gorączkowo. Jak można zwyciężyć kogoś, kto deklaruje, że jest po twojej stronie? Rzuciła urażone spojrzenie w kierunku Aarona. On się po prostu uśmiechnął.

- Cóż, cieszę się, że was ... rozbawiłam.

- Widziałam panią wczoraj w sklepie z grupą od Kelleyów. Długo zostanie pani w mieście?

- Ja ...

- Ale będzie pani dzisiaj na zebraniu towarzyskim, prawda? To takie przyjemne, mieć kogoś nowego, z kim można by pogadać.

Uśmiechnęła się do Aarona. Obrzydliwie słodki, mdły uśmiech, pomyślała Maxie.

- Nie chcę przez to powiedzieć, że szeryf Hunter nie jest zawsze zajmujący - dodała panna Pruitt.

Jeżeli ta delikatna panienka chce się dowiedzieć, jak zajmujący potrafi być Hunter, powinna pogadać z Carmen.

- Nie sądzę, byśmy zostawali tutaj na jakimkolwiek zebraniu - powiedziała Maxie.

- Oczywiście, że tak - Medina podeszła i stanęła obok Maxie. - Cieszymy się, że ciebie tam zobaczymy Cynthio.

Maxie westchnęła. Party z tymi wszystkimi uroczymi ludźmi. Cudownie!

O ile Maxie była tego świadoma, towarzyskie zebranie kościelne w Motherlode mogło współzawodniczyć jedynie z tym wieczorem, gdy zwędziła butelkę rumu Heroanda, wypła z niej połowę i, potknąwszy się, wpadła w gąszcz kłujących kaktusów. Ani udawanie bólu głowy czy żołądka, ani nic, co znała, nie mogłoby skłonić Mediny do pozostawienia jej w hotelu - nawet pod strażą. Gdy wstała tego ranka z łóżka, wciąż ktoś - pracownik rancza, Medina, Elsa albo wręcz wszyscy naraz - uważnie się jej przypatrywał. Patrzyli na nią prawdopodobnie nawet, kiedy spała, pomyślała Maxie. Medina była zbyt sprytna, by dać Maxie kolejną okazję do ucieczki.

Wraz z Elsą wcisnęły ją w następną sukienkę Mediny, gruchając, jak to ten czerwony materiał z białymi koronkami podkreśla karnację Maxie. Rozplotły jej włosy, wyczesaly, a potem nie pozwoliły jej zapleść ich z powrotem.

- Panno Maxwell. Czy pani się dobrze bawi? - Cynthia Pruitt przesunęła się obok, szeleszcząc suknią.

- Pewnie - skłamała Maxie. Zastanawiała się, jak ta dziewczyna potrafiła się tak płynnie poruszać, zupełnie, jakby miała pod spódnicą małe kółeczka zamiast stóp. Coś takiego wymaga lat ćwiczeń, pomyślała Maxie.

Cynthia rzuciła jej pełne zrozumienia spojrzenie, wydawało się, że z tonu głosu Maxie odczytała, że dziewczyna wołałaby być w tym momencie w jakimkolwiek innym miejscu niż na dziedzińcu kościelnym, gdzie - zaciskając kurczowo szklaneczkę pozbawionego smaku ponczu - obserwowała

wszystkich obywateli Motherlode tańczących i gapiących się na nią. Te same kwaśnolice matrony, które czyniły jej afronty w kościele, podobnie zachowywały się podczas tego spotkania, a połowa obecnych na nim mężczyzn patrzyła na nią jak na soczysty kawałek mięsa, który chętnie nadziałiby na swój osobisty szpikulec.

- Mam nadzieję, że pozostawisz dobrym obywatelom Motherlode trochę więcej czasu - powiedziała Cynthia. - Oni naprawdę nie są tacy prostacy, na jakich w tej chwili wyglądają. To jest po prostu ... Maxie wypila łyk ponczu:

- Nie dbam o to, że oni ze mną nie rozmawiają. I nie obchodzi mnie, co o mnie myślą. Chętniej bym się zaprzyjaźniła z dziwkami mamy Moses.

To powinno spowodować, że ta gładziutka panienska wpadnie w drzączkę, pomyślała Maxie.

Ale Cynthia po prostu się uśmiechnęła.

- Aaron mi mówił, że jesteś bardzo oryginalna. Teraz wiem, co miał na myśli. W tym momencie nie mogłabym powiedzieć, że nie masz racji czując to, co czujesz. Biorąc pod uwagę, jak zachowują się dzisiaj uczciwi mieszkańcy miasta, za większość z nich nie dałabym ani centa.

Zapadła niezręczna cisza. Cynthia wyraźnie próbowała nie patrzeć na Maxie z ciekawością. Maxie stwierdziła, że może nieco zbyt pochopnie uznała Cynthię za bezużyteczny element dekoracyjny. Ta dziewczyna zachowywała się przyjaźnie, pomimo, że wszystkie te stare cioty przyglądały się im teraz obu z pogardą.

- Panno Pruitt?

- Och, proszę, mów mi Cynthia.

- Dobrze, Cynthia. Chciałam po prostu powiedzieć, że kiedy cię po raz pierwszy zobaczyłam, pomyślałam, że jesteś jedną z tych głupio świergoczących bab. Ale wydaje mi się, że nie miałam racji. Doceniam to, że zachowujesz się, jakbym była normalną osobą.

Wyglądało na to, że Cynthia zapomniała języka w buzi po tak szczerym oświadczeniu Maxie.

Potem uśmiechnęła się: - Myślę, że jesteś zupełnie wyjątkową osobką, panno Maxwell.

- Możesz do mnie mówić po imieniu - zaproponowała Maxie, czując się wyjątkowo wielkodusznie.

- Myślę, że zostaniemy dobrymi przyjaciółkami.

- Pewnie.

Może Hunter nie miał jednak takiego złego gustu, jeżeli chodzi o kobiety - pomyślała Maxie.

- Czy panie są zbyt zajęte, by zatańczyć? Maxie aż podskoczyła na dźwięk głosu Huntera.

Odwróciła się i spojrzała na niego do góry. Niech to diabli, ależ on jest wysoki. Jego ogromna postać zawsze sprawiała, że czuła się przy nim mniejsza, niż była w istocie.

- Hello, Aaron. - powiedziała Cynthia. Nie wydawała się być ani trochę onieśmielona przytłaczającym wzrostem mężczyzny. - Właśnie sobie pozwoliłyśmy na dziewczęcą pogawędkę. Nie sądzę, żebyśmy y' były zbyt zajęte, by zatańczyć, o ile, oczywiście, znajdzie się odpowiedni dżentelmen.

Maxie była zaskoczona, że Hunter ma odwagę podejść do niej po tym, co się wydarzyło wczoraj. Mogłaby równie dobrze splunąć na niego, zamiast stać i patrzeć. I zrobiłaby to, gdyby nie była w tak uprzejmym towarzystwie. Musiało mu naprawdę bardzo zależeć na Cynthii, skoro zdecydował się zaryzykować podejść w zasięg gniewu Maxie.

- Grają ładną melodię -- napomknęła Cynthia.

Maxie zauważyła, że głowa dziewczyny pochyła się nieznacznie w jej kierunku, a twarz Huntera zachmurzyła się.

- Chodź, Maxie - powiedział. - Zatańczymy. Maxie zamrugowała zaskoczona.

- Nie umiem tańczyć.

- Nauczę cię. Chodź - złapał ją za łokieć, nie pozostawiając szansy, by się wymknęła. Zanim zdążyła mu powiedzieć, że chętniej wzięłaby lekcje od łasicy, znaleźli się na parkiecie.

## **Rozdział 8**

Tak jak u czującego zdobycz wilka, wszystkie zmysły Aarona wyostrzyły się w momencie, gdy Maxie weszła na kościelny dziedziniec. Zebranie było liczne, ale jego oczy natychmiast wyluskały ją z tłumu. Była jedyna w swoim rodzaju. Jej swobodny krok, szeroka gestykulacja, błyski w oczach, wszystko mówiło o istocie należącej do znajdujących się pod gołym niebem pustynnych

plaszczyn i kanionów, a nie do podwórza wypełnionego gawędzącymi ludźmi. Nawet gdy chodziła drobnymi kroczkami po podwórzu, boleśnie próbując zachowywać się jak najlepiej, ubrana w czerwoną suknię, z włosami tym razem uczesanymi i - jak u przyzwoitej damy - przepasanymi jedynie wstążką, promieniowała nabytą na pustyni dzikością, która wydawała się przenikać tłum "cywilizowanych" mężczyzn i kobiet. Być może dlatego jej przybycie wywołało pełną okrucieństwa ciszę po stronie rozgadanych dotychczas kobiet, a oczy mężczyzn skierowały się ku niej, jakby pociągnięte niewidocznymi sznurkami.

Dobrzy ludzie z Motherlode bali się małej Maxie 'Kaktus, pomyślał Aaron. Utożsamiała wszystko, czego nienawidzili w tej pustynnej dzikości. On bał się jej też, musiał to w końcu przyznać. Ale powód jego lęku był inny. Bał się pulsowania w łędzwiach, pojawiającego się za każdym razem, gdy widział Maxie; bał się tego, że nie mógł przestać o niej myśleć, nie mógł się powstrzymać od patrzenia na nią, gdy tylko była w zasięgu wzroku. Nie chciał jej pożądać, ale jego serce i ciało zwracały mało uwagi na to, czego życzył sobie rozum.

Aaron obserwował, jak Medina podprowadziła Maxie do stołu z napojami, wetknęła jej szklankę ponczu w rękę i z dezaprobatą powiedziała kilka słów, Prawdopodobnie mówiła tej małej łobuzicy, jak ma się zachowywać. Niepotrzebna strata słów - pomyślał Aaron. Miał wątpliwości, czy Maxie wie, jak powinna się zachować. Ale obstawiona przez Medinę i Elbę jak niebezpieczny przestępca eskortowany przez strażników, Maxie nie będzie miała zbyt wielu okazji, by postępować w typowy dla siebie sposób.

Stojąca obok niego i delikatnie trzymająca go pod ramię Cynthia także patrzyła na Maxie z zainteresowaniem.

- Moj Boże, Aaronie. Twoja mała przyjaciółka wygląda wspaniale w tej czerwonej sukience. Jej włosy są piękne, gdy nie ma warkoczy.

- Moja mała przyjaciółka? - prychnął.

- Cóż, ona jest chyba twoją przyjaciółką, czyż nie?

- Z trudem można by nazwać Maxie i mnie przyjaciółmi. Jesteśmy bardziej jak ... grzechotnik i mysz.

Cynthia uniosła brwi.

- Ona nie wygląda mi na małą myszkę.

Aaron uśmiechnął się.

- Miałem ją na myśli, mówiąc o grzechotniku. - Aaronie Hunterze - Cynthia spojrzała na niego sceptycznie. - Uważam, że jesteś ślepy. Idę, żeby się przywitać z tą biedną dziewczyną, bo wydaje się, że nikt inny nie zegnie swego sztywnego karku i nie porozmawia z nią.

Aaron nie był ślepy. Suknia, którą Maxie miała na sobie - rozpoznał w niej jedną z kreacji Mediny - nie pozostawiała wątpliwości co do tego, że Maxie była dojrzałą kobietą. Zresztą po tym, jak ujrzał ją nagą w rzece, stracił wszystkie złudzenia co do tego, że była dzieckiem. Próbował zapomnieć, albo przynajmniej zepchnąć ten obraz gdzieś na dno pamięci - daremnie.

Nawet z pewnej odległości Aaron widział podejrzliwość, jaka pojawiła się na twarzy Maxie, gdy Cynthia ją zagadnęła. Przez chwilę patrzył, jak rozmawiały. Próbował, kawałek po kawałku, ocenić twarz Maxie i odpowiedzieć sobie na pytanie, dlaczego tak bardzo nie dawała mu spokoju. Co w niej było takiego specjalnego? Zadarty nosek, pocętkowany piegami i opalony? Kobaltowoniebieskie oczy? Dziewczęcy uśmiech?

Być może to nie twarz, lecz jej duch tak go pociągał - to, że nie dawała się zastraszyć, jej szczerość, niewinność błędnej wiary w wartość jej rodziny. Czy to właśnie te jej cechy tak go w niej ujęły?

Zignorował swój rozsądek i ruszył w kierunku obiektu swoich rozmyślań. Cynthia pozdrowiła go zachęcającym spojrzeniem i kilkoma uprzejmymi słowami na temat muzyki.

\_ Chodź, Maxie - powiedział Aaron, czując, że przegrywa długą i beznadziejną bitwę. - Zatańczymy.

Przynajmniej raz wyglądała na bardziej zaskoczoną niż wrogą: - Nie umiem tańczyć.

- Nauczę cię. Chodź.

Nie czekając na odmowę, wciągnął ją w tłum tańczących, któremu dwóch skrzypków przygrywało



skoczną piosenkę. Po pierwszych paru krokach Aaron stwierdził, że Maxie, powiedziała prawdę. Nie miała pojęcia jak się tańczy, co zdecydowanie odczuwały jego stopy. Ale czuć ją, kołyszącą się w jego ramionach, jej jędrne, drobne ciało tak blisko niego - warto było dla tego celu poświęcić stopy. Ona była ciepła, giętka i bardziej hlsząca niż miała prawo być jakakolwiek kobieta.

- Nie musisz ze mną tańczyć tylko dlatego, że Cynthia powiedziała ci, żebyś to zrobił.

- Cyn nie mówiła mi, żebym cokolwiek zrobił.

- Bzdura. Widziałam, co powiedziała ci oczami.

Aaron uśmiechnął się.

- To nie to mówiły jej oczy. Przy okazji, ktoś naprawdę powinien nauczyć cię tańczyć.

Jego ciało tęskniło, by uczyć ją tańca o wiele intymniejszego od tego cnotliwego walca. Pot zaczął zbierać się nad jego brwiami. Nie powinien był zbliżyć się tak blisko do tej małej wiedźmy.

Maxie po raz kolejny stanęła na stopie Aarona.

- Nie chcę się uczyć tańczyć.

- Maxie Kaktus przyznaje, że czegoś nie potrafi zrobić? - zapytał z udanym zdziwieniem.

- Nie powiedziałam, że nie potrafię. Powiedziałam, że nie chcę. A to różnica.

Aaron podejrzewał, że znaczna ilość nadeptnięć nie wynikała z niezręczności, lecz była zamierzona. Maxie nigdy nie ustawiała w okazywaniu mu pogardy, a jednak ta mała kocica przyciągała go tak, jak złoto przyciąga poszukiwacza. Niech to szlag, jeżeli nie podziwiał jej odwagi, niezależności i tych bardzo niedzielnnych okrągłości poruszających się przy nim w rytmie tańca. W połowie meksykańska arystokratka, w połowie brudny Maxwell, jadowita jak grzechotnik - to była Maxie Kaktus. Jej trucizna mogła zakraść się do serca mężczyzny i zniszczyć go, jeżeli tylko nie będzie wystarczająco ostrożny.

- Au! - jęknął Aaron. Jego duży palec był tratowany zbyt często. Utykanie, które pozostało mu po wojnie, będzie niczym w porównaniu z kulaniem, jakie pojawi się jutro!

Maxie uśmiechnęła się niewinnie.

- Przepraszam.

- Być może wystarczy tego tańca. Chodźmy tam, gdzie nie ma takiego tłumu. Jest kilka rzeczy, które chciałbym ci powiedzieć.

Zauważył wyraz czujności na jej twarzy. Każdemu innemu pokazywała, w charakterze wyzwania, buzię w stylu "nic mnie nie obchodzi". Stojąc z nim twarzą w twarz, wydawała się czegoś obawiać. Czy uważała go za takiego potwora? Zesztywniała, gdy przeprowadził ją przez podwórze do odludnego zakątka znajdującego się na tyłach kościoła.

- Maxie - zaczął niezdecydowanie, wyczuwając Jej niepewność. - Nie boisz się być ze mną sama, prawda?

- Oczywiście, że nie - skłamała.

- Dobrze. Bo jestem pewien jak diabli, że nie mógłbym się tłumaczyć, jeżeli 'ktokolwiek inny miałby tego słuchać!

- Tłumaczyć? - zamrugła zaskoczona.

- Tak. Tłumaczyć. Przepraszam, że wczoraj wieczorem powiedziałem ci takie rzeczy. Wiem przekłęcie dobrze, że nie jesteś dziwką i ... Cóż, jeśli ty nie zachowywałaś się jak dama, ja nie byłem dużo lepszy.

Maxie spojrzała na niego jak dziecko, które spodziewało się klapsa. Aaron spuścił wzrok. Patrzenie na Maxie, na jej rozpuszczone, wijące się dookoła ramion włosy, na twarz rozpaloną tańcem, na jej wydające na łatwe do zranienia oczy - to było zbyt rozprasające i kuszące.

- Może byłem trochę bezwzględny przewracając ci życie do góry nogami. Ale chciałem tylko utrzymać cię z dala od niebezpieczeństwa. Ty mnie kiedyś uratowałaś, więc ja nie mogłem ryzykować twoim życiem w związku z tym, co musiałem zrobić w Stronghold.

Maxie zamarła, potem odwróciła się do niego tyłem. Gdy w końcu przemówiła, w jej głosie wyczuwało się zakłopotanie:

- Dlaczego mi to mówisz?

- Dlatego, że mi przykro, iż sprawiłem ci ból. Podziwiam twoje wysiłki. Medina powiedziała, że

dobrze pracujesz na ranczo i że wszyscy cię lubią.

- Medina powiedziała... że jestem w porządku? - jej głos załamał się.

- Ona cię lubi, Maxie. Mówi, że masz w sobie dużo z matki ..

Maxie milczała. Aaron wziął ją za ramiona i delikatnie odwrócił twarzą do siebie. Wyglądała nieopisanie smutnie.

- Nie uciekaj znowu, Maxie. Wiem, że tęsknisz za rodziną. Wiem, że tak jest. Ale - niech to szlag! - dlaczego chciałabyś żyć w lęku, że ktoś cię zastrzeli, zedrze ci skalp, albo powiesi zgodnie z prawem, jeżeli możesz spokojnie żyć w Agua Lindzie?

- Maxwellowie trzymają się razem, Hunter.

Jej słowa brzmiały jak litania, często powtarzana tracąca sens.

- To dlaczego twój tatuś i bracia nie przyjechali, by cię odebrać? - zapytał wyczuwając słaby punkt w jej pewności siebie. - Pozwól, że zaproponuję ci interes, Maxie.

- Jaki interes?

- Tak się stało, że jestem tu w okolicy nie tylko miejskim szeryfem, ale jedynym sędzią.

- Zrobiłeś niezłą karierę od czasu, gdy byłeś zielony i mój ojciec wziął cię pod swoje skrzydła.

Aaron uśmiechnął się bez złośliwości:

- Nikogo specjalnie nie obchodzi, kto zostaje sędzią. Nie ma kolejki do tej posady.

- No więc, o co ci chodzi?

- Zostań tutaj, Maxie, z Pete'em i Mediną. Rób, co ci Medina mówi i ucz się tego, co stara się ci wpoić. Jeżeli tak zrobisz, przyrzekam ci, że jeżeli twój ojciec i bracia kiedykolwiek trafią za kratki, nie będą wisieć. Nie dlatego, żeby na to nie zasłużyli, ale ja dopilnuję, żeby nie wisieli.

- Ty ich nigdy nie złapiesz, Hunter!.. Aaron zacisnął szczęki.

- Nie liczyłbym na to, dziecino.

Maxie napotkała jego wzrok tylko na sekundę, zamarła i odwróciła oczy.

- Co cię to obchodzi, czy zostanę? Wykonałeś już jeden dobry uczynek w tym roku - uratowałeś małą Maxie Kaktus od życia w zbrodni. Co cię obchodzi, co ja robię?

Aaron popatrzył na nią. Dlaczego go to obchodziło? Ponieważ twarz Maxie prześladowała go, jej ciało kusilo, jej odwaga i niezależność rzucały mu wyzwanie, jej kruchość - chociaż ona nie przyznałaby, że coś takiego w niej istnieje - poruszała go. On tymczasem nie potrzebował takich uczuć.

- Jestem przeklętym idiotą - powiedział łagodnie, bardziej do siebie, niż do niej.

Wyciągnął ręce i delikatnie ją przytulił. Zaskoczona, broniła się słabo, gdy brał ją w ramiona i kładł usta na jej wargach. Pocałunek był delikatnym szukaniem odpowiedzi na jego dylemat. Jej ciepło i wynikająca z zaskoczenia uległość potęgowały jego tęsknotę. Chciał, by zrozumiała, co on czuje, ale wiedział, że to beznadziejne. Ona nie odpowiadała, lecz i tak jej słodkie usta były balsamem na jego bolesne pomieszczenie. Jakaś część jego osobowości miała nadzieję, że w pocałunku Maxie okaże się nie bardziej pociągająca od każdej innej kobiety. Był w błędzie. Pożądanie wypełniło jego lędźwie z bolesną mocą, a opętanie - bo to musiało być opętanie - opanowało mózg i wypaliło ślad w sercu.

Maxie zeszywniała pod ogniem pieszczot Huntera. Zamknęła oczy, wiedząc, że powinna się wyrwać, odskoczyć i uderzyć Huntera na odlew, co zmiotłoby jego głowę z jej szyi. Jednak nie była w stanie zrobić niczego tak sensownego. Wszystko, na co mogła się zdobyć, to stać otulona ramionami Huntera, pozwalać jego ustom miażdżyć swe usta, czując się dziwnie i głupio, gdy ciepło rozchodziło się w jej wnętrzu, a kolana stawały się idiotycznie słabe. Zapach jego skóry, łagodność poszukujących warg, siła ramion Aarona - wszystko połączyło się, by pozbawić ją zdrowego rozsądku. Żar wewnątrz niej stawał się płomykiem, a potem ogniem wypalającym gniew i zmieszanie.

Ogień rósł, gdy pocałunki Huntera stawały się bardziej namiętne. Oderwał się od niej tylko na sekundę, by zaczerpnąć powietrza. Przesunął ręce wzdłuż jej pleców aż do pośladków i przycisnął ją mocno do swych bioder. Jego gorące, przyciśnięte do niej ciało podgrzewało jej wewnętrzny płomień.

Nagle Hunter ją puścił. Chwytnąjąc powietrze, oderwał się od Maxie i cofnął o krok.

- Co za przekleństwo! - jęknął, potem odwrócił się i, bez słowa, ruszył z powrotem w stronę zapewniającego bezpieczeństwo światła, śmiechu i skrzypcowej muzyki.

Maxie, z szeroko otwartymi oczami, z trudem oddychając, dotknęła palcem pulsujących warg.

Gdy wóz z Agua Lindy opuszczał miasto następnego ranka, dzień był duszny i gorący. O godzinie dziewiątej muchy, które zazwyczaj bzycały dookoła koni i ludzi, już szukały schronienia przed słońcem. Niebo płonęło jak piec hutniczy, a kurz wydobywał się spod człapiących kopyt koni i wirował dookoła wozu jak mały sztorm. Jedynym wietrzykiem poruszającym powietrze był podmuch z piekła *pustyni*.

Maxie nie zauważała żadnych niedogodności dnia.

Nie zwracała uwagi na narzekania Elsy, ani na zaciekawione spojrzenia rzucane ku niej przez Medinę. Jej umysł był zajęty wewnętrzną samotnością, która bez reszty pochłaniała jej uwagę.

- Załóż czepek, Aleta - poinstruowała ją w końcu Medina. - Twój nos jest bardziej czerwony, niż wczorajszy zachód słońca.

- Co? - Maxie drgnęła, jakby właśnie się obudziła.

- Załóż czepek.

- Dobrze.

Podniosła czepek, naciągnęła go na głowę i zawiązała wstążkę pod brodą. Jej *sumienne* zastosowanie się do polecenia, ściągnięto na nią spojrzenia pełne łagodnego zaskoczenia obu kobiet w wozie, ale Maxie tego nie zauważyła.

Poprzedniej nocy świat Maxie został uniesiony w górę ze swych fundamentów, a potem opadł na dół tak nierówno, że Maxie kręciło się w głowie. Nie było tak, żeby nikt jej dotąd nie pocałował. Sam McConnel przydybał ją kiedyś samą w strongholdzkiej szopie na prowiant i mocno ją pocałował, ale jedyny świat, który się wtedy poruszył, to był ten, który miał przed oczami, gdy wpakowała mu pięść w żołądek. Oczywiście, ona sama pocałowała Huntera tej nocy, gdy po raz pierwszy wrócił do przestępczej kryjówki. I chociaż tamten pocałunek tracił nieco jej świat, wystarczająco szybko znalazł się on w swoich posiadach.

Ale ostatniej nocy wszystkie zawiasy jej myśli kompletnie się rozluźniły. Aaron Hunter zszedł ze swej drogi, by ją pocałować. Po wszystkich tych strasznych słowach, które jej kiedyś powiedział, i po tych okropieństwach, które usłyszał od niej, on pociągnął ją za sobą w ciemność i całował mocno, gorąco i gwałtownie, jakby była prawdziwą kobietą, potrafiącą wzbudzić pasję w mężczyźnie. Krew w niej gotowała się, a żołądek tańczył. Aaron Hunter przez moment przenikał ją do głębi, a gdy odszedł, jakaś jego część w niej została, wypalając ślad w każdym nerwie jej ciała.

Dotknęła drżącą dłonią ust. Biorąc wszystko pod uwagę, być może warto jednak żyć uczciwym życiem. Medina powiedziała Aaronowi, że Maxie jest miła, że ludzie ją lubią, a teraz Aaron ...

Uśmiechnęła się z zadumą, potem zamarła.

Jeżeli to Cynthia namówiła Aarona do tego wszystkiego ...

Ta myśl przygniotła Maxie jak tona cegieł. Czy mogło tak być, że panna Doskonała pożałowała pustynnej szumowiny, którą jej kochanek wyrwał spod skały i wyrzucił na światło dzienne? Ta blond laleczka tak głęboko wbiła haczyk w Aarona, że nie żał jej było podarować biednej małej Maxie odrobiny wzruszenia. Taka szczodrość sprawiała, że czuła się prawdopodobnie bardziej święta, niż śpiewając wszystkie te hymny w kościele wielbnego Cahilla.

Z drugiej strony ...

Maxie uśmiechnęła się znowu. Pocałunki Huntera, jego poszukujące usta i ręce, gorąco jego pożądania - to wszystko razem nie wyglądało na zwykłe miłosierdzie, czy na okrutny żart.

- Ale co ja powinnam o tym myśleć?

Maxie nie zdawała sobie sprawy, że odezwała się głośno, dopóki wszystkie głowy nie odwróciły się w jej kierunku. Ale tym razem Medina wydawała się bardziej zaciekawiona, niż zła.

. - Aleta? Dobrze się czujesz?

- Wszystko w porządku! - oświadczyła gwałtownie Maxie. Ale tak nie było. Była kompletnie zmie-

szana. Jej świat stał na opak, a ona nie mogła odzyskać równowagi. Niech diabli wezmą Aarona Huntera! Jak mógł ją tak całować, wiedząc, że nie była doświadczoną kobietą! Tak naprawdę to on sobie z niej żartował tylko po to, by zobaczyć jej katusze. Jakże to dla niego typowe!

Medina rzuciła jej dziwne spojrzenie, potem wzruszyła drobnymi ramionami, wyraźnie rezygnując z kontynuowania tematu.

~ Zaczynaj wyciągać nasz obiad, Aletto? Położyłam go pod tymi belami materiału, żeby nie leżał bezpośrednio na słońcu. Tu niedaleko jest kanion z przyjemnym małym strumieniem, gdzie możemy odpocząć i coś przegryźć. Jeżeli tam wszystko będzie w porządku, Leo.

Poganiacz z Agua Lindy, który służył im jako strażnik, dotknął z szacunkiem kapelusza, gdy La Dona zwróciła się do niego.

- Pojadę do przodu i rozejrzę się trochę, Ma'am. Wszystko dookoła wygląda spokojnie, ale nigdy nie dosyć ostrożności.

Maxie rzuciła pełne zazdrości spojrzenie w stronę Leo, gdy ten pogalopował do przodu. Zdecydowanie wolałaby czuć pod sobą konia, a nie twardą ławkę wozu. Westchnęła, gdy poganiacz zniknął za wytworzoną przez siebie chmurką kurzu, potem przeszła na tył wozu, by poszukać koszyka z jedzeniem.

W czasie, gdy wóz wtaczał się do kanionu, Maxie odgrzebała koszyk z lunchem spod góry materiału i przeczesała tył wozu w poszukiwaniu koca, który można by rozłożyć na ziemi. Wóz zatrzymał się, zanim znalazła to, czego szukała, ale gdy podniosła oczy, nie widziała obiecwanego przez Medinę otoczonego trawą strumyka, ani rzucających cień drzew.

- Leo powinien być już z powrotem - powiedział Medina. - Nie podoba mi się to.

Maxie podniosła się i rozejrzała dokładnie dookoła.

Zaledwie wjechali do kanionu, a już kamienne ściany wznosiły się na przynajmniej trzydzieści stóp po obu stronach trasy. Droga przed nimi zniknęła w cieniu. Ciszy nie przerywał żaden typowy dźwięk, ani śpiew ptaków, ani szelest powodowany przez małe zwierzęta.

Nawet insekty wydawały się bzyścić z ociąganiem. Cały kanion sprawiał wrażenie, jakby wstrzymywał oddech - patrząc, czekając ...

- Leo po prostu zrobił sobie trochę wolnego - poddał tę myśl Sam, ale w jego głosie było znacznie więcej nadziei niż przekonania.

Maxie zmarszczyła brwi. Droga była zbyt wąska, żeby można było łatwo zawrócić wóz, ale dreszcz wzdłuż kręgosłupa mówił jej, że właśnie to powinni zrobić, i to szybko. Nagle spokojne stukanie podkutych kopyt o skaliste podłoże zaanonsowało powrót ich strażnika.

- No i jest - obwieścił Sam. - Ten stary gagatek ... gówno!

Medina tym razem nie skarciła swego pracownika za niewyparzony język. Wszyscy wpatrywali się z niemym przerażeniem na powoli podjeżdżającą do nich postać. Leo siedział prosto w siodle - zbyt prosto jak na jeźdźca. Był utrzymywany przez czterostopowej długości zaostrowany pręt, który przechodził przez środek jego ciała jak nienaturalny kręgosłup. Im bliżej podjeżdżał, tym boleśniej wyraźniejsze stawały się szczegóły jego przerażającej śmierci.

Sam oprzytomniał pierwszy: - Odwróćcie natychmiast wóz! - wrzasnął, potem zeskoczył na ziemię i chwycił prowadzącego muła za uzdę. Medina pociągnęła za lejce, dając zaprzęgowi sygnał do zwrotu.

Ale droga była zbyt wąska, skały zbyt blisko. Zostali zrećtnie schwytani w pułapkę. Apacze musieli być tego pewni, zanim posłali w ich kierunku swą krwawą wizytówkę. Sam krzyczał i przeklinał muły, próbując je odwrócić. Dreptały ~ajpierw zmieszane, potem wpadły w panikę. Uradowany, prawie nieludzki okrzyk wojenny dochodzący ze skały nad nimi wprawił zwierzęta w jeszcze większe przerażenie. Dwie strzały wbiły się w ławkę przy stopach Maxie, a powietrze wypełniło się nagle odgłosem strzelaniny.

- Idźcie! Niech to szlag trafi!

Maxie znalazła czas, by zauważyć, że nawet damy od czasu do czasu przeklinają. Medina zrezygnowała w końcu z pomysłu odwracania wozu i poganiała zaprzęg do przodu, prosto w kierunku wrzeszczących Apaczów, spuszcających się w dół po ścianach kanionu. Mężczyźni z Agua Lindy rozłożyli się wachlarzem, starając się chronić wóz. Jeszcze więcej dzikusów pędziło w

ich kierunku na grzbietach koni. Muły wpadły w panikę, szarpnęły wóz, przewracając Maxie, która wykrzykiwała wszystkie możliwe przekleństwa, kurczowo próbując się utrzymać na dnie wozu. Droga była kamienista i przeplatana korzeniami, Maxie więc podskakiwała jak gumowa piłka, chwytając się ścian, ładunku, wszystkiego, co znajdowało się w zasięgu jej rąk. Pierwszą rzeczą, która wyfrunęła na zewnątrz, był koszyk z lunchem, za nim podążyło kilka bel materiału. Gdy krzyk Apaczów przybierał na sile, Maxie pomyślała, że najprawdopodobniej nie będzie już potrzebowała sukienek z tego materiału, nawet gdyby trzeba było ją w coś ubrać do trumny. To, co pozostawią z nich Apacze, nie będzie się nadawało nawet do spalenia.

Zaprzęg gnał teraz z najwyższą szybkością i Maxie zauważyła, że lejce wyrwały się Medinie z rąk. Jeden z mężczyzn upadł ze strzałą w szyi. Inny wrzeszczał na zaprzęg i smagał muły po zadach, przynaglając je do jeszcze większego pośpiechu, w tym samym czasie strzelając do Apaczów. Maxie z niedowierzaniem zauważyła, że kanion się rozszerzał. Przełamali pierwszą linię Apaczów i teraz tylko ci na koniach byli w stanie dotrzymać kroku pędzącemu zaprzęgowi. Może jeszcze coś się uda zrobić, jeżeli tylko zdołają dotrzeć do otwartego, płaskiego terenu, gdzie będą się mogli odłroćić i walczyć.

Nagle z przerażeniem ujrzała skałę. Była nie do uniknięcia; musieli uderzyć o ten fatalny granitowy występ i tylko cud mógł utrzymać wóz w całości. Maxie chwyciła jedną ręką ściankę wozu, drugą objęła ciężki worek z mąką. Usłyszała krzyk Elsy, Medina wykrzykiwała po hiszpańsku coś, co nie wydawało się pasować do damy, a potem zarówno Maxie, jak i wóz pozęglowali w górę.

Nie powrócili na dół razem. Wóz wylądował nieco dalej, wciąż w jednym kawałku. Maxie razem z workiem mąki znalazła się w krzakach z boku drogi. Worek rozerwał się, pokrywając białym pyłem krzaki, ziemię i Maxie.

Dziewczyna natychmiast poderwała się na nogi.

Apacze na koniach wciąż ścigali wóz, ale kilku pieszych wojowników, którzy znajdowali się przedtem na skałach, ruszyło w jej stronę ze spragnionymi krwi wrzaskami. Nie pozwalając sobie na myślenie, chwyciła strzelbę leżącą na ziemi obok martwego Apacza, wdrapała się na stromą ścianę i schowała za wystającą skałkę, która oferowała przynajmniej iluzję bezpieczeństwa.

Dziwnie spokojna, wypaliła w stronę nacierających Indian, posyłając dwóch do krainy duchów. Napastnicy rozproszyli się, zatrzymali i zagulgotali pomiędzy sobą jak indyki. Maxie pomyślała, że musi przedstawiać niezły widok, pokryta mąką i usmarowana krwią ze skaleczeń i zadrapań. Przez krótki moment miała nadzieję, że wystarczająco przypomina jednego ze złych indiańskich duchów, by ich przestraszyć, ale nadzieja zgasła, gdy wojownicy ponownie ruszyli w jej stronę. Konni Apacze wracali, wyraźnie przedkładając łatwą zdobycz pozostałą w kanionie nad podstawianie się pod strzały na otwartej przestrzeni. A Maxie nie miała już amumcII.

Nigdy nie przypuszczała, że Umrze w ten sposób.

Myślała, że może być powieszona, zastrzelona, albo nawet - jeżeli będzie nieuważna i głupia - ugryziona przez węży; ale to, że zostanie skatowana przez stado wrzeszczących Apaczów, nigdy nie wydawało się jej możliwe. Dużo ludzi na tych terenach spotkał taki właśnie koniec, ale ona nigdy nie wyobrażała sobie, że może stać się jedną z nich.

Czas wydawał się biec wolniej, a jej ojciec, Blackjack, Brudny Jim, Hilda, Elsa; Medina, a nawet Jake przesuwali się w jej myślach, jakby się z nią żegnając. Twarze migały, a ta, która pozostała na końcu, należała do Aarona Huntera. Patrzył na nią nieodgadnionymi czarnymi oczami, półuśmiezek wygiął jego usta - te piękne usta, które Maxie prawie czuła ponownie na swych wargach ...

Samson Hendricks wysunął się do przodu i chwycił uzdę prowadzącego muła, szarpiąc jego głowę na bok, by pozbawić go równowagi. Zwierzę potknęło się, odzyskało równowagę i przeszło do kłusa, potem do stępa. Muł oddychał ciężko i wydmuchiwał z charkotem powietrze przez szeroko rozwarte chrapy, gdy Medina zesza z kozła, by rozplątać lejce.

- Nie trzeba się więcej martwić zaprzęgiem - powiedział jej Hendricks. - Zwierzęta są skonane.

- Musimy je zawrócić - oświadczyła Medina. - Aleta tam została. O słodki Jezu, Aleta!

- Nie, Ma'am. Nie możesz wracać tą drogą. Nic nie możemy zrobić dla tej małej dziewczuszki, bo te

diabły siądą nam z powrotem na karku, jeżeli damy im szansę. Straciliśmy już Leo, Eda i małą Maxie. Nie ma sensu, by zginął jeszcze ktoś.

Inni mężczyźni przytaknęli. Ich konie, podobnie jak muły, były pokryte pianą i ciężko oddychały.

- Cóż, z całą pewnością nie mam zamiaru zostawić tam Alety bez jakiegokolwiek próby ratowania jej! - Medina popatrzyła na Elbę, szukając wsparcia, ale ta siedziała z kamienną twarzą, z oczami utkwionymi w dali, bez wyrazu.

- La Dona - powiedział Hendricks łagodnie. - Ona już nie żyje. Niech spoczywa w spokoju. Dla niej to już koniec.

- Tego nie wiesz! - Medina prawie krzyczała. - Oni mogli ... mogli ...

- Pojadę z powrotem i zobaczę, co mogę zrobić - zdecydował. - Pani i panna Herrmann odjeżdżacie. Teraz. Ramon - odwrócił się do mężczyzny stojącego obok. - Ty i chłopcy bierzecie panią Kelley do domu.

Hendricks popatrzył, by się upewnić, że Medina zawróciła zaprzęg w stronę Agua Lindy, potem puścił konia galopem z powrotem w stronę kanionu. Z gotową strzelbą zanurzył się w głębokim cieniu ścian wąwozu i wjechał w zasięg wzroku Apaczów. Niech będą przeklęci! Wciąż tam byli, a pomiędzy nimi błyskała jasna czerwień sukienki Maxie. Leżała na ziemi, miękka jak szmaciana lalka i Hendricks z ulgą pomyślał, że była martwa, wolna od cierpień, jakiegokolwiek chcieliby jej zadać Indianie.

Wojownicy dosiadali koni, ale jeden wciąż stał nad Maxie, wpatrując się w nią. Gwałtownie podniósł ją, i Hendricks zauważył, jak pięść dziewczyny podnosi się i opada w daremnej próbie odepchnięcia Indianina.

Niech to szlag! Ona wciąż żyła. Żołądek skurczył mu się na myśl, co te diabły jej zrobią. Zrezygnowany uniósł strzelbę, myśląc, że szybka śmierć będzie dla niej wybawieniem. Apacze mogą go ściagać, ale uratowanie dziewczyny od tortur warte było ryzyka. Dokładnie w momencie, gdy Hendricks dotykał spustu, wojownik przerzucił Maxie przez swego konia i zawrócił. Maxie na moment znikła z pola widzenia Hendricksa. Zanim poganiacz mógł ponownie wycelować, Apacz i jego zdobycz zniknęli za zakrętem kanionu.

Obozowisko Apaczów było zlokalizowane dużo dalej, w kanionie, który przywiódł Maxie na myśl bramę piekła. Przytomność wróciła jej na moment przed tym, gdy Indianie dokonywali triumfalnego wjazdu do swego obozu. Ich kuce galopowały, wojownicy wrzeszczeli, obwieszczając zwycięstwo. Maxie odbijała się od konia swego zdobywcy, jej wyczerpane ciało podtrzymywane było przez brązowe, muskularne ramie otaczające ją w pasie.

Umysł Maxie tkwił w kompletnym pomieszaniu, co potęgował także fakt, że jej biedna głowa podskakiwała przy każdym kroku kuca. Mętnie pamiętała, że Apacze byli zdziwieni jej dzikością. Hunter byłby dumny, widząc, jak walczyła. Przypomniała sobie, jak próbowała dźgnąć przynajmniej jednego wojownika jego własnym nożem, a potem skierowała broń przeciwko sobie. Z całą pewnością jednak jej próba odejścia szybką, czystą śmiercią nie powiodła się, ponieważ wciąż żyła.

Oddział wojowników zatrzymał się tak gwałtownie, że chmury piasku i kurzu wydobyły się spod końskich kopyt. Kobiety, dzieci, starcy i szczekające psy otoczyły wracających. Maxie zastanawiała się, czy zdoła sięgnąć do tyłu i wyciągnąć nóż zza pasa swego zwycięzcy. Ale zanim zdążyła coś zrobić, on zeskoczył gwałtownie z konia, pociągając ją za sobą. Maxie została natychmiast otoczona kobietami, które wyglądały tak samo dziko jak ich mężczyźni.

Jedna ze starszych kobiet wygłosiła coś do wojownika, który wciąż trzymał Maxie mocno w pasie. Wprawdzie potrafiła mówić trochę językiem Apaczów - była to pozostałość po Metysie Johnie, który kilka lat temu mieszkał w Stronghold - ale ci ludzie mówili o wiele za szybko, by mogła cokolwiek zrozumieć. Jednak tych kilka słów, które udało jej się uchwycić" pozwoliło jej pojąć, że kobieta z pewnością nie planuje dla niej nic dobrego. Jej zwycięzca chrząknął, co brzmiało jak komenda, i kobieta, po wypłuciu w kierunku Maxie kilku złorzeczających słów, z godnością odeszła do zgromadzonych dookoła swych sióstr Apaczek\

- Oni chcą cię torturować, biała kobieto - Maxie podskoczyła zaskoczona, gdy Apacz zwrócił się do

niej gardłową angielszczyzną. - Brat Małego Ptaka został zabity pięć miesięcy temu podczas napadu na hacjendę Grzmiącej Twarzy. Ona chce wziąć odwet.

Lokalne bandy Apaczów ochrzcili Pete'a Kelleya mianem Grzmiącej Twarzy. Maxie o tym wiedziała. Trzeba mieć jej pecha, żeby dostać się w łapy akurat tej bandy, która miała osobiste porachunki z Kelleyem. Próbowwała się nie wzdrygnąć, gdy wojownik uwolnił jej kibić i odwrócił ją dookoła. Jego oczy badały ją od stóp do głów.

Wyciągnął rękę i pomacał jej ramię.

- Trzymaj swoje brudne łapy przy sobie, ty zjadaczu psów.

Apacz roześmiał się, potem chwycił ją za ramiona i ugniatał je, jakby chcąc ocenić ilość mięsa na kościach.

- Jesteś silną kobietą - powiedział, wciąż się śmiejąc. - Małą, ale silną. Myślę, że będziesz bardziej użyteczna jako niewolnica, niż pod nożem Małego Ptaka.

Niewolnica! O, Panie! Wiedziała, co działo się z kobietami, które były niewolnicami Indian! Słyszała te żalosne historie. Na pewno będzie chciał ją zgwałcić!

- Nie będę jedną z twoich kobiet, ty śmierdzący dzikusie! Jeżeli położysz na mnie łapę - albo cokolwiek innego - znajdę sposób, żeby ci to obciąć! Przysięgam! Ja nie jestem ...

Jego szydery śmiech przerwał jej w pół słowa:

- Po co miałbym chcieć *pindah*, w dodatku białą? Ja mam już za dużo kobiet.

Chrząknął na widok naglej ulgi na twarzy Maxie. - Mężczyzna nie zmusza kobiety, by rozłożyła nogi, jeżeli nie chce stracić szczęścia. Lepiej, jeżeli będziesz służyć jako niewolnica moim żonom. Może nie będą wtedy tak narzekać.

Przez następne dni Maxie poznawała uroki życia w indiańskiej niewoli. Zawsze myślała, że Elsa i Medina były surowymi nadzorczykami, ale nie wytrzymały one porównania z dwoma żonami jej zwycięzcy, który, jak się dowiedziała, miał na imię Noches.

Młodsza żona była bardziej tolerancyjna. Miała na imię Biegnąca Kobieta i była na tyle młoda, że od czasu do czasu dostawała napadów nieopanowanego chichotania. Z niemowlęciem przy piersi i pędrakiem wiszącym u spódnicy nie miała zbyt wiele czasu na wymyślanie złośliwości skierowanych przeciwko nowej niewolnicy.

Ale starsza żona miała czas, by obrzydzać Maxie życie. Nazywano ją Obciętym Nosem. Maxie wiedziała, że okaleczenie, które czyniło ją tak brzydką, było karą stosowaną przez Apaczów za cudzołóstwo. Jak brzmiało prawdziwe imię kobiety, Maxie nie wiedziała. Jakiegokolwiek by nie było, musiało mieć coś wspólnego ze zjadliwością.

Podczas pierwszej nocy w obozie Obcięty Nos zbiła Maxie mimozowym prętem za to, że dziewczyna nie potrafiła rozniecić ognia pocierając gałązką o gałąź. Podczas gdy Noches i jego rodzina jedli posiłek składający się z antylopy, pieczonej juki i owoców sumaka w miodzie, Maxie nie jadła nic. Była przywiązana do tworzącego zadaszanie pala, stojącego tuż przy wigwamie. Tam też spędziła chłodną noc.

Następnego dnia Maxie nauczyła się od Biegnącej Kobiety, jak naprawiać wigwam, który, zrobiony był wyłącznie z gałęzi i skór ułożonych na wykrzywionych młodych drzewkach. Udało jej się rozniecić ogień - witka Obciętego Nosa była znakomitym dopingiem do szybkiej nauki - zrobiła gulasz z gotowanych leśnych szczurów, wiewiórek i dzikiej cebuli, obdarła ze skóry pięć królików, pomogła Biegnącej Kobiecie zemleć na mąkę wysuszone orzechy pinii i przyniosła wystarczająco dużo wody, by zatopić w niej cały obóz - tak się przynajmniej jej wydawało. Zjadła trochę rzadkiego gulaszu ze szczurów, a potem zapadła w sen w cieniu zadaszania przywiązana do pala.

Trzeciego dnia Maxie była na tyle zdeterminowana, że postanowiła uciec. Gdyby została dłużej, wykończyłaby się, zagłodziliby ją, lub - jeżeli Obcięty Nos trzymałaby się swoich metod - zamieniłaby się w bezużyteczną, krwawą miazgę. Starsza żona Nochesa policzkowała ją, okładała pięściami i smagała przy najlżejszym wykroczeniu. Maxie bała się, że jeżeli szybko nie ucieknie, gotowa jest stracić cierpliwość i poczęstować starą wiedźmę tym, na co zasługuje.

Pod koniec trzeciego dnia pracy - noszenia drewna i wody, skórowania jelenia, gonienia za dziećmi Biegnącej Kobiety - Maxie była tak wyczerpana, że czuła się chora. Nie miała wystarczająco dużo energii, by splunąć, a co dopiero, by uciekać.

Czekała, aż księżyc zaszedł za skały i tylko delikatne światło gwiazd rozjaśniało noc. Niewielka grupa indiańskich wigwamów była ledwo widoczna na tle ciemnej skały kanionu. Jedyнным słyszalnym dźwiękiem było parskanie i sapanie kuców, spętanych i skubiących rzadką pustynną trawę. Nawet psy spały, a strażnicy byli ustawieni zbyt daleko w głębi kanionu, by zauważyć bezszelestne wykradanie się niewolnicy.

Wyzwolenie się z więzów nie było problemem. Jej łoże obfitowało w ostre kamienie. Obcięty Nos widocznie uważała białą dziewczynę za zbyt głupią, żeby mogła je wykorzystać. Maxie przekradła się cichuteńko obok wigwamu, zastanawiając się, czy 'powinna wziąć konia i zwrócić na siebie uwagę, czy też próbować przebyć pustynię na piechotę. Nie miała żadnych zapasów, oprócz małego bukłaczka z wodą i kilku pasków suszonego mięsa, które schowała pod spódnicą - niewiele, jeżeli zważyć, że mogła nie spotkać żadnej pomocy przez dobrych parę dni.

Nie umarłaby z pragnienia; знаła sposób Apaczów polegający na wysysaniu wilgoci z barylkwatych kaktusów. Ale mogła umrzeć z głodu. Niezbyt przyjemna perspektywa, ale biorąc wszystko pod uwagę, śmierć z głodu była prawdopodobnie lepszym losem od pozostawania w indiańskiej niewoli.

Maxie wahała się przez chwilę, potem zdecydowała, że jedyną szansą na niezauważoną ucieczkę była próba wymknięcia się na piechotę. Ruszyła w prawo, poza krąg wigwamów, w kierunku grupy pini stanowiących ciemną plamę na tle ściany wąwozu. Nie mogła prawie uwierzyć, jak łatwo było to osiągnąć. Skoro udało się jej dotrzeć do ściany wąwozu, podąży wzdłuż niej aż na otwartą przestrzeń, a gdy słońce wzejdzie, powinna znaleźć się daleko poza zasięgiem wzroku indiańskich strażników. Stara Obcięty Nos będzie sobie musiała znaleźć kogoś innego, by obsypywać go obelgami.

- Gdzie idziesz, niewolnico Nochesa?

Maxie omal nie wyskoczyła ze skóry. Głęboki męski głos był jak pozbawiony ciała krzyk w ciemności.

Obok niej pojawił się mężczyzna, jakby materializując się z ciemnej nicości nocy. Był młody, dobrze zbudowany i prawie nagi. Jego jedyną odzież stanowiła przepaska, zwisająca z przodu do kolan, a z tyłu prawie do kostek. Łydki Indianina pokrywały buty z jeleniej skóry, zawiązane tuż pod kolanami. Szorstkie czarne włosy sięgały poniżej ramion i otaczały twarz o orlich rysach i czarnych oczach, które błyszczały nawet w świetle gwiazd.

Maxie nie miała problemów z rozpoznaniem go.

Ch oto, Biegająca Kobieta powiedziała, że tak ma na imię. Wpatrywał się w nią przez minione trzy dni do tego stopnia, że młodsza żona Nochesa zrobiła na ten temat uwagę.

Nieśmiały uśmiech pojawił się na jego twarzy. Maxie nie sądziła, że Apacze umieją się uśmiechać, ale to był zdecydowanie uśmiech, nawet, jeżeli było w nim coś złowieszczonego.

- Nie sądzę, że powinnaś tu być, niewolnico Nochesa - mówił Choto powoli swym gardłowym językiem, robiąc przerwy, by upewnić się, że rozumiała.

- Ja ... ja odeszłam na bok, żeby zrobić siusiu.

Niech to diabli! Teraz naprawdę jej się zachciało! . Nie mogła wymyślić lepszego kłamstwa?

Choto złapał ją za nadgarstek, gdzie wciąż znajdował się przetrzynięty kawałek liny, którym była przywiązana do pala. Jego twarz była wystarczająco blisko, by Maxie mogła zauważyć, jak z niedowierzaniem unosi w górę brwi.

- Uch ... - próbowała znaleźć wytłumaczenie, ale wydawało się to tak samo trudne do wypowiedzenia po indiańsku, jak po angielsku.

Ręka Choto zacisnęła się mocniej dookoła jej nadgarstka, gdy przyciągnął ją do siebie.

- Nie powinnaś próbować uciekać, mała niewolnico. Niedługo już nie będziesz niewolnicą.

Maxie próbowała się odsunąć, ale on przyciskał ją jeszcze mocniej. Jego stwardniała męskość natarczywie wciskała się w jej brzuch na wysokości żołądka. Co Noches jej powiedział? Zniewolenie branki powoduje, że wojownik Apaczów traci szczęście? A może Choto nie dbał o swoje przeklęte szczęście!

- Nie rób hałasu, mała niewolnico, albo Noches dowie się, że uciekłaś.

Jego zęby - zaskakująco mocne i białe - błysnęły w ciemności, gdy się uśmiechnął. Ręka Indianina



bląkała się po omacku i wślizgnęła się w końcu pomiędzy jej uda. Maxie wyrywała się, ale nie odważyła się szarpać zbyt gwałtownie, ze strachu, że obudzi całe obozowisko.

- Zabierz łapy, ty pełzający synu węża! Choto jedynie, przyjaźnie się roześmiał.

- Nie, mała niewolnico. Lubię, jak moja ręka czuje twoją kobiecość. Wkrótce kupię cię od Nochesa i uczynię swoją żoną, a potem będę cię dosiadał, jak ogier swą klacz. Dotknij mojej wielkiej dzidy, mała niewolnico. Jest wielka, jak dzida ogiera, a ty będziesz płakać z rozkoszy, jak ją w ciebie wbiję. Będziesz zadowolona, że nie uciekłaś.

- A gównu! - krzyknęła Maxie z furją. Zapominając o ryzyku podniosła gwałtownie kolano w kierunku organu, który był powodem takiej dumy Choto. Indianin przyjął uderzenie na swoje muskularne udo, potem zaśmiał się i przytrzymał ją przed sobą.

- Nie jesteś taka jak inne białe kobiety. To dobrze. Jesteś silna. Twoje oczy błyszczą duchem.

- Nie jestem przeklętą białą kobietą! - skorygowała Maxie. - Jestem Meksykanką!

- Masz oczy jak niebo i skórę jak jasny miód. Jesteś białą kobietą, ale dzielną i twardą jak kobiety Apaczów. Jesteś kobietą, która pasuje na towarzyszkę dla wojownika Apaczów.

Choto zaśmiał się na widok wyrazu jej twarzy. Maxie nigdy nie widziała tak przekłęcie szczęśliwego Apacza.

- Teraz warczyc i prychasz, kobieto, ale wkrótce, gdy będziesz moja i będę cię miał pod sobą, będziesz jęczeć, skamleć i dyszeć jak grzejąca się suka. Będzie nam razem dobrze. Teraz chodź. Noches nie powinien odkryć, że próbowałaś uciekać, bo inaczej każe swojej żonie bić cię, aż Ulllizesz. A wtedy nie będę miał z ciebie żadnego pożytku.

- Puść mnie - zażądała, gdy chwycił ją za ramię.

- Szybko nauczysz się posłuszeństwa - obiecał jej łagodnym tonem.

Choto ściągnął linę ze swojego własnego wigwamu, żeby ponownie przywiązać ją do ogrodzenia Nochesa. Była z -powrotem tam, skąd uciekła, wyczerpana, zniechęcona, wciąż w więzieniu, a w dodatku pozbawiona nocnego wypoczynku. Niech to diabli! Gdzie był Aaron Hunter, gdy ona go potrzebowała? On był tak dobry w niszczeniu ludzkich domów. Dlaczego nie wjedzie tu, siejąc spustoszenie i nie wyprowadzi jej, jak to już raz kiedyś zrobił?

W czasie, gdy Choto odchodził, przypomniałszy jej jeszcze raz o igraszkach, które będą przeżywać, gdy tylko ona zostanie jego żoną, niebo bladło w oczekiwaniu świtu. Wkrótce Biegnąca Kobieta wyjdzie, by ją obudzić do mazołów i bólu kolejnego dnia. Maxie zdała sobie sprawę, że Hunter nie ma szans, by ją odnaleźć, nawet jeżeli spróbuje, w co wątpiła. Pewnie słysząc o jej porwaniu, powiedział sobie: "Bogu dzięki, nigdy już jej nie zobaczę".

Jej serce skurczyło się na tę myśl i Maxie skarciła samą siebie. Miała wystarczająco dużo kłopotów bez myślenia na sposób trzęsącej się kobietki o uwolnieniu jej przez bohatera. Hunter nie był bohaterem. Nawet, jeżeli mu na niej zależało - a tak nie było - nie był przecież na tyle głupi, żeby porwać się na Apaczów dla uwolnienia kobiety. Nawet jeżeli myślał o niej jak o kobiecie, w co także wątpiła.

Maxie Kaktus świetnie poradzi sobie sama. Apacze, biorąc ją do niewoli, ugryźli więcej, niż byli w stanie przełknąć. Ona im pokaże, że córka Harrisona Maxwella jest twardsza, sprytniejsza i o niebo mądrzejsza, niż kiedykolwiek jakikolwiek Indianin.

Maxie leżała na ziemi, podkuliwszy kolana. Jaka by nie była twarda, sprytna i myśląca, nie mogła powstrzymać spływających po jej policzkach łez małej, opuszczonej dziewczynki.

## **Rozdział 9**

- Ta dziewczyna ma charakter - przyznał Pete Kelley. - Muszę jej to przyznać. Jediną kobietą z takim charakterem poza nią jest Medina, tylko, że Dina jest nieco spokojniejsza.

Aaron spojrział w górę z miejsca, gdzie przykucnął, badając ślady na piasku.

\_ Trzeba nie tylko charakteru, żeby przetrzymać Apaczów - powiedział posepnie.

Pete podrapał się po karku i odgonił muchy bzyzące koło uszu konia: - Trzeba mieć jeszcze kupę szczęścia i wszystkich świętych po swojej stronie. Gdy odjechali, ona wciąż żyła, jak powiedział Sam, a to oznacza, że mają zamiar zrobić z niej niewolnicę albo chcą czekać do jakiejś uroczystości, by ją zabić.

Aaron podniósł się i otrzepał ręce o dzinsy: - Ten ślad pozostawiły indiańskie nie podkute kuce. Ale to jest pierwszy ślad, który zauważyliśmy w obrębie pół mili, a w okolicy jest wystarczająco dużo Apaczów jeżdżących na nie podkutych koniach. Ten trop może pochodzić od jakiejś innej grupy albo, jeżeli ślad zostawiła ta banda, która wzięła Maxie, mogła potem równie dobrze zniknąć w jednym z tych przeklętych kanionów.

Z rozpaczą potoczył wzrokiem dookoła - poszarpane góry kryjące tysiące kanionów, skalisty teren, po którym mogła przem'aszerować armia nie pozostawiwszy ani śladu.

- Nie znajdziemy jej dzisiaj, chłopcze - powiedział Pete. Musimy wracać.

W głosie Pete'a pojawiła się nuta sympatii. Tylko nuta, ale to wystarczyło, żeby Aaron zorientował się, że Pete uważa Maxie za martwą. Wszyscy sądzili, że Maxie nie żyje - albo mieli nadzieję, że tak jest, dla jej własnego dobra. Medina będzie boleć przez jakiś czas, może nawet twardy Pete poczuje przelotny ból, ale większość z tych, którzy znali tego małego diabełka, pogodzi się z tragedią. Na terytorium Arizony przyzwyczajono się do tracenia ludzi i dobytku na rzecz Apaczów, upału, węży i morderczej pustyni. Pete wiedział o tym lepiej niż ktokolwiek inny. Znajdował się na tym terenie już przed 1948 rokiem, kiedy to Stany Zjednoczone zdobyły tę krainę. Przez te wszystkie lata Apacze odebrali mu dwa rancza i syna, a pierwszą żonę zabił morderczy upał. Aaron również stracił wszystko co miał - albo o czym marzył - przez Apaczów i bandytów. Teraz powinien już być przyzwyczajony do gorzkiej prawdy, mówiącej, że ten kraj, jeżeli tylko da mu się choć połowę szansy, odbierze człowiekowi wszystko, co ten uważa za drogie.

Ale Maxie! Mocny Boże! Dlaczego to musiała być ona? Na myśl o małej Maxie w rękach Apaczów chciało mu się lamentować na cały głos. Różne momenty z jej życia wyświeślały się w jego myślach. Krętowłosa dziesięciolatka - a może dziewięciolatka - która miała zwyczaj wpadania w kłopoty, jak świnia w błoto. Niebieskooka, gorąckrwista dziewczyna, której pięść zrobiła mu kaszę z wnętrzości, nie wspominając o kolanie siejącym spustoszenie w innej, bardziej intymnej części jego ciała. Oburzona Wenus wyłaniająca się z wód rzeki Santa Cruz. Zmieszany i osobliwie kruchy cel złośliwych języków gdakających kwok z Motherlode. Boże! Jak słodkie były jej usta. Jak dobrze jej drobne ciało dopasowywało się do jego ciała. A teraz ... !

- Ona jest twardą dziewczuszką - powiedział Pete, przerywając tok jego myśli. - Jeżeli dziś jest żywa, będzie prawdopodobnie żywa jutro, czy za tydzień. Jeżeli nie ... Ja cię nie winię, że się w niej podkochujesz, chłopcze, ale nie może ci to odebrać rozumu.

Aaron patrzył, jak Pete wskakuje na konia.

- Ja się w niej nie podkochuję. Ty wiesz najlepiej ze wszystkich, że nie potrzebuję uzbrojonej, niechlujnej dziewczyny pochodzącej z tamtej strony prawa, przypominającej mi o mojej własnej przeszłości. Jestem po prostu za Maxie odpowiedzialny, mam dług wobec niej.

Ale głos Aarona załamał się, wypowiadając imię Maxie. Hunter wiedział, że ani na minutę nie udało mu się oszukać Pete'a, który odpowiedział pełnym sympatii przytaknięciem.

Gdy zawracali konie w stronę Agua Lindy, zachód słońca malował niebo na kolor krwi.

Maxie postawiła na moment swoje brzemie i zatrzymała się, by spojrzeć na to samo oślepiająco czerwone słońce. Nie była specjalnie skłonna do podziwiania takich widoków - już dawno minęła punkt, w którym jeszcze miała energię na docenianie czegokolwiek innego poza snem - ale ramiona jej opadły, jakby były wyrwane ze stawów, a ona jedynie potrzebowała wytłumaczenia dla chwili odpoczynku. Jeżeli będzie musiała przynieść więcej bukłaków wody z potoku, jej ręce wydłużą się aż do ziemi.

Jej towarzyszka niedoli podeszła mozolnie i za przykładem Maxie postawiła bukłaki na ziemi. Młoda dziewczyna o ściągniętej, kanciastej twarzy posłała Maxie zmęczony uśmiech.

- Ciężki dzień, co? - zapytała Maxie. Wiedziała, że nie usłyszy odpowiedzi. Loco nigdy się do nikogo nie odzywała. Maxie próbowała zarówno języka Apaczów, jak i angielskiego. Żaden nie skłaniał dziewczyny do udzielenia jakiegokolwiek innej odpowiedzi poza potaknięciem, czy uśmiechem.

- Mam nadzieję, że ci ludzie nie będą tego robić zbyt często - kontynuowała Maxie. - Nie sądzę, żebym przeżyła jeszcze jeden taki dzień.

Obozowisko wyruszało tego dnia w drogę. Maxie na długo przed świtem została poderwana ze swego twardego łoża do pomocy przy pakowaniu. Musiała rozłożyć wigwam, zawinąć w tobołki zapasy pożywienia i osobiste rzeczy olm swoich pań, pomagać przy zmiataniu ostatnich śladów obozu na starym miejscu, a potem przeciągnąć łpdunek skór i pali do budowy wigwamu na nowe miejsce, odległe o dziesięć godzin marszu od poprzedniego.

Gdy przybyli, żony Nochesa nie pozwoliły jej odpocząć. Pomagała w ustawianiu nowego wigwamu, łącząc pręty jelenimi ścięgami, a potem przeszukując okolicę i wynajdując w niej drewniane pręty odpowiednie do przeplatania pomiędzy palami. Teraz ona i Loco musiały nosić wodę do gotowania, mycia i picia - a niewielki strumyczek, będący jedynym źródłem wody, znajdował się sto jardów dalej, w głębi kanionu.

- Chyba lepiej, żebyśmy już się ruszyły - westchnęła Maxie - albo ta stara Obcięty Nos połamie kij na naszych grzbietach, a przynajmniej na moim.

Loco pracowała razem z Maxie przez cały dzień i Maxie bardziej żał było młodszej dziewczyny, niż siebie. Ten dzieciak nie mógł mieć więcej niż jedenaście, dwanaście lat, a pracować musiał ciężiej od jakiegokolwiek dojrzałej kobiety w całej tej bandzie. Loco była zawsze przeznaczana do najmniej przyjemnych kobiecych robót i od czasu do czasu pracowała razem z Maxie. Powód takiego traktowania dziewczyny nie był tajemnicą - gęstwina włosów zawiązana na wysokości chudej szyi miała kolor nie czarny, a brudnobrazowy, co oznaczało, że Loco była białym dzieckiem.

Nie wydawała się być więźniem, ale nie była także traktowana jak pełnoprawny członek grupy. Maxie przypuszczała, że dziewczynka została przez grupę formalnie adoptowana, ale jasne włosy i niemota powodowały jej częściowe odrzucenie.

Przelały zawartość bukłaków do dużego, uwitego z trawy naczynia, pokrytego od wewnątrz i od zewnątrz żywicą, potem ruszyły z powrotem w stronę strumienia. Maxie zaczynała myśleć, że to przeklęte naczynie było 'pozbawione dna. Ona i Loco wykonały już cztery rundy, a jeżeli naczynie nie zostanie wypełnione po tej ostatniej, Maxie będzie wystarczająco wściekła, żeby wziąć bukłak i wcisnąć go Obciętemu Nosowi na uszy. Zdecydowanie poprawiłoby to wygląd Indianki.

Krople wody wypływały z urwistej ściany i rzeźbiły w skale omszałą ścieżkę. Maxie przykucnęła obok wzdychając ze znużenia. Bukłak napelniał się powoli - zbyt powoli, biorąc pod uwagę, jak zdrętwiałe i obolałe były nogi Maxie. Nie był jeszcze wypełniony do połowy, gdy do Maxie dotarł jakiś głos.

- Ty chodź! - wydawało się, że Biegnąca Kobieta zmaterializowała się w powietrzu podchodząc cicho sposobem, jaki znali tylko Apacze. - Wkrótce będzie ciemno. Obcięty'Nos nie chce ciebie mieć z dala od siebie, gdy jest ciemno.

- I przypuszczam, że Obcięty Nos ma zamiar przytargać resztę wody? - prychnęła Maxie.

Biegnąca Kobieta zachmurzyła się, ale Maxie nie zwracała na to uwagi. Jak na Apaczkę, młodsza żona Nochesa była naprawdę niegroźna - oznaczało to, że, zniecierpliwiona, była raczej skłonna smagać swą nieszczęsną niewolnicę słowami, ale nie witką. Znajomość dialektu Apaczów poprawiła się u Maxie do tego stopnia, że dziewczyna była w stanie zrozumieć każde słowo jadowej krytyki wypowiediane przez Biegnącą

Kobietę.

- Zamknij swoje kłapiące usta, niewolnico, albo powiem mężowi, żeby naostrzył sobie kolana na twoich kościach. Ty rób co ja mówię.

Tylko jeden bukłak był napelniony. Naczynie w obozie będzie pustawę. Nie będzie wody do mycia dziś wieczorem.

Gdy Maxie zawiązała górne ścianki bukłaka i zarzucała go sobie na ramię, Biegnąca Kobieta rzuciła jej chytry uśmiech: - Choto przychodzi do wigwamu Nochesa dziś po południu.

Maxie nie odpowiedziała, udając obojętność. Choco był młodym samcem, który udaremnił jej ucieczkę. Przychodził teraz, by donieść Nochesowi o jej złym zachowaniu?

- Ofiarowuje za ciebie dwa dobre kuce - kontynuowała Biegnąca Kobieta. - On chce ciebie za swoją drugą żonę.

- On co? - Maxie nie mogła złapać tchu. Biegnąca Kobieta uśmiechnęła się widząc reakcję Maxie. - Pierwsza żona Choco umarła na brzydką chorobę białego człowieka. On wziął jej siostrę, jak

powinien zrobić dobry mężczyzna. Ale ona jest leniwa i oprócz tego brzydka. Chocoby chce I innej żony, żeby grzała w nocy jego łóżko. On chce ciebie - przerwała, uśmiechając się złośliwie. - ~le mój mąż odmówił.

Jeżeli Biegająca Kobieta przypuszczała, że odmowa Nochesa załamie Maxie, gorzko się rozczarowała. Twarz dziewczyny pozostała nieruchoma. Ale wewnątrz niej się gotowało.

Kto by przypuszczał, że ten diabelski czerwonoskóry poważnie mówił o małżeństwie? Była pewna, że cała ta gadanina o jej kobiecych przymiotach to jedynie bzdury, mające na celu skłonienie jej do miłosnych igraszek. Ale jeżeli on naprawdę chciał zrobić z niej coś w rodzaju *squaw*, była w nielichych tarapatach.

- Nie sądzisz chyba, że Noches zmieni zdanie, prawda? - zapytała niespokojna Biegająca Kobieta. Indianka rzuciła jej ukośne, wyniosłe spojrzenie:

- Noches nie pozwoli ci zostać żoną Choto. Wygrał cię w walce i dał cię nam, Obciętemu Nosowi i mnie. My ci nie pozwolimy odejść.

Maxie westchnęła z ulgą, co wywołało zdziwione zmarszczenie brwi zarówno u Biegającej Kobiety, jak i u Loco. Noches nie pozwoli jej odejść. Plus dla niego, Obciętego Nosa i Biegającej Kobiety.

Gdy przybyły do wigwamu Nochesa, ogień już się palił, podtrzymywany przez kwaśno wyglądającą Obcięty Nos. Stara uderzyła Maxie żarzącą się głownią, której używała do grzebania w ognisku.

- Idź i przynieś drewno - zakomenderowała.

Drewno zebrane wcześniej dla całego obozu leżało w stosie po drugiej stronie obozu, 150 stóp dalej.

- Przynieś tyle, żeby wystarczyło na noc - dodała Obcięty Nos.

Maxie westchnęła. To będzie przynajmniej pięć albo sześć kursów, a ona była taka zmęczona. Loco poszła za nią bez polecenia.

- Nie musisz mi pomagać - powiedziała do niej Maxie. - Wracaj do swojego wigwamu i zjedz obiad.

Loco uśmiechnęła się tylko i potrząsnęła przecząco głową. Poszły razem do sterty drewna i zaczęły układać w stosy ładunek na ramionach. Przez cały czas Loco przyglądała się Maxie ze szczerą ciekawością. Maxie wiedziała dokładnie, o czym dziewczynka myśli.

- Co? - powiedziała szorstko. - Myślisz, że powinnam skakać z radości, że ten wielki samiec chciał mnie kupić? Powiem ci, Loco, ty i twoi czerwonoskórzy przyjaciele mogą sobie myśleć, że Choto jest ucieleśnieniem snów każdej dziewczyny, ale ja nie zamierzam zmarnować mojego życia w jakimś wigwamie na środku pustyni. Mam ciekawsze plany.

Loco potrząsnęła z niedowierzaniem głową, gdy, niosły pierwszy transport z powrotem do ogniska Obciętego Nosa. Maxie zręcznie uniknęła szturchnięcia 165 rozpalonym kijem, którym Obcięty Nos poganiała ją do większego pośpiechu.

- W porządku - kontynuowała Maxie, gdy szły ponownie do kupy drewna. - On może całkiem nieźle wyglądać jak na Apacza. I przypuszczam, że jest całkiem przyzwoity. Mógłby mnie wpakować w nieźle kłopoty, mówiąc Nochesowi o moim małym spacerku w ciemności. Ale prawdę mówiąc, dziecko, ja jestem związana z innym mężczyzną i nie mam zamiaru tego zmieniać.

Wędrowała, opowiadając swej milczącej towarzyszce o Hunterze - o tym, jak uratowała mu życie mając zaledwie dziesięć lat i jak on wywłókł ją z domu rodzinnego osiem lat później. Przerywała swą historię w każdym momencie, gdy docierały w zasięg ostrego spojrzenia Obciętego Nosa. W miarę zagłębiania się w opowiadaniu coraz bardziej ponosiła ją fantazja.

- On tylko chciał mi pomóc - tłumaczyła Loco.

- Hunter jest zwariowany na moim punkcie. Nawet, gdybym mu nie pomogła, osłaniając ogniem jego ucieczkę po tym napadzie na kopalnię, gdy byłam tylko dzieckiem, tak samo by wariował.

Maxie nie uważała, by lekkie przerysowanie odegranej przez nią roli mogło komukolwiek zaszkodzić.

- Ostatni raz widziałam go na spotkaniu towarzyskim, wiesz, na tańcach - jej głos zniżył się do konfidenckiego szeptu, gdy obie łądowały drewno na ramiona. - Całował mnie, jakby w ten

sposób chciał mi wszystko powiedzieć. Mówił mi, że mnie kocha i, że każda inna kobieta wygląda w porównaniu

ze mną jak zwiędły kwiat. On używa takiego eleganckiego języka.

Ośmielona uśmiechem Loco, kontynuowała.

- Hunter ma ramiona o wiele szersze niż Choto - obwieściła radośnie. - Jest przystojniejszy i strzela tak szybko, że był wodzem podczas wojny.

Maxie nie była pewna, czy szeryf małego miasteczka był równy wodzowi plemienia, ale pomyślała, że tytuł ten powinien wyrzeźwić wrażenie.

W przypadku Loco odniosło to pożądany skutek.

- Mamy zamiar się pobrać. Hunter zbuduje dla mnie dom nad rzeką, gdzie będziemy wypasać bydło i trzymać świnię - dokładnie tak jak Żelazny Pete ... uch ... Grzmiąca Twarz. Hunter nie pozwoli, żeby mi się cokolwiek przydarzyło. Ci Apacze powinni być szczęśliwi, jeżeli on tu nie przyjedzie i nie spędzi ich wszystkich do zagrody, dokładnie, jak to zrobił w Stronghold.

Gdy wracały z powrotem z ładunkami drewna, Maxie zdała sobie sprawę z tego, co powiedziała. Czując, że świat chwieje się jej pod nogami, musiała przyznać, że historia opowiadana Loco nie była tak całkiem wymyślona. W jej śmiesznym opowiadaniu zawarte były nadzieje, które nagle stały się kryształowo jasne. Marzenia, do których nie przyznawała się przed samą sobą, stały się jawne. Gdy Maxie mówiła Loco, że ma nadzieję na uczciwe życie z Hunterem, czuła, że wierzy w to, co mówi. Chociaż, oczywiście, to było przecież niemożliwe.

Odkrycie tkwiących w niej tak głupich marzeń, było zasmucające i trochę przerażające. Obudziło w niej ponownie pragnienie ucieczki od Apaczów, choćby po to, żeby wrócić do Motherlode i pokazać Aaronowi Hunterowi, jak bardzo nie dba o to, że on nie próbował jej ratować.

Stos drewna przy wigwamie Nochesa urósł do ilości wystarczającej przynajmniej na dwie noce, gdy Biegnąca Kobieta powstrzymała je.

- Idźcie spać - zakomenderowała. - Więcej gadacie niż pracujecie. Może kiedy słońce będzie wysoko, będziecie więcej pracować, a mniej trajkotać jak wiewiórki.

Wetknęła Maxie w rękę suchy kawałek niedrożdżowego chleba, wypiekanego z mąki z orzeszków piniowych. Pozbawiony smaku chleb miał być całym jej obiadem. Niech to szlag, pomyślała Maxie, jeżeli ci ludzie nie mieli zamiaru jej zgłodzić. Wkrótce stanie się tak chuda, że Obcięty Nos nie będzie w stanie znaleźć jej tą swoją witką.

Krzaczaste zadaszanie, które miało być zbudowane obok wigwamu - conocna kwatera Maxie - nie było jeszcze wzniesione, więc Maxie pozwolono spać w samym wigwamie - co niewiele poprawiało jej sytuację. Po piętnastu minutach wiercenia się zrezygnowała z nadziei na znalezienie wygodnej pozycji. Ziemia była tutaj dokładnie tak samo twarda, jak na miejscu starego obozu, a na dokładkę Maxie musiała słuchać szurania trzech innych ciał, także próbujących wygodnie się ułożyć. Oni mieli przynajmniej gałęzie pinii, skóry i futra do wymoszczenia legowisk. Maxie miała wrażenie, jakby spoczywała na twardych ceglach.

Przewracała się z boku na bok przez kilka minut, czekając, aż pokona ją wyczerpanie. Ale sen nie nadchodził, a umysł zajął się myślami, które pojawiają się czasem w tym mglistym momencie pomiędzy snem a jawą.

Tak więc Choto naprawdę chciał ją za żonę. Jakie dziwne uczucie to w niej wzbudzało. Nie mogła nie przyznać, że ten pomysł jej nie przerażał. Przerażał. Ale, jak do tej pory, żaden mężczyzna tak naprawdę jej nie pragnął. Ci, którzy bywali w Stronghold raz po raz próbowali ją obejmować, dopóki nie zorientowali się, że rozzłoszczona potrafi do nich strzelić, albo ich pobić, ale te szumowiny zaatakowałyby nawet zdechłą maciorę, gdyby sądziły, że jeszcze żyje. A Hunter - czy on naprawdę pragnął jej, gdy ją całował? Z tymi nagłymi zmianami nastroju i przekleństwami, odchodząc, wydawał się być zmieszany dokładnie tak samo jak ona. Maxie nie mogła się domyślić, czego Hunter naprawdę od niej chciał, a myślenie na ten temat gmatwało jej w głowie jeszcze bardziej.

Ale Choto nie był ani zmieszany, ani nie wywoływał jej zmieszania. Wśród Apaczek był uważany za dobrą partię. Był młody, silny i przystojny. Sądził, że była atrakcyjna. Nie uważał, jej za niechlujnego dzieciaka, za chudego i za piegowatego, by iść z nią do łóżka - nie raz, ale noc w noc.

Choto widział w niej kobietę. Ta myśl ją ożywiła.

Natomiast może, ale tylko może, Hunter także widział w niej kobietę.

Na pół przytomne rojenia Maxie zostały przerwane przez szmer dochodzący z drugiej strony namiotu, z miejsca, gdzie przygotowała sobie legowisko Biegnąca Kobieta. Potem, niskim głosem, zostało wydane polecenie, które wywołało chichot Biegnącej Kobiety. Śmiech musiał pochodzić od młodszej żony Nochesa, Obcięty Nos nie byłaby w stanie wydać z siebie tak lekkiego, frywolnego, kuszącego dźwięku. Wkrótce Maxie usłyszała ssące odgłosy i dźwięk uderzenia - łokcia, kolana lub stopy - o ścianę wigwamu. Wszystkiemu akompaniowało niezbyt harmonijne, wznoszące się i opadające chrapanie Obciętego Nosa.

Maxie leżała cicho i zafascynowana nasłuchiwała.

Szamotanina i chichoty szybko zostały zastąpione rytmicznym szelestem, przerywanym od czasu do czasu kobiecymi jękami i męskimi chrząknięciami. To dźwięki pożądania, stwierdziła Maxie. Noches dosiadał swej młodej żony. A ona wyraźnie czerpała z tego przyjemność. Grzechotanie gałęzi pod Biegnącą Kobieta nagle stało się rytmiczniejsze. Seria ostrych chrząknięć Nochesa zakończyła się dzikim pomrukiem. Biegnąca Kobieta jęknęła - wydała z siebie przeciągły, niski dźwięk, który przypominał Maxie kogoś wzdychającego z ulgą po przykucnięciu za krzakiem.

Wszystko to było obrzydliwe. Maxie co do tego nie miała żadnych wątpliwości. Mężczyzna i kobieta śpiący ze sobą byli zredukowani do poziomu zwierząt - jęczących i chrząkających, ssących jedno drugie, sapiących, dyszących i miotających się dookoła, jak wyrzucone na brzeg ryby. Ona nie chce tego próbować, nigdy, niezależnie od tego, ile w tym było przyjemności, co zawsze podheślała w swych opowiadaniach Hilda. Maxie na pewno nie miała zamiaru' poślubić jakiegoś indiańskiego byczka i pozwalać mu chrząkać nad sobą jak wskakującemu na maciorę knurowi. Woli już być niewolnicą Obciętego Nosa niż żoną Choto, niezależnie od tego, jak był przystojny i jak wiele mięśni falowało pod miedzianą skórą, gdy Choto się poruszał. Najlepiej jednak będzie, jak ucieknie.

Wcześniej czy później Indianie staną się mniej ostrożni. Przyjdzie chwila, kiedy nikt nie będzie na nią patrzył i wtedy wykorzysta swoją szansę. Poddawanie się nie leżało w naturze Maxie. Ucieknie. Gdy dotrze z powrotem do rodziny, skaleczenia na jej skórze zagoją się, jej żołądek zapomni o głodówce, a Obcięty Nos, Noches, Biegnąca Kobieta i Choto znikną z jej pamięci. A Aaron Hunter? Maxie zmarszczyła nos. Jeżeli będzie mądra, zapomni także i o nim.

Z tą dającą jej nieco komfortu psychicznego myślą, zapadła w końcu w sen. Ale dźwięki dochodzące poprzednio z drugiej strony wigwamu zapadły głęboko w jej myśli, w snach pojawiały się erotyczne obrazy. Ujrzała Choto pojmującego ją za żonę, prowadzącego do wigwamu na brzegu rzeki Santa Cruz. Ale kiedy położył ją na ślubnym łożu i pochylił się nad nią, nagle przestał być Indianinem. W jego miejsce pojawił się Aaron Hunter i patrzył w dół na nią, jak na ucztę przygotowaną dla jego przyjemności.

Sen zmieniał się. Maxie była naga, wychodziła z falującej wody rzeki Santa Cruz. Hunter kroczył w jej kierunku, ze zdecydowanym wyrazem twarzy. Stanął przed nią i Maxie czuła przez sen swój przyspieszony oddech oraz łomoczące serce. Hunter wyciągnął rękę i dotknął ścieżki pozostawionej przez wodę spływającą z jej przemoczonych włosów po ramionach, pomiędzy piersiami, prosto w kierunku pępka ... jeszcze dalej. Wygięła się w jego kierunku jak rozpustnica. Widziała jego uśmiech i ogień w jego oczach.

Nagle znowu byli w wigwamie. Leżała czekając na niego, czując, że umrze, jeżeli on jej nie dotknie. Hunter zdjął olstry z pistoletami, rozpiął pas, sięgnął do guzików spodni ...

I wtedy się obudziła; sen rozwiął się jak rozplywająca się w porannym słońcu mgła. Przez moment Maxie leżała ze wstrzymanym oddechem, zdumiona wciąż przenikającymi ją uczuciami. Obraz Huntera był tak czysty w jej umyśle, że wciąż czuła gorący ślad jego palca wypalający ścieżkę na jej skórze. Trudno uwierzyć, że to był tylko sen ... sen o Aaronie Hunterze, który prawdopodobnie obśliniał teraz Cynthię Pruitt i nie kiwnął palcem, żeby ją odnaleźć, a być może nawet się śmiał, usłyszawszy ojej losie. Prawie słyszała jego słowa: "Małe, niechlujne diabłatko wreszcie znalazło się tam, gdzie jego miejsce".

Niepotrzebnie frustrujące ale fascynujące uczucia wywołane snem zniknęły, gdy wzrastał gniew

Maxie. Po paru minutach z trudem mogła sobie przypomnieć, o czym śniła, poza tym, że Hunter i ona uwikłani byli w coś, co wywołałoby rumieniec nawet na twarzy Hildy. Babski, kretyński sen! Jaka była głupia, żeby śnić o takich bzdurach? I to tuż po podjęciu decyzji, że Aaron Hunter powinien całkiem zniknąć z jej pamięci! Nie spała przez resztę nocy. Lęk przed seimymi marzeniami był silniejszy od wyczerpania.

Zanim Noches i jego żony wstali, Maxie wściekła i w kwaśnym humorze wyszła z wigwamu i rozpałała palenisko. Ranek był dopiero bladym pasmem światła za znajdującymi się na wschodzie górami, ale zanim ogień zapłonął, na długo przed pobudką Obciętego Nosa, nieszczęsna niewolnica już zarabiała na' ciosy kijem po plecach.

Ruszając się automatycznie, użyła krzesiwka, by złapać iskierkę na suchą hubkę - ktoś zapomniał poprzedniej nocy dołożyć do ognia. Gdy ogień palił się już stałym płomieniem, Maxie skontrolowała zapas drewna - zostało sporo po wczorajszych kursach tam i z powrotem do wspólnej sterty. Ale naczynie z wodą było puste. Żeby napełnić je bez pomocy Loco, będzie musiała przynajmniej trzy razy pomaszerować do strumienia. Maxie zauważyła kilka ziół mydlących, które rosły obok potoku. Jeżeli Obcięty Nos nie wyjdzie na zewnątrz wigwamu w czasie, kiedy naczynie będzie napełniane, może uda się Maxie ukraść dla siebie kilka minut na kąpiel i umycie włosów. Mycie stało się luksusem, który Maxie już nauczyła się doceniać.

Dziewczynie nie wystarczyło jednak czasu na kąpiel. Zrobiła trzy kursy tam i z powrotem do strumienia, a kiedy powróciła z ostatniej trasy, Obcięty Nos krzątała się koło paleniska, czyniąc wielkie widowisko z przygotowywania porannego posiłku, pyskując co kilka chwil na Biegnącą Kobieta i raz nawet uderzając płaczącą się jej pod nogami małą Crip-Chee, córkę drugiej żony Nochesa. Uderzenie to, naturalnie, wywołało atak matczynej wściekłości grożący przekształceniem się w normalną bójkę.

Noches siedział jak zwykle w skąpym cieniu krzaków, reperując swoją maczugę wojenną i ignorując kłócące się kobiety. Miał cierpiący wyraz twarzy - Maxie podejrzewała, że ten wojownik w średnim wieku chętniej stanąłby twarzą w twarz ze zmasowanym atakiem kawalerii USA, niż chciałby spróbować przerwać swary pomiędzy żonami.

Nie zwrócił także uwagi, gdy jego starsza żona odwróciła się do podchodzącej w stronę wigwamu z pełnymi bukłakami Maxie. Gdy Maxie tylko popatrzyła na wojujące strony, indiańska kobieta przyjrzała się jej z wściekłą pogardą.

- Gdzie byłaś, ty córko samego lenistwa? Dlaczego ja muszę wykonywać twoją pracę, ty przynosząca same kłopoty *pindah*?

Wargi Maxie zacisnęły się. Co za bzdury! Po jej pierwszej próbie gotowania w stylu Apaczów, starsza żona Nochesa zabroniła jej dotykać jakiegokolwiek pożywienia poza jej własnym, bez wątplenia podejrzewając, że nowa niewolnica ma zamiar wszystkich wytruć. Teraz szukała wymówki, by wyładować wściekłość na kimś, kto nie mógł z nią walczyć. Maxie nie miała nastroju do znoszenia tego ranka zjadliwości indiańskiej kobiety.

- Nie pozwoliłaś mi przygotowywać posiłków. Ja po prostu nosiłam wodę - ton jej wypowiedzi nie był tak rozsądny jak słowa, które mówiła. Maxie Kaktus także paliła się do walki. Doszła bowiem do kresu swej nad miarę rozciągniętej wytrzymałości.

Obcięty Nos ruszyła naprzód, wywijając kijem, którym dopiero co poszturchiwała leśne szczury piekące się na ogniu.

- Nie potrzebuję twoich tłumaczeń, ty kłopotliwy węzu niewolnika! Nie dostaniesz za to pyskowanie dzisiaj nic do jedzenia, a jeżeli nie będziesz robić, co ci każę, przywiążę cię na słońcu, żeby cię spaliło i żeby cię potem zjadły mrówki! - jej głos wzniósł się do wrzasku, który zwrócił uwagę nawet jej męża. Biegnąca Kobieta schwyciła małą córeczkę i szukała schronienia w wigwamie. - Idź i kop dziurę pod budowę wigwamu dla Biegnącej Kobiety! - krzyknęła Obcięty Nos. - Teraz!

Maxie rzuciła swej prześladowczyni zawzięte spojrzenie i powoli poszła w miejsce, gdzie złożone były pale na drugi wigwam. Nie. jadła poprzedniej nocy kolacji, po całym dniu pracy, a teraz miała być pozbawiona także śniadania. Obcięty Nos była zdedykowana zamorzyć ją głodem.

- Idź teraz, ty córko kłopotów! Nie jutro! - Obcięty Nos, nie usatysfakcjonowana tempem ruszania

się Maxie popchnęła ją silnie, a potem kopnęła.

Maxie nieomal usłyszała jak pęka jej rozciągnięta ponad miarę cierpliwość. Odwróciła się z warknięciem: - Córka kłopotów, tak mnie nazwałaś? Moja pani, ty jeszcze nie widziałaś prawdziwych kłopotów! - runęła do przodu z palcami zagiętymi w szpony.

Zaskoczona Obcięty Nos zrobiła krok do tyłu i przewróciła się na ziemię. W mgnieniu oka Maxie znalazła się na niej, uderzając Jej głową o twardą ziemię. Indiańska kobieta wydała skrzek furii i bólu, uniosła się, przez co udało się jej zrzucić Maxie. Zaczęła, z pożytkiem dla siebie, wykorzystywać kij, celując w każdą część ciała Maxie, która znalazła się w jej zasięgu.

- Ja ci pokażę kłopoty, stara więdźmo! - obiecała Maxie, zrywając się na nogi i odskakując przed ciosami kija. Potem z błyskawiczną szybkością, walcząc jak dziesięcioletni łobuziak, jakim w znacznym stopniu wciąż jeszcze była, zanurkowała pod młócającą bronią i rąbnęła głową w niezbyt jędrny brzuch Obciętego Nosa. Z okrzykiem: "Duf" indiańska kobieta po raz wtóry wylądowała na swych pokaznych pośladkach. Maxie rzuciła się na nią i obie potoczyły się po ziemi, kopiąc, drapiąc, szarpiąc się za włosy i gryząc. Inni Indianie przyciągnęli bliżej, by obserwować widowisko: Potakiwali aprobująco, zagrzewali okrzykami do walki i raz po raz uskakiwali, gdy wzniecające kurz walczące kobiety toczyły się w ich kierunku.

Noches siedział spokojnie na swoim miejscu, rynsztunek wojenny odłożył na bok i przyglądał się walce ze zdawkowym zainteresowaniem. Iskierki w jego czarnych oczach wydawały się świadczyć bardziej o rozbawionej aprobacie, niż o gniewie. Sprawiał wrażenie zadowolonego, pozwalając swojej żonie i niewolnicy rozstrzygać spory między sobą, dopóki Biegnąca Kobieta nie wy dostała się z wigwamu i nie popatrzyła nań z dezaprobatą. Niechętnie podniósł reperowaną maczugę, zważył ją w ręce, wstał ze swego siedziska i ruszył w . stronę, gdzie walczące kobiety były zamknięte w jeden wrzeszczący kłęb ramion, nóg i ziemi. Zastanawiał się przez chwilę, potem uniosł maczugę nad głowę. Ale zanim maczuga opadła ze śmiertelną siłą, jakiś mężczyzna zakrzyknął: - Noches! Nie! Daję ci pięć kuców za tę niewolnicę!

Pięć kuców to była dobra cena. Noches opuścił powoli maczugę i popatrzył na Choto. Wskazał na kobiety, które, zmęczone, ograniczały się już tylko do okazjonalnych uderzeń i gniewnych okrzyków.

- Żadna z nich nie jest warta pięciu zdrowych kuców. Ale jeżeli kuce będą przywiązane do tych krzaków jutro rano, możesz zabrać niewolnicę - Noches pokiwał głową i zachichotał. - Za pięć kuców możesz mieć je obie.

Obcięty Nos wykrzyczała indiańską wersję przekleństwa. Maxie upadła na ziemię, dysząc, z głową opuszczoną tak nisko, że prawie dotykała gruntu.

Wtedy przemówił ktoś inny, po angielsku.

- Dzień dobry, Noches - powiedział mężczyzna o bardzo nieindiańskiej wymowie. - Myślę, że możemy zaoferować ci bardziej interesującą cenę.

## **Rozdział 10**

- Chcesz, żebym co zrobiła? - krzyknęła Maxie. Pochyliła się do przodu i oparła głowę na szyi konia. Była tak strasznie zmęczona. - Macie wszyscy większego fioła, niż konie, które się nażarły szaleju. Aaron Hunter nie da za mnie złamanego szeląga.

Te słowa raniły, ale Maxie uważała, że były prawdziwe. Na początku, gdy usłyszała głos białego człowieka przerywający Nochesowi i Choto, pomyślała, że to Hunter przyszedł jej na ratunek, jakimś cudem znajdując drogę do obozowiska, i że ma w końcu przy sobie swego bohatera.

Ale tym bohaterem okazali się jej bracia - wszyscy trzej. Jej głębokie rozczarowanie musiało być spowodowane wyczerpaniem, zapewniała samą siebie. Była naprawdę szczęśliwa, że to jej bracia pojawili się w obozie zamiast Huntera. Jednak skonfundował ją sposób, w jaki ją z tego wszystkiego wyciągnęli. Blackjack mamrotał jakieś tłumaczenia na temat wcześniejszych interesów dokonywanych z Nochesem, chociaż Maxie nie potrafiła sobie wyobrazić, jakie interesy mogli robić jej bracia z Apaczami. Była zbyt zmęczona, żeby o tym myśleć.

- To dlatego mnie stąd wyciągnęliście - zażądała odpowiedzi - bo myślicie, że Aaron Hunter się we mnie kocha i ja pomogę wam wciągnąć go w pułapkę? - Do diabła, nie, Max! Jesteś naszą siostrą. -



Braterskie uczucie w spojrzeniu Blackjacka nie było całkowicie przekonywające. - Przecież oddałem dziesięć dobrych kuców, żeby cię wydostać, no i jeszcze dwa za nią.

Maxie czuła ramiona Loco, ściskające ją spazmatycznie w pasie. Dziewczyna zdawała się z jakiegoś powodu śmiertelnie bać Blackjacka, a ton jego głosu jeszcze się do tego przyczyniał. Maxie uprosiła Blackjacka, żeby zabrać Loco, ale ten nie był specjalnie zadowolony z tego powodu.

- Myślałem, że rzucisz się na tę okazję - kontynuował tym samym tonem. - Po tym co zrobił nam - i tobie.

Co zrobił Hunter, że tak bardzo zmieniły się jej uczucia do braci? Dawniej nie wydawali się jej tacy hałaśliwi, tacy grubiańscy. Czy twarz Brudnego Jima zawsze miała taki posępny wyraz, zupełnie jakby chłopak był wściekły na cały otaczający go świat?

- To głupi plan - obstawała przy swoim.

- Hunter nie jest we mnie zakochany. On uważa, że jestem niechlujną łobuzicą. Tak powiedział.

- Jak na człowieka, który uważa, że jesteś flejtuchem, z całą pewnością zadał sobie sporo trudów, żeby cię odnaleźć - odezwał się do niej Blackjack, nie odrywając oczu od jej twarzy.

Serce Maxie podskoczyło:

- On co?

- Wyruszał w pustynię dzień w dzień, a dla nikogo nie jest tajemnicą, że szukał ciebie. Ludzie dookoła zaczęli już mówić, że porządnie mu odbiło.

Hunter jej szukał? W dziwny sposób jedna z chmur przesłaniających jej duszę rozwiła się.

- Skąd o tym wiesz? - uniosła sceptycznie brwi.

- Mamy swoje sposoby - wtrącił Jim. - Oczywiście, jeżeli Hunter by cię odnalazł, chłopaki Nochesa zabawiliby się jego skalpem.

- Jedynym powodem, dla którego mężczyzna zachowuje się tak idiotycznie jest fakt, że podkochuje się w jakiejś kobiecie - stwierdził Blackjack.

- Nie, Hunter nie jest we mnie zakochany. Hunter kocha się w Cynthii Pruitt, córce sklepikarza.

- W dziewczynie starego Pruitta? Za to go za bardzo nie wiń. Jej tatuś ma niezły zapasik gotówki schowany gdzieś w sejfie. Chciałbym wiedzieć, jak mu się dobrać do tej budy.

Maxie nie spodobała się myśl, że pan Pruitt miałby zostać obrabowany przez jej braci. Był dla niej naprawdę miły, kiedy spotkała go w Motherlode. A nawet Cynthia nie była taka straszna, jak to się na początku wydawało.

- W każdym bądź razie Hunter myśli o mnie to samo, co ja o nim. On jest brudnym, śmierdzącym skunksem.

Blackjack zachichotał.

- Nie myśl tak, siostrzyczko, Cynthia czy nie Cynthia. Myślę, że naszego przyjaciela Huntera aż swędzi między nogami do najmłodszej Maxwella.

Maxie nie obchodził sposób, w jaki jej brat określił ten stan rzeczy, ani to, że Tom roześmiał się, a Brudny Jim patrzył na nią z obrzydzeniem.

Blackjack splunął na piasek: - Widzę, że trochę za długo byłaś z tymi pieprzonymi lalusiami od dobrych uczynków, siostró. Nie powinnaś być taka wrażliwa, zwłaszcza widząc, że rodzina potrzebuje twojej pomocy.

- O czym mówisz?

- O Hunterze, Max. Sprawił nam sporo kłopotów. Tak się porobiło, że ciężko pracujący bandyta nie może nic zrobić, żeby Hunter nie przyczepił się do niego jak rzep do psiego ogona.

- Jeden mężczyzna nie może stanowić takiego problemu - odparła Maxie. Pamiętała jednak opowiadanie Mediny o zasadzce, w której Hunter przechytrzył jej trzech braci. Ale ta historia musiała być przesadzona. Nikt nie był w stanie przechytrzyć jej braci. - Miał szczęście w Stronghold - dodała. - Większości tych leniwych idiotów nigdy by nie złapał, jeżeli by chociaż trochę uważali i robili więcej użytku z rozumu.

Blackjack pokiwał przecząco głową.

- Hunter jest dobry. On jest za dobry. Trzeba go odrobinę utemperować ...

Maxie zastanawiała się, jak rozumieć tę "odrobinę". - ... a teraz chyba wiem, jak możemy to zrobić.

Gdy spojrział na nią, poczuła, że wewnątrz niej zawiązuje się bolesny węzeł.

Cztery gMziny później, gdy wyjeżdżali ze wzgórz nie opodal Tumacacori, węzeł wciąż był w tym samym miejscu. Maxie nigdy nie słyszała o czymś tak dalece podstępny, jak plan jej braci. Chcieli, żeby usidliła Huntera, a potem zostawiła im resztę roboty, gdy przygotowują pułapkę. Ona będzie przynętą.

Nigdy dotychczas nie miała nic przeciwko stosowaniu podstępów. Trzeba zrobić wszystko, co tylko można, żeby wykonać robotę - mówił zawsze tatuś, a Maxie wyrastała w przekonaniu, że podstępność na równi z umiejętnością strzelania i kwiecistym językiem zapewniały przetrwanie na tym świecie.

Oczywiście, Hunter nie da się wziąć na tak głupi schemat. Prędzej pomaszerowałby za skorpionem, niż za Maxie Kaktus Maxwell. I z całą pewnością nie jest na tyle głupi, by dać się wciągnąć w pułapkę ze względu na kobietę - a zwłaszcza na nią.

Ale przy każdej z jej obiekcji dotyczących planu, bracia wyciągali na wierzch stare: "Maxellowie trzymają się zawsze razem" - tak, jakby te gnojki tkwiły przy niej w Stronghold. "A może Huntera podgrzewała myśl zrobienia jej krzywdy?" - judził Blackjack. Hunter był sprytny, i on, Blackjack rozumiał jej opory, ale jest wiele brudnej roboty, którą trzeba wykonać, żeby na tym świecie iść do przodu. Maxellowie nie mogli żyć normalnie, dopóki Hunter nie zrozumie, że powinien zostawić ich w spokoju. A Maxie mogła im pomóc we wmanewrowaniu tego węża w pułapkę, gdzie będzie można mu dać małą lekcję.

- Co tatuś myśli o tym wszystkim? - zapytała ponuro Maxie.

Bracia wymienili między sobą niepewne spojrzenia.

- Tatuś nic o tym nie myśli - powiedział w końcu Blackjack. - Ukrył się na południu po rozbiciu Stronghold. Ale na pewno chciałby, żebyś nam pomogła, Max.

Słońce zachodziło już za wzgórzami, gdy rodzeństwo spostrzegło samotnego jeźdźca jadącego w kierunku ruin Tumacacori.

- To on! - oświadczył Brudny Jim. - Znam kasztana, na którym jedzie. To Hunter!

Serce Maxie podeszło do gardła. Ona także rozpoznała wierzchowca i swobodny sposób, w jaki jeździec trzymał się w siodle, zupełnie tak, jakby stanowił część zwierzęcia - tak, to z pewnością był Hunter.

- No i jest - Blackjack polecił im się zatrzymać.

- Mamy nieco szczęścia.

- Bierzmy go - warknął Tom.

Blackjack powstrzymał go ruchem ręki.

- Nie trafimy go z takiej odległości, a na pewno nam ucieknie na tym swoim piekielnie szybkim koniu. Możemy poczekać, aż szala przechyli się bardziej na naszą korzyść.

Odwrócił się do Maxie: - No to masz swoją szansę, mała siostrzyczko. On nas tutaj, w cieniu wzgórz, nie zauważy. Wyjedź stąd i niech nasz przyjaciel pomyśli, że sam cię uratował.

- Co powinnam mu powiedzieć?

- Coś wymyślisz. Czy to nie ty zawsze mówiłaś, że jesteś najlepszym kłamcą na zachód od Saint Louis?

Jeszcze jedna próba. Boże, jak nie chciała tego robić.

- Blackjack, on nie jest we mnie zakochany. Uczciwie. To nie zadziała;

- Musisz się wiele nauczyć o mężczyznach, Max. Jeżeli nawet nie jest w tobie zakochany teraz, nie powinno ci sprawić trudności skłonić go do tego. Masz niezłe wyposażenie, nawet, jeżeli jeszcze nie wiesz, jak go użyć. Idź z nim parę razy do łóżka, a on będzie jadł ci z ręki, jak ten ogier, którego ujarzmiłaś w dzieciństwie.

Iść z nim do łóżka? Czy to właśnie miał Blackjack na myśli, mówiąc o usidlaniu Huntera?

- Nie mogę tego zrobić, Jack! Naprawdę nie mogę. To się nie uda!

- Zrób po prostu swoją część, kochanie, a my zrobimy naszą. Nazywasz się Maxwell, pamiętaj!

Maxie zamknęła oczy. Czy to był senny koszmar?

Czyżby to byli ci sami bracia, z którymi wyrastała? Czy to oni się zmienili, czy ona?

- No, ruszaj, Max.

Głos Blackjacka brzmiał nieprzejednanie. Bez słowa pożegnania Maxie ruszyła stępą, potem pogoniła konia do kłusa, Loco przywróciła do niej mocno. Wyjechała na obłany zachodzącym słońcem teren i obejrzała się. Blackjack miał rację. Jej bracia byli dobrze schowani w cieniu wzgórz. Ale Hunter zauważył ją i ruszył galopem w jej kierunku.

Jeżeli jej bracia wyobrażali sobie, że Maxie Kaktus ma zamiar posłużyć za przynętę - jak jakaś dziwka - to byli głupszy, niż kiedykolwiek myślała.

A niech to wszystko, ale to życie ciężkie! Maxie zastanawiała się, czy kiedykolwiek będzie mogła wrócić, by jeździć wspólnie z braćmi i, czy w ogóle tego chce.

- Maxie! Mój Boże! Maxie! - Hunter schwycił ją za ramiona, delikatnie, jakby oczekiwał, że dziewczyna, którą widzi, jest jedynie halucynacją. - Tutaj jesteś! Cała i zdrowa!

Maxie niezdecydowanie się uśmiechnęła. Gdy jechała w jego kierunku, coś ścisnęło jej klatkę piersiową, oddech stał się krótki, serce zaczęło dziwnie łomotać.

Gdy ześlizgnęła się z konia, kolana się pod nią ugięły. Ale Hunter powstrzymał ją przed upadkiem. Teraz, trzymana silnym uchwytem, patrząc w ciemne, wzbierające uczuciem oczy, Maxie zaczęła drżeć. Oczy piekły ją od cisnących się do nich łez.

- Hunter - wypowiedziała ochryplym szeptem.

Przez zaciśnięte gardło nie mogła wykrztusić żadnego innego dźwięku.

Gdy jej twarz wykrzywiła się do płaczu, Hunter przyciągnął ją do siebie. Ochoczo wtuliła się w jego szeroką pierś i pozwoliła płynąć łzom. Ciągły lęk, głód, bicie, wyczerpanie, ucieczka ojca, gruboskórność braci - wszystko to mieszało się razem w mokrą, szlochającą, zachłystującą się rozpacz.

Hunter puścił jej ramiona i delikatnie otoczył rękami jej wstrząsane szlochami ciało. Z jakichś przyczyn ten prosty gest wywołał nową falę histerycznych łkań. O dziwo, czuła się w jego ramionach bezpiecznie, tak jakby strzegł jej przed wszystkimi okrucieństwami, wątpliwościami, całym lękiem, którego dostarczał jej świat. Śmieszne, dziecinne, głupie uczucie. Ale nic na to nie mogła poradzić.

Wargi Huntera przesuwwały się po jej włosach, a jego gorący oddech wywoływał w niej dreszcz, przemykający wzdłuż kręgosłupa.

- Maxie. Myślałem, że nigdy cię nie znajdę, a ty sobie po prostu wyjeżdżasz spośród wzgórz, jakbyś wracała z popołudniowej wycieczki.

Łkanie Maxie przeszło w sporadyczne szlochy i pociąganie nosem, gdy Hunter łagodnie odsunął ją od swej przegłębionej jej łzami koszuli.

- Maxie, dziewczyno, jak ci się udało uciec?

- Ja ... ja nie chcę o tym mówić - nowa fala łez napłynęła jej do oczu. - Nie mmmmmogę

- Dobrze. Dobrze. Uspokój się - otoczył ją ramionami, gdy szlochanie ponownie zaczęło wstrząsać jej szczupłym ciałem. - Czy Apacze jadą za tobą?

Potrząsnęła głową i poczuła, jak napięcie ją opuszcza. Co za kretynekę z siebie robiła! Ale nie była w stanie przestać. Nigdy nie byłoby jej dosyć tego stania tuż przy nim, słuchania bicia jego serca, czucia pod swymi rękami jego klatki piersiowej, twardej, potężnej, jakby wykonanej z cieplej stali. Kontrast pomiędzy Aaronem i jej braćmi był...

Nie! Nie będzie myślała w ten sposób. Nie mogła!

Jej bracia byli jedyną rodziną, jaka jej pozostała. Brudny Jim był jej bliźniakiem, a więc jej drugą połową! Jak mogła nawet przez ułamek sekundy porównywać ich z wrogiem i uważać, że mają jakieś braki? Była zdrajczynią. Nie zasłużyła, by nazywać się Maxwell.

Ale wciąż się nie odsuwała od Aarona.

- Może mogłabyś przedstawić mi ... twoją przyjaciółkę, Maxie?

Jej przyjaciółkę? Całkowicie zapomniała o biednej Loco. Niechętnie wysunęła się z objęć Huntera i wytarła oczy rękawem bluzy z jeleniej skóry, donaszanego po Biegnącej Kobiecie. W *te* sposób rozmazała sobie jedynie jeszcze więcej brudu na policzkach. Loco, wciąż tkwiąca za pustym siodłem na koniu Maxie, trzymała się łyku siodła zbielełymi palcami i wpatrywała w nich

olbrzymimi oczami, ledwo widzialnymi zza grzywy brudnych, skołtunionych włosów. To biedne dziecko było przerażone, a Maxie zachowywała się jak beksa, myśląc tylko o swoim własnym cierpieniu.

- To jest Loco. Przyjechała ze mną.

- To widzę.

Teraz, gdy wzrok Huntera zwrócił się ku niej, Loco skurczyła się ze strachu. Wyraźnie nie; mogła się zdecydować, czy lepiej zsunąć się po końskim zadzie i za niego się schować, czy też zostać, tam gdzie była.

- Ona żyła z Apaczami - wyjaśniła Maxie - adoptowana, jak przypuszczam, bo nie jest Apaczką. Byli dla niej niedobrzy. Chciała ze mną jechać, więc nie mogłam jej zostawić. Jestem pewien, że Medina z chęcią weźmie ją pod swe skrzydła.

Medina. Agua Linda. Oczywiście odstawi ją tam z powrotem. A czegoż innego mogła oczekiwać?

Czuła na sobie jego uważny wzrok: - Pete i Medina szalenie się ucieszą, widząc cię całą i zdrową, dziecko.

Zupełnie, jakby mógł czytać w jej myślach, niech go szlag! Popatrzyła w dół, zakłopotana.

- Ja też się cieszę, że ich zobaczę.

Te słowa były prawdziwe. Ucieszy się widząc Medinę, Żelaznego Pete'a, i Elbę, Marię, Catalinę, Sama, Duffy'ego, i Ramona też. Nie wspominając już o Jake'u. Ale nie dziś w nocy. Słońce znalazło się już za horyzontem, a podróżowanie w nocy po pustyni dobre było dla jaszczurek i węży, a nie dla ludzi i koni.

Założyli nocny obóz w starej hiszpańskiej Qlisji w Tumacacori. Maxie badała te ruiny niejedną raz, ponieważ były one jednym z ulubionych miejsc jej rodziny, służących do przechowywania skradzionego bydła. Za dużym kościołem znajdował się otoczony murowanymi ścianami dziedziniec, na którym całkowicie bezpiecznie można było przechować dziesięć albo dwadzieścia sztuk bydła, a sam kościół był jeszcze 'wystarczająco szczelny by dać schronienie nie tylko przed żywiołami, ale i przed grasującymi Indianami. Misja, usadowiona w otwartej dolinie, była zabezpieczona przed zdradzieckim atakiem ze strony nawet najzręczniejszych łupieżców.

Teraz Indianie i biali rzadko zakłócali spokój misji. Dawniej była to kwitnąca osada zbudowana przez hiszpańskich księży dla najbardziej pokojowo nastawionych Indian Pima. Jednak zarówno Indianie, jak i misjonarze opuścili ją wiele lat temu, ze względu na napady Apaczów. Teraz kościół, dziedziniec, podobne do baraków murowane budynki służące księżom za bi~ra i sypialnie - wszystko to popadało w ruinę.

Gdy Hunter, Maxie i Loco dotarli do opuszczonej osady i założyli obozowisko na osłoniętym dziedzińcu za kościołem, zapadła noc. Było zbyt ciemno, by mogli zabić na kolację królika czy ziemną wiewiórkę, ale Maxie i Loco z wielkim entuzjazmem żuły suche mięso i twarde biszkopty, które Aaron przywiózł ze sobą w jukach.

Hunter przykucnął przy ognisku i patrzył przez płomienie na Maxie siedzącą na kawałku muru, który odpadł od ściany dziedzińca. Nic dziwnego, że jadła z takim zapałem, pomyślał. Jej policzki były zapadnięte, a kręgosłup tworzył kościsty grzebień, biegnący pomiędzy zbyt sterczącymi łopatkami. Te przekłute dzikusy musiały ją głodzić. Czy te cienie na jej twarzy i ramionach wyłobili" brak pożywienia, czy też były to siniaki?

Oczywiście, miała niemałe szczęście, że w ogóle żyła. Jak na metody Apaczów, była prawdopodobnie nieźle traktowana. Przez cały czas, gdy Maxie nie było, Aarona przesłagował widok zadawanych jej przez Apaczów tortur - ciało pełne strzał, wszystkie umieszczone na tyle sprytnie, by umieranie mogło trwać długo, obdzieranie ze skóry, przypiekanie, krojenie ciała na kawałki.

Te wizje powodowały, że dzień po dniu kontynuował poszukiwania, nawet wtedy, gdy utracił wszelką nadzieję. Jego obowiązki w Motherlode pełnił Simon, gdyż Aaron opuścił posterunek. Okoliczni mieszkańcy, jak podejrzewał Hunter, uważali go za wariata. Ale obchodziło go tylko to, by wyzwolić Maxie albo stwierdzić, że jest już martwa i wyzwolona od ziemskiego bólu - tylko jedno z dwojga mogło go uspokoić.

Aaron widział wystarczająco dużo śmierci i doświadczył wystarczająco wiele bólu po powrocie z

wojny. Zabijanie, brutalność, bezsens, wydające się wiecznością wykrwawianie narodu - pozbawiły go dzikości. Jedyne, czego pragnął, to żyć i pozwolić żyć innym w pokoju. Kupił ziemię na założenie rancza. Śnił o Julii, którą poznał na wschodzie - o aniele, który zdecydował się go poślubić.

Hunter pomyślał, że powinien być już przyzwyczajony do strat. Jego ranczo zostało spalone przez Apaczów. Potem Julia została zamordowana przez bandytów. Odważyła się na trudną podróż statkiem z Nowego Jorku do San Francisco, potem wsiadła na inny statek płynący wzdłuż zachodniego wybrzeża Kalifornii. Na koniec przetrzymała upalną i trudną podróż parowcem po rzece Colorado do Yumy, po czym wykupiła bilet na pociąg towarowy do Tucson, gdzie mieli się pobrać. Wszystko to Julia zrobiła dla niego, ponieważ go kochała. A on kochał ją. Nie był jednak w stanie uchronić jej, gdy pochodzący z Meksyku bandyci napadli na pociąg, zabijając Julię. Nie był w stanie ani jej uchronić, ani znaleźć i ukarać morderców.

Po długich miesiącach rozpacz z powodu utraty Julii zmieniła się w tępy ból, tkwiący gdzieś na dnie jego umysłu. Aaron wyobrażał sobie, że jego serce jest już całkowicie wypalone. Nigdy nie przypuszczał, że będzie się jeszcze w stanie czymkolwiek tak przejąć, dopóki Pete Kelley nie powiedział mu, że Maxie została żywcem wzięta przez Apaczów.

Teraz, patrząc na nią siedzącą w blasku ognia, zapychającą się suszonym mięsem i zachęcającą swą towarzyszkę do robienia tego samego, Aaron czuł ogromną ulgę. Kto by pomyślał, że utrata Maxie tak bardzo nim wstrząśnie?

Śledził Maxie oczami, gdy wstała i odczepiała jeden z koców przymocowanych do siodła Aarona - nie dla siebie, ale żeby otulić nim Loco, którą usadziła w otoczonym z trzech stron kącie dziedzińca, z dala od ognia. Kiedy Maxie zajmowała się dzieckiem, płomień oświetlił jej zgrabne, drobne pośladki, widoczne aż za bardzo przez dziurawą spódnicę, którą dziewczyna miała na sobie. Te jej indiańskie ciuchy rozłaziły się, pomyślał Aaron. Gdy siedziała w siodle, spódnica podjeżdżała jej do góry, a jeśli tylko się ruszyła, jakiś interesujący szczegół jej anatomii przyciągał jego wzrok. Stała się szczupluteńka i koścista, ale z pewnością nie utraciła dziewczęcej sylwetki. Jeśliby tak było, nie czułby pożądania ogarniającego go podczas drogi do Tumacacori.

W jakiś sposób musiał się opamiętać. Maxie nie była dla niego. Nie powinien jej pragnąć i z całą pewnością nie potrzebował, by komplikowała mu życie.

Jasne - to tylko pożądanie go męczyło i sprawiało, że płonął nawet teraz. Pożądanie.

\_ Idę spać - powiedziała Maxie i spojrzała na niego ze szczególnym wyrazem twarzy. O czym myślała?

\_ Weź drugi koc - to wszystko, co powiedział.

- Nie potrzebuję go.

Odwróciła się i odeszła od ognia.

Aaron słuchał szmerów towarzyszących jej układaniu się do snu przy ścianie dziedzińca. Przekłęcie uparta dziewczyna. Nie miała w sobie ani grama rozumu, kobiecości też nie. Kobieta powinna akceptować pomoc i pociechę oferowaną przez mężczyznę. Ona nie zawahała się sięgnąć po koc dla swej małej towarzyszki, ale była zbyt dumna, by zaakceptować pomoc dla siebie.

Gniew, który w nim wzbudziła, rozwiął się natychmiast, gdy usłyszał szloch Maxie. Znowu w tym. tkwiła, wyplakiwała sobie serce, biedne dziecko. Jakim koszmarem było jej życie przez ostatnie dni?

Nie zastanawiając się, odwiązał od siodła drugi koc i podszedł do niej. Wiedział, że to błąd, że przysporzy mu to więcej kłopotów, niż będzie w stanie znieść.

## **Rozdział 11**

- Maxie. Nie płacz, dziewczyno. Jesteś teraz bezpieczna. Bezpieczna.

Wydawała się być zaskoczona jego głosem. Gdy odwróciła się, by spojrzeć na niego, słaby blask ogniska zamigotał w mokrych śladach łez spływających po jej policzkach.

- Boisz się Apaczów, dziecino? Powinnaś wiedzieć, że oni nie wyjeżdżają nocą. Przynajmniej nie po to, by ścigać małego, wychudzonego więźnia. Poza tym to miejsce jest tak umieszczone, że możemy zauważyć każdego, kto się pojawi o całe mile stąd.

Wyglądała na zakłopotaną. Być może mała Maxie Kaktus nie była taka twarda, jak chciała, żeby o niej myślano. Z niezgrabną delikatnością rozłożył koc i przykrył ją. Drżała, chociaż noc była ciepła.

- Chodź tu, Maxie - Aaron odsunął ją od ściany i otulił ramionami. - Nikogo tu nie ma, a mnie nie musisz się bać.

Maxie wtuliła się w niego jak mały, zagubiony, szukający ciepła kociak. Jego ciało zareagowało - dreszcz przeszył go od łądźwi do serca.

- Będziesz w Agua Linda jeszcze przed obiadem jeżeli tego chcesz.

Co człowiek powinien powiedzieć młodej dziewczynie, która spędziła dwa tygodnie jako więzień Apaczów? Co zrobiły te diabły, by zamienić czupurną, wszystkowiedzącą Maxie Kaktus w tę smutną, zapłakaną istotę?

- Śpij, Maxie. Nie ma sensu płakać. Wszystko już minęło.

Jego ręka przesunęła się wzdłuż jej ramienia z uspokajającą pieśczołą. Jak to się stało, że musnęła przy tym jej pierś, Aaron nie miał pojęcia. Ale Maxie nie wydawała się być temu przeciwna.

Nie mógł się oprzeć. Maxie nie wyglądała już tak szczupie i kanciasto; była miękka, ciepła i uległa, i patrzyła na niego na pół przestraszonym, na pół chętnym wzrokiem, który poruszyłby nawet kamień. Gdy wyciągnął rękę, by objąć jej pierś, zamknęła oczy, jakby chciała coś ukryć. Pod krągłą, zgrabną wypukłością mógł wyczuć bicie jej serca, trzepoczącego się jak przerażony, złapany w pułapkę mały ptak.

- Maxie?

- Aaron?

Nigdy dotąd nie nazwała go po imieniu. To słowo zabrzmiało w jej ustach jak zaproszenie. Powoli, jakby wbrew swej woli, Aaron rozchylił jej indiańską tunikę.

- Jeżeli chcesz, żebym przestał, dziewczyno, musisz mi to powiedzieć teraz.

Maxie tylko westchnęła, gdy on zsuwał tunikę z jej ramion i zatopił oczy w jej białych, wspaniale uformowanych piersiach, jaśniejących w stłumionym świetle ognia. Jej skóra była jak najdelikatniejsza satyna, a małe, różowe sutki stwardniały pod jego palcami.

- Maxie - szepnął. - Jesteś piękna. Wiesz o tym? Jesteś przekłecie piękna.

Czuł, jak znikają ostatnie resztki samokontroli. Całe jego ciało odczuwało bój pożądania. Ona też tego pragnęła, tak mu się wydawało. Jej kobaltowe oczy migotały nerwowo, ale jednocześnie ciemniały z pragnienia.

Gwałtownie zdarł z siebie koszulę. Chciał czuć jej nagie piersi na swoim ciele. Pragnął jej nagiej, leżącej pod nim i tak splątanej z nim, że żadna siła nie mogłaby ich rozdzielić.

- Boże, Maxie. Pragnąłem cię od momentu, gdy po raz pierwszy zobaczyłem cię siedzącą w jaskini w Stronghold. Jesteś najbardziej przekłętą kobietą, z jaką kiedykolwiek miałem do czynienia i wbijasz się w umysł mężczyzny jak cierni.

Sięgnął z pośpiechem do spodni, z jakichś przyczyn czuł się nagle niezdamny, jak trzynastoletni dzieciak, który nigdy nie leżał pomiędzy nogami kobiety. Gdy w końcu z niecierpliwością odrzucił spodnie na bok, nawet chłodne nocne powietrze nie było w stanie ugasić żaru w jego łądźwiach. Jego członek był twardy i spragniony aż do bólu, a widok Maxie przyglądającej się jego nagości sprawił, że stał się jeszcze twardszy. Maxie uniosła brew, jakby w cynicznym uznaniu - gest tak typowy dla jej czupurności, że Aaron prawie się roześmiał.

Nie protestowała, gdy rozciągnął się obok niej i wziął ją w ramiona. Po kilku zręcznych manewrach indiańska tunika zsunęła się z jej ciała. Leżeli przy sobie, jej skóra poznaczona była skaleczeniami i zadrapaniami, świadczącymi o przebytych cierpieniach. Przesunął palcami przez jej włosy, rozpuszczając warkocze, łagodnie pokrywał pocałunkami jej twarz, szyję i piękne, miękkie piersi. Jego usta i język przesunęły się po jej żebrach, dookoła delikatnego, małego pępka, w dół ud, dotknęły każdego z drobnych paluszków u stóp, wróciły na łądki i potem na jedwabistą skórę po wewnętrznej stronie ud. Czuł, jak puls Maxie przyspiesza pod jego poszukującymi rękami.

Nawet nie wzdragła się przed jego pieśczołami z dziewiczą skromnością. Nie próbowała także go dotykać. Po raz pierwszy cień smutku przyćmił na moment gorący powiew jego pożądania. Ta potulność nie była typowa dla Maxie. Ta, którą znał, była wojownikiem. Jeżeli coś robiła, to z

wigorem. Jeżeli nic robić nie chciała, podpaliłaby samo piekło, zanim ruszyłaby się choćby ocal.

Ale jego wątpliwości nie trwały długo, wypalone przez pożądanie i uśmierzone przez jej zgodę.

- Maxie, wszystko w porządku, słodka dziewczyno? - przykrył jej uległe ciało swoim, a kontrast pomiędzy nimi sprawił, że Aaron poczuł się tak ogromny, jak nigdy dotąd. - Jesteś ze mną, najdroższa?

Uśmiechała się trochę stremowana, ale nie wykazywała wahania. W jej oczach wyczytał pożądanie równe swojemu.

Delikatnie wsunął dłoń pomiędzy jej uda. Była ciepła, wilgotna i jedwabista - wystarczająco, by mężczyznę rozbudzić. Gdy włożył palec do wnętrza, drgnęła zaskoczona, potem, po chwili napiętego wahania, rozsunęła nogi.

- Jesteś piękna, Maxie - szepnął ochryplym głosem. Wydawało mu się, że eksploduje, jeżeli nie zakończy tego szybko. Ale ona była tak mała, tak wąska. Nie mógł się spieszyć, ani wykorzystywać swej przewagi nad tą dziwną, niemaxwellofską słabością, która wydawała się trzymać ją w uścisku.

Nagle przypomniał sobie, czemu była tak mała i wąska. Była dziewicą, niech to diabli! Jak mógł zapomnieć o jej reputacji, o tym, jak kopała w jaja każdego faceta w Stronghold, który ośmielił się do niej zbliżyć? Nie wyłączając Aarona Huntera.

Ciało Aarona skrzywiło się w proteście, gdy cofnął rękę, odsunął się na bok i z niechęcią przykrył kocem nagie ciało Maxie. Zaciskając zęby, próbował się opanować. Nie był mężczyzną mogącym wykorzystać dziewczynę znajdującą się jeszcze w szoku, która w każdym innym momencie wyrwałaby mu serce z piersi za to, co próbował zrobić.

Chociaż i tak już to zrobiła. Tracił zdrowy rozsądek, gdy chodziło o tę małą wilczycę. Gdyby nie był takim stukniętym idiotą, natychmiast uwolniłby napięcie w zapraszającym cieple jej ciała. Ale nie. Jego parszywe sumienie trzymało go na uwieczni. Maxie zasłużyła na coś lepszego niż na tracenie dziewictwa w momencie, gdy nie wiedziała, co robi.

Maxie wpatrywała się w niego swymi niemożliwie niebieskimi oczami. Zawarte w nich zmieszanie prawie złamało jego postanowienie.

- Co się stało? - zapytała. - Czy coś nie tak? Musnął delikatnie jej policzek jednym palcem.

Wszystko w porządku, najdroższa. Ale myślę, że chyba nie powinniśmy dalej się posunąć.

- Hunter... Aaron ...

- Przepraszam, Maxie, dziewczyno. Nie chciałem

w ten sposób wykorzystywać swojej przewagi - podciągnął koc i zawiązał go dokładnie dookoła jej ciała. - Idź spać. Ja posiedzę i będę czuwał.

Zanim zdążyła odpowiedzieć, odszedł, zapinając spodnie. Jeżeli nie będzie się trzymał od Maxie z dala, skończy wczółgając się do niej pod koc i nie będzie miał wystarczająco dużo siły, by oderwać się od niej po raz drugi.

Maxie zacisnęła zęby, wpatrując się w odchodzącego Huntera. Całe jej ciało odczuwało ból rozczarowania, a myśli były ciemne od konfuzji i gniewu. Te niewiarygodne rzeczy, które Hunter z nią wyprawiał wciąż utrzymywały w niej podniecenie, o którym dotychczas nie miała zielonego pojęcia. Jego nagłe odejście wywołało uczucie pustki zaprzepaszczenia. Wiedziała dokładnie, czego jej ciało potrzebowało. Przez całe życie obracała się w towarzystwie dziwek i lotrów, i żaden ze szczegółów dotyczących kontaktów pomiędzy mężczyznami i kobietami nie był jej obcy. Jediną niespodzianką stanowił dla niej fakt, że rzeczywiście chciała, by Aaron zrobił to, co dotychczas wydawało się jej śmieszne i niemożliwe. Chciała, to za słabo powiedziane. Ona aż wiała się z ochoty. Nieprawdopodobne, ale prawdziwe.

A on odszedł! Kiedy Maxie już pomyślała, że jej bracia mogą mieć rację mówiąc, że Hunter się w niej kocha, on odrzucił jej ciało! Co ona zrobiła złego? Była tak siebie niepewna, że tkwiła nieruchomo, podejrzewając, że jeśli da się ponieść instynktowi, zrobi z siebie idiotkę. Czy dotychczas nie zachowywała się niezdarne, gdy tylko przychodziło do odgrywania roli kobiety? Czy Aaron uważał ją za niezręczną, niezgrabną, obrzydliwą?

Maxie zazgrzytała zębami. Z wściekłości miała ochotę gryźć koc, a jeszcze bardziej jakąś wrażliwą

i intymną część ciała Aarona. Obiecała sobie, że któregoś dnia będzie kobieca i godna pożądania, a Hunter będzie się zwił w środku, by ją posiadać. Będzie klęczał, czołgał się, błagał i skamlał, o jej łaskę; a ona zadrze nos do góry i powie mu, żeby się wkręcił w węzową jamę. Tak właśnie mu powie. Będzie żałował, że kiedykolwiek miał z nią do czynienia, że dotknął ją tymi swoimi cudownymi rękami i potem odszedł, zostawiając ją. Będzie piekielnie żałował, że kiedykolwiek splątał swój los z losem Maxie Kaktus!

Ranek był ulubioną porą dnia Elsy Herrmann. Wschodzące słońce zamieniało wzgórze w wypolerowaną miedz, a rzekę w płynne złoto. Powietrze było chłodne, zwierzęta na farmie spokojne - nie wzbijały w powietrze chmur kurzu, jak to się działo w innych porach dnia.

Poranne zajęcia - karmienie kurcząt, zbieranie jaj, rzucanie odpadków świniom - były dla Elsy bardziej przyjemnością niż obowiązkiem. Wyciągały ją z rozgrzanego budynku kuchennego i pozwalały nasycić się świeżością nowego dnia. Tego ranka, jak każdego innego, pierwsze promienie słońca ujrzały jej krępa postać zmierzającą w stronę chlewów, rzucającą świniom obierki z warzyw i sączącą im do uszu komentarze wszystkie po niemiecku - na temat ludzi i wydarzeń w Agua Lindzie.

Ale tego ranka jej monolog został przerwany widokiem dwóch jeźdźców nadjeżdżających z południa. Elsa sięgnęła po krótką strzelbę, którą zawsze miała przy sobie wychodząc poza mury. Trzymała broń w pogotowiu, wpatrując się w dal, potem opuściła ją. Uśmiech rozlał się na jej szerokiej twarzy. Jeźdźcem był 'Hunter, a z nim jechała ich mała Maxie. Elsa powiedziała przecież La Donie, że szeryf znajdzie dziewczynę. Wiedziała, widząc jego oczy, że nie ustanie, póki jej nie odnajdzie. On powinien być Niemcem, ten mężczyzna. Kiedy zaczynał pracę, nie ustawał, dopóki jej nie ukończył.

Niemka ceniła się za to, że była zaniknięta w sobie.

Otwartość, jak często mówiła, była dla ludzi, którzy nie zawsze wiedzieli, co myślą. Ale musiała przyznać, że myliła się co do małej Maxie. Gdy Hunter ją przyprowadził, Elsa, po paru chwilach przebywania w towarzystwie dziewczyny, skonkludowała, że mały oberwaniec był włóczęgą i kłopotliwym, zapatrzonym w siebie dzieciakiem.

Jednak, gdy upłynęło kilka tygodni, Elsa była zmuszona do zrewidowania swej opinii, co rzadko jej się zdarzało. Przypomniała sobie dzień, kiedy zobaczyła Maxie i Catalinę szorujące wspólnie podłogę w jadalni. Maxie wyglądała na wręcz zawstydzoną, że ktoś przyłapał ją na udzielaniu pomocy. Elsa była tak zaskoczona, że zapomniała skarcić ją za Jake'a, podążającego za dziewczętami na swych brudnych łapach. Kilka dni później Maxie była taka dumna ze swoich pierwszych udanych biszkoptów, że stała obok i przyglądała się, jak wszyscy się nimi zajadają, wyglądając jak kura, która zniosła pierwsze jajko. Z każdym komplementem jej twarz stawała się coraz jaśniejsza.

Dziewczyna, gdy trafiła na rancho była kłopotliwą, zepsutą, rozpuszczoną łobuzicą. Ale zmieniała się, dzień po dniu w sercu Elsy wzrastała sympatia do tego małego hultaja, sympatia, do której Niemka wstydziała się przyznać.

A teraz wiązało ją z Maxie coś wspólnego. Prawie pięć lat temu Elsa także została porwana przez Apaczów i im uciekła.

Niemka nieczęsto powracała myślą do tych koszmarnych chwil, kiedy patrzyła na tortury i zgon swego męża Fredericka, a potem na śmierć synków, bliźniąt, którym Indianie rozwalili główki o skałę. Nie była także w stanie znieść wspomnień o dniach niewoli u Apaczów, a także o morderczych trzech dniach wędrówki przez pustynię po tym, jak udało jej się uciec.

Agua Linda stała się jej schronieniem. Elsa pracowała z poświęceniem, a od życia nie oczekiwała nic, poza samym przetrwaniem. Dzień po dniu chroniła swą psychikę, budując mur zapomnienia dookoła minionego horroru.

Gdy Hunter i jego brudne towarzyski wjechali pomiędzy zabudowania i ześlizgnęli się z koni, Elsa dołączyła do tłumu, który spieszył im na spotkanie. Medina wybiegła naprzód, objęła Maxie i rozplakała się. Maxie szlochała także, chociaż dzielnie próbowała powstrzymać łkania. Gdy jednak wychudzony Jake przytulił do jej dłoni nos, Maxie przegrała bitwę z kretelem i rozpląnęła się we



łzach. Elsa czuła, jak ścisła ją z emocji w gardle.

Biedna Maxie. I jakie biedne dziecko przyprowadziła ze sobą! Obie pachniały Apaczami i miały w twarzach coś, co Elsa pamiętała z czasów, gdy oglądała w lustrze swą własną twarz tuż po powrocie. To był ten sam wyraz wynikający z zagłodzenia, otrzymywania zbyt wielu obelg, wyraz przerażenia i beznadziejności, który pozostawał z Elsą jeszcze kilka tygodni później.

Widok dziewcząt wystarczał, by Niemka przecisnęła się przez tłum robotników z rancza, którzy zgromadzili się by powitać uciekinierki, i prawie wyrwała je z ramion Mediny. Zanim którakolwiek z nich zdążyła zaprotestować, kucharka zaprowadziła je do kuchni, zdjęła z nich brudną odzież i wpakowała je, nie bez protestów, prosto do wody. Po chwili przyszła Medina i przyniosła maść na zranienia, które pokrywały większą część skóry Maxie.

- No, dziewczynki, jak tylko pozbędziecie się tego brudu, od razu poczujecie się lepiej. Nie drap tego! plasnęła Maxie po ręce. - Ktoś cię bił? Wiele razy, jak widzę. Biedne dziecko.

Strumieniowi upomnień i wyrazów sympatii towarzyszyło milczenie obu dziewcząt. Maxie miała zły wyraz twarzy - pozostałość, jak sprytnie domyśliła się Elsa, nie tyle po indiańskiej niewoli, a po czymś, co zaszło między nią i tym diabłem Aaronem Hunterem. Zauważyła, jak niezdarnie się pożegnali, Maxie z nosem wycelowanym w niebo i oczami sypiącymi ognie, Hunter nieco zmartwiony i mocno zakłopotany. Zamyślane milczenie Maxie nie niepokoiło Elsy. Lepiej, żeby tkwiła myślami przy mężczyźnie, niż przy tym, co zrobili jej ci przekleci Apacze.

Ale to dziecko, które przybyło tu z Maxie, było większym problemem. Elsa była pewna, że parę tygodni jej kuchni pozwoli tej chudzinie nabrać tak potrzebnego ciała, ale miała być bojaźliwa jak zając w środku stada kojotów. Nie mówiła, tak powiedziała Maxie. Ani słowa. I kto wie, co w ogóle rozumiała.

Prawdę mówiąc powinna się śmiać i śpiewać" jak dusza dopiero co wyzwolona z piekła, a zachowywała się, jakby dobrzy ludzie z Agua Lindy byli bardziej przerażający od Apaczów.

Po kilku dniach Agua Linda zanurzyła się na powrót w codzienność. Maxie była bardziej stonowana, niż kiedykolwiek wcześniej, za co prawie każdy był jej wdzięczny. Zgiełk, który zawsze towarzyszył jej krokom, gdzieś znikł. Zajmowała się swoimi codziennymi zadaniami w zadumany milczeniu, nieraz stała zarumieniona i zapatrzona w dal nad rozpoczętą i w połowie przerwana robotą.

Maxie, choć zwykle pogrążona w myślach, pracowała dużo ciężiej niż przed porwaniem. Gotowanie uważała za szczególną przyjemność, entuzjastycznie zagniatła ciasto na chleb, obierała warzywa i piekła ciasta. Nawet za czynności związane ze sprzątaniem zabierała się chętnie. Podobnie było z myciem własnego ciała. Elsa i Medina zgodziły się, że pod niektórymi względami Maxie zmieniła się zdecydowanie na korzyść. Z tego powodu nie nękały jej pytaniami na temat nastroju, a nawet tolerowały braki w manierach

i nie karcily za przekleństwa, które czasem pojawiały się na jej ustach. Maxie była twarda, mówiły, ale wyjdzie z tego.

O wiele większym problemem była Loco. Oderwała się od Maxie i zaczęła włóczyć się za spódnicą Elsy z takim samym zapamiętaniem, z jakim Jake ciągnął wszędzie za swą panią. Elsa zaś to na nią fuczała, to ją tolerowała. Dała jej dobre, chrześcijańskie imię, Mary. Nikt nie powinien być obrażany takim imieniem jak Loco, upierała się kucharka. Loco znaczy szalony, przecież wszyscy to wiedzą, a dziewczynka szaloną nie była. Niemka na każdym kroku upewniała się, czy dziecko jest czyste, nakarmione i zajęte czymś, co pasowało do jego mikrej postaci. Ale kiedy oczy małej wydawały się błagać o coś więcej, Elsa starała się od niej odwracać. Nie miała w sercu nic, czym mogłaby pomóc samotnemu dziecku. Lepiej, by mała dziewczynka zwróciła się do kogoś, kto wciąż ma trochę miłości na zbyciu.

Dwa tygodnie po powrocie Maxie na ranczo, Mary nie spędziła ranka w kuchni, jak to było w jej zwyczaju.

- Loco? To znaczy ... uch ... Mary? - Maxie nie zmartwiła się zbyt, gdy Elsa dopytywała się o dziewczynkę. - Nie widziałam jej. Myślałam, że jest z panią. Czy nie powinnam wyciągnąć tych ciast, żeby wystygły?

- Połóż je pod przykryciem na dworze. I trzymaj od nich ręce z daleka, słyszysz? One są na obiad! -

Dobrze - skrzywiła się Maxie. Głód musiał zaglądać jej w oczy. - A jak zobaczą Mary, powiem, że pani jej szuka.

- Dziękuję.

Dwie godziny później Mary wciąż się nie odnalazła.

Gdy Sam doniósł, że ze stajni zniknął koń, Elsa nieomal oszalała, a Maxie przeszył lęk i poczucie winy. Zajęta swym gniewem i zakłopotaniem związanym z Hunterem, zupełnie zignorowała problemy dziecka.

Maxie pierwsza zgłosiła się przy corralu, chcąc wyruszyć z grupą poszukującą. Ale zanim ktokolwiek zdążył zarzucić siodło na konia, krzyk z muru zatrzymał przygotowania.

- Ktoś nadjeżdża! Wygląda na Simona Curtisa i ma dzieciaka ze sobą.

Maxie westchnęła z ulgą. Elsa powinna zostawić dziewczynce imię Loco. Dlaczego dzieciak zachował się tak idiotycznie? Życie w Agua Lindzie nie było zabawą, to pewne. Ale było o niebo lepsze od życia z Apaczami. Ten niewdzięczny, mały bachor zasłużył na baty za to, że ją tak zmartwił. I, że tak zmartwił Elbę ..

Rozpinała popręg przy swoim siodle, gdy Simon Curtis wjechał pomiędzy zabudowania. Elsa, stojąca tuż obok bramy, wyglądała tak niepewnie, jakby sama uciekła, zauważyła ze zdumieniem Maxie. Gdy Simon zsiadł z konia, i pociągnął Mary w stronę czekającej Niemki, szorstka kucharka miała twarz o rzadko u niej spotykanym odcieniu bladości. Maxie uśmiechnęła się. Ta zgorzkniała kobieta wyglądała wręcz na onieśmiałoną! Natomiast Mary miała na twarzy wyraz ponurego buntu, który dziwnie przypominał Maxie ją samą.

Wyciągała uszy, żeby usłyszeć urywki konwersacji pomiędzy Elszą i Simonem.

- ... spotkałem ją kłusującą w stronę Tubac. Wyglądało na to, że w tym małym węzélku miała wszystko, co posiada, to pomyślałem, że nie zamierza tu wrócić z własnej woli.

Elsa oderwała oczy od ziemi.

- Jesteśmy panu zobowiązani, panie Curtis. Nie wiem, co wstąpiło w to dziecko.

- Założę się, że jest po prostu odrobinę przerażona, pani Herrmann.

Stary człowiek chyba właściwie to ujął, pomyślała Maxie. Ona sama była trochę przestraszona, gdy po raz pierwszy trafiła do Agua Lindy, to jak dalece bardziej obco musiało wyglądać to miejsce i ci ludzie w oczach małej Loco - Mary. Do diabła, przecież oni odebrali jej nawet imię.

## **Rozdział 12**

W pierwszym tygodniu września Kelleyowie wydawali na ranczo przyjęcie z tańcami. Miało ono powitać nadchodzącą przyjemniejszą, chłodniejszą pogodę. Poza tym była to uroczystość z okazji powrotu Maxie do domu.

Jednak Hunter wjeżdżając do Agua Lindy, nie był w nastroju do zabawy. Przeszkadzało mu świąteczne ubranie; zbyt wiele odzianych w koronki matron z Motherlode znajdowało się dookoła, by człowiek mógł czuć się swobodnie; ponadto, i to prawdopodobnie było najbardziej kłopotliwe, impreza wiązała się z koniecznością spotkania się twarzą w twarz z Maxie.

Tydzień już minął od momentu, gdy przyprowadził ją z powrotem z pustyni i gdy utracił nad sobą kontrolę do tego stopnia, że mało brakowało, by posiadał Maxie na dziedzińcu zrujnowanej misji.

Bóg jeden wiedział, ile ta noc go kosztowała - spędził ją na katuszach fizycznych i psychicznych, podczas gdy Maxie przewracała się z boku na bok - zdecydowanie za blisko, - pod swoim kocem.

Późniejsze dni nie były lepsze. Czując na przemian chłód i pożądanie, Hunter życzył sobie" by Maxie odeszła gdziekolwiek, gdzie nie musiałby słyszeć jej głosu i widzieć jej diabelskiego uśmiechu. Ale zaraz potem chciał odrzucić wszystkie takie myśli i ścigać ją jak wilk ściga goniącą się samicę.

Maxie, niech Bóg błogosławi jej przekornej duszy, rozpałała w nim ogień, który hartował stal pożądania. Aaron pragnął jej, jej uśmiechu, jej błękitnych oczu przyciemnionych gniewem albo rozbłysłych oburzeniem. I jej ciała. O tak, przede wszystkim pragnął jej ciała.

Jednak w tym samym czasie, w rozdwojeniu, które mieszało mu umysł, nie chciał jej. Albo może nie chciał tego, co sobą reprezentowała - wszystkiego, co w jego życiu było głupotą i istnym złem. On, Aaron Hunter, który walczył na wojnie, jeździł razem z zabójcami, bandytami i zaliczał się do

całego tego diabelskiego pomiotu, obawiał się jednej dziewczyny. Bał się ją kochać, bał się swej własnej głupoty. Maxie zrobiła z niego sentymentalnego głupca.

- Tutaj jesteś!

Był w pułapce. Medina odkryła jego kryjówkę w cieniu muru.

\_ Skrzypkowie zaraz będą grać, Aaronie. Ponieważ to jest uroczystość na cześć powrotu Maxie, dłużej nie poprosisz jej do tańca. Ona jest tam, obok rożna.

Dwa razy podczas ostatniego tygodnia Aaron znalazł się w Agua Lindzie i za każdym razem udawało mu się uniknąć spotkania z Maxie. Miał nadzieję, że czas spędzony z dala od niej pomoże mu odzyskać wewnętrzny spokój. Ale teraz gra się skończyła.

\_ Medina - odpowiedział z grymasem. - Masz niezły pomysł na przyjemne spędzenie czasu. - Pod czujnym okiem La Dony udał się w kierunku Maxie.

Maxie nie wyglądała na szczęśliwszą widząc Aarona. Z zarumienioną twarzą podała mu tak rękę, jakby oddawała je na pożarcie straszliwemu potworowi.

\_ Pamiętasz te kroki, które ci pokazywałem? - zapytał Aaron uprzejmym głosem.

Jej spojrzenie powiedziało mu, że dziewczyna pamięta dużo więcej. Wyglądało na to, że mała Maxie wciąż nie była z niego zadowolona. Nie winił jej za

to. Nie było wytłumaczenia dla jego zachowania w Tumacacori, zwłaszcza po tym, jak pouczał ją, że ma się zachowywać jak dama. Jeżeli miałby choć trochę charakteru, powinien powiedzieć jej, co czuł, i mieć nadzieję na przebłysk takich samych uczuć u niej. Czy tego właśnie się spodziewał? Sam już nie wiedział. Miał odwagę, by stawiać czoła bandytom, by jeździć tam, gdzie grasowali Apacze, ale nie wystarczało mu dzielności na konfrontację z Maxie. W każdym bądź razie jeszcze nie teraz.

Hump MacIntosh wygrywał skoczną melodyjkę na skrzypcach, a tuż obok Sam Hendricks towarzyszył mu na harmonii. Hunter i Maxie poruszali się w takt muzyki, wpatrując się w siebie jak dwa skorpiony gotujące się do walki. Maxie nawet nie następowała mu na palce, zauważył Hunter. Nie chciała się znaleźć zbyt blisko niego.

- Maxie, przepraszam za to, co stało się w misji. Zazwyczaj nie jestem takim osłem.

Jej oczy wyraźnie się rozszerzyły.

- A jakim osłem jesteś zazwyczaj?

Spuściła wzrok, wyglądając jednocześnie na zakłopotaną i zawziętą. Jej włosy były zmierzwiłone, zwinięte na czubku głowy w' niezbyt porządną koronę. Suknia, w meksykańskim stylu, składająca się ze stanika i spódnicy, leżała na niej nieco krzywo, a pięgi stawały się coraz jaśniejsze, w miarę, jak twarz dziewczyny czerwieniała ze zmieszania. Prawdopodobnie nikomu, pomyślał Hunter, ani Medinie, ani jemu, ani komukolwiek innemu nie uda się zrobić damy z Maxie Kaktus. I tak właśnie było dobrze. Taka, jaka była, potrafiła zapaść w męskie serce na tyle głęboko, że nie można jej było usunąć nawet przy pomocy dynamitu.

- Jeszcze raz przepraszam, Maxie. Wolałbym, żeby to się w ogóle nie stało. Chciałbym, żebyśmy o tym zapomnieli.

Jej podbródek uniósł się do góry i wysunął nieco do przodu.

- Och, już o tym zapomniałam. To nic ważnego.

Teren zacieśniał się, ponieważ przybywało tańczących.

- Jak myślisz, zrobiliśmy wystarczająco dużo, by rozpocząć zabawę? - Maxie wysunęła się z niezbyt mocnych objęć Huntera i zniknęła, zanim zdążył cokolwiek odpowiedzieć.

Usadowiła się na jednej z twardych ław umieszczonych dookoła otoczonego murami dziedzińca; nie czuła się w specjalnie uroczystym nastroju, zwłaszcza po tańcu z Hunterem, który miał czelność powiedzieć jej, że jest mu przykro, iż wystrychnął ją na dudka tej nocy w ruinach misji. Gdyby na podwórzu nie było tak dużo ludzi, wytłumaczyłaby temu wężowi co to znaczy przykrość. Sprawił, że zaczęła go pragnąć - całując ją na potańcówce w kościele, traktując ją tak, jakby coś cHa niego znaczyła, a w końcu poddając tym słodkim męczarniom w misji. On chciał jej także. Maxie czuła, jak jego tęsknota wibruje pomiędzy nimi w powietrzu, kiedy rozmawiali, tańczyli, a nawet kłócili się ze sobą. Jego tęsknota harmonizowała z jej pragnieniami. Niech to szlag trafi! Jeżeli ona miała zrobić z siebie idiotkę, wzdychając do Huntera, to równie dobrze on mógłby zostać tym idiotą.

Maxie, oburzona, siedziała na ławce i pozwalała, by uroczystość na jej cześć toczyła się obok niej. Jake przyłączył się do zabawy, by móc posiedzieć przy swej pani, a ona położyła rękę na kosmatej głowie zwierzęcia, powtarzając sobie, że znacznie chętniej posiedzi z psem, niż wróci do tańczących.

Prawie pięćdziesięcioro ludzi jadło doskonale przy-

-, pieczoną szynkę i wieprzowinę, piło wino i *cerveze*, tańczyło na twardo ubitej ziemi i rozmawiało ze sobą o wszystkim - od ostatniego najazdu Apaczów i aktualnej ceny srebra i złota, do jakości odzieży i wyrobów blaszanych sprzedawanych przez pana Pruitta i jego konkurenta w Motherlode, Geoga Strassela.

Panowie Pruitt i Strassel byli także obecni, obaj z rodzinami. W rzeczywistości na otoczonym murami podwórzu w Agua Lindzie' znajdowali się wszyscy, którzy cokolwiek znaczyli na terytorium południowej Arizony - wliczając w to dwóch wysoko postawionych urzędników Korporacji Gómiczej, młodego kapitana oddziałów federalnych stacjonujących w Tubac, kilku urzędników biurowych z biura gubernatora w Tucson, grupkę właścicieli kopalni i pewną liczbę ranczerów.

Maxie nigdy nie widziała takiej masy ludzi zebranych razem. Terytorium Arizony stawało się naprawdę zatłoczone. Pewnego dnia, pomyślała markotnie, armia znajdzie sposób na ujarznienie Apaczów i wtedy bez wątpienia całe stado ludzi ze wschodu ruszą na Arizone, przynosząc ze sobą idee poszanowania prawa i uniemożliwiając w ten sposób dobrą zabawę.

. Maxie w niezbyt dobrym nastroju siedziała na swej ławce i obserwowała talleczące pary, przewijające się w rozedrganym świetle pochodni rozmieszczonych dookoła dziedzińca.

Czuła się jak stara megiera. Jej suknia - kreacja "zrób to sam", wykonana przez raczej mniej niż bardziej utalentowane dłonie Maxie - cisnęła, gdzie nie powinna i rozwierała w najbardziej niestosownych miejscach. Pliski i poprawki wykonane w ostatniej chwili przez Medinę trochę pomogły, ale stanik wciąż się rozwierał, a dół spódnicy był nierówny. Szycie, stwierdziła Maxie, było kolejną kobiecą umiejętnością, którą niemiłosiernie partaczyła.

I jakby ta niezbyt pasująca suknia nie wystarczała, Maria namówiła Maxie do ułożenia ciężkich warkoczy. w bardziej pasujący do uroczystości sposób - w koronę na czubku głowy. A potem pokojówka została odwołana do pomocy w przygotowaniach do przyjęcia. Bez jej pomocy, niezdarne palce Maxie plotły, szarpały, mocowały się z włosami - niestety, z katastrofalnym rezultatem. Stwierdzenie, że korona wyglądała na nieco zmierzwioną było czymś więcej niż uprzejmością.

Maxie wydawało się, że jest tak brzydka jak jedna z macior Kelleyów. Jeszcze gorzej, czuła się jak idiotka. Hunter, załatwiwszy się ze zobowiązaniami wobec niej, podskakiwał dookoła podwórza z panną Pruitt. Blond loki Cynthii były na właściwym miejscu, a jej świeża twarz w kolorze kości słoniowej zabarwiła się lekkim rumieńcem. Czego by nie powiedzieć, Cynthia w każdym szczególe wyglądała jak pierwszorzędny egzemplarz zdrowej, pięknej, przyprawiającej o mdłości kobiecości. Hunter zaś sprawiał wrażenie podziwiającego każdy cal ciała swej towarzyszki.

Maxie wierciła się na ławce. Jak w ogóle Aaron mógł patrzeć na nią, jeżeli Cynthia oślepiła go swoim blaskiem? Czy pragnącemu CYI)thii Hunterowi mogło zostać trochę chęci na nią, Maxie? Prawdopodobnie tak, stwierdziła Maxie ponuro. Nigdy nie знаła mężczyzny, no, może z wyjątkiem Pete'a Kelleya, który nie rzucałby okiem na każdą znajdującą się w pobliżu kobietę. Bez wątpienia jednak Hunter miał znacznie większą ochotę na Cynthię niż na nią. Jaki mężczyzna postąpiłby inaczej?

Maxie wstała i powędrowała niepocieszona do wielkiego rożna, na którym obracały się przypiekane szynki i kawałki wieprzowiny. Jake z nadzieją podreptał za nią. Maxie naląła sobie piwa z beczki, którą Kelleyowie przygotowali dla swoich gości.

\_ Aleto, dama pija wino. Nie piwo - odezwała się z za jej pleców Medina.

Maxie odwróciła się: - Lubię piwo. I wydaje mi się, że nie uda się ze mnie wykroić damy.

Medina przytaknięciem zaaprobowała poprawną składnię.

- Uda się, uda. Masz to we krwi, kochanie.

Maxie westchnęła.

- Czy moja matka była naprawdę piękna?

- Była cudowna - zapewniła ją Medina. - A ty jesteś tak samo cudowna jak ona, sama wiesz. Zwłaszcza, kiedy się uśmiechasz - Medina ujęła rękę Maxie i poklepała ją.

Maxie zaprzeczyła milcząco głową i pokazała gestem ręki zarówno sukienkę, jak i włosy.

Medina uśmiechnęła się.

- Następnym razem poprosimy Marię, żeby uszyła ci coś specjalnego. Nie bądź dla siebie zbyt wymagająca, kochanie. Pisanie i czytanie idzie ci bardzo dobrze, a BIsa mówiła mi, że w kuchni pracowałaś naprawdę ciężko w poprzednim tygodniu. Nie możesz jednak oczekiwać, że będziesz dobra we wszystkim.

Maxie poczuła nagły przyływ sympatii do Mediny

. - Chciałabym znać moją matkę - przyznała. - Zwłaszcza, jeżeli była kimś takim jak pani. Nigdy nikt nie dbał o mnie nawet na tyle, by mnie karcnąć.

Medina wyglądała na zaskoczoną. Ucisnęła dłoń Maxie.

- Aleto, kochanie. Czasami po prostu nie potrafisz nie być słodka, pomimo, że tego nie chcesz - podeszła bliżej i pocałowała Maxie delikatnie w policzek. - A teraz, czemu nie tańczysz? To twoje święto. Powinnaś się dobrze bawić.

- Doskonale się bawię - skłamała Maxie. Skrzypek ponownie zaczął poruszać smyczkiem i Pete podszedł, by porwać Medinę do tańca. Maxie westchnęła, widząc ich oboje razem. Nagle ogarnęła ją tęsknota, by mieć mężczyznę, który dbałby o nią tak, jak Pete o Medinę. Próbując zignorować to absurdałne marzenie, podrzuciła trochę drewna do ognia.

- Hej, Maxie. Cieszę się, że jesteś cała i zdrowa. To Simon Curtis zbliżał się od strony najbliższego słupa, na którym zatknięta była pochodnia. Jego chuda postać prawie się od tego słupa nie odróżniała.

- Założę się, że byłaś odrobinę za twarda dla tych dzikusów, by mogli cię przeżuć i wypluć.

- Racja. Byłam po prostu za twarda - usmiechnęła się do niego. Jeżeli Curtis mógł jej wybaczyć tanto uderzenie, ona chyba może mu wybaczyć to, że jest zastępcą szeryfa.

Simon nie zauważył jej próby nawiązania przyjaźni, ponieważ wpatrywał się w podchodzącą do nich Elbę HeITmann.

- Nie powinnaś się dzisiaj zajmować pracą, dziewczyno. To w końcu zabawa na twoją cześć. Gdzie jest Catalina?

- Cat tańczy.

- No cóż, jeżeli teraz ty chcesz trochę potańczyć, zawołaj mi tu jedną z dziewcząt. Och - powiedziała nagle niespokojnym głosem. - Dobry wieczór, panie Curtis. Nie zauważyłam, że pan tu stoi.

- Hej, panno Herrmann.

Elsa odeszła tak szybko, jakby ją ugryzła końska mucha. Maxie przyjrzała się jej z ciekawością, potem skierowała wzrok na Simona. Jego oczy nie odrywały się od niemieckiej kucharki.

- Dlaczego nie poprosisz jej do tańca?

- Uch? Ja?

- Pewnie. Nie umiesz tańczyć?

Simon wzruszył ramionami:

- Potrafię wyjść i trochę poskakać. To chyba właśnie jest taniec.

- Założę się, że będzie zadowolona jak nie wiem co.

- Tańcząc ze mną? Nie. Nie będzie chciała tańczyć z takim starym przykiem jak ja.

Nie miał racji, pomyślała Maxie. Ehm bardzo chciałaby zatańczyć z Simonem Curtisem. Nawet, jeżeli ta uparta stara niemiercka matrona nie przyzna się do tego nikomu. Maxie zauważyła rumieniec na jej policzkach tego dnia, gdy Curtis odwiózł Loco - Mary.

Simon przestąpił z nogi na nogę, potem popatrzył na pochodnię i na mięso obracające się nad ogniem i znów spojrzał na Maxie. Powoli zaczął pojawiać się na jego twarzy krzywy uśmiech.

- Naprawdę myślisz, że ona chce tańczyć?

- Spytaj i przekonaj się. Może ci urwać głowę, ale będzie się przy tym czerwienić i gruchać.

- Skąd, tyle wiesz o kobietach? - zapytał niewinnie Simon.

- Mam kuzynkę, która jest kobietą warknęła Maxie.

Simon zachichotał.

- Być może wiesz o czym mówisz. - Wetknął ręce w kieszenie spodni i obcasem wiercił dziurę w ziemi. - Może po prostu powlokę się tam i zobaczę, skąd wieje wiatr - podciągając wyżej spodnie na chudych biodrach i zaciskając szczęki, ruszył naprzód by rzucić wyzwanie.

Maxie uśmiechnęła się. Przynajmniej ktoś na tej zabawie będzie się dobrze bawił.

- Myślisz, że ona powie tak?

Maxie aż podskoczyła, gdy niespodziewanie usłyszała kobiecy głos. Odwróciła się, by spojrzeć na niezbyt chętnie widzianą przez siebie blond piękność - Cynthię. - Nie wiem - jej nastrój poprawił się podczas rozmowy z Simonem. Teraz znacznie się pogorszył. To bardzo ładne, co zrobiłaś.

- Co?

- Namówiłaś pana Curtisa, by poprosił Elbę do tańca. Umiesz sobie radzić z ludźmi, prawda?

- Nie tak, jakbym chciała.

- Nie bądź taka skromna - skarciła ją Cynthia.

- Pan Curtis rzadko mówi więcej niż dwa słowa do kogokolwiek innego poza Aaronem. Wygląda na to, że ty go obłaskawiłaś.

Obie patrzyły, jak Simon podszedł do Elsy. Jego pochrząkiwania i posapywania można było zauważyć, choć ginęły w zgiełku. Elsa wyglądała na strapioną i zakłopotaną. Zaczerwieniła się, jej usta zacisnęły się niespokojnie i zaczęła potrząsać odmownie głową. Nagle zmieniła zdanie. Maxie nie mogłaby powiedzieć, kto wyglądał na bardziej zaskoczonego - Simon, czy Elsa.

- Zdziałałaś cud - powiedziała do niej Cynthia.

- Nie. On i tak by ją poprosił.

- I przypuszczam, że ta mała dziewczynka ciągnąca się za Elsą - Mary? tak ma na imię?, że ona także wy dostałaby się od Apaczów bez twojej pomocy? Aaron powiedział mi, jak ją uratowałaś.

- Tak naprawdę jej nie uratowałam.

Wielka Maxie Kaktus nie była nawet w stanie uratować siebie samej, pomyślała Maxie z niechęcią. Cynthia nie przyjmowała do wiadomości uczciwego wyznania Maxie:

- No wiesz, Maxie. Ty nawet chyba w połowie nie przyznajesz, jaka jesteś nadzwyczajna. - Nad ... ?

- Nadzwyczajna. Myślę, że jesteś jednym z najbardziej pokrzepiających, wybitnych ludzi, jakich kiedykolwiek spotkałam.

Maxie była zażenowana. Robiła co mogła, by nie lubić Cynthii - zarówno za jej urodę, jak i za sposób, w jaki Hunter ciągnął się za nią jak pies za soczystą kością. Ale nielubienie kogoś, kto upierał się być uprzejmy i komplementujący, było ciężkim zadaniem, zwłaszcza, że w Cynthii nie wyczuwało się ani odrobiny przebiegłości. Jej śliczna twarz była otwarta i uczciwa jak twarz dziecka, a jej słowa brzmiały naprawdę przekonująco.

- Mi nikt... uch ... nikt mi dotychczas nie mówił, że jestem wybitna. Najczęściej ludzie mówili, że jestem ... - jakiego to słowa używał Hunter? - że jestem "niechlujnym obszarpancem".

- Czym?

- Niechluj ...

- Tak. Chyba cię prawidłowo usłyszałam. Kto cię tak nazywał?

- Hunter - oczy Maxie zwięzły się podejrzliwie.

- On cię tu przysłał? A może Medina?

- Przysłał mnie po co? - zapytała Cynthia nieznacznie marszcząc brwi.

- Żebyś powiedziała te wszystkie dobre rzeczy.

- Oczywiście, że nie! Aaron Hunter nazwał cię ... ! Boże drogi! - oczy Cynthii skierowały się na Huntera. On, zauważyła Maxie, przyglądał się im z wystudiowaną obojętnością. - Jakie to dla niego nietypowe. - powiedziała Cynthia, uśmiechając się złośliwie. - Ciekawa jestem, czy nasz dzielny szeryf będzie się w stanie obronić.

- Obronić się? - zapytała skonfundowana Maxie. Gdy Cynthia spojrzała z powrotem na Maxie, jej twarz była rozjaśniona: - Myślę, że powinniśmy przypuścić czołowy atak. Droga Maxie, musisz przyjechać i spędzić tydzień albo dwa u mnie w mieście. Jestem pewna, że Medina się zgodzi.

Maxie spojrzała podejrzliwie. Dlaczego taka dama jak Cynthia Pruitt miałaby chcieć gościć u siebie w domu takiego wyrzutka społecznego jak Maxie Kaktus? - Dlaczego powinnam do ciebie przyjechać? - zapytała.

Cynthia przez moment była zaskoczona tym pytaniem. Potem roześmiała się i odpowiedziała ze szczerością konkurującą z otwartością Maxie.

\_\_ o Z dwóch powodów, kochanie. Po pierwsze, naprawdę będę się cieszyć z twojego tdwarzystwa. Wierz mi, rozmowa z damami z Motherlode nie jest przyjemnością. A po drugie, stanowisz wyzwanie, któremu po prostu nie potrafię się oprzeć - samorodek czystego złota oprawiony w prosty, zwyczajny kamień. Przy niewielkiej ilości pracy, jeżeli będziesz chciała, będziesz świecić takim blaskiem, że nikt nigdy nie nazwie cię niechlujnym obszarpańcem.

Maxie wahała się. Nie była pewna, czy nie podobało się jej bycie obszarpańcem. - Medina już daje mi lekcje, jak się ... ucywilizować.

- Och, moja kochana! - zawiodła śpiewnie Cynthia. - To będzie znacznie, znacznie więcej niż po prostu cywilizacja.

Pruittowie mieszkali w jednym z naj wspanialszych domów w Motherlode. Przewyższał go okazałością tylko budynek należący do Shady'ego Sama Guenthera, właściciela domu gry znajdującego się naprzeciw sklepu Pruittów i dom braci Johnstonów, dwóch dobrze prosperujących prawników zajmujących się procesami górniczymi. Dom Pruittów wywierał nawet większe wrażenie niż posiadłość Mamy Moses znajdująca się na drugim krańcu miasta, ale kiedy Maxie powiedziała coś na ten temat, Georgia Pruitt, matka Cynthii, wyglądała, jakby miała za chwę paść trupem. Cynthia z kolei podziękowała Maxie za komplement i jedynie uśmiechnęła się na reakcję matki.

Cynthia nie pozwoliła Maxie nawet odetchnąć i od razu przystąpiła do działania. Bele materiału pochodzące ze sklepu jej ojca były starannie przeglądane. Wiele zostało odrzuconych, ale stos, który spotkał się z aprobatą panny Pruitt urósł do alarmujących rozmiarów.

- Cynthia, ja nie mam pieniędzy, żeby zapłacić twojemu tacie za te materiały - powiedziała Maxie. - Płacić tatusiowi? Nie bądź głuptasem.

Ojciec Cynthii, ogragłogłowy mężczyzna ze wspaniałymi wyasami, który był poprzednio tak' miły dla Maxie, wzruszył ramionami, potwierdzając słowa córki. Tam, gdzie chodziło o jego córkę, zauważyła Maxie, człowiek ten był całkowicie bezradny.

Maxie spróbowała więc uciec się do głosu rozsądku.

\_ Prawdopodobnie nawet nie będę w stanie włożyć tych wszystkich sukien, które dla mnie planujesz. - To twoja strata - zbeształa ją Cynthia wesoło.

- Nie ma żadnych granic, jeżeli chodzi o ilość strojów, jakie może używać kobieta. Zobaczysz.

- Ale ja jestem tylko służącą na ranchu Kelleyów.

- Jesteś o wiele ważniejsza, niż służąca! Ty masz być damą. A damy nie wkładają - przyjrzała się krytycznie spódnicy i bluzce, które Maxie dostała od Marii i pracownicy skróciła - takiej odzieży jak ta.

- Taak. Masz rację. Wolałabym chodzić w bryczesach.

Przez moment Cynthia przyglądała się jej z konsternacją. Potem obie wybuchnęły śmiechem.

- Chodźmy na górę, żeby cię pomierzyć - zakomenderowała Cynthia. Wzięła w ręce górę materiału i ruszyła na schody. Maxie, rzucając przeproszające spojrzenie w stronę uśmiechającego się dobrotliwie ojca Cynthii, podażyła za nią.

Nigdy nie widziała czegoś podobnego do sypialni swej nowej przyjaciółki. Podczas gdy Cynthia odkładała materiał i przekopywała szafkę w poszukiwaniu taśmy do mierzenia, Maxie podziwiała przybraną falbankami narzutę na łóżko i dopasowane do niej firanki, prawdziwe lustro nad toaletką, luksusowy dywan tłumiący ich kroki. Kto by pomyślał, dziwiła się, że uczciwy handlarz może zarobić tyle forsy, by stać go było na takie luksusy. Napadanie i łupienie było jedynym sposobem na zdobycie dużych pieniędzy - takie było motto rodziny Maxwellów.

- Rozbieraj się - poleciła Cynthia.

- Co?

- Chyba ci się nie wydaje, że dam radę cię zmierzyć przez te workowate szmaty?  
- Wcale nie są takie workowate. Robiłam je na swą miarę.  
- Ja to lepiej widzę. Po prostu je zdejmij, kochanie. Maxie rozebrała się do bielizny, a Cynthia przystąpiła do pracy z taśmą.  
- Mój Boże, aleś ty mała! Wszystkie te śliczne okrągłości w takim maleńkim wydaniu. Co ja bym dała za takie piersi!

Maxie zamrugła zaskoczona,

\_ Twoje piersi wydają mi się całkiem niezłe.

\_ O wiele bardziej chciałabym być mała i zgrabniutka. Jak ty.

Maxie by się założyła, że męska część populacji Motherlode nie zgodziłaby się z tym zdaniem. Zwłaszcza Aaron Hunter.

\_ Będziesz wyglądać cudownie w tym, co uszyjemy. I niech zobaczę ... - wzięła Maxie pod brodę i odwróciła jej głowę najpierw w jedną, potem w drugą stronę. - Co zrobimy z włosami? Masz taką śliczną małą twarzyczkę. Krótki, spiczasty podbródek, delikatny mały nosek ... ! te oczy! Jak cię do końca przygotuję, pozbawisz oddechu każdego, kto nosi spodnie - wręcz szelmowski uśmiech pojawił się na jej twarzy. - A zwłaszcza jednego, jak sądzę.

\_ Czy ty i Hunter jesteście zaręczeni? - Maxie nie wiedziała, dlaczego to pytanie pojawiło się w jej ustach. Ale stało się.

\_ Ja miałabym poślubić Aarona? - Cynthia zachichotała. - Och, nie. Nie ja. Odwróć się. Muszę zmierzyć długość od szyi do pasa.

\_ Co masz na myśli, mówiąc, że nie zamierzasz wyjść za Huntera? - Czy ta kobieta uważała, że Hunter nie jest dla niej' wystarczająco dobry? - Myślałam, że jeśli przyzwoita kobieta spaceruje z jakimś mężczyzną, tańczy z nim i wszędzie w mieście można ją z nim spotkać, oznacza to, że ma zamiar za niego wyjść!

\_ Może tak jest na wschodzie, ale z pewnością nie tutaj. Aaron i ja jesteśmy po prostu przyjaciółmi. On jest jednym z niewielu mężczyzn w Motherlode, za którego dałabym więcej niż dwa centy, ale nie wpadłoby mi do głowy, żeby za niego wychodzić.

'Maxie odepchnęła od siebie taśmę, zła z powodów, których nie była w stanie do końca zrozumieć.

\_ Dlaczego? Nie jest wystarczająco dobry?

Cynthia zmarszczyła delikatne brwi z irytacją:

- Oczywiście, że jest wystarczająco dobry! Aaron jest wspaniałym mężczyzną - uczciwym, ciężko pracującym, przystojnym, inteligentnym, dżentelmeńskim ...

Hunter dżentelmenem? - pomyślała Maxie. To było coś nowego.

- Ale ja go nie kocham. To wszystko. On potrafi być tak uczuciowy, a gdzieś w głębi niego jest tyle gwałtowności, że to mnie przeraża. Nigdy nie widziałam, żeby się nie zachował jak dżentelmen, ale demon wygląda czasem zza tej spokojnej fasady - Cynthia westchnęła, jej chwilowa irytacja minęła. - Ja potrzebuję kogoś, kto będzie zadowolony siedząc przy kominku z dziećmi na kolanach. Człowieka interesu, który będzie mógł przejąć sklep taty - może go rozszerzyć, zająć się lokalną polityką, który będzie żył spokojnym życiem, tak, żebym zawsze wiedziała, że wieczorem przyjdzie do domu. Aaron jest bardziej zainteresowany zapracowaniem się na śmierć na tym swoim ranczo. Nie 'wspominając o tym, że każdy górnik i ranczer z tych terenów oczekuje od niego ścigania bandytów i Apaczów, chociaż podlega mu właściwie tylko to, co dzieje się w Motherlode.

- Hunter ma ranczo?

- Tak. To jego duma i radość. Jest położone na brzegu rzeki, przy ... - nagle przerwała i skierowała wszystkowiedzący wzrok na Maxie. - Jesteś zazdrosna, prawda? To stąd te wszystkie pytania o mnie i o Aarona. Ty jesteś w nim zakochana!

- Ja nawet nie lubię tego twojego przekłętogo Aarona Huntera, a co dopiero mówić o miłości! - padła natychmiastowa odpowiedź. - I on nie jest

- kontynuowała wyniosłym tonem - żadnym przekłętym dżentelmenem, jak ci się to wydaje!

Cynthia rzuciła Maxie na poły rozbawione, na poły współczujące spojrzenie:

- To tak się to przedstawia! O, Boże! Uwielbiam miłosne historie!

Ta dziewczyna była głucha! Nie usłyszała nawet jednego słowa! Maxie przyszykowała się do



wyłoszenia kolejnej porcji przekleństw.

- Teraz widzę wszystko już nieco jaśniej.

- Cynthia kontynuowała, zanim Maxie zdołała wypluć z siebie następne inwektywy. - Mamy trochę do zrobienia, zanim osiągniemy "i byli szczęśliwi aż do śmierci", prawda? Ale na początek, kochanie, damy nawet nie myślał takimi słowami jak "do diabła", czy "przeklęty", nie mówiąc o wypowiedaniu ich na głos.

- Ja naprawdę nie lubię Huntera, Cynthio. Przyznaję, że ma on w sobie coś w rodzaju zwierzęcego uroku, ale absolutnie go nie kocham!

- Nie, kochanie, oczywiście, że nie - oczy Cynthii błyszczały rozweselone. - Jeżeli jednak byś go kochała, mogłybyśmy sprawić, że będzie się tarzał u twych stóp w momencie, gdy opuścisz prywatną szkołę Cynthii Pruitt dla niszczących męskie serca młodych dam. Jesteś naturalną pięknoscią, a co więcej, masz ogromnie wiele uroku, wynikającego z tego, że zawsze jesteś sobą.

Naturalna piękność? Ja? Maxie odwróciła się i stanęła przed lustrem. Jej skrzycone loki nie mogły zostać poskromione nawet przez najściślejszy warkocz, gdyż miękkie i niesforne kędziory wysmykiwały się i ciemną chmurką otaczały twarz, która wyglądała jak buzia dwunastoletniego chłopca, zauważyła Maxie.

Wprawdzie ktoś jej kiedyś powiedział, że jest ładna, przypominała sobie. Rok temu albo coś koło tego Blackjack sprowadził do Stronghold swoją ukochaną - no, może nie tak całkowicie ukochaną. Jej brat porwał dziewczynę i trzymał ją zdecydowanie wbrew jej woli. Julia była w Stronghold przez sześć miesięcy, dopóki nie zabił jej udar słoneczny. Ona i Maxie stały się w pewnym sensie przyjaciółkami. Biedna niedoświadczona kobieta była prawdziwą damą ze wschodu i czasem wypowiadała się w bardzo dziwny sposób. Ale ona także uważała, że Maxie mogłaby być czymś więcej niż niechlujem. Julia powiedziała, że Maxie mogłaby być pięknoscią, jeżeli pozwoliłaby wydostać się swej prawdziwej osobowości z - jak to Julia określiła? - zaszarganej skompy.

- Naprawdę uważasz, że Hunter mógłby we mnie zauważać kobietę?

- Myślę, że już ją zauważył.

Niech to szlag, jeżeli by to przyznał, powiedziała do siebie z goryczą Maxie. Jednak obietnica Cynthii, że Hunter będzie się czołgał u stóp Maxie, miała nieodparty urok. Bóg wie, że ten mężczyzna zasłużył sobie na chwilę zakłopotania. Dobrze to zrobi jego charakterowi.

Ale ja go nie kocham, upewniała się Maxie. Wszystkie te głupie wewnętrzne wzburzenia i tęsknoty z czasem miną. Jedynym powodem, dla którego postanowiła przystać na plan Cynthii, była chęć ujrzenia Aarona otrzymującego zasłużoną nauczkę.

Następny tydzień stanowił piekło dla Maxie i nie był o wiele lepszy dla zdeterminowanej Cynthii. Maxie ćwiczyła, jak należy siedzieć, jak stać, chodzić i rozmawiać, i jak robić wiele innych rzeczy, które umiała - jak sądziła - od czasu, gdy wyrosła z pieluch. Kontynuowała także lekcje czytania, szycia i gotowania, zapoczątkowane przez Medinę w Agua Lindzie. Włosy Maxie były ściągane do tyłu, upinane, męczone zwijaniem i układaniem, co niejednokrotnie powodowało wybuchy śmiechu obu dziewcząt. W końcu zostały podcięte i pozwolono im opadać na plecy Maxie po przewiązaniu zwykłą wstążką.

Pod koniec tego wyczerpującego tygodnia przybyła kontrolę Medina. Przybiła stempel aprobaty na nowej Maxie i pozwoliła jej przedłużyć wizytę o następny tydzień.

- Wyglądasz na znacznie bardziej ucywilizowaną. Ale to - skomentowała. - Jake cię nie pozna - roześmiała się. - Rozpuściłaś tego psa niemożliwie, wiesz? Spędza całe dni leżąc w pobliżu kuchni, płacząc się Elsie pod nogami, żebrząc o smakołyki i patrząc tęsknie co dwadzieścia sekund na drzwi, żeby sprawdzić, czy przypadkiem nie pojawiłaś się w domu.

W następnym tygodniu Maxie odrabiała swe „lekcje, jak być damą” ze zdwojonym ferworem. Sama widziała wyraźne ich rezultaty. Ta młoda kobieta, która spoglądała na nią z lustra, była prawie kimś obcym. Włosy wciąż wily jej się dookoła twarzy, ale teraz wyglądało to kobieco, a nie nieporządnie. Kremy i maści Cynthii nawilżyły jej skórę, a plasterki ogórka kładzione na oczy, co wieczór na pół godziny, wysączyły zaczerwienienie spowodowane arizońskim słońcem.

Po koniec drugiego tygodnia Maxie czuła się gotowa do zaatakowania każdego i wszystkiego. Przez cały ten tydzień nie przeklinała. Jej nowe stroje - eleganckie, lecz o prostym kroju, gdyż takie

Cynthia uznała za najbardziej pasujące - były ukończony. Wkładając długą spódnicę, powiewającą z gracją dookoła kostek, z koronkami wokół nadgarstków i wycięcia przy szyi, Maxie czuła się zmuszona do utrzymywania prostej postawy. Skłonność do przeskakiwania dwóch stopni na raz i stawiania kroków -- jak to Cynthia powiedziała - przynajmniej dwa razy dłuższych, niż powinny być, łatwo było pokonać w odzieży, w której Maxie czuła się atrakcyjna. Nie można było w żaden inny sposób określić jej uczuć, gdy stała przed lustrem i pozwalała przyjaciółce podkręcać podgrzaną lokówką podcięte końce włosów. Czuła się nieprawdopodobnie piękna.

- Muszę iść do banku, żeby coś załatwić dla tatusia - odezwała się Cynthia. - Masz ochotę iść ze mną? - oczy Cynthii migotały szelmowsko. - Słyszałam, że Aaron jest znowu w mieście. Mogłybyśmy zatrzymać się przy jego biurze i się z nim przywitać.

Maxie poczuła w żołądku przypływ niepokoju. Nagle jej pewność siebie stopniała. Hunter ścigał wraz z Pete'em Kelleyem rabusiów, którzy zajęli się kilkoma sztukami bydła, należącymi do Agua Lindy, więc Maxie nie wychodziła do miasta, by potwierdzić swą metamorfozę. Paliła się, żeby zobaczyć jego reakcję teraz, gdy była tak zmieniona, ale jednocześnie śmiertelnie się tego obawiała. Nie rozmawiali ze sobą od momentu, gdy pożegnali się z niechęcią na zabawie u Kelleyów, a on potem był... Bóg jeden wie, jaki był. Milczący. Ukształtowany z kamienia. eniknął nawet jego kpiący półuśmieszek. Patrzył na nią z tak dziwnym napięciem, że Maxie czuła się przerażona.

Teraz miała go spotkać ponownie.

- Oczywiście, że z tobą pójdę - powiedziała, przypominając sobie surowo, że przecież Maxwellowie nie bywają tchórzami.

Cynthia przewiązała włosy Maxie jaskrawoniebieską wstążką - pasującą zarówno do jej oczu, jak i do tiuowej sukni, którą dziewczyna miała na sobie. Maxie wygładziła spódnicę i zdjęła wymaginowany pyłek z nosa. Boże, jak bardzo chciałyby się pozbyć tych tak nie pasujących do damy piegów!

Nie było potrzeby zatrzymywania się przy więzieniu w celu pozdrowienia Huntera. Spotkały go, gdy szedł ulicą. Wyglądał na zmęczonego - prawdziwie wyniszczonego. Utykał wyraźniej niż kiedykolwiek, a mała blizna przecinająca brew wydawała się być jedną z kresiek na całkowicie pomarszczonej twarzy. Głęboko w jego ciemnych oczach pobłyskiwał demon, którego tak obawiała się Cynthia.

- Dzień dobry, Aaronie - zagadnęła Cynthia, nie zważając na jego nastrój. - Cieszę się, że jesteś już z powrotem i bezpieczny. Udało ci się złapać rabusiów?

- Dwóch z nich - mruknął. - Trzej wysmyknęli nam się z rąk - spojrzał przelotnie na Maxie. - Twoi krewni. - Potem popatrzył po raz drugi rozszerzonymi ze zdumienia oczami.

- Chyba skoczę teraz do banku - powiedziała Cynthia. - Spotkamy się w sklepie, Maxie.

Maxie desperacko pragnęła, by Cynthia została, ale nie była w stanie otworzyć ust i zaprotestować, gdy jej przyjaciółka zniknęła. Stała jak przemurowana w jednym miejscu, a jej serce wyczyniało harce jak nie ujeżdżony koń.

- Dobry Boże! Co się z tobą stało?

Maxie udało się uśmiechnąć na sposób damy.

Próbowała zignorować onieśmielający wyraz twarzy Huntera. Jego oczy były wystarczająco zimne, by zamrozić język węża. Niech to szlag! Jak mogła kiedykolwiek pomyśleć o przekonaniu do siebie tego mężczyzny, jeżeli ci idioci, jej bracia, spowodowali, że szalał on na sam dźwięk ich wspólnego nazwiska. Gówno! A nie przeklinała przez cały tydzień! Cóż, przynajmniej nie powiedziała tego głośno.

- Byłam z wizytą u . Cynthii - powiedziała uprzejmie.

- Coś ty ze sobą zrobiła? - jego usta zacisnęły się i Maxie wyczuła, że nie wybrała najlepszego momentu na oczekiwanie z jego strony komplementów. Jej bracia musieli naprawdę zamienić mu życie w piekło. A ich ucieczka, oczywiście, powodowała jego dodatkowe rozdrażnienie.

- Wyglądasz, jak ... jak ... jak dziecko w przebraniu. Co ty w ogóle próbujesz osiągnąć? Chcesz, żeby wszyscy zapomnieli, że nazywasz się Maxwell?

To było to! Cała garna absolutnie nie pasujących do damy odpowiedzi rozbłysła przed oczami Maxie, ale przez wzgląd na Cynthię żadne nie zostało wypowiedziane głośno.

- Ty ... ty ... - nie mogła znaleźć słowa, które byłoby wystarczająco silne, a jednak jeszcze uprzejme.  
- Nie wstydę się, że nazywam się Maxwell, ty zżerający ropuchy, żółto zabarwiony kawałek mulego gówna! To chyba ty biegasz w kółko, wstydząc się swojej przeszłości!  
- To teraz jesteś dodatkowo filozofką? \_ jego głos był jak lód.  
Miała ochotę go kopnąć, ale nie pasowało to do damy jeszcze bardziej niż przeklinanie.  
- Idź do diabła, Hunter!

Maxie odwróciła się i zniknęła. Gdy w końcu zwolniła, by złapać oddech, znajdowała się w drugim końcu miasta, a ludzie rzucali w jej stronę zaciekawione spojrzenia. Cudownym zrzędzeniem losu biegła w kierunku jedyne miejsce, w którym miała szansę odzyskać utracone poczucie własnej wartości. Przed jej oczami pojawił się dom Mamy Moses. Jej przyjaciółki, dziwki, prawidłowo ocenią z trudem osiągnięty obraz damy, nawet, jeżeli nie zrobi tego nikt inny!

Hunter stał na ulicy, obserwując ucieczkę Maxie płonącymi oczami. Został otoczony przez Maxwellów. Co było gorsze - ściganie braci, którzy uciekli z bydłem Kelleya, czy wracanie z powrotem i oglądanie ich siostry, której wygląd stanowił ucztę dla męskich oczu? Tak, jakby ta mała kusicielka nie przyszpiliła już jego serca do wrót stodoły i nie wykorzystywała go w charakterze tarczy strzelniczej! Cały ten przeklęty klan konspirował, by uczynić jego życie jak najtrudniejszym!

### **Rozdział 13**

Kłopot z mężczyznami polega na tym - pouczała Sophie - że wszyscy oni mają rozum w spodniach. I jeżeli chcesz cokolwiek od nich uzyskać, musisz zaapelować do tej części ich ciała, która myśli. Dziewczyny Mamy Moses, mniej lub bardziej roznegliżowane, otoczyły salon. Maxie znajdowała się w centrum ich zainteresowania. Wepchnęła się do domu z podniesioną wysoko głową gotowa ostrzyć pazurki, potem nagle rozplynęła się we łzach. Rozwalone na meblach kobiety otoczyły ją natychmiast, pociągnęły do wyściełanego siedziska i słuchały z uwagą, jak wyrzucała z siebie lamentsy na temat głupoty wszystkich mężczyzn w ogólności, a jednego z nich w szczególności. Wszystkie potaknęły, zgadzając się z opinią Sophie. - To prawda - powiedziała Andalusia. - Mężczyzna myśli, że jest najważniejszą istotą na ziemi.

Andalusia, hoża, brązowowłosa uwodzicielka

zwodniczo sennie wyglądających oczach, została przedstawiona Maxie jako następczyni Carlotty. Maxie pamiętała, że nie tak dawno temu dziewczyny przekonywały ją, by zajęła jej miejsce. Powinna zgodzić się wtedy na ich ofertę, pomyślała gorzko. Może wtedy by doceniono jej wysiłki podjęte dla stania się kobietą .

- Jest tylko jeden powód, dla którego mężczyzna zwraca uwagę na kobietę - kontynuowała Andalusia - a mianowicie, gdy ma on ochotę na to, czego nikt inny nie może mu dać.

. - Może ten rodzaj mężczyzn, z którymi ty jesteś zaznajomioną - zaprotestowała Carmen. - Moi klienci oczekują czegoś innego niż tylko szybkiej jazdy pomiędzy czyimiś nogami. Oni szukają kogoś, z kim będą mogli porozmawiać, kogoś współczującego, pełnego zrozumienia.

- No cóż, całe szczęście, że nie szukają rozumu - wtrąciła się Jacqueline. - Maxie, kochanie, nie słuchaj ich. One nie potrafią utrzymać mężczyzny dłużej, niż to jest potrzebne dla załatwienia nocnych spraw. Ty potrzebujesz mężczyzny do czegoś więcej.

- Ja wcale nie potrzebuję mężczyzny!

- To dlaczego się martwisz? Ale nie zaczynaj znowu beczeć. Słodki Jezu, nie znoszę bab, które płaczą!

- Ja nigdy nie płaczę! - chlipnęła Maxie.

- No to właśnie teraz ci się to udało. Weź się w garść, dziewczyno. No to co, że Aaron Hunter jest osłem? Wszystko, co musisz zrobić, to nauczyć się nim odrobinę sterować. Mężczyzna jest bardzo podobny do muła. Czasami wystarcza mu marchewka przed nosem, czasem potrzebuje kija z tyłu.

- Każda dziewczyna, która próbowała ujeżdżać Huntera, szybko lądowała na ziemi - powiedziała Sophie.

- Ja słyszałam, że pewna zadzierająca nosa dama ze wschodu oswoiła go całkowicie - wtrąciła Andalusia.

- Gówno! - odpowiedziała Soph'ie. - To by się nie udało. .

- Jaka dama ze wschodu? - zapytała Maxie.

- Jakaś, taka, z którą chciał się ożenić. Zabito ją, gdy wysiadała z pociągu towarowego.

- Babskie gadanie - powiedziała Jacqueline.

- Spójrzcie na naszą małą Maxie. Kochanie, nie wiem, co ze sobą zrobiłaś, ale wyglądasz tak ślicznie, jak mały, kwitnący kaktusik. Masz wystarczająco dużo, by załatwić mężczyznę na całe życie, ale założę się, że potrzebujesz jednej czy dwóch lekcji na temat, jak to wszystko wykorzystać.

- Nauczyłam się wszystkiego na temat, jak być damą - tłumaczyła Maxie. - Jak chodzić, jak mówić, jak jeść, jak się ubierać, jak ...

- Koteczku- powiedziała Jacqueline. - Tutaj nikt nie mówi o nauce bycia damą.

W ciągu następnej pół godziny te graniczne kwiaty naj starszego zawodu świata uraczyły Maxie tak dobitnymi poradami, że Hilda i reszta dziwek Hemanda wydała jej się nagle grupą naiwnych dziewcząt. Maxie uważała, że więcej niż połowa ich rad jest absolutnie nierealna, a pozostała połowa, jeżeli w ogóle była możliwa do realizacji, to z pewnością nie podczas nOtn1alnych praktyk stosowanych przez mężczyzn i kobiety.

Uszy Maxie zaczynały płonąć, gdy lekcja została miłosiernie przerwana przez wejście Mamy Moses.

- Patrzcie, kogo tu mamy! Mała Maxie! Miło widzieć cię całą i zdrową, dziewczyno. Nasz przyjaciel Hunter wypuścił cię znowu spoza zasięgu wzroku? - jej mrugnięcie było wysoce sugestywne.

- Och, nie. To znaczy ... Hunter nie ... to nie jest... - Maxie zaniemówiła. Czy Moses naprawdę myślała, że Hunter wyniósł ją tamtej nocy z burdelu, by wziąć ją do łóżka?

Mama Moses uniosła brew z zainteresowaniem, potem popatrzyła na swoje dziewczyny: - A co my tu wszystkie robimy? Becca, posprzątałaś ten bałagan w swoim po!mju? A Carmen - myślałam, że masz zamiar pomóc mi w wyborze nowych zasłon do twojego pokoju.

- My właśnie przekazujemy Maxie nasze doświadczenia - powiedziała jej Sophie.

- Tak, słyszałam parę z tych rad, gdy wchodziłam po schodach. Nie słuchaj ich, kochanie. Jeśli chcesz mężczyzny, rób tylko to, co jest naturalne. Nie tkwisz w tym biznesie, by się sprzedawać, tak jak my, więc pamiętaj, że jedyną chwilą, w której możesz się oddać, jest moment, gdy czujesz, że właśnie to jest słuszne,

Dźwięk strzałów zagłuszył cyniczną odpowiedź Maxie.

- Wszyscy święci! - wrzasnęła Carmen. - Co się dzieje?

Jak stado drżących motyli, dziwki skoczyły do okna i odgarnęły koronkową firanę.

- To napad! - krzyknęła radośnie Rebecca.

- Ktoś napadł na bank!

- Pozwól mi popatrzeć! - Jacqueline odepchnęła inne na bok. - Patrzcie! Tam biegnie Hunter! On im pokaże piekło! - Naprzód szeryfie! Nafaszeruj łajdaków ołowiem!

Maxie podskakiwała w górę i w dół, mając nadzieję ujrzeć coś ponad głowami wyższych kobiet, które tłoczyły się dookoła okna. Ale gdy usłyszała o Hunterze, zrezygnowała i skierowała się prosto do drzwi frontowych. Mama Moses, jedyna poza Maxie całkowicie ubrana kobieta w tym pomieszczeniu, dołączyła do niej, gdy dziewczyna wybiegała na ganek.

- Boże miłościwy! - powiedziała Moses.

- A gdzie ty się wybierasz? - chwyciła Maxie za ramię, gdy podniecona dziewczyna miała zamiar wyskoczyć na ulicę.

To było dokładnie tak, jak dawnymi czasy. Przez lata słuchała z zawiścią, jak Blackjack i Tom opowia- dali historie na temat swych złodziejskich skoków. Gdy zauważyła dym karabinowy wydobywający się z otwartych drzwi banku i ujrzała trzech zamaskowanych mężczyzn wyskakujących z uniesioną bronią, poczuła w żyłach gotującą się krew Maxwellów.

- To łajdaki! - jęknęła Moses. - To straszne! Maxie nie uważała, żeby to było straszne. To było

podniecające.

Podziwiała doskonale zorganizowanie czterech bandytów. Jeden stał na zewnątrz z końmi, podczas, gdy trzej pozostali znajdowali się w środku i dokonywali zręcznego i szybkiego rabunku. Gdy Maxie i Moses stały patrząc, trójka bandytów wyskoczyła na zewnątrz i dosiadła koni. Wszyscy czterej spięli wierzchowce i pogalopowali wzdłuż ulicy. Sprawna, szczegółowo opracowana ucieczka wydawała się Maxie czymś wspaniałym.

Ale oczywiście Hunter próbował zepsuć całą zabawę! On i Simon Curtis gnali w stronę banku z wyciągniętymi pistoletami.

- No już! - Maxie dopingowała swych bohaterkich bandytów. - Ruszajcie się!

Poczuła niepokój, gdy jeden z bandytów odwrócił się i wypalił do Huntera. Kula uderzyła w ziemię blisko butów szeryfa - za blisko, jak dla Maxie. Dziewczyna nie miałaby nic przeciwko władowaniu kilku solidnych ciosów w arogancką twarz Huntera; ten łajdak zasłużył sobie na to. Ale nie chciała, by został nafaszerowany kulami.

Nie podobało jej się także, gdy Hunter odpowiedział na ogień bandytów z równie morderczą intencją. Jeden z uciekających chwycił się za ramię, wykrzyknął jakieś przekleństwo i runął z konia na ziemię. Jego przyjaciele nie, zatrzymali się, by mu pomóc. Zniknęli w chmurze kurzu.

Hunter pozostawił rannego mężczyznę niezbyt delikatnym ręką Curtisa, a sam zwoływał mężczyzn z Motherlode, by skompletować oddział.

- Szeryfie Hunter! - jakiś człowiek krzyczał stojąc w drzwiach banku i machał ramionami w panice. - Szybko!

Hunter przeciskał się przez tłum, który rozproszył się, by pozwolić mu przejść. Maxie mogła prawie usłyszeć, jak mieszkańcy miasta nabierają powietrze i wstrzymują oddech, chociaż nie rozumiała, co w tym zajściu mogło być jeszcze interesującego. Napad już się zakończył.

- Chodźmy! - pociągnęła Mamę Moses w stronę banku. - Chodźmy zobaczyć!

- Nie ja, kochanie - odpowiedziała Mama Moses. - Nauczyłam się w tym mieście pilnować własnego interesu. Poza tym, nie ma potrzeby, by widziano cię w moim towarzystwie. Masz już wystarczająco dużo kłopotów. Idź sama.

Maxie pospieszyła do banku niezbyt odpowiednim dla damy krokiem. Gdy przepychała się przez stojący przed drzwiami tłum, poczuła w żołądku ni'espokojne drżenie, chociaż nie rozumiała, z jakiego powodu. Napad był zabawą, niczym więcej. Jeżeli ludzie nie chcieli być obrabowani, nie powinni trzymać pieniędzy w banku. Powinni trzymać je w domu, gdzie były bezpieczne.

- Czy ktoś jest ranny? - zapytała.

Nikt jej nie odpowiedział. Nikt nawet nie zwrócił na nią uwagi. Tłum był zbyt zajęty spekulacjami na temat, co mogło się wydarzyć.

Nagle Maxie przypomniała sobie, że przecież Cynthia wybierała się do banku. Niespokojne drżenie w jej żołądku przerodziło się w panikę. Przy pomocy łokci przepchnęła się do drzwi i weszła do środka.

Cynthia leżała pod okienkiem kasjera. Zarówno Hunter jak i doktor Carter klęczeli przy niej, częściowo ją zasłaniając, ale widoczna część jej ciała była purpurowa od krwi. Żołądek Maxie podjechał do gardła.

- Cynthia?

Aaron wstał, wytarł zakrwawione ręce o spodnie spojrzął na nią lodowatym wzrokiem.

- Jesteś usatysfakcjonowana? - zapytał spokojnie.

- Czy ona ... czy ...

Przeszedł obok niej ignorując pytanie.

- Jedziemy! - usłyszała, jak krzyczy do czekającego na zewnątrz oddziału.

- Ona żyje - powiedział doktor Carter.

- O, Boże, dziękuję ci! - Maxie opadła na kolana obok przyjaciółki. Widziała, że Cynthia oddycha równo, ale bardzo płytko.

- Kula utkwiała pomiędzy żebrami. Musimy ją zanieść do mojego gabinetu. Czy panienka mi pomoże?

- Oczywiście! - krzyknęła Maxie, ze szlochaniem w głosie. - Tylko proszę mi powiedzieć, co mam

robić. - Spojrzała na inne ciało, leżące twarzą w dół na podłodze w drugim końcu pomieszczenia kasowego. - A co ... co z nim? - rozpoznała drobną sylwetkę, druciane okulary i skromną kępkę siwiejących włosów należących do Johna Tuttle'a, miłego, niskiego mężczyzny, który był bankowym kasjerem. Spotkała go na zebraniu kościelnym, a kiedy wszyscy odwracali od niej głowy, on znalazł dla niej niejedno przyjazne słowo.

- On nie żyje - powiedział Carter.

- Nie żyje? - nieśmiały mały kasjer i niewinna dziewczyna. Jak to mogło być? - Dlaczego ...

dlaczego mieliby strzelać do ... ?

- Do tej dwójki? - zapytał doktor z cynicznym brzmieniem w głosie. - Oni nie strzelali do tej dwójki, panienko. Te łajdaki po prostu dawały ognia ze swych pistoletów, żeby pokazać, jacy to z nich twardziele. Co ich obchodzi dziewczyna i nieszkodliwy starszy człowiek, którzy stanęli na drodze ich przeklętym kulom?

Następnych kilka godzin wydawało się nie mieć końca. Rodzice Cynthii dołączyli do Maxie, czekającej w poczekalni u doktora Cartera. Cała trójka siedziała, spacerowała, załamywała ręce, modliła się i czekała na wyjście doktora zza zamkniętych drzwi, prowadzących do gabinetu zabiegowego. Im dłużej czekali, tym bardziej Maxie martwiła się, że z Cynthią było gorzej niż początkowo przypuszczał doktor Carter. Co innego mogło wymagać tak dużo czasu? Biedna, słodka, niewinna Cynthia. I biedni jej rodzice. Maxie wydawało się, że przeżywa straszliwy sen, z którego nie może się obudzić.

Jak to się stało? Co Hunter miał na myśli, pytając, czy jest usatysfakcjonowana? Czy on myślał, że ci bandyci byli jej braćmi? Cóż, mogła go zapewnić, że tak nie było. Rozpoznałaby swoich braci, w maskach także. Oni nigdy nie strzelaliby dookoła w tak nieostrożny sposób, ani nie zraniliby kogoś tak niewinnego jak Cynthia, także by nie zabili takiego uroczego, starszego człowieka jak John Tuttle.

Zrobiliby tak?

W jej umyśle pojawiło się niepokojące wspomnienie. Pórwana ukochana Blackjacka była niewinna. Przyjechała ze wschodu, by wyjść za mąż, tak Julia powiedziała Maxie. Była taka smutna, gdy to mówiła. Od czasu niewoli u Apaczów Maxie w inny sposób oceniała tragedię porwania. Biedna Julia myślała o Blackjaku tak samo, jak Maxie o Choto. Tego lata Julia zmarła na udar słoneczny. Gdyby jej bracia zostawili ją w spokoju, Julia byłaby cała, zdrowa i szczęśliwa, żyjąc z kochającym ją mężem.

Niech to szlag, ale to życie stawało się skomplikowane! Maxie nigdy nie widziała podczas napadu strony przegrywającej. To doświadczenie z pewnością nie było przyjemne i dało jej wiele do myślenia o tym, czym zajmowała się rodzina Maxwellów. Popatrzyła, na niespokojne twarze Pruittów, czując ból we własnym sercu. Czy każdy skok jej rodziny tan ił ludzi tak mocno? Pytanie to po raz pierwszy pojawiło się w myślach Maxie.

Drzwi od gabinetu otworzyły się i doktor Carter wyszedł na zewnątrz.

- Myślę, że wszystko będzie w porządku... to jest, jeżeli rana nie zacznie się jątrzyć. Żebro zatrzymało kulę, zanim zdążyła naruszyć płuco. Rana jest dość powierzchowna. Po kilku tygodniach w łóżku dziewczyna powinna wydobrzeć.

Georgia Pruitt, która trwała w milczeniu przez cały czas, załapała się łzami. Pan Pruitt odchrząknął i ukradkiem otarł oczy.

- Mam nadzieję, że Hunter złapie tych łajdaków - kontynuował doktor. - I mam nadzieję, że przy prowadzi ich do miasta żywcem, żeby wszyscy mogli popatrzeć, jak będą ich wieszać.

Wizyta Maxie u Pruittów ponownie uległa przedłużeniu, tym razem Maxie musiała pielęgnować Cynthię. Jej pomoc pozwalała pani Pruitt na pracę w sklepie, a poza tym łagodziła niewytłumaczalne poczucie winy, które pojawiło się u Maxie od czasu napadu. Trochę to późno, by w wieku dziewiętnastu lat obudziło się w człowieku sumienie, próbowała sobie tłumaczyć Maxie, ale niech to diabli wezmą, jeżeli to nie sumienie płonęło w jej umyśle. Na dodatek pracowało w godzinach nadliczbowych, by nadrobić wszystkie stracone lata. Maxwellowie nie mieli nic wspólnego ze śmiercią pana Tuttle'a i zranieniem Cynthii, ale Maxie czuła się dokładnie tak, jakby to ona właśnie wystrzeliła kulę, która ugrzęzła w boku jej przyjaciółki.

Przecież tam, dokąd ona należała, życie toczyło się poza prawem.

Czyż nie?

Hunter pojawiał się każdego dnia, po raz pierwszy, by powiedzieć Cynthii, że bandyci zostali złapani i wkrótce staną przed sądem. Ponieważ Aaron był, poza pełnieniem funkcji szeryfa, także sędzią, Maxie nie miała wątpliwości co do wyroku.

Po pierwszej oficjalnej wizycie Hunter znajdował raz po raz jakąś wymówkę, by do nich zaglądać. Jego wizyty były krótkie, zazwyczaj składały się ze zwięzłego przywitania z Maxie, kilku minut banalnej konwersacji z Cynthią i określonej ilości niezręcznych dotknięć kapelusza i pochrząkiwań przed wyjściem. Przychodził każdego dnia, czasami dwa razy dziennie, aż w końcu Maxie zaczęła się zastanawiać, czy Cynthia zdaje sobie sprawę, jak bardzo Hunterowi na niej zależy.

- Z całą pewnością Hunter nie traktował mnie z taką troskliwością, gdy byłam zdrowa - zauważyła Cynthia pewnego dnia, zaraz po jego wyjściu. - Myślę, że być może to nie mnie przychodzi zobaczyć.

Maxie przestała poprawiać narzutę na łóżku Cynthii, gdy zauważyła jej wymowne spojrzenie.

- Nie bądź głupia.

- Cóż, Aaron nigdy nie pragnął mnie tak często oglądać. Zawsze przedtem traktował mnie jak siostrę. A z całą pewnością nie ma powodu, by codziennie składał mi wizytę. Nie leżę na łożu śmierci. Jeżeli tylko pozwoliłabyś mi wyjść z tego łóżka, podskakiwałabym z nadmiaru energii!

- Masz leżeć - poleciła Maxie *po* raz dziesiąty tego dnia.

- A co byś powiedziała na mały spacer? Podejrzewam, że nieświeże powietrze w tym domu zabiłoby silniejszą kobietę ode mnie. Przypuszczam, że uda mi się namówić Aarona, żeby zabrał nas na krótką przejażdżkę powozikiem. Wszystko, co musiałabym zrobić, to wdrapać się na siedzenie i napawać uzdrawiającym świeżym powietrzem.

- Hunter nie będzie miał czasu. A ja nie umiem powozić takim eleganckim powozikiem. Czuję się znacznie lepiej na końskim grzbiecie.

- Damy są wożone. Nie jeżdżą wierzchem jak poganiacze.

Ta dziewczyna nigdy nie rezygnuje, pomyślała Maxie ponuro. Gdy tylko poczuła się na tyle silna, by móc mówić, natychmiast powróciły "lekcje zachowania". - Poza tym - kontynuowała Cynthia - on będzie miał czas. Tylko poczekaj i patrz.

Hunter, zmieszany, odmówił zabrania Cynthii na przejażdżkę, gdy następnego dnia prośba o to została mu przedstawiona. Powinna leżeć w łóżku, nalegał, w tym jednym zgadzając się z Maxie. Poza tym miał ważniejsze rzeczy do roboty, niż tracenie dnia z dwójką kobiet.

Maxie powstrzymała się od uwagi, że tracił znacznie

więcej czasu codziennie wizytując Cynthię. Jeżeli miał lepsze rzeczy do roboty, to dlaczego ich nie robił?

Gdy Hunter przyszedł następnego dnia, Cynthia była ubrana i siedziała w salonie. Nuda, wyjaśniała, szybciej ją wykończy niż dobrze gojąca się rana. Maxie przyglądała się, jak Cynthia gra na uczuciach Huntera, jak apeluje do jego lojalności i poczucia winy, z fachowością wynikającą z długotrwałej praktyki. Zachowująca się jak dama Cynthia Pruitt, pomyślała Maxie, mogłaby prawdopodobnie nauczyć dziewczyny Mamy Moses, jak obchodzić się z mężczyznami, chociaż nie pozwoliłaby żadnemu z nich na więcej niż skromny pocałunek. Jak było do przewidzenia, Hunter się poddał.

Skargi Cynthii na ból głowy, który rzekomo pojawił się pół godziny przed tym, jak Hunter miał je zabrać na przejażdżkę, były także do przewidzenia, pomyślała Maxie. Powinna była wiedzieć, że cały ten pomysł z powozem był podstępem, mającym na celu wysłanie jej i Huntera razem. Jakaś jej częśćka - niesforna, lekkomyślna, która wzrastała w podskokach i w radości - pragnęła tej przejażdżki. Inna zaczęła się buntować.

\_ Nie pojedę na żadną przejażdżkę z tą glistą!

Jedynym powodem, dla którego miałam zamiar pojechać, była chęć dotrzymania ci towarzystwa.

\_ Nigdy nie sądziłam, że zobaczę, jak tchórzysz! - odparła Cynthia.

- Nie tchórzę! - Przez króciutki moment ich słowa przypomniały Maxie podobne argumenty, które wymieniała wiele lat temu ze swym bliźniaczym bratem. "Tchórz" - to była ulubiona obelga stosowana przez Brudnego lima, doprowadzająca ją zawsze do punktu wrzenia. Ale tamtego dnia to jej brat okazał się tchórzem. On uciekł, a Maxie uratowała Aarona Huntera z rąk rozwścieczonych górników.

- W porządku, jestem tchórzem. Poza tym, nie życzę sobie uprzejmości ze strony Huntera. My jesteśmy po prostu naturalnymi wrogami - jak psy i koty. - Kot mojej matki jest zaprzyjaźniony ze wszystkimi psami w mieście.

Maxie zastanowiła się, co by się stało, gdyby ten głupi kot stanął przed głodnym pustynnym kojotem. To było zwierzę, które Hunter czasami jej przypominał. Silny, prostolinijny, zręczny i gwałtowny. Kojota popędzał jego pusty żołądek. Maxie nie była pewna, co pobudzało Huntera. Może zwyczajna chęć sprawiania jej przykrości.

- Panno Cynthio! - zawołała z dołu Inez, meksykańsko-indiańska dziewczyna, która pomagała w sprzątaniu. - Panno Cynthio! Pan Hunter przyjechał.

- Ja naprawdę nie chcę jechać - upierała się Maxie.

Cynthia spojrzała na nią znacząco. Obie wiedziały, że Maxie kłamie.

- Och, w porządku - ruszyła w stronę drzwi.

- Weź czepek, Maxie! - zawołała za nią Cynthia ze śmiechem w głosie. - Damy nie wychodzą na dwór z odkrytą głową.

Hunter stał w salonie Pruittów, obracając w dłoniach kapelusz, gdy do pokoju zajrzała pani Pruitt.

- Dzień dobry, A aroni e - pozdrowiła go.

- Przypuszczam, że przyjechałeś zabrać dziewczęta na przejażdżkę.

- Tak.

Z enigmatycznego uśmiechu pani Pruitt Hunter wywnioskował, że coś się dzieje i pomyślał, że chyba wie, o co chodzi. Cynthia nie była szczególnie zręczna w tych swoich małych spiskach. Podkreślała przy nim uroki Maxie, jeszcze zanim obie dziewczęta się poznały. - Czy Inez poszła po dziewczęta? - zapytała pani Pruitt.

- Tak, ma'am. Przypuszczam, że zjedną na dół za minutę.

Pani Pruitt usadowiła się z gracją w fotelu i westchnęła: - Mam nadzieję, że Cynthia czuje się lepiej, niż przez cały dzisiejszy ranek. Potwornie bolała ją głowa. To wszystko było takim szokiem dla jej organizmu, biedne kochanie.

Aaron już wiedział co się dzieje. Pani Pruitt została wciągnięta do spisku, a nie kłamała, niestety, lepiej od swojej córki. Jeszcze wczoraj Cynthia praktycznie wyrwała się z łóżka, utrzymywana tam jedynie surowymi groźbami Maxie. A ból głowy pochodził najprawdopodobniej z nadmiaru myślenia na temat, jak wysłać go samego z Maxie.

Cynthia wiedziała przekłęcie dobrze, że chociaż byli naprawdę dobrymi przyjaciółmi, to przecież nie przychodziłby codziennie, by ją zobaczyć. Po prostu tak jak człowiek uporczywie dotyka językiem bolącego zęba, tak i Aaron nie był w stanie wytrzymać z dala od Maxie.

Za każdym razem, gdy Maxwellowie coś uczynili, Hunter usiłował wzbudzić w sobie gniew obejmujący Maxie na równi z jej braćmi. Udało mu się to szczególnie dobrze tego dnia, gdy została postrzelona Cynthia. Jego furia skierowana przeciwko napastnikom rozszerzyła się na wszystkich, którzy kiedykolwiek prowadzili przestępcze życie -- włączając w to samego siebie.

Incydent w banku był niezłym przypomnieniem, skąd pochodzi i za czym tęskni Maxie. Gniew pomógł mu w jego zdeterminowanej próbie pozostawania z dala od dziewczyny - dopóki nie usłyszał, że Maxie została w mieście, by pielęgnować Cynthię. Myśl o niej, znajdującej się tak blisko, była jak zaciskająca się pętla. Ulegał pokusie, szukając wytłumaczeń dla codziennych wizyt i każdego dnia odkrywał w Maxie coś porywającego, aż zaczął się zastanawiać, czy kiedykolwiek zdoła uciec przed swą własną głupią pasją. Był w stanie wojny ze sobą samym, a trwało to od momentu, gdy Maxie po raz pierwszy pocałowała go w Stronghold. Na obecnym etapie walki, jak się przekonał, bez wątpienia wygrywał tkwiący w nim oszołomiony głupek.

- Co im zabiera tak dużo czasu? - zastanawiała się głośno pani Pruitt. - Przy okazji, Aa!-onie. Pole-



ciłam kucharce zapakować dla was koszyk z lunchem, tak więc nie zapomnij wychodząc przejść przez kuchnię.

- To bardzo uprzejmie z pani strony - odpowiedział Aaron. - Jestem pewien...

Urwał. Maxie schodziła po schodach w błękitnej sukni podkreślającej kolor jej oczu, trzymając w dłoni ozdobiony wstążkami kapelusik. Suto marszczona spódnica i ściśle dopasowany staniczek robiły co mogły by z gustem podkreślić dojrzałą, godną pożądania kobiecość. Hunter poczuł nie uzasadniony przyływ gniewu. Maxie Kaktus Maxwell nie miała prawa, by wyglądać tak dobrze. Jego zdrowy rozsądek nie miał żadnych szans przy używającej tak ciężkiej amunicji dziewczynie.

- Och, kochanie! - jęknęła pani Pruitt, bez wątplenia świadoma wszystkiego. - Czy Cynthia nie schodzi?

Maxie sprawiała wrażenie niechętej - prawie, jakby nie zdawała sobie sprawy ze spisku.

Wyglądała bardzo niepewnie, co jeszcze dodawało jej uroku.

- Obawiam się, że nie - odpowiedziała.

Niech to diabli! Powinien usprawiedliwić się przed panią Prui i wyjść za drzwi, odwrócić się plecami do tego zjawiska na schodach i wyrzucić je ze swych myśli. Ale nie mógł. Za bardzo pragnął wyjechać z miasta z Maxie siedzącą obok niego.

Dziewczyna rzuciła mu powątpiewające spojrzenie. Uchwycił jej wzrok i wiedział, że połknął haczyk.

Powietrze było ciężkie od wrześnień upału i od milczenia. Hunter wyglądał na rozgniewanego, gdy Maxie powiedziała mu, że Cynthia nie czuje się na tyle dobrze, by wziąć udział w przejażdżce. Miała nadzieję, że odwoła całą imprezę. Ku jej zaskoczeniu nie zrobił tego, ale od momentu, gdy wdrapali się do powoziku i dojechali co najmniej pięć mil za Motherlode, nie odezwał się ani słowem.

- Ładny dzień - zaczęła.

- Jest piekielnie gorąco.

Tyle uprzejmej konwersacji. Nie zasłużyła na nią, pomyślała Maxie. W końcu cóż ona uczyniła Hunterowi takiego, poza uratowaniem jego przekłętą życia? On, był tym, który zdradził swych dawnych towarzyszy. On, był tym, który się wtrącił w jej dawne życie i zrujnował je, przeżywał ją, wyśmiewał się z niej, a w końcu pozwolił sobie na intymne pieszczoty z jej "osobą", jak to nazywała Cynthia. A teraz siedzi i zachowuje się tak, jakby ona była szumowiną, która zebrała się na powierzchni zamulonego stawu.

- To nie moja wina, że Cynthia została ranna - powiedziała nagle przerywając ciszę.

- Nigdy nie mówiłem, że tak jest.

- Owszem. Spytałeś: "Czy jesteś usatysfakcjonowana?" zanim tamtego dnia wyszedłeś z banku.

Zupełnie jakbym to ja pociągnęła za spust pistoletu, z którego strzelano do Cynthii. To było nie *fair*.

- Byłem wściekły.

- Nie dałam ci żadnego powodu, byś był wściekły na mnie!

- Jeszcze jak! Powiedz, że nie dopingowałaś tych łajdaków, którzy strzelali w banku!

Maxie poczuła chwilowy przyływ winy. Rzeczywiście dopingowała ich, ale to było wtedy, zanim zobaczyła efekty napadu. Jak on mógł myśleć, że dalej mogłaby to robić po tym, co oni zrobili Cynthii? Poczucie winy zamieniło się w oburzenie.

- Zatrzymaj powóz.

- Co?

- Za-trzy-maj po-wóz - oddzielała każdą sylabę, jakby mówiła do szczególnie tępego dziecka.

Hunter pociągnął za lejce; powóz zatrzymał się. Unosząc w górę podbródek z pasującą do damy pogardą, Maxie wysiadła.

- Co ty, do diabła, robisz?

Rzuciła mu miażdżące spojrzenie, jedno z tych, które długo i wytrwale ćwiczyła pod kuratelą Cynthii.

- Nie mogę tego tolerować. Żaden dżentelmen nie odzywa się do damy w sposób, w jaki ty to robisz. Nie jesteś dżentelmenem, Hunter, niezależnie od tego; co chciałbyś, żeby ludzie o tobie

myśleli.

Wyglądał tak, jakby nie mógł się zdecydować, czy ma się śmiać, czy przeklinać.

- A ty sądzisz, że jesteś damą?

- Ja piekiel... oczywiście, że jestem! Czy nie powtarzałeś mi przez cały czas, żebym się poprawiła i ucywilizowała? Cóż, uczę się, jak być damą. A ty wciąż mnie obrażasz i traktujesz jak zasmarcanego dzieciaka w bryczesach - wycelowała nos w niebo. - Nie mam zamiaru się z tym godzić.

Hunter rzucił jej długie, przenikliwe spojrzenie, potem się uśmiechnął.

- No i co masz zamiar zrobić, panno Wielka Damo? Iść spacerkiem z powrotem do miasta?

- Przyjrzyj mi się! - Z podbródkiem wciąż uniesionym do góry ruszyła w stronę miasta. Po trzech krokach rozboleły ją stopy, a po każdym następnym chodzenie na sposób damy wydawało się coraz trudniejsze. Ozdobione koronką buciki na wysokich obcasach, które Cynthia wmusiła jej tego ranka, nie były przewidziane na pieszne wycieczki.

Maxie usłyszała skrzyp powozu, gdy Hunter zeskakiwał na ziemię, ale wytrzymała, nie odwracając się, aż do chwili, gdy jego ręka wylądowała na jej ramionach.

- Maxie! Niech to szlag! To znaczy ... przepraszam - odwrócił ją do siebie. - Masz rację.

Traktowałem cię źle, a nie miałem powodu. Nic z tego, co się stało, nie jest twoją winą.

Jego twarz sprawiła, że jej serce prawie się zatrzymało. Wyglądał jak człowiek rozdarty wewnątrz.

- Hunter, taka jestem przez ciebie zakłopotana, że nie mogę przełknąć śliny. Czy powiesz mi, dlaczego mnie tak nienawidzisz? Wiem, dlaczego ja powinnam nienawidzić ciebie, ale nie jestem sobie w stanie wyobrazić, dlaczego ta nienawiść jest w tobie.

\_ Nie nienawidzę cię, Maxie. Bóg wie, że tak nie jest.

Wciąż nie podobał jej się wyraz jego twarzy.

\_ Podjedźmy nad rzekę i zjedźmy lunch - zasugerował. - Kucharka pani Pruitt zapakowała dla nas koszyk. Byłaby szkoda, gdyby to się zmarnowało.

Jechali wzdłuż małego potoczku, który przepływał przez Motherlode. W mieście był on niepokązny, ale przed ujściem do Santa Cruz rozszerzał się do kilkunastu stóp. Po przejechaniu mili dotarli do ujścia, tam skręcili na północ, by podążyć szeroką drogą, równoległą do brzegu większej rzeki.

Hunter przemówił ponownie dopiero po umieszczeniu zaprzęgu w cieniu topoli.

- To całkiem niezłe miejsce na lunch.

Maxie wciąż była na niego wściekła, toteż nie podejmowała konwersacji. Nie miała zamiaru padać na kolana i prosić go, by zaczął ją lubić. Dlaczego miałyby to robić?

\_ Maxie, przykro mi, że myślisz, że cię nienawidzę. Nie jest tak.

Maxie w milczeniu wyjęła koszyk z lunchem z powozu, rozścieliła obrus i wyciągnęła przygotowane przez kucharkę pani Pruitt jedzenie - plastry zimnej szynki, kurczaka, chleb i szarlotkę. Cynthia powiedziała, że damy zawsze przygotowują jedzenie dla dżentelmenów; jakby te nędzne kreatury były bezradne, czy coś w tym rodzaju. Maxie pomyślała, że może to równie dobrze wypraktykować, nawet jeżeli Hunter nie był dżentelmenem i nie wierzył, że ona może być damą.

- Czy możesz usiąść i posłuchać? - Myślałam, że chcesz coś zjeść.

- Maxie. Próbuję ci coś wytłumaczyć.

- Co?

- Niech to szlag! Do diabła! Przepraszam, wiem, wiem -- powiedział, zauważywszy, jak zwięzają się jej oczy. - Jesteś teraz damą - jego wzrok złagodniał. - Naprawdę podziwiam twój charakter, Maxie.

Życie nie było dla ciebie nigdy łatwe, a ty zawsze starałaś się zrobić z nim coś dobrego, prawda?

- Czy naprawdę mnie nie nienawidzisz, Hunter?

- Ja ... ja ... naprawdę, dziecino.

- Nie jestem dzieckiem.

Jego oczy, które przywarły do niej, uciekły niepewnie na bok:

- Nie. Nie jesteś. Powiniennem to już wiedzieć, prawda?

Zignorował szynkę i kurczaka, a nawet szarlotkę, która, jak powiedziała pani Priuti, była jego

ulubionym ciastem. Zamiast jeść, podszedł do topoli i oparł swe szerokie plecy o jej pień.

- Cały ten teren jest mój, wiesz? Kupiłem tę ziemię przy brzegu, gdy wróciłem z wojny. Chciałem tu rozpocząć hodowlę bydła.

- I co się stało?

- Apacze mnie spalili, wytlukli sztuki zarodowe. Sto stóp dalej ta droga skręca za wzgórze. Tam był dom i obory. Pozostały tylko wypalone resztki.

Maxie bardziej podobała się myśl o Hunterze, właścicielu rancza, niż o Hunterze, opętanym pragnieniem zemsty przedstawicielu prawa.

- Mogłeś zacząć znowu. Zbudować ufortyfikowany dom, jak Kelleyowie.

- Tak. Chciałem to zrobić. Miałem dziewczynę, która jechała do mnie ze wschodu, by za mnie wyjść. Spotkałem ją w Wirginii podczas wojny.

Maxie milczała, słysząc ból w głosie Huntera. Przypomniała sobie, co mówiła Sophie o biednej narzeczonej Huntera.

- Ona umarła - kontynuował. - Zabili ją bandyci, gdy do mnie jechała.

- I wyobrażasz sobie, że jeżeli zamkniesz wszystkich bandytów w granicznym kraju, jednym z nich będzie ten, który ją zabił. Czy tak?

- Taak - powiedział powoli.

- I nienawidziłeś mnie i mojej rodziny, bo przypuszczałeś, że my to mogliśmy zrobić?

- Nigdy cię nie nienawidziłem, Maxie. I nigdy nie przypuszczałem, że miałaś z tym cokolwiek do czynienia. Myślę, że miałaś rację mówiąc, że uciekam przed tym, czym byłem. Tak się stało, że przypominasz mi talnte dni, ale chociaż bardzo chciałem cię znienawidzić, nie mogłem. Nie jesteś kobietą, którą łatwo można znienawidzić, Maxie. Za każdym razem, kiedy zaczynam się cieszyć ... po prostu tobą, dzieje się coś, co przypomina mi, kim jesteś i skąd pochodzisz - przerwał, patrząc przez dłuższą chwilę w ziemię, potem podniósł oczy, by spotkać jej wzrok. - Maxie, ja ...

- Hunter! - Maxie przestraszyła się tonu jego głosu. Było jej niedobrze i czuła się zmęczona tą grą, którą prowadziła. Chciała, by Hunter zrobił z siebie głupca, przyznając, że jej potrzebuje, tak jak on sprawił, że niechcący zaczęła potrzebować jego. Ale ten mały plan nie wyglądał już na zabawę. Efekt całego spisku był już czymś więcej niż po prostu drobnym rewanzem.

Maxie nie uważała, by mogła jeszcze bardziej się w to wszystko pogрузić, ale ten Aaron Hunter, smutny i wrażliwy i nie taki twardy, niebezpiecznie ranił jej serce.

- Jestem głodna - powiedziała.

- Jesteś głodna, więc ja mam jeść?

Gdy się odwrócił, jego oczy wyglądały, jakby z ich głębin wydobywało się coś ciemnego.

Uśmiechnął się i po raz pierwszy, odkąd ponownie pojawił się w Stronghold, był to miły uśmiech chłopca, któremu uratowała życie wiele lat temu.

- Dobrze, zjemy. Ale skończymy tę rozmowę - uniósł rękę, by powstrzymać jej kpiący grymas - z pełnymi żołądkami.

Jedli w milczeniu. Maxie skubała swoją porcję. Popołudniowy upał przytępił jej apetyt, a napięcie panujące pomiędzy nią i Hunterem powodowało, że zaczęło ją skręcać w żołądku.

- Gorąco - wytłumaczyła. Popatrzyła na zieloną Santa Cruz. Woda wyglądała zapraszająco, a myśl o pozostaniu przez chwilę w samotności była równie zilpraszająca. - Chyba pójde do wody. Ta suknia ciśnie jak nie wiem.

Hunter rzucił jej zdziwione spojrzenie:

- Ostatnim razem, kiedy widziałem cię w rzece, młóciłaś rękami dookoła jak kot w wannie. Nie mów, że umiesz pływać.

- Umiem pływać! - powiedziała Maxie, automatycznie zaprzeczając podejrzeniu o jakąś nieumiejętność. Potem dodała, zmieszana: - N o dobrze" nie umiem. Ale woda nie jest głęboka. Twarz jej poczerwieniała na wspomnienie wodnej szamotaniny. Hunter nieźle się wtedy napatrzył, gdy skorczyła goła jak święty turecki. Wyraz jego oczu sugerował, że właśnie wspominał tę samą scenę.

Po kilku chwilach, które wydawały się trwać bardzo długo, Hunter odwrócił od niej wzrok, pokiwał głową i zachichotał. Wyjął z olstrów jeden z pistoletów.

- Weź to ze sobą. Połóż na brzegu tak, żebyś mogła szybko po niego sięgnąć.

Maxie doszła do miejsca, w którym znalazła się poza zasięgiem wzroku Huntera. Była to mała zatoczka, gdzie woda płynęła spokojną zielenią przy jednym brzegu i pluskała o piaszczystą plażę przy drugim. Z radością ściągnęła wilgotną od potu suknię, bieliznę, pończochy i majtki, myśląc przy tym, że damy byłyby o wiele szczęśliwsze, gdyby pozwoliły sobie na wkładanie luźnych bryczesów i przewiewnej bawełnianej koszuli.

Woda była wspaniała, chłodna. Zdobywając się na odwagę, Maxie doszła do miejsca, gdzie woda sięgała jej do pasa, zanurzyła głowę i potem strząsnęła z włosów kryształowe krople. Wreszcie ochłodzona, rozciągnęła się na piasku i pozwoliła wodzie obmywać swe ciało i poruszać falami poskręcanych włosów. To był po prostu raj.

Nie zaniepokoił jej żaden dźwięk na brzegu, żaden ruch nie przyciągnął jej wzroku. Nagle jednak, poprzez rozmarzenie, poczuła na sobie czyjś wzrok i nieprzyjemne napięcie rozpełzło się po jej ciele. Otworzyła oczy, usiadła i rozejrzała się.

Hunter stał na brzegu, cały spięty. Twarz wykrzywił mu uśmiezek, który Maxie zawsze uważała za niebezpieczny. Teraz była pewna, że miała słusność. - Próbowałem tam zostać, Maxie - powiedział miękko. - Bóg mi świadkiem, że próbowałem.

## **Rozdział 14**

Hunter rozpiął pas z bronią i odłożył go na bok. Nie odwracając oczu od Maxie, nie spiesząc się, zdjął buty, koszulę, spodnie i stał niewstydzając nagi na brzegu rzeki. Przez moment przyglądał się Maxie, potem zanurkował w wodzie. Po sekundzie wynurzył się i strząsnął wodę z włosów, wznecając fontannę kropeł. Jego wzrok wciąż był utkwiony w twarzy Maxie, jakby ani na sekundę się od niej nie oderwał.

Maxie zerwała się z mielizny i, rozbryzgując wodę, ruszyła w odleglejszą stronę zbiornika, nie zatrzymując się dopóki woda nie zakryła jej piersi. Ale nawet zasłonięta wirującą wodą czuła się odkryta przed jego intensywnym spojrzeniem - krucha, pragnąca, przestraszona.

Jak zahipnotyzowana przyglądała się, gdy Hunter się rozbierał. Twarde mięśnie; szerokie ramiona; wąskie biodra; silne nogi. Każdy jego ruch był giętki i miękki, gra mięśni pod brązową skórą, nieodparta, porywająca jak fizyczna muzyka, wzbudzała rezonans w jej własnym ciele, wprawiając w drżenie każdy nerw. Ogień w jego oczach jednocześnie przyciągał ją i przerażał.

Teraz stał, obmywany przez wodę, a jego spojrzenie przypominało Maxie wzrok, jakim kojot patrzy na tłustą kurę. Ruszył do przodu, woda wirowała dookoła jego bioder.

Oczy Maxie zwięzły się.

- Nie zbliżaj się, ty sukinsynu.

Uśmiechnął się, co jednocześnie ogrzewało ją i ochładzało.

\_ Damy nie zwracają się w taki sposób do dżentelmenów.

\_ Dżentelmeni nie podglądają, gdy damy zażywają kąpieli.

\_ Ja nie podglądam, Maxie. Ja. po prostu patrzę. I to nie wszystko, co mam zamiar zrobić.

Zachichotał, potem wyciągnął rękę.

- Chodź tu, Maxie.

Gra mięśni na jego ramieniu nieomal zahipnotyzowała ją ponownie. Pragnienie, by wślizgnąć się w jego objęcia było tak wielkie, że prawie nie była mu się w stanie oprzeć. Ale udało się.

- Odwal się, Hunter.

\_ Obydwoje tego potrzebujemy. Ty i ja. Maxie, dziewczyno, ciągnie nas do siebie taka siła, że nie sprostałby jej zaprzęg mułów.

\_ Ja ... - próbowała temu zaprzeczyć, ale nie była w stanie. Wszystko, co mogła wydusić, to słaby skrzek: - Nie podchodź bliżej!

Hunter zanurkował w jej kierunku, znikając pod ciemnozieloną wodą. Maxie podskoczyła w tym samym momencie, próbując wypatrzeć, gdzie on jest.

\_ Trzymaj się z dala ode mnie, niech to szlag! \_ kręciła się w kółko, jej serce galopowało. Potem mocne, stwardniałe ręce objęły jej talię, a ciało Aarona przywarło do niej.

Maxie wrzeszczała, wiała się, kopała i w końcu wyrwała. Desperacko zanurkowała w stronę brzegu. Każdy fragment jej umysłu odczuwał coś innego, jeden paniczne przerażenie, drugi nieprzystojne podniecenie, jeszcze inny chichotał na myśl, jak komicznie oboje musieli wyglądać z zewnątrz. Panika wygrała i Maxie przedzierała się przez wodę do brzegu, kompletnie nieświadoma, że jej ciało właśnie odkryło, jak należy pływać.

Ale jej ucieczka była spóźniona. Palce Aarona zacisnęły się dookoła jej kostki i wciągnęły ją z powrotem do wody.

- Chodź tutaj i uspokój się - zakomenderował Hunter. Przyciągnął ją do siebie, chwycił jej talię i trzymał na odległość wyciągniętych rąk. - Spokojnie, Maxie. Nie zrobię nic, czego nie będziesz chciała.

Ucieczka Maxie zaprowadziła ich na płytszą wodę.

Oczy Huntera ześlizgnęły się z twarzy Maxie w dół, w stronę jej odsłoniętych piersi, akcentowanych dodatkowo przez kaskady wody spływającej z jej włosów. Uniósł rękę i łagodnie, prawie z szacunkiem przykrył jedną z wypukłości.

- Pragniesz mnie - jego głos był ochryply, trudny do rozpoznania.

Maxie zamknęła oczy. Coś w jej wnętrzu stopniało pod dotykiem jego dłoni. Każdy nerw zdawał się być naprężony do ostateczności, a ostra, prawie bolesna tęsknota zaczynała wzbierać w całym jej ciele.

- Nie. Nie przestawaj - szepnęła, gdy jego ręka zsunęła się w dół po jej żebrach, brzuchu, biodrach.

- Nie mam takiego zamiaru - zapewnił ją. Każda część jej ciała, której on dotknął swą dłonią, wydawała się rozżarzać wewnętrznym płomieniem. Oczyma duszy widziała ognistą trasę wywołaną jego pieszczotą. Każdy mały ogieniek rósł, rozszerzał się, łączył z innymi, stawał się pożarem wypalającym z jej duszy wszelkie wątpliwości, pytania, każdą odrobinę ostrożności. Do diabła z tym, co powinna robić albo czuć. Maxie chciała Aarona Huntera. Pragnęła go tak silnie, że chyba umarłaby, gdyby cofnął rękę.

- Chodź tam - szepnął Aaron. Otoczył ramieniem jej talię i poprowadził ją w stronę mielizny. Delikatnie popchnął ją na czysty piasek. Woda odbijała się od jej bioder i wirowała dookoła szczupłych, długich ud. Maxie roześmiała się, gdy chłodna woda połaskotała jej skórę. Chwilę potem Hunter położył się obok niej. Jego pocałunek zdusił jej śmiech, zapomniała o piasku pod nią i o igrającej wodzie. Zapomniała czym i kim była - o przykrej przeszłości i wątpliwej przyszłości, o całym świecie, z wyjątkiem jego ust pieszczących jej wargi, jego twardych ud wciskających się pomiędzy jej nogi, jego palców przesuwających się powoli, delikatnie wzdłuż jej włosów.

- Boże, aleś ty piękna. Maxie. Jak to się stało, że jesteś taka piękna?

Kogo obchodziło, czy ona była piękna? Maxie chciała, żeby Aaron przestał mówić, zaniechał kręcenia się bez ceJu, żeby zabrał się do roboty i pokazał jej, gdzie tkwią wszystkie te cudowne uczucia. Z niewinnym entuzjazmem uniosła się do niego. Objęła jego szczupłe biodra i przycisnęła go mocniej do siebie.

- Proszę! - błagała.

- I niecierpliwa - kontynuował z uśmiechem.

- Powinienem wiedzieć, że nie należysz do tych, co leżą bezwładnie i pozwalają się do siebie umizgiwać.

Przywarła do jego ud, potem jęknęła z rozkoszy, gdy jego ręka wślizgnęła się pomiędzy jej nogi i zaczęła pieścić ją, powoli, lekko i delikatnie, jak wymykające się, torturujące piórko. Bój przeradzał się w rozkosz, która była zarówno radością, jak cierpieniem.

- Hunter! Proszę!

Jego uśmiech był prawie złośliwy.

- Mogłabyś do mnie mówić po imieniu.

- Aaron! - nazwałaby go nawet boskim imieniem, byle jej dał to, czego potrzebowała. Boże! Któżby przypuszczał, że mężczyzna może mieć taką władzę nad kobietą!

Jego palce wsunęły się w nią. Jeden, potem dwa, łagodnie, rytmicznie zanurzając się w nie zbadanym terytorium. Maxie patrzyła w rozkosznym zadziwieniu.

- Spokojnie, słodka dziewczyno. Mamy wiele czasu.

Nie wierzyła mu. Mieli tylko chwilę. Coś, ktoś, na pewno im to odbierze. Kradli tę przyjemność od skąpego losu i Maxie chciała dostać wszystko, co mogła, zanim rzeczywistość nie zażąda słonej ceny. Przyciągnęła go do siebie, by znowu ją całował. Zrobił to. Odpowiedź jego ust zamieniła całe jej ciało w słodki, ciepły syrop.

Unoszona podnieceniem Maxie pozwoliła swoim rękóm na wędrówkę po ciele Aarona.

Prześlizgnęły się po jego ramionach, podróżowały po gładkiej, umięśnionej powierzchni pleców, badały zebra, wcisnęły się pomiędzy ich mokre, naprężone ciała, by pieścić jego napięty brzuch i ...  
Boże! A to co?

Ich pocałunek urwał się i Maxie odsunęła się gwałtownie do tyłu, rozpryskując wodę. Wiedziała, co to było. Nie była w końcu taką malowaną panienką. Ale kto mógł wiedzieć, że to może stać się takie duże?

Aaron roześmiał się na widok wyrazu jej twarzy.

Jego ręka zacisnęła się dookoła jej dłoni, zmuszając ją do objęcia tej tak bardzo męskiej części ciała.

- Maxie, dziewczyno. Ty wiesz, że ja cię nie chcę zranić.

Maxie wcale tego nie była taka pewna. Nagle zaczęła wątpić, czy była odpowiednio zbudowana do takich rzeczy. ;Może powinna być większa, a może zdarzają się kobiety w innych rozmiarach - tak samo jak buty produkowane dla różnej wielkości stóp.

- Hunter, ja ...

- Aaron. Nazwiska są dla ... cóż, nie są dla kochanków.

- Aaron, myślę ...

- Nie myśl, Maxie - jego ręka poruszyła się znowu pomiędzy jej udami i Maxie poczuła nowy przypływ ekstazy.- Obydwoje za dużo myśleliśmy.

Leżała na plecach i pozwalała się ogarnąć uczuciom.

Jeden ostatni protest:

- Ja ... ja myślę ... może to nie jest...: dobry pomysł.

- Prawdopodobnie nie - jego głos miał dziwny odcień, podniecający, szorstki, ochryply głos mężczyzny prawie poza kontrolą. I ona to sprawiła. - Ale nie chcesz mnie powstrzymać, prawda?

Westchnęła i wygięła się łukiem w jego stronę.

- Nie. Nieee.

Jego ręka zaniechała swej magicznej czynności. Zanim mogła przeciwko temu zaprotestować, znalazł się nad nią, zasłaniając sobą słońce. Jego biodra wbijały się pomiędzy jej nogi, rozsuwając je, wargi przysunęły się do jej twarzy.

- Należysz do mnie, wiesz - wyszeptał jej w usta.

Wszedł w nią, wbił się w jej ciało, zanim zdążyła się zorientować. Nie była już dziewczicą.

- Jesteś piękna, Maxie.

- To boli - pożałowała się, zaskoczona.

- Wiem. Tylko za pierwszym razem, słodka dziewczyno. Nigdy więcej - uśmiechnął się do niej. - Ja ci to wynagrodzę.

Zrobił to. Wynagrodził jej ten mały ból i jeszcze więcej. Gdy ruszał się, ziemia ruszała się wraz z nim, niebo i cały wszechświat obracały się dookoła niego, a ona znajdowała się w centrum. Maxie nigdy nie podejrzewała, że mogą istnieć takie wrażenia, taka moc, taka radość. Frunęła, wzniosła się ponad chmury. Wspinała się wyżej i wyżej, a Hunter był tuż obok niej, unosił ją, otaczał, przesywał szczęściem tak wielkim, że aż bolesnym. Wspinali się, aż zaczęli tańczyć pomiędzy gwiazdami. Zostali tam przez wieczność, a potem gwiazdy wybuchły białym ogniem. Gorącym, lśniącym, osłepiającym .. Maxie myślała, że umrze z rozkoszy. Ale nie umarła. Zamknięta wciąż w ramionach Huntera, zsuwała się leniwie znowu na ziemię. Miękką, ciepłą, ciemną ziemię, utuliła ją, spokojną i zaspokojoną, do snu.

Gdy Maxie przebudziła się, leżała naga w ramionach Huntera, a słońce przesunęło się na niebie o przynajmniej godzinę.

- Witaj - powiedział Hunter, dotykając palcem jej policzka i uśmiechając się.

Przez chwilę Maxie wierzyła, że budzi się ze snu, lecz nieznaczny ból pomiędzy nogami zaprzeczył temu. Jej twarz natychmiast okryła się ognistą czerwieńią.

- Wszystko w porządku?

- Pewnie.

Czyż mogło być lepiej? Pozwoliła właśnie uwieść się mężczyźnie, który nie zrobił nic, poza wiecznym wprawianiem jej w zakłopotanie i wnoszeniem zamieszania w jej życie. Czy może ona uwiodła jego? Wymykała się jej dokładna świadomość tego, co się stało.

- Maxie.

Spojrzała na niego niepewnie.

- Nie patrz tak jak zagubiona sierotka. Wszystko będzie dobrze.

Łatwo mu powiedzieć. Czy on się naśmiewał pod tym skrzywionym uśmiezkiem? Czy był usatysfakcjonowany, że Maxie Kaktus była jak inne kobiety, przybiegające na skinięcie palca? Czy też była to końcowa drwina?

- Maxie, dziewczyno - powiedział łagodnie, bawiąc się jej włosami. - Razem jesteśmy jak ładunek nitrogliceryny jadący wyboistą drogą, obojętnie, czy walczymy, czy się kochamy. Ale jest pomiędzy nami coś, co nie odejdzie, a walka przeciwko temu jest jak szarpanie się z zaprzęgiem mułów - uśmiechnął się. - Ja rezygnuję.

- Co masz na myśli?

- Chcę, żebyś za mnie wyszła, dziewczyno.

Wyjść za Huntera! Jeszcze czego! Ten plan rzeczywiście wymknął się spod jej kontroli!

Maxie wysunęła się spod niego, jakby nagle poczuła do swej skóry przyłożony rozżarzony węgielek. Co on sobie myślał? Mężczyzna nie żeni się z dziewczyną tylko dlatego, że ona była na tyle głupia, by mu pozwolić ... To było to! Było mu jej żal! Czuł się winny, że pozbawił ją dziewictwa! To musiało tak być.

\_ Nie musisz się ze mną żenić! Potrafię zadbać sama o siebie!

Uśmiechnął się. Roztargniony wyraz jego twarzy przypominał jej, że między jej skórą, a powietrzem nie istniała żadna przegroda i, że jej rzeczy znajdowały się po drugiej stronie rzeki.

- Nie patrz tak na mnie!

- Lubię na ciebie patrzeć.

- Cóż ... do diabła!

Wybierała pomiędzy odwrotem za rzekę w poszukiwaniu. bezpieczeństwa, jaki zapewniało jej ubranie, a stawianiem mu czoła. Wygrało to pierwsze. Odwróciła się i zaczęła brodzić przez mieliznę. Plusk za nią powiedział jej, że Hunter robi to samo.

\_ Maxie! Dlaczego się tak irytujesz?

\_ Myślisz, że mam zamiar za ciebie wyjść?

Co by powiedział, gdyby dowiedział się, że Jej bracia zlecili jej zbliżenie się do niego, by łatwiej było zapędzić go w pułapkę? Całkiem nieźle jej to poszło, chociaż nie miała takiego zamiaru!

\_ Cóż, po tym, co właśnie zrobiliśmy ... tak! Myślę, że chcesz za mnie wyjść!

\_ Tylko dlatego, że pozwoliłam ci... pozwoliłam ci zrobić ... coś takiego?

\_ Bo należymy do siebie, niech to szlag!

\_ Nie przeklinaj w obecności damy!

\_ Och, niech to diabli wezmą! Maxie! Nie próbuj zmieniać tematu!

Wypadła na trawiasty brzeg, chwyciła ubranie i ruszyła w stronę krzaków mimozy, przez cały czas czując jego wzrok na plecach.

\_ Trochę za późno na skromność, nie sądzisz?

\_ Nie! Ta cała rzecz: .. to przypadek!

- I co jeszcze! Dziewczyno, to nadchodziło od momentu, gdy po raz pierwszy się zobaczyliśmy.

- No dobrze, nadchodziło. A teraz nadeszło i minęło!

- Jeszcze dużo brakuje, żeby to minęło! Ja chcę się z tobą ożenić!

Maxie wyszła zza krzaków, znowu ubrana w swą wyszukaną sukienkę z bufkami i kołnierzem.

- Ty wcale nie chcesz się ze mną ożenić, Hunter!

Ty myślisz, że jestem przykro wyglądającym niechlujnym obszarpańcem. Czasem myślisz, że jestem głupim dzieciakiem, kiedy indziej, że parszywym skunksem, który trzyma stronę bandziorów strzelających do jego najlepszej przyjaciółki. A ty jesteś taki uczciwy i czujesz się winny za skłonienie głupiego dziecka do ... do ... Ty tak naprawdę wcale nie chcesz się ze mną ożenić. Czy ty myślisz, że jestem taka głupia?

Hunter wpatrywał się w nią, jak w jakieś dziwadło:

- Jesteś stuknięta.

- Nie jestem stuknięta! - prychnęła z oburzeniem. - Tak naprawdę, to ja jedna tutaj jestem normalna! Jeżeli wzbudzi w sobie wystarczająco dużo gniewu, wyobrażała sobie Maxie, może uda się jej zapomnieć, jak wspaniale wyglądało jego ciało przy jej ciele, jak dobrze się czuła, gdy on ... Jak mogła się tak dać opętać! Aaron Hunter był jej wrogiem. Był niszczycielem wolności, życia jej rodziny, gdy tylko znalazł ku temu okazję. Nieważne, jaka głupota opanowała ją, gdy on jej dotknął -- nigdy nic z tego nie będzie. Nic! Nigdy!

- Wyjść za ciebie - usiadła wciągając pantofelki i walcząc gniewnie z guziczkami. - Czy owca wychodzi za wilka? Czy kura wiąże się z kojotem?

- O czym ty do diabła mówisz?

- Odchodzę - wstała i z determinacją otrzepała się z kurzu, marząc, by tak samo łatwo mogła otrząsnąć się z niego.

- Do diabła, jeżeli odchodzisz!

Zignorowała go i zaczęła odczepiać jednego z koni od zaprzęgu.

- Maxie, na Chrystusa, zostań i wrócimy razem rano. Robi się ciemno.

- Nie zbliżaj się do mnie! - ostrzegła go, gdy podszedł bliżej, by odebrać jej konia. - Wracam do miasta.

Jeżeli jej lodowaty ton nie był wystarczająco odstrasżający, to wycelowany w Huntera pistolet z pewnością taki był. Pistolet należał do niego i był naładowany. Sprawdził to, zanim go jej dał, gdy szła się kąpać. Wzięła go, gdy podnosiła rzeczy.

- Nigdy jeszcze nie widziałem kobiety, która tak przekłęcie zmartwiłaby się oświadczyniami!

- A ile razy się oświadczałeś, Hunter? Oświadczasz się za każdym razem, gdy uda ci się uwieść kobietę?

- Jeżeli tak bardzo chcesz wracać, pojedziemy razem powozem.

- Nie mam ochoty na towarzystwo. A poza tym - zakreśliła pistolet kilka razy na palcu, potem wsunęła go za pasek i zręcznie wskoczyła na grzbiet konia - powozy są dla dam, a ja właśnie się dowiedziałam, że damą nie jestem - wbiła pięty w boki konia. - *Adios!*

Aaron, zgrzytając zębami, zaczął się ubierać. Przekłety mały diabeł! Przekłety mały głupek, pakujący się w łapy Apaczom. Zwłaszcza, że dzień już się kończył. Niech Bóg go strzeże przed kobietami! Ta dziewczyna chciała go wykończyć. Zniszczyła już jego samokontrolę i rozsądek, a teraz pracowała nad jego zdrowiem psychicznym.

Wcisnął koszulę w spodnie, skręcając przy okazji palec i klnąc na cały głos. Co on w ogóle miał zanliar, do diabła, zrobić? Maxie Kaktus była dokładnie tym wszystkim, czego nie potrzebował - parszywym małym łobuzem, który poszarpie spokojne, rozsądne życie mężczyzny na drobne kawałeczki tylko po to, by mieć zabawę ze składania ich do kupy. Była diabłem w ciele kobiety, piorunem udającym dziewczynę.

Jej uśmiech rozpałał w nim ogień. Jej włosy - te dzikie loki, która ona tak bardzo starała się ujarzmić w warkocze - błagały go, by zapuszczał dłonie w ich jedwabistą gęstwinę. Jej niewiarygodnie niebieskie oczy, jej głos, nawet jej ostry temperament i zmienne nastroje - wszystko w niej go przyzywało.

A Maxie czuła to samo w stosunku do niego, uparta mała wiedźma! Ona po prostu nie chciała tego przyznać; jeszcze nie przestała walczyć. Aaron mógł prawie dostrzec odłamki uczuć wirujące w powietrzu pomiędzy nimi. Kochała się z nim z niewiarygodnym oddaniem, a na wzmiankę o małżeństwie stanęła dęba jak uparty muł. Cała ta gadka na temat, że on wcale nie ma ochoty jej poślubić - przecież w to nie wierzyła. Te oskarżenia i wyzwiska miały maskować jej strach.

Aaron zastanawiał się, kto właściwie ten lęk wyzwał - on, czy ona sama.



Zachodziły ostatnie promienie słońca. Jazda po skalistych, wyżynach, trasą, którą wybrała Maxie, była trudna nawet za dnia. W nocy to zadanie jest prawie niewykonalne. Dobrze wybrała moment na ucieczkę, ale ta mała wilczyca będzie miała szczęście, jeżeli nie skręci sobie karku. Aaron zacisnął zęby, podniósł but, zaczął wsuwać go na nogę, nagle zaklął i rzucił nim o pień topoli.

- Aaron! - krzyknęła Cynthia. - O nieba!

Gdzieś ty był? Przez całą noc nasłuchiwałam i wypatrywałam, czy nie nadjeżdżasz i ...

- Czy Maxie jest tutaj? - Aaron oparł się ciężko o futrynę frontowych drzwi Pruittów. Był zmęczony, zniecierpliwiony, a głos odzwierciedlał jego nastrój.

- Przyjechała w nocy. Ale ... ale bna odjechała, Aaronie. Pożyczyła wierzchowca od tatusia i pognęła do Agua Lindy. Nie potrafiłam jej tego wyperswadować.

- Gównu!

- Aaron!

Skrzywił się.

- Przepraszam, Cynthia. To była długa noc. Odpadło mi koło od powozu, inaczej byłbym tutaj przed Maxie.

\_ Teraz wejdiesz i powiesz mi, o co w tym wszystkim chodzi - wzięła go pod ramię i wciągnęła do domu. - Maxie nie chciała powiedzieć ani słowa. Wszystko, co z siebie wydobyła, to jakieś mamrotania bez sensu.

- Zgadza się. Ta dziewczyna nie zrobiła nic sensownego, od kiedy po raz pierwszy ją spotkałem. Gdy Cynthia podawała Aaronowi kubek parującej kawy, ktoś zastukał do drzwi.

- Tutaj jesteś - Simon obrzucił wzrokiem Cynthię, która otworzyła mu drzwi. Udało mu się przywitać Huntera bez unoszenia brwi, chociaż spotkał go u dziewczyny stanowiącej najlepszą partię w mieście tuż po wschodzie słońca. - Zastanawiałem się, coś ty ze sobą zrobił.

- Simon ... - ostrzegł go Aaron.

U śmiech Simona powiedział Aaronowi, że stary zrozumiał. Nikt w mieście nie dowie się od niego, że Hunter znajdował się w salonie Pruittów o tak nieprzyzwoitej godzinie.

- Mam dwóch wstrząśniętych facetów w biurze: Wygląda na to, że towarowy z Tucson został napadnięty wcześniej rano. Dwóch strażników zabito. Pozostali dwaj chcą, żeby pomóc im ścigać bandytów, póki ślad jest jeszcze świeży. Chcesz, żebym pojechał?

Aaron odstawił kawę i przeczesał palcami włosy.

- Nie. Ja pojedę. - Miał dzisiaj ochotę na mały rozlew krwi. Najchętniej dokonałby go na czarnowłosej, niebieskookiej, półmeksykańskiej wiedznie. Na razie będą musieli wystarczyć ci biedni bandyci. - Mam dla ciebie inną robotę. Weź szybkiego konia i dołącz do Maxie. Jest w drodze do Agua Lindy. Nie spuszcza jej z oka, jak już ją dopadniesz.

- Pojechała sama? - zapytał Simon. - Pomimo wszystkich tych Apaczów, którzy się dookoła kręcą?

- Można tylko współczuć Apaczom, gdy wejdą jej w drogę - prychnął Aaron. - Cynthia, dziękuję za kawę - odwrócił się i cmoknął ją w czoło. - Kiedy wrócę, wszystko ci wyjaśnię.

- Aaron!

Ale jego już nie było.

Dwaj strażnicy pociągu bardzo przepraszali Aarona za sprawianie kłopotu. Wiedzieli, że szeryf z Motherlode nie ma zobowiązań wobec towarzystwa kolejowego, ale Hunter ma opinię dobrego tropiciela i kogoś, kto potrafi obchodzić się z bronią. Towarzystwo kolejowe zapłaci mu za jego czas ...

- Chcecie tu zostać i pytlować, czy chcecie polować na bandytów? - przerwał Aaron ich krótkie przemówienie.

- Oczywiście, gonić bandytów.

- No to jedźmy.

Hunter przewiesił przez ramię zapasowy pas z amunicją, chwycił strzelbę i wyszedł na zewnątrz. Dwaj strażnicy popatrzyli na siebie i wzruszyli ramionami. Zdaje się, że trafili na właściwego

człowieka.

Droga przestępców była łatwa do śledzenia. Ci durnie byli niestaranni. Aaron wrócił pamięcią do lat spędzonych z Maxwellami. Ci chłopcy ukrywali ślad zupełnie jak Apacze. Mężczyźni, których śledził, z pewnością nie byli Maxwellami. Ze względu na Maxie i na siebie był z tego zadowolony.

Aaron zatrzymał konia i studiował ślady podków na piasku. - Wygląda na to, że tutaj się rozdzielili. Dwaj pojechali do Tucson. Inni jadą do granicy.

- Do diabła! - jeden ze strażników splunął.

- Mają ładunek srebra z pociągu. Myślisz, że je podzielili?

- Mogli - spekulował Aaron. - Albo postanowili spotkać się później i wtedy dokonać podziału. - Nie obchodzi mnie, gdzie jest srebro - powiedział drugi strażnik. - Chcę tylko zobaczyć, jak będą dyndać za zabicie Sama i Jeremiaha.

- No to lepiej jedźmy - stwierdził Aaron. - Wy jedźcie do granicy. Ja się zajmę tymi dwoma, którzy pojechali na północ.

- W porządku.

Trop bandytów wiódł przez kilka mil prosto na północ, potem skręcił na wschód, w stronę bardziej dzikiego terenu. Aaron podążał nim przez skaliste wąwozy i poszarpane wzgórza porośnięte mimozą i innymi krzewami. Trudniej było tutaj odczytywać ślady, za to za każdym zakrętem mogła być zastawiona pułapka. Hunter zaczął odczuwać efekty bezsennej nocy i otrząsnął się, by zachować czujność. Chłopcy mogli być sprytniejsi, niż sądził. Na piaszczystym, wyschniętym dnie potoku wijącym się pomiędzy dwoma porośniętymi kaktusami pagórkami, Aaron napotkał pierwsze od pół mili ślady podków. Przejeżdżał tędy pojedynczy koń. Gdzie był drugi mężczyzna?

Aaron spojrzał w kierunku pobliskiego wzgórza, gdzie armia kaktusów maszerowała pod górę zastępami kłującej zieleni. Ramiona niektórych z nich skrzycone były jak ramiona ośmiornicy, inne sięgały w niebo prostymi, gładkimi odnóżami, wyglądającymi jak ludzkie kończyny. Zbyt wiele z nich mogło być wysokim, nieruchomym mężczyzną patrzącym w dół wąwozu, czekającym, aż Aaron się odwróci, by można było wpakować mu kulkę w plecy.

Zmęczenie może sprawiać różne figle ludzkiej wyobraźni, zdecydował Aaron. Sprawdził po raz kolejny, czy jego broń jest załadowana i ruszył w drogę.

Pięć minut później wyczuł w powietrzu zapach dymu. Zostawił konia schowanego za odłamkiem granitu, uniósł strzelbę i ostrożnie zaczął się wspinać w stronę, skąd dobiegał dym. Szybko zaprowadziło go to do skalistego występu nad wąwozem. Przy niewielkim ognisku wysoki Meksykanin z długimi, opadającymi na szyję włosami i gęstą, kędzierzawą brodą, obdzierał ze skóry ziemną wiewiórkę, bez wątplenia zabił ją przy pomocy kamienia. Aaron nie słyszał strzału. Gdyby nie doszedł go zapach dymu, mógłby równie dobrze minąć kryjówkę, nic o niej nie wiedząc.

Hunter podniósł się z miejsca, w którym się znajdował i wycelował strzelbę w głowę mężczyzny.

- Chyba będziesz wcinął obiadek dopiero wieczorem, przyjacielu.

Mężczyzna zerwał się zaskoczony, odrzucił wiewiórkę i sięgnął po broń. Kula ze strzelby Aarona wytrafiła mu pistolet z ręki. Przestępca jęknął z bólu i chwycił się za krwawiącą rękę. - Następna kulka trafi prosto w twoją głowę - ostrzegł go Hunter. - Lepiej bądź rozsądniejszy.

Nie spuszczać wzroku ze skowyczącego bandyty Aaron zszedł w dół. Ściągnął torby z konia mężczyzny. Były ciężkie. Pełne srebra, nie ma co do tego wątpliwości. Ale zanim je otworzył, kula świsnęła mu koło ucha i utkwiała w znajdującej się za nim skarpie.

Aaron rzucił torby i jednym płynnym ruchem uniósł pistolet. Jego strzelecka reputacja była niewątpliwie zasłużona; nieznaczny ruch atakującego wystarczył, by kula Aarona znalazła cel.

Pierwszy mężczyzna wykorzystał okazję, by podnieść pistolet. Aaron zauważył ten ruch kącikiem oka i odwrócił się, by się bronić. Dokładnie w momencie, gdy naciskał na spust, uczył straszliwie silne kopnięcie w bok. Chwyając powietrze usłyszał przytłumiony dźwięk strzału.

Długowłosego Meksykanin spojrzał na nieruchome ciało szeryfa i splunął. W pluciu nie był tak dobry jak w strzelaniu. Ślina rozbryzgnęła się na piasku obok krwawiącej głowy leżącego.

Drugi mężczyzna zsunął się ze skarpy i dołączył do niego, kurczowo przyciskając dłonie do mokrej, purpurowej koszuli.

- Możesz jechać? - zapytał Miguel.
- Si. mogę. Ale niech to diabli, jak to boli.
- Wytrzymasz. Wynośmy się stąd.
- Co z nim?

Miguel jeszcze raz spojrzął na szeryfa. Jedna strona jego twarzy pokryta była powoli krzepnącą krwią. Lewy bok od pachy do biodra przesiąknięty był szkarłatem. Miguel trącił szeryfa stopą. Ciało leżącego pozostało nieruchome.

- Nie żyje. Chodźmy.

## **Rozdział 15**

Ranek jeszcze nie całkiem wzniosł się ponad wschodnie wzgórza, gdy Maxie przeszła przez bramę w murze i skierowała się w stronę chlewów. W jednej ręce miała torbę pokarru dla kurcząt, a w drugiej koszyk obierek. Jake deptał jej po piętach.

Elsa wyszła ze stajni i skierowała się w stronę zagrody.

~ O, tutaj jesteś, Maxie.

- Co pani tutaj robi tak wcześnie? - zapytała Maxie.
- Gracie ożrebiła się nad ranem, a ja przyrzekłam Mary, że będzie mogła na to popatrzeć - Niemka uśmiechnęła się. - Zrebaki są jak dzieci, zawsze pojawiają się nad ranem. Maxie, co ty robisz?
- Daję świniom obierki.
- Pokarm dla kurcząt?

Maxie popatrzyła na to, co rzucala świniakom. Odpadki z kuchni wciąż tkwiły w koszyku, a ziarno, które niosła dla kurcząt, znajdowało się w korycie.

- Gdzie twoja głowa, dziewczyno? Tylko jeden dzień jesteś w domu i pakujesz do chleba za dużo soli, próbujesz upiec tortillę bez ognia, a teraz myślisz, że świnię to kurczaki. Czy ty śpisz?

Maxie westchnęła i usiadła na korycie:

- Elso - zaczęła niepewnie - czy pani coś wie o mężczyznach?

Cień zrozumienia pojawił się w oku kucharki.

- O mężczyznach? Coś wiem na ich temat. Byłam żoną mężczyzny i urodziłam dwóch synów.
- Czy myślisz, że ludzie - mężczyzna i kobieta - mogą się w tym samym czasie kochać i nienawidzić?

Elsa wzięła koszyk z rąk Maxie i zaczęła wsypywać odpadki do koryta.

- Kochałam tylko jednego mężczyznę w życiu. - powiedziała. - Przez dziesięć lat byłam żoną mojego Fredericka i przez cały czas go kochałam. Ale czasem nienawidziłam go też. Gdy był taki uparty i zupełnie nie chciał mnie słuchać. Myślę, że mężczyźni po prostu tacy są. Jeżeli kobieta jest z mężczyzną dniem i nocą, z całą pewnością momentami go nienawidzi -- rzuciła Maxie ukośne spojrzenie. - Ale jeżeli naprawdę nienawidzisz jakiegoś mężczyzny, nie sądzę, by mogło ci się kiedykolwiek wydawać, że go kochasz.

Maxie nie wyglądała na usatysfakcjonowaną.

- Uważam, że kobieta tak naprawdę nie potrzebuje mężczyzny. Mężczyźni próbują cię pilnować, mówić ci, co masz robić, ranią twoje uczucia ... potem oczekują, że im wybacysz i będziesz uważać, że są... że są czymś specjalnym.

- Tak - zgodziła się Elsa. - Mężczyźni są tylko dużymi dziećmi. Rzadko są mądrzy, czy uczciwi.
- Wydaje mi się, że tobie całkiem nieźle się wiedzie bez mężczyzny.

Elsa popatrzyła na Maxie w taki sam sposób, w jaki patrzy się na niedorozwinięte dziecko.

- Czy ty myślisz, że nie chciałabym, żeby mój Frederick wrócił, gdyby tylko mógł?
- Ale nie wyszłaś ponownie za mąż. Nie wydaje się, żebyś lubiła mężczyzn.

Elsa pokiwała głową, wysypała resztę odpadków świniom i oparła się o żerdź podtrzymującą koryto. Przez moment, chociaż dzień dopiero się zaczynał, poczuła się bardzo zmęczona.

- Człowiek może być bity określoną ilość razy, zanim umrze. Apacze torturowali i zabili mojego męża, a ja na to patrzyłam. Trzymali mnie, gdy rozbijali główki moich małych synków o skałę, a

potem poprowadzili jak muła przez pustynię. Nie uciekłam im, bo się bałam, a raczej dlatego, że nie chciałam umrzeć. Chciałam umrzeć, ale dopiero po spaleniu mojego męża i synów i po pożegnaniu ich biednych dusz.

Wpatrując się w dal, Elsa wydawała się skupiać na czymś nie istniejącym. Maxie zastanawiała się, która z potwornych scen z przeszłości rozgrywa się właśnie przed oczami Niemki.

- Gdy zobaczyłam, jak mój mąż płonie, ja spłonęłam też. Moje serce było torturowane poza moim ciałem i chociaż przeżyłam i uciekłam, nie zostało już nic dla innego mężczyzny.

Maxie opuściła oczy i spojrzała na swoje dłonie. Własne kłopoty wydały się jej nagle śmiesznie małe.

- To ty mi pokazałaś, że to nie prawda, dziewczyno.

- Co?

- Ty przyprowadziłaś Mary. I. Simona też, tak sędzę. On mi powiedział, jak go do mnie popychałaś

- uśmiechnęła się. - Okazało się, że mam jeszcze trochę serca do oddania.

Ranek Maxie rozjaśnił się troszeczkę.

- Ty mi pomogłaś w przywracaniu sensu mojemu życiu, to może ja ci pomogę? Szeryf Hunter jest dobrym człowiekiem. Trochę kanciasty na zewnątrz, może i nie całkiem dobrze wie, czego chce.

Łatwo go wprawić w zakłopotanie, jak wszystkich mężczyzn - urwała. Jej oczy zmarszczyły się w niemym uśmiechu. - Może powinnaś mu powiedzieć, czego on chce?

- Może rzeczywiście powinnam. Na pewno ktoś powinien wziąć tego człowieka i powiedzieć mu to i owo.

*Nagle* krzyk z zewnątrz przyciągnął ich uwagę.

- Heeej - doszedł je głos jednego z pracowników. - Hunter!

Serce Maxie podskoczyło do gardła i przez moment dziewczyna była niema jak mała Mary. Hunter przyjechał. Czy przyjechał, szukając jej? Czy ciągle był zły? Czy nadal chciał się z nią ożenić? Czy miał zamiar krzyknąć na całe ranczo, że zachowywała się jak flądra i poleciała na niego, gdy tylko skinął swoim przeklętym palcem?

- Hunter! - szepnęła w końcu, ignorując porozumiewawcze spojrzenie Elsy.

Wstała i wybiegła ze stajni na jasne światło poranka. Nie chciała go widzieć. Nie chciała też, żeby on ją ujrzał.

To, co zobaczyła wprawiło ją w panikę. Sam Hendricks i Justin Barnhill pomagali Hunterowi zejść z konia. Lewy policzek miał pokryty zaschniętą krwią, a prawy był blady jak brzuch ropuchy. Lewy bok także był zbryzgany krwią - od pachy do biodra.

- Aaron! Aaron! - imię to rozbrzmiewało w mózgu Maxie, gdy biegła do przodu, ale z ust jej wydobył się jedynie ochryply szept. Nawet gdyby wykrzyczała jego imię, nie mógłby jej usłyszeć, spoczywał bezwładnie w ramionach Sama.

- Wystarczająco długo się trzymał - powiedział Sam. - Nawet chyba nie wie, gdzie jest, biedny chłop. Musiałem go odrywać od siodła, tak kurczowo je ścisnął.

- Weź go do środka, Sam - instruowała Elsa. - Justin, zajmij się jego koniem.

Maxie stała nieporuszona, odrętwiała, oszołomiona.

To nie mogło się zdarzyć Aaronowi Hunterowi. Jego nie można było zranić - to najlepszy strzelec, najbardziej podstępny przeciwnik, jakiego kiedykolwiek widziała. Był tak samo twardy, jak irytujący. To nie mogło się stać.

Elsa wzięła ją pod ramię:

- Wszyscy mężczyźni są tacy sami, dziecko. Pozwalają się rozwałać na kawałki i oczekują od kobiety, by poskładała ich z powrotem - popatrzyła na nią wyczekująco. - Czy zostawisz swojego mężczyznę, by zajęła się nim Medina?

- Mojego mężczyznę? - te słowa brzmiały tak dziwnie. Elsa się uśmiechnęła.

- Ja się nim zajmę - powiedziała Maxie z naciskiem.

Dopiero po dwóch tygodniach Hunter stanął znowu na nogi. Jego rany wyglądały na bardziej niebezpieczne, niż były naprawdę. Jedna kula zadrasnęła go w głowę, dwie inne ugrzęzły w boku. Doktor Carter usunął jedną; druga odbiła się od zebra i spowodowała jedynie powierzchowne

uszkodzenia zanim nie znalazła krwawego ujścia.

Najmocniej zraniona była jego duma.

- Może następnym razem pomyślisz, zanim samotnie porwiesz się na dwóch uzbrojonych ludzi - powiedziała Maxie któregoś ranka, gdy jej pacjent czuł się na tyle dobrze, by można go było trochę podrażnić.

Aaron odpowiedział niecierpliwym grymasem. Nie był dobrym pacjentem. Niezbyt dobrze znosił rozpieszczanie, karmienie łyżką, wysłuchiwanie poleceń i pouczanie, a wszystko to Maxie czyniła z wielką rozkoszą. Mianowała siebie szefową pielęgniarek, nie opuszczając jego pokoju nawet, by się przespać. Medina, ignorując oskarżenia Aarona o spiskowanie, poleciła wstawić dodatkowe łóżko do pokoju, chorego, by Maxie mogła pełnić swą dwudziestoczerogodzinną służbę - albo dwudziestoczerogodzinne drażnienie, w zależności od punktu widzenia.

Przez pierwszych kilka dni po swym dramatycznym pojawieniu się w Agua Lindzie Hunter nie zdawał sobie sprawy ani z tego, kto się nim zajmuje, ani co się z nim robi. Przez większość czasu był nieprzytomny, cierpiąc zarówno z powodu upływu krwi, jak i z urazu. Ludzie w Agua Lindzie umierali z ciekawości przez pełne trzy dni, zanim Hunter nie odzyskał świadomości i nie opowiedział im, co się stało. Aaron nie ocknął się, gdy przyjechali dwaj strażnicy z kompanii przewozowej, by powiedzieć mu, że złapali i powiesili wszystkich czterech mężczyzn, którzy obrabowali pociąg. Nigdy nie byłiby w stanie ich złapać, powiedzieli Pete'owi, gdyby Hunter nie wyszedł ich w górach pierwszego dnia. Szeryfowi należała się zapłata, jak obiecali, i mógł ją odebrać w kwaterze głównej towarzystwa w Tucson, gdy tylko stanie na nogi.

Podczas tych pierwszych dni, gdy Hunter oscylował pomiędzy utratą przytomności i snem, Maxie była wciąż przy nim. Nic szczególnego nie musiała przy nim robić, ale nie mogła się od niego oderwać. Siedziała i patrzyła na - każde drgnięcie, każdy jęk rannego przyciągał jej uwagę. Siedziała i wpatrywała się w niego, aż do bólu oczu i dopóki jej umysł nie zaczynał wirować jak dziecinny bączek od myśli, które naj chętniej wyrzuciłaby ze swej głowy.

Młody Aaron Hunter, którego знаła jako dziecko, odszedł z pamięci Maxie. Nie był tym samym człowiekiem, który leżał przed nią na łóżku. Aaron Hunter prześladowający ją od czarnego dnia w Stronghold, wciąż istniał, ale gdzieś odeszła jego dzikość. Jego chęć bycia sprawiedliwym i cywilizowanym była kłopotliwa, ale też Maxie nigdy nie czuła się z żadnym mężczyzną tak bezpiecznie. Hunter rozwinął w sobie kontrolowaną siłę, wynikającą z dojrzałości - coś, pomyślała ponuro, czego jej prawdopodobnie brakowało.

Ten Aaron Hunter był o wiele niebezpieczniejszy, - zarówno dla niej, jak i dla swych wrogów - niż młokos, którego uratowała od śmierci. Podczas, gdy młokos poruszył jej serce, mężczyzna obudził w niej inne, dotychczas uśpione uczucia. Przyjemne marzenia stały się nieodpartą rzeczywistością. Uległa Aaronowi Hunterowi pomimo tego, co zrobił i kim był. Niech go diabli zanoszą do piekła! I niech go szlag trafi za to, że pozwolił się zranić!

Gdyby nie musiała siedzieć tu i wpatrywać się w niego godzinę po godzinie, może udałoby się jej odejść, wmawiając w siebie, że go nienawidzi. Gdyby nie widziała go takiego bezradnego i zwijającego się z bólu, jej serce nie zapanowałoby może nad rozumem. Czemu on ścigał samotnie dwóch uzbrojonych bandytów? Człowiek nie porywa się na uzbrojonych przeciwników, jeżeli jest bez szans. Nawet jej brat Tom o tym wiedział, a jak często mówił Blackjack, Tom nie wykorzystywał swej głowy we właściwy sposób.

- Dlaczego sam ścigałeś dwóch uzbrojonych bandytów? - zapytała tego dnia, gdy stan Huntera polepszył się na tyle, by mógł on znieść małą połajankę. - Zawsze wiedziałam, że jesteś osłem, ale nie przypuszczałam, że aż tak głupim.

- Czułem, że muszę rozwalić kilka głów na raz. Z wyrazu twarzy Aarona Maxie wywnioskowała, że wciąż miałby ochotę na rozwalenie czyjejs głowy. Czy on był taki wściekły dlatego, że nie chciała za niego wyjść? Przecież tak naprawdę nie chciał się z nią ożenić.

Czasami wydawał się łagodnieć. Bez odpoczynku i znużenia wypowiadał na głos swoje myśli. Mówił prawie do siebie, jakby Maxie przy nim nie było. Ale ona słuchała. Zaspokajała głód wiadomości o Aaronie Hunterze.

Jego rodzina, dowiedziała się, pochodziła ze wschodu, z Massachusetts. Ojciec był pastorem, a

Aaron miał dwóch braci i trzy siostry. Wszyscy się pożenili i zamieszkali w pobliżu rodziców.

- Myślę, że pod pewnymi względami jesteśmy do siebie podobni, Maxie - skomentował pewnego popołudnia Hunter. - Moja mama była prawdziwą damą. Nie taką arystokratką, jak twoja, ale na pewno damą. Ona jedna mnie rozumiała - powiedziała mi, że muszę odejść, zanim ojciec i ja nie pozabijamy się nawzajem.

Oczy Maxie rozszerzyły się.

- Dlaczego chcieliście się pozabijać?

- Tata jest zagorzałym metodystą. Należy do ludzi, których prawosć wpędza innych w alkoholizm. Ja byłem dzieckiem popadającym wciąż w kłopoty. Lanie dostawałem mniej więcej raz na tydzień - jego usta wykrzywiły się w uśmiechu. - Przeważnie zasłużone, jak sądzę.

Maxie pokiwała współczująco głową. Sama dostała kilka razy od ojca, ale raz na tydzień, to wydawało się nieco za dużo. Jej ojciec nie interesował się dziećmi na tyle, żeby wkładać w nie tyle wysiłku.

\_ Pamiętam jak pewnej niedzieli, kiedy miałem szesnaście lat, wyciągnął mnie przed kościelną kongregację i z detalami opowiedział, jakobym pochodził z nasienia diabelskiego, nie z jego i jak będę smażył się w piekle za wlanie dzbanka whisky do ponczu podczas pikniku szkółki niedzielnej. Kilka miesięcy po tym odszedłem. Mama dała mi trochę pieniędzy i skierowała do Arizony.

\_ Gdzie spotkałeś mojego ojca - dokończyła za niego.

Uśmiechnął się do niej krzywo:

- Jak już powiedziałem, miałem nosa do kłopotów. Twój ojciec po prostu pomógł mi wypolerować mój naturalny talent.

Wyglądał na tak zde gustowanego swą własną młodością, że Maxie musiała zaprotestować.

- Nie byłeś taki zły, Hunter. Nie byłeś zdeprawowany. Nie tak jak Pablo Seviere albo Jake Gurney albo ... - Blackjack, tak chciała powiedzieć. Ale Blackjack nie był zdeprawowany. On był po prostu dziki i wolny jak wszyscy Maxwellowie, ale nigdy naprawdę zepsuty.

- Pamiętasz ich? - zakończyła nieprzekonująco.

- Tak. Pamiętam ich.

- Nigdy nie widziałam, żebyś wyciągnął broń przeciwko komuś, kto na to nie zasłużył, Hunter.

- Ty prawie nigdy nie byłaś z nami, gdy jeździliśmy z twoim ojcem, Maxie.

To była prawda. Ale Hunter był ulepiony z innej gliny, niż większość mężczyzn, którzy jeździli z jej ojcem. Inaczej dlaczego miałby się gryźć paroma napadami?

Wtedy myślała, że napady były tylko nieszkodliwymi figlami. On prawdopodobnie myślał tak samo. Teraz obydwójce zmienili zdanie.

Podczas długich dni nieustannego pielęgnowania zirytowanego, o zmiennych humorach, wracającego do zdrowia Huntera, Maxie czuła, że zakochała się w nim dla jego rzadkiego, krzywego uśmiechu, dla sposobu, w jaki włosy opadły mu puklami na czoło, dla ciemnej, tajemniczej głębi jego oczu i dla dreszczy, które przejmowały ją, gdy jej dotykał. A gdy dni mijały i odkrywała - kawałek po kawałku - takiego Aarona Huntera, jakiego wcześniej nie знаła, czuła jak zapada się głębiej i głębiej w grząski piasek miłości. W kotłcu musiała przyznać, że ucieczka nie była już możliwa. Mogła jedynie przestać o tym tyle myśleć i czekać na to, co przyniesie los.

Tylko jedna rzecz powstrzymywała ją przed tym.

Myśl o ukochanej utraconej przez Huntera przedzierała się przez nowo powstałe uczucia. Zazdrość była dla Maxie uczuciem nie znanym i dziewczyna nie bardzo wiedziała, jak sobie z nią poradzić.

Drażniła ją każda chwila, którą ta kobieta musiała spędzić z Aaronem; bolał ją każdy uśmiech, który Hunter musiał do niej kierować, każdy pocałunek, każdy ... - czy dobrze urodzona dama ze wschodu mogła się oddać mężczyźnie przed wypowiedzeniem przysięgi małżeńskiej? Prawdopodobnie nie. Ale jeżeli tak było, Maxie szalała na myśl o każdej chwili, w której Hunter brał tę kobietę

w ramiona i kochał się z nią. Bez wątplenia ta jego dama umiała być przez cały czas wykwinna i kulturalna, podczas, gdy Maxie, o ile nie zawodziła jej pamięć, zachowywała się jak grzejąca się z psem suka.

Najbardziej ze wszystkiego złościł Maxie fakt, że Hunter wciąż kochał tę kobietę, pomimo tego, że

ona nie żyła. Tak bardzo bolał z powodu jej śmierci, że niezależnie od tego, ile by go Maxie nie dręczyła, nie był w stanie o niej opowiadać. Jedynymi informacjami, jakie podawał, były te, które Maxie już знаła - ta kobieta była elegancką damą ze wschodu, którą Aaron poznał podczas wojny, jechała na zachód, by spotkać się z nim, ale została zabita podczas napadu na pociąg. Potem Aaron zamykał się jak ślimak w skorupie i nie chciał dodać ani słowa więcej.

- Ty nigdy nie będziesz usatysfakcjonowany, wiesz, Hunter- powiedziała mu Maxie pewnego dnia, spacerując dookoła pokoju. Aaron nadal był nieco osłabiony, ale prawie już zanikła chwiejność jego chodu i drżenie rąk. Tylko uparte nalegania Mediny skłaniały go do odpoczywania jeszcze przez dzień, czy dwa przed jazdą do miasta oraz fakt, że Medina schowała mu buty i nie chciała oddać, zanim sama nie będzie przekonana, że Hunter może już odjechać. - Możesz zabić każdego bandytę pomiędzy Agua Lindą a Mexico City i wciąż nie będziesz wierzył, że dostałeś tego, kto zabił twoją damę. Chcesz zemścić się na nas wszystkich z powodu bandy ... - nie umiała znaleźć słowa, które byłoby wystarczająco złe, by opisać mężczyznę, zabijającego niewinną dziewczynę, a jednocześnie mogłoby być zaaprobowane przez Medinę i Cynthię.

Rzucił jej zagniewane spojrzenie:

- Nie używaj przy tym słowa "my". Ty nie masz z tym nic wspólnego. I nie zamierzam nikogo zabijać. - Nagle wydał się jej bardzo zmęczony, gdy opadł na krzesło i patrzył przez okno na zapadający zmierzch. - Po wojnie miałem nadzieję, że nigdy nie zobaczę człowieka na muszce mojego pistoletu. Wszystko, czego chciałem, to wrócić do Arizony, zostać spokojnym ranczerem i mieć dom z żoną i dziećmi. Ale Apacze i ci twoi bandyci udaremnili to. Tak naprawdę nie chciałabyś wrócić do tamtego życia, prawda, Maxie, dziewczyno?

Nie odpowiedziała. Nie była pewna, czy zna odpowiedź. Człowiek powinien iść tam, gdzie jest potrzebny i kochany, bez znaczenia, czy życie jest tam dobre, czy złe. Gdyby tylko Hunter ją kochał - naprawdę ją kochał ... Gdyby tylko myślał o tym, o czym mó\y\yło jego ciało podczas tego dnia nad Santa Cruz ... Gdyby tylko oświadczył się jej z miłości, a nie z poczucia winy ...

Hunter zauważył niepewność w jej spojrzeniu.

- Sukinsyn! - powiedział spokojnie.

Popatrzyła na niego, zaskoczona intensywnością jego głosu. On naprawdę trochę się nią przejmował i chciał, żeby została. To już było coś.

- Przepraszam - uśmiechnął się krzywo, co zawsze ją tak irytowało. - Nie powinienem używać takiego języka w obecności damy.

Maxie wzruszyła ramionami: - Nie jestem wystarczająco damą, by miało to dla mnie jakiegokolwiek znaczenie. I chyba nigdy nią nie będę.

Zmarszczył się, wstał, podszedł do okna, potem rzucił jej spojrzenie, którego znaczenia nie potrafiła zinterpretować. Miał zamiar powiedzieć, że nie dba o to, kim ona będzie, pomyślała Maxie. Usłyszała to w jego głosie. I oczywiście była to prawda. Dlaczego miałoby go to cokolwiek obchodzić?

- Nie wiem, czego chciałem, dziecino, poza tym, że chciałem wydostać cię z tego piekła, oderwać od tych łajdaków, których nazywałaś ... - urwał, widząc jej minę. - Do diabła, Maxie, ty nie musisz być nikim innym, tylko sobą - wyciągnął rękę i dotknął jednym palcem jej policzka. - Nie zdajesz sobie sprawy z tego, jaka jesteś wyjątkowa, prawda?

Maxie czuła, jak jej wewnątrz zamienia się w syrop. Uważał, że była wyjątkowa?

Przesunął palec w dół jej policzka i przesunął nim po szyi.

- Aaron - wypowiedziała jego imię gorącym szeptem. Musiało to zabrzmieć jak zaproszenie, bo po chwili Maxie została przyciągnięta i zamknięta w ramionach Huntera, a na wargach poczuła jego usta. Żadne słowa nie były już potrzebne.

Maxie nie wiedziała, że zwykły pocałunek może być tak oszołamiający. Jego usta miażdżyły jej wargi w sposób, który dobitnie wskazywał, co Aaron chciałby zrobić z resztą jej ciała. Czuła się pochłonięta, zadławiona, otoczona, każda część jej ciała była spleciona z nim. Język Aarona wdierał się i wpychał do jej ust, przypominając jej o rozkoszach, które jeszcze miały nadejść.

Kiedy wypuścił ją z ramion, drżała z pożądania.

- Nie ruszaj się, dziewczyno.

Nie byłaby się w stanie ruszyć, nawet gdyby chciała. Podeszedł do drzwi i opuścił zasuwę. Nie zdążyła się otrząsnąć, gdy znowu był przy niej.

Prawdziwa dama z pewnością protestowałaby, gdyby Hunter zaczął rozpinąć jej stanik i na pewno nie odepchnęłaby jego drżących rąk, by dokończyć rozpinania samodzielnie. Nie zsunęłaby też stanika i koszuli, żeby pozwolić mu dostać się do jej nagiego ciała. Maxie była zadowolona, że nie udało jej się zmienić w damę.

Aaron rozbierał się w gwałtownym pośpiechu. Zanim Maxie się zorientowała, już znaleźli się w łóżku. Żadne z nich nie chciało, ani nie potrzebowało początkowych pieszczot. Ich miłość była krótka i gwałtowna; napięcie zbyt długo wstrzymywane eksplodowało z ogromną pasją. Tylko ręka Huntera trzymana przy ustach Maxie powstrzymała ją przed krzykiem rozkoszy. Jej ciało zwijało się pod nim w konwulsjach, gdy w tym samym czasie on wymrukiwał w poduszkę swe własne upojenie ..

Oddychając ciężko, spoceni, wyczerpani, leżeli w milczeniu, jej nogi wciąż obejmowały biodra Aarona, jego ciało wciąż płonęło w jej wnętrzu. Świat Maxie zawężił się do tego człowieka, który tak władczo na niej spoczywał. Jeżeli o nią chodziło, mogli już tak pozostać na wieki. Maxie nie była w stanie wymyślić niczego, co mogłoby ją uczynić szczęśliwszą .. Zamykając oczy, unosiła się na fali zaspokojenia.

- Maxie.

Palec Aarona dotknął jej policzka.

- Maxie. Nie sprawiłem ci bólu, prawda, dziewczyno?

Uśmiechnęła się do niego w odpowiedzi.

- Chyba mogę powiedzieć Medinie, że odzyskałaś już siły.

Dlaczego w ogóle kiedykolwiek walczyła, dziwiła się Maxie. Poddanie się było o wiele przyjemniejsze. Kochała go. Boże, i to jak! Co więcej, podobało się jej, że go kocha. Niech diabli wezmą zdrowy rozsądek!

Aaron zsunął się z niej łagodnie.

- Czy wiesz, że jesteś prawdopodobnie najbardziej upartą i kłopotliwą kobietą, jaką kiedykolwiek spotkałem? Byłaś taka nawet jako dziecko.

Dlaczego mówił coś takiego po tych wspaniałych chwilach? Maxie próbowała wzbudzić w sobie oburzenie, ale nie była w stanie wykrzesać z siebie wystarczająco dużo energii.

Hunter przesunął dłonią po jej piersiach, połaskotał ją po żebrach. a potem władczo ułożył rękę na jej brzuchu i już jej nie odrywał. Maxie czuła nieomal, jak jego dłoń pali jej ciało, domaga się jej. Niech to diabli wezmą, jeżeli nie kocham ciebie bardziej niż kogokolwiek na tej ziemi, Maxie.

Jego oczy szukały jej oczu, jakby domagając się odpowiedzi na zadane pytanie.

- Kocham cię, Maxie. Każdy uparty cał twojego ciała- uśmiechnął się. - Każdy twój niedamowaty kawałeczek.

Maxie jak w letargu uniosła jedną dłoń z prześcieradła i odgarnęła falę brązowych włosów, które opadły mu na czoło. Czuły wyraz jego oczu i ufny ton głosu nie pozostawiały wątpliwości, że mówi prawdę.

- Ja też cię kocham, Hunter.

Nie wyglądał na zaskoczonego, po prostu dotknął palcem czubka jej nosa.

- Czy myślisz, że jesteś znów gotowa, by pokazać mi, jak bardzo mnie kochasz?

Wzruszyła jednym ramieniem; prześcieradło zsunęło się z jej piersi. On się robił naprawdę energiczny. „Medina nie chciałaby, żeby siły jej pacjenta były tak wyczerpywane.

- Maxie - powiedział, chichocząc. - Ja ci jeszcze nie ;z.aczęłem pokazywać, co to znaczy być wyczerpanym - uniósł jedną brew z diabelską miną. - Ale to może mnie zmęczyć - jego usta odnalazły brodawkę jej piersi, drażniły ją, skubały, potem zaczęły ssać, .aż Maxie wbiła paznokcie w jego plecy.

- Dosyć!

Próbowała wziąć się w garść, nieskutecznie.

- Mógłbyś nauczyć Apaczów czegoś na temat tortur.

- Być może - przyznał z uśmiechem. - Poddajesz się?



- Maxie Kaktus nigdy się nie poddaje - wydyszała.

Zagłębił ręce pomiędzy jej nogi, rozsuwając je, podczas gdy jego palce szukały, zataczając powolne, dręczące koła, zanim znalazły cel. Znowu była wilgotna, gotowa, ciepła i czekająca, gdy on łagodnie wsunął w nią palce.

Zamknęła oczy i unosiła się na fali rozkoszy. Jego ruchy stały się gwałtowniejsze; Maxie zaczęła się wznosić.

- Ty prawdopodobnie nie mógłbyś ... - szepnęła - my właśnie ...

- ... się kochaliśmy - zakończył za nią. - Ale mogę. Wierz mi, mogę. - Poczowała, jak łóżko się rusza, gdy on zmieniał pozycję. Prawdziwość jego zapewnień stała się widoczna, gdy przytulił się do niej, rozpalony pożądaniem. Wygięła się w jego kierunku. - Czy jesteśmy wyczerpani, kochanie?

Maxie otworzyła oczy i wpatrywała się w jego twarz. Oczy Aarona rozświetlała radość i miłość ..

Jak kiedykolwiek mogła myśleć, że oczy te są ciemne i zimne? Pragnęła go aż do bólu.

Uśmiech wygiął jej wargi:

- Czy powinnam ustąpić?

- Lepiej tak - poradził ochryplym głosem - albo rozsądzi nas obydwójce.

Maxie płonęła. Aaron uśmiechnął się i przysunął do niej, wchodząc w nią na tyle, by drażnić, a nie, by zaspokoić. Napięcie zaczęło zamieniać jego uśmiech w grymas. Był dokładnie tak samo udęczony, jak ona.

- Kocham cię - szepnęła i uniosła się, żeby go napotkać. Powoli wszedł w nią do końca. Zniknął gdzieś pośpiech i desperacka gwałtowność pierwszego razu. Ich pożądanie było tak samo intensywne, ale dochodzenie do zaspokojenia powolne i przemyślane. Wyszukiwali każdy niuans, smakowali, rozbudowywali każde doznanie. W końcu Maxie zagubiła się w mężczyźnie, który mocno ją do siebie przytulił. Eksploдовали wspólnie, stanowiąc jedność. Gdy ich kawałki opadły z powrotem na swoje miejsce, rozplątały się pomiędzy sobą, Maxie poczuła, że jakaś jej część pozostała z nim, a część jego wciąż płonie w jej wnętrzu.

- Masz rację - powiedziała, gdy w końcu odzyskała oddech na tyle, by móc mówić. - Nie chcę wracać.

Uniósł łokieć i przyjrzał się jej, potem na jego twarzy zaczął pojawiać się uśmiech.

- Ożeń się ze mną, Aaronie Hunterze.

Jego uśmiech rozszerzył się. Popatrzyła w jego twarz z narastającą niepewnością.

- Czy ożenisz się ze mną, Hunter?

Pocałował ją czule.

- Cokolwiek powiesz, słodka damo.

## **Rozdział 16**

Maxie przeglądała się w lustrze. Nie, to absolutnie nie pasuje.

- To musi być coś innego - powiedziała do Cynthii, która stała kilka stóp dalej z rękami na biodrach i z błyszczącymi oczami. Za Cynthią, na łóżku w gościnnym pokoju Agua Lindy, leżała sterta odzieży, którą dziewczęta uszyły podczas pobytu Maxie w mieście. Poza dwoma, wszystkie sukienki zostały już przymierzone i odrzucone, w każdej z nich Maxie znajdowała jakieś braki.

- Nie szyłyśmy ich mając na myśli zaręczyny. - przypomniała jej Cynthia. - Ale powinnam była to przewidzieć.

Cynthia nigdy nie widziała swej przyjaciółki tak zdenerwowanej. Nawet w najgorszych sytuacjach Maxie zdawała się zachowywać zimną krew, z którą przeciwstawiała się każdemu, kto chciał ją wpędzić w kłopoty. Teraz całkowicie utraciła swe dawne opanowanie.

- Wolałabym, żeby Medina nie upierała się przy tym zaręczynowym palty. Raczej pojechałabym i poszukała jakiegoś pastora - byle nie tego straszącego diabłem Cahilla z MotherJode - żeby to wszystko mieć już z głowy.

Cynthia cmoknęła z dezaprobatą.

- Mówisz tak, jakby wychodzenie za mąż było ciężką pracą. To oczywiste, że Medina chce ci urządzić przyjęcie. Dziewczyna zazwyczaj zaręcza się tylko raz. A poza tym, ludzie tutaj chwyatają

się najmniejszego pretekstu, by zebrać się, razem i przypomnieć sobie nawzajem, że życie to nie tylko praca i walka z Apaczami.

- Bardziej prawdopodobne jest, że będą się nawzajem dopytywać, dlaczego Hunter żeni się z taką dziewczyną, jak ja. Sama się nad tym kilka razy zastanawiałam.

- Och, na Boga! - cierpliwość Cynthii zbliżała się do kresu. Chwyciła Maxie za ramię i odwróciła twarzą w stronę ogromnego lustra. - Dlaczego Aaron poślubia taką dziewczynę, jak ty? To popatrz się na siebie.

Maxie patrzyła. Spoglądała na nią z lustra zdenerwowana dziewczyna w biustonoszu i haleczce. Nikt nie wziąłby jej za chłopca, którego często i chętnie udawała, gdy była młodsza; jej sylwetka była absolutnie kobieca - wysokie, okrągłe piersi, wąska talia, smukłe ramiona. Nawet zgrabne kostki i stopy, wystające spod halki wyglądały wyjątkowo kobieco.

- Jesteś piękna, Maxie - powiedziała jej Cynthia.

Nieomal zazdrościła Maxie częściowo meksykańskiego pochodzenia. Jej nieznacznie ciemniejsza skóra, z paroma nieszkodliwymi piegami, nie opalała się i nie pokrywała bąblami na słońcu, tak jak skóra Cynthii. Cera Maxie przypominała barwę starą kość słoniową - gładka i bez skazy, nawet, jeżeli Maxie wychodząc zapominała włożyć kapelusza - co zdarzało się wcale nierzadko.

- Nie, Cynthio. To ty jesteś piękna. Czarne włosy są pospolite i popatrz, jak się skręcają w te głupie loki. A moje oczy - temu, kto patrzy, wydaje się, że widzi niebo przez pustą głowę. Ja ...

- Maxie! - zachichotała Cynthia. - Jesteś po prostu zdenerwowana. Aaron cię kocha.

Przez sekundę Cynthia poczuła ukłucie zazdrości, chociaż już dawno temu stwierdziła, że jej i Hunterowi przeznaczona jest przyjaźń, a nie miłość. Wciąż tęskniła, by znaleźć mężczyznę dla siebie - kogoś takiego jak Aaron, człowieka wystarczająco odważnego i silnego, by mógł zaopiekować się żoną i dziećmi w tym niezbyt bezpiecznym kraju. Ale Cynthia potrzebowała kogoś, kto by ją adorował, czego Aaron nie robił; i kto by jej nie przerażał, co Hunter czasami robił.

Uśmiechnęła się do Maxie:

- Doskonale wiesz, że Aaron będzie uważał, że jesteś piękna, niezależnie od tego, co na siebie włożysz. A co pomyślą inni - no cóż, to przecież nie ma znaczenia, prawda?

Rozległo się stukanie do drzwi i do pokoju wsadziła głowę Medina.

- A, tutaj jesteś, Aletto. Czy już jesteś ubrana?

Nie? To dobrze - rzuciła na łóżko coś z białego jedwabiu i hiszpańskiej koronki.

- To suknia, którą miałam na swoim balu zeręczynowym, kochanie. Jeżeli będzie pasowała, chciałabym, żebyś ją włożyła dziś wieczorem.

Suknia pasowała doskonale, może z wyjątkiem długości.

- Mogę obszyć to w sekundę - zaoferowała się Medina.

- Och, nie - sprzeciwiła się Maxie. - Nie powinna pani. Wystarczy, że ...

Medina zmusiła Maxie do milczenia:

- Wszyscy wiemy, jak szyjesz, Aletto. A nie możemy pozwolić, żebyś się spóźniła na własne przyjęcie zaręczynowe - spojrzała niepewnie na dziko splątane loki Maxie.

- Chyba powinnyśmy poprosić Catalinę, żeby ułożyła ci włosy. Ona była kiedyś służącą u pewnej damy, wiesz, w Mexico City.

Minęła godzina, zanim Maxie została wystrojona w sposób satysfakcjonujący wszystkich. Gdy w końcu sama spojrzała w lustro, by zobaczyć końcowy efekt, z trudem mogła uwierzyć, że patrzy na nią Maxie Kaktus. Cynthia miała rację, musiała to przyznać. Chociaż nie była taką porcelanową piękną, jak Cynthia, to z tą niesforną chmurą czarnych włosów, z tymi błyszczącymi niebieskimi oczami miała pewien urok. Przypomniała sobie, w jaki sposób Hunter spojrzał na nią wyjeżdżając tego ranka do miasta. To wspomnienie spowodowało, że zadrżała i zatęskniła do ognia w jego oczach, ognia zapewniającego, że to wszystko nie było snem.

- Jesteś gotowa? - zapytała Medina. - Zebrani goście czekają na pojawienie się panny młodej ..

Obie z Cynthią spojrzały na Maxie wyczekująco.

Z wyrazu ich twarzy Maxie mogła odczytać, że nawet one są zdziwione jej wyglądem.

- Coś jeszcze muszę wziąć z mojego pokoju - Maxie odwróciła się i rzuciła jeszcze jedno spojrzenie

w stronę lustra. - Zobaczymy się na przyjęciu.

Przed frontowym budynkiem farmy trwała już zabawa, gdy Maxie wymknęła się tylnymi drzwiami i przeszła do budynku kuchennego, gdzie mieścił się jej mały pokój, który teraz dzieliła z Mary. Jake dreptał za nią ze zwieszonymi uszami i spuszczoną głową.

- Nie martw się, stary - pocieszała Maxie psa, gdy ten wszedł za nią do pokoju, wskoczył na łóżko i zwinął się w ponury, kudłaty kłębek. - Jak wyjdę za mąż, zabiorę cię ze sobą. Nie mam zamiaru cię tu zostawić. Jak wyjdę za mąż ...

Maxie Kaktus zameżna. Żona - Panie w niebiosach - Aarona Huntera. Gdy leżała w jego ramionach, cały ten pomysł wydawał się taki rozsądny, ale teraz ...

- Ja go kocham - zapewniła Jake'a. - A on kocha mnie, czy wierzysz, czy nie. Możemy razem zbudować szczęśliwe i z niewielką ilością ciężkiej pracy życie. Jego ranczo jest doskonałym terenem do hodowli bydła, a z tymi pieniędzmi, które czekają w Tucson, możemy zbudować siedzibę ufortyfikowaną tak samo jak Agua Linda - żeby Apacze trzymali się z daleka.

Myśl o Apaczach przyniosła jej mmeJ przyJemne wspomnienia. Choto także chciał się z nią ożenić i zrobiłby to, gdyby jej bracia nie pojawili się w obozie Nochesa i nie zabrali jej stamtąd. Byłaby żoną Chato, nie Huntera, i to Choto leżałby na niej, tak jak robił to Aaron. Tyle tylko, że cały ten akt byłby o wiele mniej przyjemny. Z Hunterem jedno ciało łączyło się z drugim w niezmaconej radości. Z Choto byłby to ... koszmar. Jej bracia uratowali ją przed tym. I co ona robiła w rewanzu. Jak bardzo by ją znienawidzili, gdyby wiedzieli, że dezerteruje z rodziny, by stanąć po stronie Huntera.

- Nie! - Maxie uderzyła zwinętą pięścią w ścianę, potem przyłożyła czoło do chłodnego muru. Kochała Aarona Huntera. On kochał ją. Z nim mogła przywoicie żyć, mieć dzieci, wszystko, co zawsze było poza jej zasięgiem. Hunter miał rację. Sposób, w jaki żyła jej rodzina, nie był dobry i z góry skazany na przegraną. Któregoś dnia, już niedługo, prawdziwe prawo - więcej, niż przepracowany szeryf i znieważani obywatele - dotrze do Arizony i stare zwyczaje będą musiały zginąć. W ciągu ostatnich tygodni Maxie zobaczyła, jak bezprawie rani przywoitych ludzi jak Cynthia, pan Tuttle i narzeczona Huntera - biedna dziewczyna. Napady i rozboje nie były tak wspaniałą zabawą, jak dotąd sądziła. Gdyby tylko jej bracia byli w stanie do tego dojść, być może także chcieliby się zmienić i żyć uczciwie.

- Mam zamiar być cudowną żoną - oderwała się od ściany i przyglądała kilka wymykających się loc71<ów. - Hunter nigdy nie będzie żałował, że się ze mną ożenił.

Od tej nocy, powiedziała sobie Maxie, będzie należeć do Huntera. Jej mąż przekona się, że naprawdę ma zamiar porzucić dla niego wszystkich.

- To będzie wspaniałe przyjęcie - powiedziała do Jake 'a. - Wszystko jest po prostu w dechę. I ja mam zamiar wspaniale się bawić.

Zakreśliła się, życząc sobie, by w jej pokoju także znajdowało się lustro, chociaż do dzisiejszej nocy nic takiego nie przemknęło jej przez myśl. Potem przeszła przez pokój do szkatułki, która zawierała kilka jej osobistych rzeczy, otworzyła ją z szacunkiem i wyjęła swój jedyny klejnot - delikatny pierścionek z niezidentyfikowanym, ale z pewnością cennym kamieniem oprawnym w złoto, jedną z niewielu rzeczy, które wzięła ze sobą tego koszmarnego poranka, gdy Aaron zabierał ją ze Stronghold. Julia - porwana kochanka Blackjacka - podarowała Maxie ten pierścionek przed śmiercią. Maxie ceniła go zarówno ze względu na jego piękno, jak przez pamięć krótkiej przyjaźni z prawdziwą, arystokratyczną damą. Teraz ona sama była prawie damą i miała okazję, by włożyć ten pierścionek. Uśmiechając się wsunęła go na palec, zamknęła szkatułkę i tanecznym krokiem ruszyła do drzwi.

Pierwszą osobą, którą Maxie ujrzała wchodząc na weselnie udekorowane podwórze był Aaron Hunter. Stał w grupie mężczyzn, którzy rozmawiali i śmiali się - bez wątplenia z przyszłego pana młodego. Nawet przez tłum oczy Maxie wypatrzyły Aarona tak pewnie, jak kompas wskazujący północ. Aaron był wyższy od wszystkich i przystojniejszy, zauważyła z dumą Maxie. Było w nim coś, co odróżniało go od innych mężczyzn - opanowanie, siła, która pochodziła z czegoś więcej niż tylko z szerokich ramion i muskularnej sylwetki. Kochała jego siłę; kochała jego. A on kochał ją. Niewiarygodne - spełniały się je dziecięce marzenia. Tyle tylko, że miłość nie była jedynie sennym

widziadłem; była solidną, stojącą mocno na ziemi rzeczywistością. Ta historia, lepsza od jakiegokolwiek marzenia, była prawdziwa i miała trwać przez resztę życia. Jakby czując jej wzrok, Aaron odwrócił się i spjrzał na nią. Jego uśmiech rozświetlił całe podwórze i spowodował u Maxie szybsze bicie serca. Przez sekundę nie widziała na podwórzu nikogo poza nim.

- Aleto - głos Mediny wyrwał Maxie z transu.

- Wyglądasz absolutnie cudownie, kochanie.

Uśmiechnęła się, gdy Aaron zaczął przepychać się przez tłum gości w kierunku Maxie:

- Widzę, że znaleźliście się w tym tłumie, dzieci. Niech ci Bóg błogosławi, kochanie - ujęła rękę Maxie i pogłaskała ją. - Na swój własny sposób jesteś w każdym calu taką damą, jaką była twoja matka. Byłaby z ciebie dumna.

Gardło Maxie ścisnęło się tak mocno, że dziewczyna nie mogła wykrztusić ani słowa. Schwyciła Medinę za rękę, samym tylko uściskiem chcąc powiedzieć starszej kobiecie, co czuje.

- Dona Medina. Dziękuję. Nie tylko za przyjęcie. Za wszystko.

- Bardzo proszę, kochanie. Pamiętaj, że zawsze będziesz częścią rodziny z Agua Lindy. To jest twój dom, gdy tylko będziesz go potrzebowała.

- Medina, Maxie - przywitał je Aaron.

- Aaron, ty łotrze - odpowiedziała Medina.

- Jesteś tak przystojny, że mógłbyś zawrócić w głowie każdej kobiecie stąd aż do Mexico City.

Tak było, pomyślała Maxie. Zamiast zwykłych dżinsów, pasa z bronią i luźnej koszuli, Aaron włożył uszyty na miarę garnitur, z kamizelką i łańcuszkiem do zegarka. Po raz pierwszy jego niesforne włosy były starannie zaczesane do tyłu. Wyglądał w każdym szczególe tak samo wykwintnie i kulturalnie jak pan Ortega, bankier. Gdyby Maxie go nie знаła, mogłaby z łatwością pomyśleć, że jest jednym z tych eleganckich polityków, którzy opanowali Tucson.

Hunter uśmiechnął się, widząc zdziwienie w oczach Maxie.

- Nie poznajesz mnie, kochanie? Chciałem tylko ci pokazać, jak będzie wyglądał twój mąż, gdy zostanie kiedyś baronem w branży hodowlanej.

- Znowu masz zamiar zająć się hodowlą, chłopcze? - dołączył do nich Pete.

\_ Chciałbym, Pete - gdy tylko Motherlode będzie miało nowego szeryfa. Człowiek mający rodzinę powinien zajmować się czymś pożyteczniejszym niż ściganie bandytów - spojrzawszy zezem na Maxie, by zaobserwować jej reakcję.

Uśmiech Maxie rozciągnął wszystkie piegi na jej twarzy. Nie mogła uwierzyć, że jedna noc mogła nieść ze sobą tyle szczęścia. Nie tylko mężczyzna, którego kochała, kochał ją, nie tylko miała zostać otaczaną szacunkiem mężatką, ale dodatkowo Hunter miał zamiar zrezygnować z zajmowania się prawem. Nieświadomie spowodowała, że przestał dreptać jej braciom po piętach, chociaż nie w sposób, jaki sobie wyobrażali.

\_ Co sądzisz na temat bycia żoną ranczera? - zapytał ją Hunter.

\_ Och, myślę, że będzie mi się podobało poganianie krów.

Aaron objął ją w pasie, przyciągnął do siebie i schylając się szepnął jej do ucha:

- Wolę, żebyś już poganiała krowy, niż mnie, zabijako.

Maxie poczuła, jak jej twarz staje się gorąca. Raz czy dwa zdarzyło jej się trafić Huntera kilkoma silnymi ciosami - i to z pewnym efektem, jak sobie przypominała. Ale od teraz nie miała zamiaru dawać upustu tak nie pasującemu do damy zachowaniu. Poza tym, nauczyła się paru lepszych rzeczy, które można było robić z ciałem Huntera, niż poganianie go za pomocą pięści.

\_ Myślę, że ci dwoje mieliby ochotę spędzić trochę czasu razem. ~ Medina uśmiechnęła się i wzięła Pete'a pod rękę. - Nie sądzisz, że powinienes poprosić żonę do tańca, *senior* Kelley?

\_ Niezły pomysł - powiedział Hunter, gdy Medina zabrała męża. - Chcesz zatańczyć, Maxie?

\_ Jestem w tańczeniu tak samo kiepska, jak byłam. Nawet Cynthia nie była w stanie mi wytłumaczyć, jak nie deptać partnerowi po palcach.

- Może Cynthia nie jest najlepszą nauczycielką. Poprowadził ją w miejsce, gdzie stary Hump Mac-Intosh wygrywał melodię na skrzypkach, a pary tańczyły wszystko od giggi do walca. To, co tańczyli Hunter i Maxie, było czymś pośrednim.

Reszta wieczoru wydawała się zapowiadać czarująco. Maxie tańczyła, tylko okazjonalnie przydeptując palce Huntera. Śmiała się, nawet rozmawiała z gośćmi - innymi ranczerami, kilkoma właścicielami kopalń oraz biznesmenami z Motherlode i z ich żonami. Wydawało się, że wszyscy jej dobrze życzą. Maxie chętnie ujrzałaby Mamę Moses i jej stadko, ale zaczynała rozumieć, że w towarzystwie, do którego wchodzi, o prostytutkach się nie rozmawia, a z całą pewnością nie zawiera się z nimi przyjaźni. Mimo wszystko Maxie postanowiła złożyć wizytę Mamie Moses przy najbliższej bytności w mieście. Jeżeli Hunter mógł się przyjaźnić z Shadym Samem Guentherem, właścicielem saloonu i domu gry, to ona nie widziała nic złego w przyjaźni z dziewczynami Mamy Moses. Nie miała zamiaru selekcionować swych przyjaciół według listy ustalonej przez afektowane matrony z Motherlode.

- Nie wyschłaś jeszcze? - zapytał Hunter po szczególnie zwałym tańcu.

- Jestem sucha! jak potok w sierpniu - zgodziła się.

- Przyniosę dla nas coś do picia.

Maxie uśmiechnęła się do niego:

- Nie przynos mi żadnego z tych słodkich win. Ja chcę piwo.

- Dwa piwa, już się robi.

Patrzyła za nim, podziwiając krój elegancko uszytych spodni. Powinni się pobrać jak najszybciej, zadumała się Maxie, bo ostatnio ogamiały ją myśli pasujące wyłącznie do kobiety zamężnej.

Uwagę jej przyciągnęło szarpnięcie za rękaw. Z boku podeszła do niej Mary, nie przypominająca niczym tej małej, kanciastej Loco, jedynej przyjaciółki Maxie w niewoli u Apaczów. Jej włosy, świeżo umyte i zaplecione w warkocze, były jasne, a nie brudnobrązowe, jak początkowo przypuszczała Maxie. Oczy dziewczynki były przejrzyste zielone, a buzia, okrągłsza po kilku tygodniach przebywania na wikcie Elsy, wydawała się nieomal ładna. Gdy Mary się uśmiechnęła, Maxie zdała sobie sprawę z tego, że ta milcząca, mała znajka może wyrosnąć na istotę tak samo piękną, jak Cynthia.

- Hej, Mary. - Maxie uśmiechnęła się do dziewczynki. - Dobrze się bawisz?

Mary przytaknęła, jej oczy błyszczały. Dlaczego, dziwiła się Maxie, dziewczynka wciąż nie chciała mówić? Doktor Carter stwierdził, że mała jest zdrowa i, że zacznie mówić, jak poczuje ku temu potrzebę. - Niech pani będzie cierpliwa - powiedział Elsie, która prosiła o zbadanie dziecka. - To niewiasta. Jak już zacznie mówić, nie będzie pani w stanie powstrzymać jej paplaniny. - Ale jak dotąd Mary nie powiedziała ani słowa, chociaż czasem sprawiała wrażenie, jakby czyniła wielkie wysiłki w tym kierunku.

Mary ujęła rękę Maxie. Stały razem i patrzyły, jak górnicy, ranczerzy, handlarze i bankierzy tańczą gigę i walca na parkiecie. Pete i Medina tańczyli tak blisko siebie, że można by pomyśleć, iż byli kochankami, a nie mężem i żoną; ich uczucie nie było już jednak dla Maxie powodem zazdrości, teraz miała swoją własną miłość. Cynthia tańczyła niedaleko w ramionach wysokiego, szczupłego mężczyzny z niewiarygodnie długimi wąsami. Opowiadała o nim Maxie. Pracował dla Górniczej Korporacji w Arizonie, a tutaj Qadał na własny rachunek problem Apaczów. Był w porządku, zwiędła się Cynthia, ale nie był ozłowiekiem, jakiego chciałaby poślubić. Oczywiście; nie chciała także poślubić Aarona Huntera. Trudno się zorientować w gustach Cynthia.

Parą, która najbardziej interesowała Maxie, byli Elsa Herrmann i Simon Curtis. Elsa była tak dobrą tancerką jak kucharką, zauważyła Maxie, a Simon robił, co mógł, by dotrzymać jej kroku.

Obydwoje wyglądali na tak szczęśliwych jak prosiaki w kałuży, a Maxie była zachwycona, gdy Simon puścił do niej oko, mijając ją w tańcu.

Wszystko w jej życiu zaczynało się układać prawidłowo. Patrzyła, jak Aaron wraca z kubkiem piwa w każdej ręce i jej serce zaczynało pękać ze szczęścia. Dlaczego kiedyś tak walczyła przeciwko tej miłości? Nie przypuszczała, że życie mogło być tak cudowne.

- Hallo, Mary - Hunter pozdrowił małą towarzyszkę Maxie. - Wyglądasz dzisiaj zachwycająco.

Mary uśmiechnęła się nieśmiało i w tym samym czasie schowała się za Maxie.

- Mary nie myśli jeszcze o mężczyznach - wytłumaczyła Maxie. - Z wyjątkiem Simona. Na punkcie Simona zwariowała.

Hunter mrugnął.

- Powinnaś jej powiedzieć, jakimi cudownymi ludźmi jesteśmy my, mężczyźni.  
- Nie ja - uśmiechnęła się słodko Maxie. - Zmieniłam się, pamiętaj. Już nie kłamię.  
- Nigdy nie byłaś w tym specjalnie dobra.  
- To nieprawda! - zaprzeczyła Maxie z oburzeniem. - Byłam piekiel.. oops! ... byłam w tym doskonała.  
- Odstaw piwo, kochanie. Czuję, że ogarnia mnie żądza tańca. Wybacz nam, Mary.  
Maxie pozwoliła się wciągnąć w wir tańczących. Hump grał skoczną melodyjkę, która aż się prosiła o gige, ale Aaron przyciągnął ją blisko do siebie i tańczył w rytm swej własnej zmysłowej muzyki.  
- Bardziej lubię tańczyć w ten sposób - powiedział.  
Maxie westchnęła i przytuliła twarz .do jego szerokiej klatki piersiowej. Taki taniec był prawdopodobnie grzeszny, ale nie dbała o to. Było w życiu kilka rzeczy, za zrobienie których opłacało się pójść do piekła.  
- Rozmawiałem z pastorem Cahillem, gdy byłem w mieście. Powiedział, że może tutaj przyjechać pod koniec tygodnia, by dać nam ślub, jeżeli to oczywiście tobie pasuje.  
- Nie lubię tego rzucającego diabłami starego kruka. On mnie nie lubi.  
- Pastor Cahill nikogo specjalnie nie lubi. Ale on jest jedynym pastorem stąd do Tubac.  
Maxie popatrzyła w górę na twarz Aarona, zanurzyła się w jego roześmianych oczach i nagle zapomniała o jakichkolwiek obiekcjach w stosunku do rezydującego w Motherlode kaznodzieji.  
- Uważam, że najważniejszą rzeczą jest ślubowanie. Kto czyta te słowa przed nami, nie ma w końcu żadnego znaczenia.  
Maxie oparła głowę na ramieniu Aarona. Koniec tygodnia. Sobota - tylko trzy dni. Taka myśl wystarczała, by wprawić w zdenerwowanie każdą dziewczynę i Maxie poczuła drżący niepokój w okolicy żołądka. Pomyślała, że poczuje się znacznie lepiej, gdy to wszystko będzie miała już za sobą. Jej bracia, gdyby się o tym dowiedzieli, wpadliby tu i rzuciliby jej kilka wyzwisk. Ale być może zaakceptowałyby jej decyzję. A poza tym, nie mogliby w końcu zrobić czegokolwiek Hunterowi, gdy byłby już ich szwagrem.  
- Jesteś gdzieś daleko, Maxie. Gdzie byłaś?  
- Co?  
- Nie słuchałaś ani słowa z tego, co do ciebie mówiłem.  
- Ja ... ja po prostu myślałam.  
- Nie o mnie, to było widać z twojej twarzy.  
- Nie mogę myśleć o tobie przez cały czas.  
- Powinnaś spróbować - zachichotał Hunter. - Obudzę cię.  
Wziął ją za rękę i zakreślił nią w szybkim rytmie gigi. Maxie nie była myślami przy tańcu. Potknęła się. Aaron roześmiał się i chwycił jej rękę, ucałował palce, potem zamarł.  
Maxie potknęła się ponownie, tak, że przystanąła. Hunter stał niemchomo, nie odrywając wzroku od jej ręki.  
- Skąd masz ten pierścionek? - zapytał w końcu. Maxie nie odpowiedziała. W jego głosie było coś, czego nigdy wcześniej nie słyszała, jakieś śmiertelne napięcie, które wywołało u niej dreszcze.  
Popatrzyła na niego z zakłopotaniem. -- Co?  
Usta Aarona zacisnęły się w wąską, surową linię.  
Wyrwał Maxie z tłumu tańczących. Nie powiedział ani słowa, zanim nie wyciągnął jej poza oświetlone pochodniami podwórze, za mur, gdzie nocne cienie były tak głębokie, że Maxie ledwie widziała jego twarz.  
- Skąd masz ten pierścionek? - powtórzył pytanie.  
Wyrwała mu rękę, przyjrzała się pierścionkowi i zmarszczyła brwi. - Dała mi go przyjaciółka. Co w tym złego?  
- Dała ci go przyjaciółka - mówił spokojnym szeptem, ale syk węża brzmiałby mniej niebezpiecznie. - Opowiedz mi o swojej przyjaciółce.  
- Ja ... cóż ... dlaczego? Co się stało?

- Opowiedz mi!

Chwył oba jej nadgarstki i trzymał je mocno, jakby sądził, że mu uciekną. Miała rzeczywiście ochotę uciec. Jej świat zachwiało się nagle, a ona nie miała pojęcia, dlaczego.

- Mów!

- Na ... na imię miała Julia. Mój brat Blackjack ... ona była jego. Zabrał ją z pociągu towarowego i przeprowadził do Stronghold. Ona i ja ... my się zaprzyjaźniłyśmy. Nie lubiła mojego brata, ale lubiła mnie. Dała mi ten pierścionek, zanim umarła.

- Julia ... - głos Huntera prawie się załamywał. - Dałem jej ten pierścionek, kiedy zgodziła się wyjść za mnie.

Maxie zaczerpnęła z przerażeniem powietrza. Julia

- Julia Blackjackska - to była wschodnia dama Huntera?

Hunter milczał, ale jego milczenie wydawało się powodować drżenie nocy. Ścisnął jej nadgarstki aż do bólu.

- Kłamali - powiedział w końcu. - Strażnik okłamał mnie, mówiąc, że odnaleźli ciało Julii i spalili je. Był zbyt wielkim tchórzem, by śledzić ich i sprowadzić ją z powrotem, więc mnie okłamał.

Przez cały ten czas ona była z tobą.

Spojrzał na Maxie i dziewczyna wzdrygnęła się na widok stalowej nienawiści, która żarzyła się w ciemnej głębi jego oczu. - Ty i ten twój przeklęty, śmierdzący ojciec i bracia zabraliście ją z wagonu w to swoje plugawe życie, a ja ją tam zostawiłem, bo myślałem, że zginęła. Maxwellowie nie byli godni, by zmywać brud z jej stóp, a ty ją zabiłaś!

Puścił ją, jakby jej nadgarstki były rozgrzanymi do czerwoności kawałkami żelaza. Jego furia i obrzydzenie uderzały w nią wyczuwalnymi falami.

- Hunter! To nie tak! Nikt nie zabił Julii. Blackjack traktował ją, jakby była kimś w rodzaju królowej. Był naprawdę w niej zakochany i nie pozwalał nikomu jej dotknąć. Nawet on jej nie tknął, Hunter. Blackjack chciał się z nią ożenić i chciał postępować prawidłowo. Nigdy nie położył na niej ręki. I nikt inny tego nie zrobił!

- Nikt jej nie dotknął - powtórzył Hunter z niedowierzaniem. - Ale ona umarła, prawda?

- Ja ... cóż, tak. Próbowала uciec. Wyszła na pustynię pewnego dnia. To był lipiec, a ona nic nie wiedziała na temat pustyni. Gdy Blackjack ją wysłedził, była oszalała od gorąca. Przyprowadził ją do domu, a ja ją wykapałam i siedziałam przy niej. Myślę, że przeżyłaby, gdyby tylko chciała, ale ona po prostu odeszła.

- I ona dała ci ten pierścionek - głos Huntera był napięty jak cięciwa łuku.

- Byłyśmy przyjaciółkami. Powiedziała, że pierścionek dał jej ukochany i, że nie chce, żeby znalazł się w ziemi ... z nią. To dziwne, ale nigdy nie powiedziała twojego imienia.

Zapanowała ciężka cisza. Nawet noc wydawała się ciemniejsza, gdy Hunter stał tam, nieporuszony. Maxie odczuwała jego ból, jakby był to jej własny. Dlaczego nigdy nie powiązała Julii Blackjackskiej z utraconą ukochaną Huntera? Mogła zrozumieć, dlaczego Aaron tak bardzo kochał Julię. Była słodka i wielkoduszna i, na swój własny sposób, dzielna. Maxie nie bardzo potrafiła sobie wyobrazić, że tak krucha kobieta przeżyłaby na rancho Huntera dużo dłużej, niż w Stronghold. Arizona nie była łaskawa dla kobiet, które były delikatne i łatwe do zniszczenia - jak Julia. Ale Maxie mogła zrozumieć, pomimo wszystko, dlaczego mężczyzna mógł pragnąć Julii.

- Julia była bardzo piękna i dobra - powiedziała do Aarona, myśląc, że go to w jakiś sposób pocieszy. - Nie była źle traktowana ... i każdy ją lubił. Wiedzieli, że była kimś specjalnym.

Hunter promieniował takim bólem, że Maxie wyciągnęła rękę, chcąc go pocieszyć. Ale on gwałtownie odepchnął ją od siebie. Potknęła się i upadła na ziemię.

- Nie podchodź do mnie! Przez lata polowałem na zbirów, którzy zabrali moją Julię, a tu przez cały czas miałem jednego z nich w swoich rękach! Ale nie mogę cię dotknąć! Nie mogę skrócić ci tego drobnego karku, chociaż tak bardzo bym tego teraz chciał \_ jego głos drżał z furii. - Boże! I pomyśleć, że prawie dałem się skusić, by zaniechać ścigania!

Cierpliwość Maxie - nigdy zbyt wielka - była bliska wyczerpania. - Tak samo jej sympatia.

Hunter miał prawo być wściekły. Maxie nigdy nie zgadzała się z Blackjackiem na temat Julii i niejednokrotnie ciosała mu z tego powodu kołki na głowie, ale nie zwracał na to uwagi.

Z drugiej strony Hunter nie miał prawa zachowywać się tak, jakby 'całe to okropne zdarzenie było pomysłem Maxie. Zbir, tak ją nazwał! A potem oskarżył ją, że odwiodła go od obowiązku!

Podniosła się z ziemi i strząsnęła kurz z zaręczynowej sukni Mediny. Zaręczynowej! Co za żart!

- Myślę, że powinienes wycofać kilka słów, które wypowiedziałeś, Hunter. Nie myślisz w tej chwili sensownie.

- Myślę sensownie po raz pierwszy od kilku tygodni. Wracaj tam, gdzie należysz, Maxie. I powiedz swoim braciom, że lepiej będzie, jeżeli wyrosną im oczy z tyłu głowy. Idę po nich.

- Myślisz, że jesteś na tyle dobry, by ich zabić? - miała dosyć. Aaron Hunter o moment za długo dosiadał swego wysokiego konia. - Nie jesteś ani wystarczająco szybki, Hunter, ani dość sprytny. Posłał jej ciężkie, ciemne spojrzenie, które wywołało zimne dreszcze pełznące wzdłuż jej kręgosłupa.

- Myślisz, że nie?

- Ja ... ja to wiem! - jej głos drżał. Słowa Huntera, chociaż wypowiedziane spokojnie, zawierały tyle pasji, że gardło Maxie zaciskało się z l?rzerzenia.

- Przynajmniej moi bracia nie udają kogoś innego, niż są! - rzuciła mu desperacko. - A ty! Chodzisz dumnie dookoła, biały jak lilia i święty, próbując udawać, że jesteś czymś więcej, niż skundlonym wilkiem. Rewolwerowiec, którego jedyny talent tkwi w przywiązaniu do nogi pistoletu. I wszyscy dookoła ciebie muszą się zmienić w zbierających kwiatki, śpiewających hymny producentów dobrych uczynków - żeby być ciebie godnymi!

- Sama nie wiesz, o czym mówisz, ty mała idiotko.

- Och, naprawdę? Nie mogę uwierzyć, że wydawało mi się, że cię kocham! Nie mogę uwierzyć, że przekonałeś mnie, że jesteś czymś lepszym od kawałka końskiego łajna! Ja przynajmniej jestem uczciwa - albo byłam uczciwa, dopóki cię nie spotkałam. Zawsze przyznawałam się do tego, kim jestem - nikim dobrym, bandytką, a teraz - dziwką. Ty mnie nauczyłeś, jak .być dziwką!

- Maxie ... !

- Ale jedyną rzeczą w moim życiu, której się wstydzę, jest to, że byłam na tyle głupia, by tobie ulec!

- gwałtownym szarpnięciem zerwała z palca pierścionek Julii i rzuciła go w kurz. - Masz! Zabierz swój drogocenny pierścionek. Zbuduj dla niego świątynię i módl się do Julii! A potem wyschnij i umrzyj dla jej czci. Teraz zejdź mi z drogi.

Przeszła obok niego, odpychając go. Z głową uniesioną do góry i z zaciśniętymi pięściami przeszła przez miejsce, gdzie odbywało się jej przyjęcie zaręczynowe. przeszła przez dom i przez tylne podwórze, aż w końcu dotarła do swego małego pokoiku przy kuchni. Po-

. za łomotaniem własnego serca wciąż słyszała grające skrzypki, wciąż słyszała śmiejących się ludzi.

Powoli kolana zaczęły się pod nią uginać. Opadła na łóżko, z którego ponuro spoglądał na nią cierpliwy Jake. Przyciągnęła psa do siebie i w końcu dała upust łzom.

- Przeklęty, przeklęty, przeklęty! - szlochała w poszarpaną sierść Jake'a. - Przeklęty Hunter. Przeklęty Blackjack. Przeklęta Julia. I ja przeklęta. I głupia, jakże głupia.

Jedna tylko myśl pocieszała ją w gorzkiej rozpacz - była nią pewność, że świat był pełen takich głupców jak ona.

## **Rozdział 17**

Minęły dwa smętne dni. Maxie powiedziała Medinie, że ona i Aaron pokłócili się, stąd ślubu nie będzie. Chociaż Medina bardzo naciskała, Maxie nie chciała powiedzieć nic więcej. Elsa, a także Maria i Catalina, próbowały wszelkimi siłami wydobyć z niej prawdę, równie bezskutecznie. Nawet Pete usiłował się czegoś dowiedzieć, ale Maxie była milcząca i posepna. Przyznawała się jedynie do kłótni.

Jak mogła powiedzieć tym luaziom, że jej naj starszy brat - bohater jej dzieciństwa - był odpowiedzialny za śmierć Julii? Cała ta sprawa była zawsze utrzymywana przez nią we wstydlivej tajemnicy, a furia Huntera przywiodła ten sekret - przedtem niewielki \_ przed oślepiające reflektory jej sumienia. Wstyd powiększał także fakt, że dziś Maxie była w stanie sobie wyobrazić, co Julia czuła. Kochała tego samego mężczyznę, co ona, też przeżyła frustrację, terror porwania i kuliła się



ze strachu mając w perspektywie niechciane małżeństwo. Teraz wstyd Maxie związany z Julią nie był już mały - i nie był już tajny.

Blackjack prawdopodobnie zniewoliłby biedną dziewczynę, przyznała Maxie. Jego cierpliwość nie była zbyt duża, a gdyby się wyczerpała, Blackjack zabrałby Julię gdziekolwiek i wziąłby, co chciał. Tylko śmierć matowała ją przed takim losem. Czy przeczuwała to, zastanawiała się Maxie, poddając się i umierając z odwodnienia i słonecznego udaru?

Czasami Maxie wręcz zazdrościła biednej, martwej Julii. Ona przynajmniej wiedziała do ostatniej chwili, że Hunter ją kocha. Nawet podczas swej męki śniła o miłości. A co miała Maxie? Nic.

Złamane nadzieje, dojrzałe do zerwania serce zostawione, by wyschło jak jabłko na południowym słońcu. Aaron nienawidził jej. Nazywała się Maxwell, a wszyscy Maxwellowie byli zbrodniarzami.

Maxie nie winiła Huntera za to, co czuł. Oddałaby teraz wszystko, by nie być siostrą swych braci.

Oskarżać powinien Blackjacksa, przekonywała samą siebie. Ale sumienie mówiło jej, że przecież mogła pomóc Julii w ucieczce. Julia była dla niej miła, była jej przyjaciółką, a jednak Maxie ani przez moment nie pomyślała o oszukaniu brata i wyprowadzeniu biednej dziewczyny ze Stronghold. Próbowowała wytłumaczyć się przed sobą, że świat poza Stronghold dla niej w tamtych czasach nie istniał. Nie wiedziała nic o uprzejmości, o szacunku i o przyzwoitym życiu. Myślała nawet, że Julia może pokochać Blackjacksa. Jaka kobieta nie zakochałaby się w jej przystojnym bracie?

Ale w nocy, gdy Maxie płakała w poduszkę, żadne tłumaczenia, które wymyślała w dzień, nie były w stanie jej pomóc. Była jednocześnie zła, urażona i zmartwiona i nawet nie była w stanie wzbudzić w sobie nienawiści do Huntera. Ręce ją swędziały, by ułokować kilka ciosów w jego mostku, a kilka dobrze wycelowanych kopniaków mogłoby ulżyć jej frustracji, ale fantazje na temat przemocy zawsze kończyły się marzeniami o niej leżącej w ramionach Huntera i słuchającej szeptanych jej do ucha słodkich słów wybaczenia.

W dzień przechodziła od zajęcia do zajęcia, próbując doskonalić nabyte wcześniej umiejętności.

Po jakimś czasie zbudowany przez Maxie mur zranionego milczenia odstraszał od prób nawiązywania z nią rozmowy nawet najbardziej odpornych. Zupełnie nie wiedziała, co powinna ze sobą zrobić.

Medina powiedziała, że Agua Linda jest jej domem, ale Maxie nie czuła się na ranczo jak w domu. Stronghold było kiedyś jej domem, ale zostało zniszczone. Jej rodzina była kiedyś dla niej wszystkim, ale po tym, czego się dowiedziała i co zobaczyła, czuła, że nigdy już nie będzie pasować do Blackjacksa, Toma i Brudnego Jima. Nie wiedziała, kim właściwie była. Dawna Maxie Kaktus odeszła. Nowa Maxie umarła, zanim jeszcze się narodziła. A osoba zajmująca w świecie miejsce Maxie była kimś, kogo Maxie nie знаła, a nawet nie starała się poznać.

W drugą noc po przyjęciu, gdy pustynia odpoczywała w mętym świetle gwiazd, a wszyscy w Agua Lindzie już zasnęli, przyszedł Blackjack. Prześlizgnął się przez mury ze zręcznością węża. Warczenie Jake'a obudziło Maxie sekundę przed tym, zanim szorstka ręka nie przycisnęła jej ust, a cichy szept nakazał milczenie. Maxie szamotała się przez chwilę bezskutecznie, potem rozpoznała mężczyznę, który ją trzymał.

Jej oczy rozszerzyły się.

- Blackjack! - szepnęła, gdy brat ją puścił.

- Uspokój tego przeklętego psa.

Stary Jake, z nastroszoną sierścią i odsloniętymi kłami, zamarł w sztywnym wyzwaniu. Maxie, ruchem dłoni, poleciła psu się położyć. Jake przez moment patrzył niepewnie, potem opadł na podłogę, wciąż zachowując czujność.

Blackjack uśmiechnął się.

- Czołem, mała siostrzyczko.

- Tsssss! - Maxie spojrzała na wciąż śpiącą Mary, która zajmowała łóżko po drugiej stronie pokoju.

- Co ty tu robisz? - szepnęła.

Jego uśmiech rozszerzył się:

- Słyszałem, że miałaś zamiar się zaręczyć. Nieźle! Jak daję ci robotę, to się do tego zabierasz na całego, prawda, Max?

Maxie zapomniała prawie, jak bardzo przystojny był jej brat. Blackjack zapalił świecę, która stała na drewnianej pacy obok jej łóżka. W przytłumionym świetle jego włosy połyskiwały złotem, jego oczy - tak samo kobaltowoniebieskie, jak jej - świeciły porywającym blaskiem, jego wargi - wargi, które mogła podziwiać nawet siostra - były zmysłowe, a rozchylając się, ukazywały białe, równe zęby.

Klepnął ją lekko po ramieniu: - Jesteś naprawdę niezła, Max. Do diabła, sam nie mógłbym być lepszy, gdybym był babą. Stary Hunter je już z twojej słodkiej rączki, bez dwóch zdań. Zrobiłaś dokładnie to, co chcieliśmy.

- Uspokój się, ty osie! Zbudzisz Mary. Blackjack spojrzął na cichą postać leżącą na drugim łóżku: - Dobra, to zwiewamy. Zostawimy ślad, jaki nawet dziecko wytropi, a gdy Hunter pójdzie za swoją ukochaną, wpakuje się prosto w naszą małą pułapkę - uśmiechnął się i po raz pierwszy w życiu Maxie uznała, że uśmiech ten jest raczej dziki, niż czarujący. - Mamy wielkie plany, Max. Jak załatwimy się już z Hunterem, pojedziemy do Meksyku, żeby znaleźć tatę. W jednej z tych eleganckich hacjend znalazłem sobie senioritę. Ona może ułatwić życie wielu z nas, mała siostrzyczko.

Maxie sprzeciwiła się. Już wtedy, gdy Blackjack po raz pierwszy przedstawił jej swój plan, postanowiła nie brać w nim udziału.

- Nigdzie nie jadę, Jack. - A to co? - jego oczy zwęziły się.

- Nie jadę z tobą.

- To tylko tak ci się wydaje.

- Nic nie ma pomiędzy Hunterem i mną. Nawet jak było, nie miało nic wspólnego z tobą i chłopakami. Prowadzisz swoją własną walkę, Jack. Nie mieszaj mnie w to.

Oczy Blackjacksa stały się tak twarde i złe, że Maxie zastanawiała się, czy to naprawdę jej brat, którego idealizowała i któremu zazdrościła podczas całego dzieciństwa.

\_ Nazywasz się Maxwell - powiedział kategorycznie. - Jedziesz.

Maxie potrząsnęła przecząco głową. Blackjack uśmiechnął się nieprzyjemnie i znacząco spojrzął na Mary. Dreszcz przeszył Maxie na tę nie wypowiedzianą groźbę.

- Jadę.

Gwałtownie wciągała swoje stare spodnie i koszulę, pragnąc odciągnąć Blackjacksa od Mary, od Agua Lindy, gdzie mógł kogoś zranić. Wpakowała zapasową parę butów, szczotkę i dodatkowe skarpety do węzełka, potem chwyciła kapelusz. Suknie zostawi - nie będą jej potrzebne.

Stwierdzenie tego faktu zasmuciło ją bardziej, niż mogłaby przypuszczać.

\_ Nie sądzę, żeby Hunter za mną pojechał, Jack \_ szepnęła. -- Pokłóciliśmy się mocno. Teraz wolałby chyba wdepnąć w świńskie łajno, niż podejść do mnie na bliżej, niż dziesięć stóp.

Jej brat zachichotał łagodnie:

- Jeszcze lepiej. Klótnie są dobrym wytłumaczeniem ucieczki. On przyjedzie, w porządku.

Maxie nie podobał się błysk w oczach Blackjacksa.

\_ Co masz zamiar z nim zrobić, Jack?

\_ A jak myślisz? - zawahał się i zmarszczył brwi. - Zakochałaś się w tym typie?

Maxie prychnęła coś pod nosem.

\_ Zrobiłaś się wrażliwa, co? Zawsze taka byłaś. Nie martw się tym, Max. Ty zrobiłaś swoje, a resztę zostaw nam.

Ona zrobiła swoje. To stwierdzenie wywołało w niej poczucie winy. Maxie nie miała zamiaru posłużyć bra, ciom za przynętę, ale związując się z Hunterem, zrobiła dokładnie to, czego od niej chcieli. Pragnęli oni widzieć Huntera martwego, z kolei on, po tym, co mu Maxie opowiedziała o Julii, z pewnością chciałby ich zabić. Będzie jechał za nimi do Meksyku - do samego piekła, jeżeli będzie musiał. A kiedy Maxwellowie i Hunter staną twarzą w twarz, stwierdziła Maxie z uczuciem mdłości, ktoś będzie musiał umrzeć.

Chyba, że Maxie w jakiś sposób będzie mogła go , odwieść od podążania za nimi.

- Chodź, Max. Zaraz zacznie świtać.

- Poczekaj - powiedziała, zapinając ostatni guzik w koszuli. - Zostawię tylko wiadomość, żeby Kelleyowie wiedzieli, że ze mną wszystko w porządku.

Od kiedy umiesz pisać?

- Od kiedy nauczyła mnie tego pani Kelley.

- Nie żartuj! Napisz coś płacznego. To się Hunter dopiero spieni.

Ze spoconymi rękami i uczuciem suchości w ustach Maxie sięgnęła po małą tabliczkę, której używała do ćwiczeń w pisaniu. Starannie - wciąż nie była w tym bardzo dobra - napisała kilka linijek, dziękując Kelleyom za ich dobroć i informując ich, że ma zamiar wrócić do rodziny. Potem, dziękując Bogu, że Blackjack nie jest w stanie przeczytać ani słowa, ostrzegła każdego, a zwłaszcza Huntera, od podążania za nią. Jeżeli chce on zachować cało swą skórę - dodała w ostatniej linijce - powiedzcie mu, żeby się trzymał od niej z daleka. Spłaci w ten sposób swój dług wobec Maxie.

Hunter powiedział jej, że jest człowiekiem, który zawsze płaci swoje długi. Czy ratunek sprzed dziesięciu lat wart jest pozostawienia jej w spokoju?

Maxie starannie położyła tabliczkę przy ręce Mary.

W momencie, gdy dziewczynka ją zauważyła, Maxie i Blackjack będą już daleko.

Usatysfakcjonowana podążyła z Blackjakiem w stronę drzwi. Jake wstał i ruszył za nią.

- Zostaw psa. - powiedział jej Blackjack.

- Zostań tutaj, Jake - powiedziała smutno Maxie.

- Zostań.

Pies usiadł, skomląc. Gdy Maxie odwróciła się, Mary leciutko uniosła powieki, schowana za szerokim ciałem psa.

Podczas, gdy Maxie ubierała się i kłóciła z bratem, Mary przebudził odgłos ich szeptów. Nauczyła się czujnie spać pomiędzy Apaczami, gdzie jej przybrana matka, Leniwe Oczy, miała od czasu do czasu kłopoty ze snem i zdecydowała się leczyć bezsenność odrobiną ćwiczeń - solidnym laniem spuszczanym niememu, jasnowłosemu dziecku, które jej mąż przyprowadził do wigwamu, gdy ona okazała się bezpłodna. Mary nie raz uratowała się przed biciem tylko dlatego, że spała na tyle czujnie, by widzieć nadchodzącą Leniwe Oczy i by zdążyć wyskoczyć z wigwamu w poszukiwaniu kryjówki. To przyzwyczajenie nie było łatwe do zmienienia, tak więc nawet w Agua Lindzie Mary zawsze spała nieomal z otwartymi oczami.

Obudziła się po pierwszych szelestach dobiegających z drugiej strony małego pokoju, a instynkt podpowiedział jej, by była cicho i udawała, że śpi. Nie wiedziała, kim był ten wysoki człowiek, który stał tam rozmawiając z Maxie, ale z jakichś powodów odczuwała do niego głęboką niechęć. Dopiero kiedy się odwrócił w jej kierunku, zorientowała się, co jest tego przyczyną. Widok jego twarzy oświetlonej mdłym blaskiem świecy spowodował, że serce jej zaczęło łomotać. To był ten sam człowiek, który zabrał Maxie z obozowiska Apaczów. Ale te rysy - niebieskie oczy, włosy w kolorze pszenicy, kwadratowa szczeka - zapadły w jej pamięć już przed wielu laty. To była twarz, której nie zapomniłoby nawet małe dziecko.

Przez cały czas Mary trzymała oczy zamknięte.

Poruszyła się dopiero w momencie, gdy usłyszała, że obydwójce opuścili pokój. Pokój był ciemny, świeca zgasła, ale przez okno dochodziło wystarczająco dużo światła, by Mary mogła zauważyć obok swojej ręki tabliczkę, a na niej ciemniejsze ślady linijek napisanych przez Maxie. Jednak nawet, gdyby światła było więcej, Mary nie byłaby w stanie tego przeczytać.

Palce dziewczynki zacisnęły się spazmatycznie na tabliczce, po czym opadła z powrotem na łóżko i zaczęła się zastanawiać, jak powinna postąpić.

Simon Curtis wyciągnął długie nogi na biurko i oparł poręcz krzesła o murowaną ścianę małego więziennego biura. - Bardzo spokojne są te ostatnie dni - skomentował. Przez zmrużone powieki obserwował swego szefa i najlepszego przyjaciela, który siedział po drugiej stronie pokoju, leniwie rzucając nożem, tak, by ostrze wbijało się w biurko. - Nawet pszczoła nie zabzyka dookoła, a co dopiero bandyci. Chyba nie wykosiliśmy ich wszystkich, co?

Hunter coś zamruczał. Była to jedna z bardziej wyartykułowanych odpowiedzi, jaką Curtisowi udało się od niego wydostać w ciągu ostatnich paru dni.

- Przypuszczam, że z powodu zbliżającej się zimy mogli się przenieść bardziej na południe. Co

prawda człowiek nie może się przenieść za bardzo na południe, nie trafiając do Meksyku, a Meksykani mają taką samą słabość do wieszania bandytów, jak i my. Oczywiście, chętniej 'wieszają amerykańskich bandytów niż swoich meksykańskich koleżków, ale myślę, że jest to słuszne. Jak sądzisz?

Hunter westchnął, po raz kolejny wbił nóż w biurko, wstał i podszedł do stojaka na strzelby. Wyjął z niego winczester, otworzył magazynek, przeciągnął palcem po dobrze naoliwionych powierzchniach i popatrzył przez muszkę.

- Swędzi, żeby kogoś zdmuchnąć, co? Założę się, że twój palec wskazujący potrzebuje nieco ćwiczeń.

Hunter wsunął karabin z powrotem do stojaka.

- *Compadre*, zawsze byłeś spokojnym typem. Ktoś ci ostatnio naoliwił szczerkę, czy co?

- Gadanie, Hunter. To tylko ta cisza po drugiej stronie pokoju. Ona aż się prosi, żeby ją czymś wypełnić.

Hunter nie odpowiedział. Znowu siadł przy biurku i zaczął rzucać nożem.

Simon westchnął i zrezygnował. Te kilka słów, które wydobył z Huntera nie było warte tylu wysiłków. Nigdy by nie przypuszczał, że ganień za kobietą może człowieka doprowadzić do tak smętnego stanu. On i Elsa to co innego, oczywiście. Elsa była rozsądną kobietą, która nie oczekiwała od mężczyzny zbyt wiele, a w żyłach Simona także nie płonęła już tak młoda krew jak u Aarona. Nie znaczyło to oczywiście, żeby nie mógł z siebie wykrzesać odrobiny ognia, gdy tego zajdzie potrzeba.

Hunter i ta mała Maxwellowska kocica mogli rozpaść gałęzie samym tylko patrzeniem na siebie. Simon nie był zaskoczony, że Hunter wyglądał na nieco zwarzonego. Cokolwiek się nie wydarzyło, chłopak wziął to sobie do serca. Od czasu tej awantury u Kelleyów był mniej więcej tak przyjacielski, jak głodny grzechotnik. Simon życzyłby sobie, żeby Aaron albo załagodził cały ten spór z dziewczyną, albo pojechał do Agua Lindy i zastrzelił ją. W każdym wypadku łatwiej by się z nim potem żyło.

Stukot kół wozu skierował uwagę obu mężczyzn na okno.

- Popatrz, popatrz - mruknął Simon. - Ktoś w tym mieście jednak się obudził.

Hunter wstał z krzesła, podszedł do okna i zmarszczył brwi: - To Medina Kelley z paroma uzbrojonymi robotnikami. Ciekawe, co ją sprowadza do miasta o tak wczesnej porze.

Nie musiał zbyt długo czekać na odpowiedź. Gdy tylko Medina zeszła z wozu i przywiązała zaprzęg do żerdzi, natychmiast skierowała się w stronę biura szeryfa.

- Dzień dobry, pani Kelley - Simonowi wystarczyło dobrych manier akurat na tyle, by zdjąć nogi z biurka.

- Dzień dobry, Simonie - jej powitanie było dość szorstkie, Medina nie rzuciła nawet wzrokiem w kierunku zastępcy szeryfa. Cała jej uwaga zwrócona była na Huntera.

- Aaronie, Maxie odeszła.

Szczerka Aarona drgnęła, ale on wyciągnął jedynie nóż z biurka i zaczął niedbale czyścić jego ostrze. - To wolny kraj, Medino. Myślę, że Maxie może robić, co jej się podoba.

- Jak możesz tak mówić! Ona odeszła, by się przyłączyć do tych łajdackich Maxwellów.

- No cóż, ona też się tak nazywa, prawda?

- Ty jesteś tym, który ją stamtąd zabrał! Powiedziałeś też, że masz dług wobec niej!

- Nie mam już wobec niej żadnego długu, Medino. Simon odchrząknął: - Chyba zrobię sobie spacer i porozglądam się, czy jacyś gwałciciele prawa nie gnębią miasta. - Iskry zaczynały się sypać, a on nie miał zamiaru czekać na eksplozję. Dzień był dokładnie tak gorący, na jaki się zapowiadał.

Gdy tylko za Simonem zamknęły się drzwi, Hunter odłożył nóż i podszedł do okna. Medina za nim.

- Aaron, wiem, że coś się stało pomiędzy wami.

Co to było, to nie moja sprawa, ale nie mogę uwierzyć, że ty tak sobie po prostu siedzisz i pozwalasz, by Maxie zrujnowała swoje życie, może nawet się zabiła, tylko dlatego, żeście się posprzecziali.

- To nie było to, co nazywamy sprzeczką. A Maxie dokonała wyboru. Jest dorosłą kobietą, nawet jeżeli często zachowuje się jak dziecko. Jeżeli chce uciec, nie ma nic, co mógłbym zrobić, by ją od tego powstrzymać.

Medina odwróciła się i skrzyżowała ręce na piersi, przyciskając je do siebie, jakby się bała, że jej ręka sama zdecyduje się na wbiecie Hunterowi odrobiny rozsądku.

- Ona nie uciekła - oświadczyła z przekonaniem. - Maxie nie jest kimś, kto przed czymkolwiek ucieka. Wiesz o tym. Ona może się miotać dookoła jak kot z oparzoną ogonem, jeżeli sprawy nie układają się po jej myśli, ale ta dziewczyna ma w swoim kręgosłupie dobrą tolekańską stal. To jest coś więcej niż ucieczka po kłótni zakochanych.

- To nie była kłótnia zakochanych, Medino - westchnął Hunter. Typowe dla kobiety, że wszystko zwala na miłość. To, że Maxie odeszła z czystej złości, nigdy prawdopodobnie do Mediny nie dotrze.

- Zostawiła wiadomość, by za nią nie jechać. A dokładniej, ty, masz za nią nie jechać, jeżeli chcesz zachować swą skórę w całości.

Brzmiało to jak coś, co mogło pochodzić od tej małej wilczycy. Jaką grę ona rozgrywała? Złap mnie, jak potrafisz? Czy on nie wyjaśnił w dostateczny sposób, że nie ma zamiaru jej gonić?

- Pozwól jej odejść, Medino. Będzie nam obydwójgu bez niej lepiej.

Medina rzuciła mu przeciągłe spojrzenie.

- Nie wierzę; że tak myślisz, Aaronie.

Chciałby tak myśleć. Boże, jak bardzo by chciał.

- Przyjedź przynajmniej na ranczo i porozmawiaj z Pete'em - powiedziała Medina. Jej głos złagodniał. - Ponosisz część odpowiedzialności za tę dziewczynę, wiesz o tym.

Hunter potarł rękami twarz, starając się uwolnić od wizji, której nie chciał mieć przed oczami.

Maxie. Zawsze ona. Śmiejąca się. Uśmiechnięta. Jeszcze częściej zmarszczona w sposób, który uważała za gniewny, a który jedynie dodawał jej uroku. Maxie uśmiechająca się do niego w tańcu. Maxie leżąca pod nim, z twarzą rozświetloną szczęściem, podczas gdy jej ciało wznosiło się w niebiosach.

- Chyba tak jest - westchnął. - Zdaje się, że nigdy się od niej nie uwolnię. Nie całkowicie, przynajmniej.

Wyjechali z miasta w milczeniu. Duży ogier Huntera kłusował przy wozie Mediny. Robotnicy zostali w mieście, żeby podkuć konie i przepłukać kurz z gardeł przy pomocy rozwodnionej whisky Sama Guenthera. Aaron najchętniej sam teraz by to zrobił.

Koszmar nie chciał się tak po prostu rozwiązać. Zaczął się, gdy Aaron dowiedział się wszystkiego o Maxwellach i Julii. Z trudem sobie przypominał, co powiedział Maxie. Był wtedy oślepiiony wściekłością. Wściekłością i poczuciem winy - diabelska kombinacja. Część wściekłości kierował przeciw Maxwellom, a pozostałą przeciwko samemu sobie. Gdyby pojechał do Stronghold zaraz po zaginięciu Julii, znalazłby ją. Ale strażnicy w pociągu powiedzieli, że bandyci zabili ją.

Twierdzili, że pojechali kawałek za przestępcami i znaleźli ją martwą na trasie. Spalili ją tam, upał był straszny, a oni mieli przed sobą jeszcze trzy dni jazdy do Tucson. Bez wątplenia te łajdaki wcale nie pojechały za Maxwellami i bały się do tego przyznać. Hunter nie zastanawiał się nad powodami ich lęku. Znając prawdziwą historię, mógłby zabić tych tchórzy gołymi rękami.

Był wściekły i czuł się winny. Jak mógł upaść tak nisko, by pokochać kogoś z rodu Maxwellów? Miał zamiar się z nią ożenić - z dziewczyną, która pomagała trzymać jego Julię w niewoli, która może nawet brała udział w napadzie, w którym Julia została porwana. Była śmieciem, brudem, trucizną.

Hunter niezadowolony pokręcił głową i spojrzał na horyzont. Słońce było już wysoko, a dzień był bardzo ciepły chociaż zbliżał się już październik - prawie tylko: gorący, jak ten, gdy zabrał Maxie na piknik nad rzekę. Ta mała łajdaczka wpadła do wody jaje wydra, zjęła z siebie wszystko, nie zwracając uwagi na Huntera siedzącego tuż poza zasięgiem wzroku i wywołała gorąco, które nie miało nic wspólnego z upałem. Wiedziała, że za nią pójdzie? Czy ta jej mała kąpiel nie była haczykiem zastawionym na frajera?

Frajer dał się złapać na ten haczyk, schwycił go i połknął. A teraz Maxie szarpała nim jego

wnętrznosci i prawdopodobnie radowała się każdą chwilą.

Przeklęta mała kretynka! Jej bracia poprowadzą ją stromą ścieżką prosto do piekła - jeżeli rzeczywiście do nich pojechała. Ale gdzie indziej mogłaby pójść? Ci dzicy' bracia byli wszystkim, co Maxie pozostało. Wieść niesła, że Harrison Max well skrył się w Meksyku, pozostawiając dzieci własnemu losowi. To nie był kraj dla samotnej kobiety, nawet dla takiej twardej małej łobuzicy, jak Maxie. Wmawiał sobie, że go to nie obchodziło. Niech ją diabli wezmą. Może za jakiś czas naprawdę przestanie go to interesować.

Gdy dotarli do Agua Lindy, rancho wyglądało tak samo jak każdego innego dnia. Ale dla Huntera miejsce to ziało pustką. Od kiedy przyprowadził tu Maxie, nieświadomie za każdym razem dążył do tego, by ją zobaczyć. Teraz, przez to, że Maxie odeszła, rancho wydawało się pozbawione życia, mimo, że tylu ludzi i tak wiele świń i koni poruszało się pomiędzy budynkami.

Pete przywitał ich w bramie wjazdowej: - Widzę, że przyjechałeś. Skinął na ciemnoskórego chłopca siedzącego w cieniu muru i polecił mu zająć się wozem i końmi. - Czy masz jakiś pomysł, gdzie mogła się skierować twoja mała uciekinierka?

Hunter właśnie miał zamiar sprostować, że Maxie nie była "jego" uciekinierką, ale zmienił zdanie, widząc oskarżycielski wyraz twarzy Pete'a. Zdawał sobie sprawę, że ta mała dzika kocica w pewnym sensie należała do niego. W końcu to on ją przyprowadził na rancho.

- Mogła wyruszyć w każdym kierunku, jeżeli pojechała szukać braci, Pete. Oni mogą być wszędzie pomiędzy Santa Fe i Mexico City.

- Ona nie szuka swoich braci. Założę się, że jeden z tych chłopców przyszedł i ją zabrał.

Hunter wpatrywał się w niego z niedowierzaniem:

- Uważasz, że jeden z Maxwellów wjechał do Agua Lindy swobodnie jak wiaterek, pomógł jej osiodłać konia, a potem po prostu sobie odjechali?

Pete westchnął:

- Taak. Wydaje mi się, że jeden ze strażników bardziej był zajęty wczorajszej nocy ucinaniem sobie drzemki, niż wypatrywaniem Apaczów czy bandytów. Z tego, co mogę wywnioskować obserwując ślady, odjechały dwa konie.

- Może wzięła zapasowego.

- Na obu koniach ktoś siedział. Można to wyczytać ze śladów. A tylko jednego konia brakuje w zagrodzie - tej gniadej klaczy, którą Maxie tak lubiła. To małe półdiabły zostawiło mi trzydzieści dolarów za tego konia. Wierzysz w to? Przypuszczałbyś, że ma jakieś pieniądze?

- Prawdopodobnie wyciągnęła je od brata. To wymagało odwagi, muszę przyznać, żeby Maxwell tak sobie wjechał do Agua Lindy! Pewnie chętnie byś go powiesił, gdyby tylko udało się go złapać.

- Masz rację. Przeklęte Maxwellowskie szumowiny.

- Maxie też nazywa się Maxwell, a przez parę ostatnich tygodni traktowałeś ją jak własną córkę. Maxie jest koniem o innej sierści. Z Maxwellami łączy ją jedynie nazwisko.

Hunter zaśmiał się gorzko:

- Tu się mylisz, Pete. Pete rzucił mu spojrzenie pełne wyrzutu.

- Wejdźmy do środka i porozmawiajmy, chłopcze. Hunter szedł za Pete'em i Mediną przez frontowy hall. Zazwyczaj słychać było tam paplaninę Marii i Cataliny, albo narzekania Elsy. Ale tego dnia w każdym pokoju panowała ciężka cisza. Catalina wyszła z jadalni z naręczem płótna. Rzuciła Aaronowi wrogie spojrzenie i bez słowa pomaszerowała w kierunku sypialni.

Medina wyjaśniła mu to zachowanie dziewczyny.

- Każdy myśli, że powiedziałaś Maxie coś, co zmusiło ją do odejścia, Aaronie. Nie sądzę, żebyś teraz był tutaj zbyt popularny.

- Bzdury! Nie powiedziałem jej, żeby odeszła!

- A może jednak tak?

Aaron nie pamiętał zbyt dokładnie tego, co mówił tamtej nocy. Gdy usiedli w salonie, w drzwiach pojawiła się Elsa. Miała zmartwioną twarz.

- Dona Medina, nie widziała pani Mary?

- Nie Elso, nie widziałam.

- Miała dziś rano szorować balię, ale nie byłam w stanie jej znaleźć. Pani nie przypuszcza, że

mogłaby pójść za małą Maxie? - niemiecka kucharka spojrzała z dziwnym grymasem na Huntera, podczas gdy zwracała się z tym pytaniem do Mediny.

- Była bardzo zmartwiona, gdy przyniosła mi dziś w nocy tę wiadomość od Alety. Ale jestem pewna, że jest na tyle rozsądna, by jej nie gonić.

Hunter skrzywił się:

- Ja myślałem, że Maxie także ma więcej rozumu.

Elsa zabiłaby go wzrokiem, gdyby mogła. Po chwili znowu zwróciła się do Mediny.

- Jeżeli ją pani zobaczy, proszę jej powiedzieć, żeby do mnie przyszła. Nie może płakać przez cały czas, zanim ~zeryf nie przywiezie Maxie z powrotem.

Medina podniosła się i ruszyła za Elszą.

- Może jednak poszukam dzieciaka. Zostawię was, żebyście mogli sobie spokojnie porozmawiać.

Hunter wstał z krzesła i podszedł do okna:

- Pete, przepraszam, że was w to wszystko wpakowałem. Przepraszam, że przyprowadziłem tu Maxie. Nie mogę uwierzyć, że całe ranczo jest tak poruszone tym, że jedna mała dziewczyna postanowiła wrócić do domu.

- Polubiliśmy tę dziewczynę - powiedział Pete - Nawet większość robotników martwi się tym, że odeszła, pomimo, że ogrywała ich w pokera przynajmniej raz w tygodniu.

Hunter westchnął i ponownie usiadł:

- Cóż, ona jest dorosłą kobietą. Myślę, że może podejmować samodzielnie decyzje.

- Nie mówiłeś tego, gdy ją przywiozłeś tutaj po raz pierwszy.

- Taak. No cóż, to był błąd. Pete tylko popatrzył na niego.

- Aaron, chłopcze, chcę wiedzieć, co zaszło między tobą i tą dziewczyną - uniósł rękę, by powstrzymać sprzeciw Huntera. - Wiem, że uważasz, że to nie mój przeklęty interes, ale ja sędzę, że jednak także i mój. Oddałeś Maxie pod moją opiekę, a teraz ona odeszła. Chcę wiedzieć dlaczego.

- Bo nazywa się Maxwell, tak przypuszczam.

- Chcesz przy tym pozostać?

Hunter westchnął i schował twarz w dłoniach. Zegar w hallu tykał długie milczące sekundy, zanim Aaron ponownie spojrzał na Pete'a.

- Maxie włożyła na party pierścionek ... - zaczął w końcu. Opowiedział Pete'owi o tym, czego się dowiedział i, o ile był w stanie sobie przypomnieć, co oni obydwój sobie powiedzieli, a raczej wykrzyczeli tamtej nocy.

- Uważasz więc, że należy oskarżyć Maxie za to, że Julię zabrano wtedy z pociągu?

- Nie. Niezupełnie.

- No to jej winą jest to, że urodziła się w rodzinie Maxwellów?

Hunter tylko spojrzał na niego.

- Myślę, że mógłbyś zakończyć to, zabijając tych chłopców Maxwella - powiedział Pete. -

Prawdopodobnie tego właśnie im potrzeba. Ale nie jestem w stanie zrozumieć, jaki ma to wszystko związek z Maxie.. Ona nie może teraz lubić tych skunksów \_ bez względu na to, czy to są jej bracia, czy nie. Powzdychałaby trochę, gdybyś się za nimi wybrał. Może usłyszałbyś parę ostrych słów, gdybyś ich zastrzelił. Ale przypuszczam, że by ci to wybaczyła.

Hunter pokiwał przecząco głową. Wybaczenie ze strony Maxie nie było częścią jego planu.

- I pamiętaj - kontynuował Pete łagodnie.

- Blackjack Maxwell nie jest jedynym człowiekiem, jakiego znam, który odjechał z kobietą nie należącą do niego i zabrał ją tam, gdzie ona nie chciała być.

Hunter gapił się na niego z niedowierzaniem.

- Masz na myśli Maxie?

Pete uśmiechnął się.

- Ja jej nie porwałem! Ja uratowałem tę małą, przeklętą kocicę! I nie zmuszałbym jej do niczego, zanim prawie się nie zabiła próbując uciekać!

- Naprawdę? - zapytał Pete.

Hunter maszerował w stronę zagród nieomal gotując się z gniewu. Pete Kelley musiał chyba wziąć rozbrat ze swoim rozumem. Jeżeli tak piekielnie lubił tę dziewczynę, to może niech jedzie wydostawać ją, gdziekolwiek by się nie schowała. Maxie wystarczająco jasno napisała, że chce, by zostawiono ją w spokoju. Dobrze. Zostawi ją w spokoju. Nie obchodziło go, co ona zrobi ze swoim życiem, o ile będzie się trzymała z dala od mego.

Blackjack, no cóż, to była inna historia. Szedł on prosto do piekła, a Hunter miał zamiar mu tę drogę skrócić. A jeżeli Maxie znajdzie się w pobliżu swego sukinyńskiego brata, niech ją Bóg strzeże, jeżeli wejdzie Hunterowi w drogę.

- Niech to wszystko szlag trafi! - przeklinał, uderzając pięścią o żerdź ogradzającą corral. Ta mała skunksica miała czelność powołać się na jego "dług", w tej notce, którą mu Pete pokazał. Tak jakby był jej dłużny życie Blackjacka! I ta groźba - jeżeli chce zachować cało swą skórę ... Maxie Kaktus powinna stracić trochę kolców, niech to szlag! Jeżeli zobaczy ją znowu, to... Gównu! Co zrobi? Czy Pete miał rację? A może ona rzeczywiście była niewinna, osaczona z jednej strony przez piekło, a z drugiej przez diabła?

Zakurzony mrok stajni nie był w stanie ochłodzić podniecenia Huntera. Nagle uwagę szeryfa przyciągnął szelest słomy.

- Kto tam jest - zapytał, wyciągając broń. Milczenie. Potem stłumione kichnięcie.

- Wyłaż - polecił. - Pokaż się.

Bez wątpienia intruz był włóczęgą, który spędził noc w stajni Kelleya. Ostatnimi czasy różnego rodzaju męty prześlizgiwały się przez strażę Pete'a.

Ale twarz, która wyłoniła się z cienia nie należała do włóczęgi. Hunter uniósł pistolet i westchnął.

- Mary, co ... do diaska ... co ty tu robisz?

Mary ponownie kichnęła i otarła nos rękawem.

Usiadła na słomie, a Aaron przykucnął obok niej, tak, że jego twarz znalazła się na poziomie jej buzi.

- Co ty tu robisz, mała? Elsa i Medina szukają ciebie i wydaje się, że wszyscy się martwią.

Wyciągnął rękę i dotknął brudnego śladu łez, spływających po jej policzku.

- Chodź, kochanie. Chodź I ze mną do domu. Pomógł jej wstać i wyciągnął z jej włosów kilka źdźbeł słomy.

- Chodź już, Mary.

Dziewczynka potrząsnęła gwałtownie głową, schwyciła go za rękaw i otworzyła usta.

- W porządku, Mary. Nikt nie ma zamiaru cię karać. Wszyscy teraz martwią się ... martwią się Maxie.

Oczy Mary otworzyły się szeroko. Mała zaczęła gwałtownie chwytać powietrze i wciąż nie puszczała rękawa Huntera.

- Mary! Czy wszystko w porządku?

Dziewczynka złożyła razem wargi, wciągnęła głęboki oddech i powiedziała:

- Mmmaxieeee!

Przez parę sekund Hunter stał jak oniemiały. Potem szepnął, prawie bojąc się odezwać głośniej.

- Mary! Mówiłaś! Niech to! Mówiłaś!

- Maxie? - jej głos był już pewniejszy przy drugiej próbie.

Hunter ukląkł przy niej i objął dłońmi jej szczupłe ramiona. Prawie nie czuł jej w rękach.

- Co chcesz powiedzieć o Maxie, kochanie?

- Ona ... odeszła.

- Tak. Ja wiem.

Jeszcze więcej łez potoczyło się po policzkach Mary.

- Dla ... dlaczego ona poszła? - dziewczynka jęknęła. - Ona mówiła mi, że jej tu dobrze.

Słowa popłynęły jak woda, która przerywa pękniętą tamę. Mary wychlipywała, że Maxie nie mogła chcieć odejść, bo powiedziała jej kiedyś, że nie może wyjść za Choto, bo kocha innego mężczyznę, który nazywa się Hunter.

- A kto to jest Choto? - zapytał Hunter.



- To naprawdę dobrze wyglądający Indianin - powiedziała mu Mary. - Ja nie wierzyłam Maxie, gdy ona mówiła, że wyglądasz jeszcze lepiej, dopóki cię nie zobaczyłam.  
Hunter westchnął. Jak mógł wytłumaczyć temu dziecku, że miłość nie jest czymś niezmiennym.  
- Maxie nie kocha mnie już, Mary. Ona chciała odejść. Powinniśmy jej pozwolić zdecydować o sobie.  
Oczy Mary stały się wręcz dzikie.  
- Nie! Przyrowadź ją z powrotem!  
- Mary ...  
- Przyrowadź ją z powrotem! Ona poszła ze złym człowiekiem!  
- Ten człowiek, to jej brat, Mary. On nie ...  
- On ją sprzeda. Tak jak sprzedał mnie! Indianom! On ją sprzeda ... !  
- Zaczekaj chwilkę - Hunter delikatnie położył jej dłoń na ustach, by powstrzymać nadciągającą histerię. - Uspokój się. Kto cię sprzedał?  
- Ten mężczyzna. I dwóch innych. Zabili moją mamę i tatę, i małą siostrzyczkę, potem zabrali mnie i sprzedali Indianom.

### **Rozdział 18**

Maxie była poprzednio tylko raz w Tucson. Nie podobało jej się wtedy to miasto, a minione lata nie przyniosły w nim większych zmian na korzyść.

Maxie miała wówczas dwanaście lat. Było' to tuż po opuszczeniu Tucson' przez konfederatów i ogłoszeniu Arizony częścią Stanów Zjednoczonych przez generała zwycięskich Jankesów, Carletona. Bary i domy publiczne Tucson były w tym czasie lepsze od czegokolwiek innego, co miasto mogło zaoferować, nie było to jednak wiele, biorąc pod uwagę warunki, w jakich przychodziło ludziom żyć na terytorium Arizony. Pomimo wszystko panowie Maxwellowie potrafili się wtedy nieźle zabawić. Nawet Brudnemu Jimowi pozwalano brać udział w tych piekielnych przejażdżkach, podczas, gdy Maxie zostawiano w pokoiku nad saloonem, gdzie przez trzy dni zabawiała się grą w pokera z prostytutkami.

Tucson nie rozrosło się specjalnie od tego czasu.

Większość ludzi - Meksykanów czy Amerykanów nie podróżowała tu zbyt często. Gdy oddziały federalne odeszły z tych terenów, by dołączyć do walczących na wschodzie, powrócili Apacze, siejąc terror. Na północ od granicy meksykańskiej tylko Tucson, Tubac i ranczo Pete'a Kelleya były jedynymi oazami bezpieczeństwa w oceanie rozlanej krwi. Wszystkie małe górnicze miasteczka, rancza i kopalnie zostały albo zniszczone, albo opuszczone, a włączenie się po tutejszych drogach było wręcz domaganiem się brutalnej śmierci.

Jej tata zupełnie się tym nie przejmował, przyponmiała sobie Maxie. Twierdził, że Maxwellowie byli twardsi od jakiegokolwiek Apacza. Dzięki jakiemuś cudowi, jeździli w tych czasach rzeczywiście tam, gdzie chcieli i Indianie nigdy im w tym nie przeszkodzili. Może tata miał rację, myślała Maxie. Może chłopcy Maxwellów byli naprawdę lepsi od Apaczów. Miała już doświadczenie zarówno z jednymi jak i drugimi i, biorąc wszystko pod uwagę, uważała, że jej bracia przewyższali Apaczów jeżeli chodzi o paskudne zwyczaje i stosowanie bezsensownej przemocy.

Teraz, siedząc samotnie przy stoliku najgłośniejszego w Tucson saloonu i domu gry, obserwowała błazeństwa braci w ten sam sposób, w jaki mogłaby się przyglądać rozróbom świniaków w chlewach Agua Lindy. Blackjack był kompletnie pijany; Brudny Jim przy sąsiednim stoliku czynił lubieżne i bardzo głośne propozycje serwującej drinki dziewczynie, a Tom, grając w karty, przechwalał się głośno swoimi bohaterскими czynami.

Maxie oparła łokcie na stole i wpatrywała się w bursztynową głębię ledwo tkniętego piwa. Było ono rozcieńczone wodą, słabe i smakowało, jakby żujący tytoń barman splunął w nie kilka razy przed podaniem. Pomieszczenie śmierdziało zastarzałym piwem, dymem, słodkimi perfumami i potem. W powietrzu dodatkowo unosił się taki mdły zapach, jakby ktoś w tylnym pomieszczeniu zarznął stado bydła i na długi czas zostawił mięso na słońcu. Maxie pomyślała, że zapach ten najprawdopodobniej dociera z kuchni i postanowiła nie zamawiać nic do jedzenia.

Jej życie wyraźnie zaczynało się staczać w dół. Jeszcze tydzień temu czuła się lekka jak ptak, rozpostarte na wietrze skrzydła wznosiły ją wyżej i wyżej. Miała dobrych przyjaciół - Pete'a i Medinę, Cynthię i jej rodziców, Elbę, Mary, Simona. Była na dobrej drodze do stania się szanowaną damą, a, co najważniejsze, miała miłość Aarona Huntera.

A teraz gdzie była? W śmierdzącym saloonie, obserwując braci, cuchnących, spoconych i zachowujących się jak tarzające się w gównie świnie.

Dlaczego widziała teraz ich inaczej niż kilka miesięcy temu? Czy oni się zmienili, od kiedy tata ich zostawił? Czy stali się bardziej dzicy, wulgarni, więcej pijący i lekkomyślni? A może to ona się tak zmieniła? Być może, pomyślała smutno Maxie, nastąpiło i jedno, i drugie. Bracia, których kiedyś tak kochała, wyglądali teraz na prymitywne, zadzierające nosa, przerośnięte dzieciaki, które potrzebowały solidnej chłosty. Blackjack nie był bohaterem; był jedynie wyrośniętym fanfaronem, kierującym się w zachowaniu jedynie własną dzikością. A Tom, którego uważała zawsze za tak lojalnego, był zbyt głupi, by robić cokolwiek innego poza naśladowaniem Blackjacksa, w jakiegokolwiek kłopoty ten by się nie pakował.

Ale tym, kto przyprawiał ją o największe zmieszanie był Brudny Jim - jej brat bliźniak. Spędzili dzieciństwo marząc o tym samym. Często walczyli pomiędzy sobą, ale każdą sprzeczkę kończyli jak przyjaciele. Zawsze myśleli podobnie, tak jak i podobnie wyglądali. Czarne włosy Jima, jego niebieskie oczy i uśmiech, były takie same jak u Maxie. W ciągu ostatnich trzech dni, od kiedy Maxie przy pomocy Blackjacksa wylądowała z powrotem na łonie rodziny, Brudny Jim wydawał się jej kimś zupełnie obcym.

Jeździł jak dziki, mówił niewiele i pił za dużo. Każdy jego ruch, każde słowo wydawało się drzeć od ledwie wstrzymywanej agresji. Maxie miała nadzieję, że nie znajdzie się w pobliżu, gdy brat przestanie się hamować. Nie miała ochoty zobaczyć, co wtedy nastąpi.

Upał i dym spowodowały, że jej piwo zaczęło wyglądać nieomal zapraszająco. Maxie westchnęła i pociągnęła łyk. Prawie się zadławiła. Piwo było tak samo wstrętne, jak przed dziesięcioma minutami.

- Myślałam, że jesteś za mądra, żeby pić taką truciznę jak to!

Maxie odwróciła się. Ujrzała znajomą twarz i znajomy uśmiech.

- Hilda! - wybełkotała.

- We własnej osobie, kochanie. Jack mówił, że być może niedługo cię tu przywiezie.

- Cieszę się, że cię widzę, mała.

- Ja też się cieszę. Panie! Ile ja mam ci do opowiedzenia!

- Wyglądasz na zmartwioną, Max?

- Może po prostu nie mam ochoty tu siedzieć patrzeć, jak moi bracia robią z siebie osły.

- Kochanie, nigdy tak wcześniej nie gadałaś, a oni przecież tacy byli zawsze. *Może z wyjątkiem Jima.* Kiedyś myślałam, że ten chłopak ma klasę, ale wydaje się, że się myliłam - rzuciła Maxie porozumiewawcze spojrzenie. - Poza tym nie sędzę, żeby to było twoje zmartwienie. Masz mężczyznę w oczach, kochanie. Czyżby nasza Max troszkę dojrzała?

Maxie odburknęła:

- Nie ma mężczyzny ani w moich oczach, ani w głowie.

- Jesteś przekłętą kłamczuchą, Max. Jest tam, tak wyraźny, jak tylko może być dla takiej starej fachury jak Hilda. No chodź. Opowiedz mi o tym.

- To nie jezd ... nie jest... - gówno! Tam nie ma żadnego mężczyzny, Hildo!

- Nie oszukasz mnie, mała. Mam tylko nadzieję, że to nie jest ten dobrze wyglądający sukinsyn, który rozwalił nasze Stronghold. Nie mówię tak, żebym lubiła tę szczurzą norę, albo mieszkające w niej Szczury, rozumiesz. Ale twoi bracia nie są zadowoleni, że on im narobił tylu kłopotów.

- Moi bracia - roześmiała się Maxie, patrząc na Toma, który przy sąsiednim stoliku rozdawał karty trzem innym pokerzystom - nie zajmują się niczym innym jak piciem i wyw'olywaniem awantur. To wszystko, co robią, od kiedy znów jesteśmy razem.

Rilda wzruszyła ramionami.

- Cóż, to mężczyźni. Czemu od nich oczekujesz?

Są dobrzy tylko do jednego, a w dodatku większości z nich nawet i to niespecjalnie się udaje.

Maxie uśmiechnęła się: - Rilda, ty się nie zmieniałaś, nic a nic.

- Jeżeli chcesz tego twojego mężczyzny, to jedź do niego. Nie pozwól swoim braciom wciągnąć się do kicia. Bo oni tam właśnie zmierzają, kochanie.

\_ Nie martw się o mnie, Rildo, ja potrafię ...

- Co ty do diabła robisz, Simmons? Myślisz, że ja się wczoraj urodziłem, człowieku?

Maxie aż podskoczyła, przestraszona pijackim głosem Toma.

- Myślisz, że możesz oszukiwać Toma Maxwella i, że ci się to uda? - bełkotał Tom.

W saloonie zapadła cisza. Wszystkie głowy odwróciły się w stronę kłócących się, oczy patrzących błyszczały w oczekiwaniu rozrywki mogącej ożywić nudny dzień.

- Ja nie oszukiwałem i ty wiesz o tym, ty wielki, głupi kojocie. Ty po prostu nie możesz ścierpieć widoku większego szmalu zagarniętego przez kogokolwiek innego poza tobą. Przestań skrzeczeć i siadaj.

Maxie miała nadzieję, że Tom zrobi, co mu Simmons polecił. Była na tyle dobra w kartach, by zorientować się, że to właśnie Tom oszukiwał. Prawdopodobnie' Simmons oszukiwał także, ale dzięki temu gra była znowu *fair*.

- Nazywasz mnie kłamcą? - Tom zwięził oczy, ale udało mu się jedynie wyglądać na bardziej pijanego. - Nazwę cię jeszcze gorzej, jeżeli nie usiądziesz i nie zaczniesz znowu grać. Rozdaj karty Angelo i gramy następną partię.

- Do diabła, jeżeli zagramy!

Tom sięgnął przez stół, złapał Simmonsa za kark i rzucił nim o podłogę. Wszyscy w saloonie, nie wyłączając barmana, usadowili się tak, by lepiej widzieć walkę. Maxie nie martwiła się. Znała Toma wystarczająco dobrze, by wiedzieć, co się stanie. Jeżeli będzie miał dużo szczęścia i szybko pokona swego oponenta, przez trzy dni wszyscy będą musieli słuchać, jaki to z niego mistrz. Jeżeli przegra, co było bardziej niż prawdopodobne, znajdzie tysiące wymówek, wyjaśniających, dlaczego walka nie szła po jego myśli. Oczywiście gdy przegra, Simmons będzie mógł go zastrzelić, po prostu dla zasady. Nikt nie lubi, żeby go nazywać oszustem, nawet jeżeli to prawda.

- Tom da się chyba w tych dniach zastrzelić - Hilda powtórzyła na głos myśli Maxie. - Z czystej głupoty.

Nie tego dnia jednak. Blackjack ruszył bratu na ratunek i dołączył do walki. We dwóch Maxwellowie zrobili z biednego Simmonsa krwawą miazgę. Brudny Jim pozostał przy stole ze swoją dziwką, przyglądając się szamotaninie z wyrazem cynicznego obrzydzenia. Maxie odwróciła się, czując ból w sercu.

Hilda spojrzała na Maxie współczującymi oczami. - Twój chłopak będzie miał szczęście, jeżeli wyjdzie z tego tak łatwo - powiedziała łagodnie.

Maxie zapomniała zaprotestować przeciwko posądzeniu o posiadanie chłopaka.

- Co masz na myśli? - zapytała.

Usiadły znowu, gdy Simmonsa wyniesiono na zewnątrz, by go ocucić.

- Pomyślałam sobie, że może rzeczywiście ty w tym tkwisz. Jack powiedział mi, że stałaś się prawdziwym cukiereczkiem i przyciągasz muchę prosto pod packę.

Maxie zacisnęła szczęki. Jej twarz powoli zaczynała oblewać się żarem.

\_ Ale powiedziałam sobie: Hilda, taka słodka mała dziewczyna jak Maxie nie może być przynętą wykorzystywaną do zabijania. Nawet gdy chodzi o Aarona Huntera.

Saloon wydawał się nagle być pełen Huntera. Maxie usłyszała jego imię także w ustach Blackjacksa.

\_ Hunter jest większym frajerem, niż sądziłem \_ mówił Blackjack do siedzącego przy sąsiednim stoliku Jima. Maxie nadstawiła ucha. - Toby powiedział mi, że widziano go wczoraj w Tubac. Założę się, że pójdzie za nami dokładnie tam, gdzie chcemy. - Niektórzy ludzie nigdy się niczego nie nauczą - zachi-

chotał.

\_ Wygląda na to, że ryba chwyciła haczyk - powiedziała z grymasem Hilda. Ona także podsłuchiwała. \_ On miał nie jechać! - wyrzuciła z siebie Maxie, jakby intensywność jej głosu mogła odesłać Huntera tam, gdzie było jego miejsce.

Zostawiła przecież wiadomość, by go ostrzec. Dlaczego jednak ruszył za nią? Nienawidził jej,

skończył z nią, nie chciał jej już nigdy zobaczyć. To jej brat był tym, za kim, bez wątpienia podążał Hunter. Widocznie zdecydował, że jej dobry uczynek sprzed dziesięciu lat nie zobowiązuje go do zaniechania zemsty.

\_ Maxie? - szturchnęła ją Hilda. \_ He? Co mówiłaś?

\_ powiedziała - powtórzyła Hilda - że twoi bracia najprawdopodobniej posła Huntera szybko do piekła. Tak go nafaszerują ółowiem, że nie będzie w stanie iść gdzie indziej, jak tylko w dół.

Maxie omiotła pokój zdesperowanym spojrzeniem:

\_ Muszę się stąd wydostać! Muszę go powstrzymać!

Hilda położyła dłoń na ramieniu Maxie.

\_ Nic teraz nie można zrobić dla tego człowieka, kochanie. Słyszałaś, co powiedział Blackjack.

Hunter chwycił przynętę. Będzie musiał się nieźle pilnować \_ pokiwała głową ze smutną

rezygnacją. - Wszyscy mężczyźni są tacy sami, Max. Myślą tym, co mają między nogami, wiesz?

Wydawałoby się, że taki facet jak Hunter jest za mądry, by wpakować się w tak idiotyczną pułapkę.

- Nie mów tak o Hunterze. On nie jedzie za mną!

Maxie ścisnęła dłońmi skronie, jakby chciała zmusić mózg do szukania rozwiązania tej sytuacji:

\_ Poza tym, nie znasz go. On ... on jest..

Hilda pogłaskała ją pocieszająco po ramieniu.

- Ciężko, co, Max? Naprawdę mi przykro. Taki już jest ten pieprzony świat.

- No cóż - westchnęła Maxie. - Będę musiała mu ratować skórę po raz drugi.

Oczy Hildy zwięzły się - Max, przestań o tym myśleć.

- Czy jest stąd jakieś tylne wyjście? - oczy Maxie zaczęły lśnić dziko, czego Hilda nie widziała od dziesięciu lat.

- Co masz zamiar zrobić?

- Jest?

Hilda ściągnęła wargi z dezaprobatą:

- Przez kuchnię, potem na prawo.

- Dzięki, Hildo - Maxie wyciągnęła rękę i pogłaskała prostytutkę po ramieniu. - Jesteś dobrą przyjaciółką.

- A ty jesteś idiotką - odpowiedziała Hilda.

Patrzyła, jak Maxie wstaje i niedbale przesuwa się w stronę kuchni, potem uniosła kufel i pociągnęła tęgi łyk.

- Czasami - powiedziała sama do siebie - myślę, że kobiety nie są wiele mądrzejsze od mężczyzn.

Maxie wyminęła piec i zatłuszczony stół, i znalazła się w umieszczonej na tyłach kuchni spiżarni. Jak mówiła Hilda, z prawej strony znajdowały się drzwi wychodzące na tylną ulicę. Chwyciła za klamkę.

- Wybierasz się gdzieś?

Maxie odwróciła się przerażona. Blackjack znajdował się za jej plecami.

- Chciałam rozprostować nogi.

- Zrób to w saloanie.

- A dlaczego? Po prostu chcę wyjść na dwór i zaczerpnąć trochę świeżego powietrza - straciła swój talent do łgania. Blackjack mógł ją przejrzeć na przetrzał, pomyślała z bolącym sercem Maxie.

- Zrób tak jak mówię, mała siostrzyczko.

Maxie przyjęła postawę obronną: - Nigdy nie byłeś moim szefem, Blackjack. Robię to, na co mam ochotę. - Odwróciła się z powrotem do drzwi, ale zanim zdążyła złapać klamkę, Blackjack chwycił ją za ramiona i odwrócił do siebie.

- Nie dzisiaj! I nie próbuj mnie uderzyć, Max, bo tak cię stłukę, że lania, które dostawałaś od taty, będą ci się wydawały serdeczną pieszczotą.

Mówiąc to, wepchnął siostrę do saloonu. Ruszyła w kierunku stolika, ale Blackjack ją zawrócił.

- Może powinnaś trochę odpocząć. Na górę!

- Chcę jeszcze jedno piwo - zaprotestowała Maxie. Jeżeli będzie mogła zostać na dole, może uda jej się wykorzystać jakiś inny moment, by uciec i ostrzec Huntera.

- Przyniosę ci. Chodź.

Maxie nie była w stanie wyrwać się bez zrobienia sceny, więc posłusznie pozwoliła zaprowadzić się do dusznego pokoiku nad barem. Był on prawie pusty. Słomiany materac leżał na drewnianej konstrukcji łóżka, nie będącej niczym więcej niż dwoma deskami z surowego drewna z przeplecioną pomiędzy nimi siatką. Przy jednej ze ścian stała toporna serwantka. Tkwiące w niej dzbanek i wiadro były odrapane i brudne.

- Przyślę ci dziewczynę z piwem.

- Dobrze - może będzie mogła użyć kufla w charakterze broni, jeżeli będzie do tego zmuszona. - Tylko co ja mam tu robić, Jack?

- Po prostu odpoczywaj, nic innego. Zachowujesz się, jakby ci upał uderzył do głowy.

- Bałwan! Nie wierzysz mi, rodzonej siostrze!

Blackjack wzruszył ramionami i uśmiechnął się:

- To twarde miasto - powiedział, jakby się tłumacząc.

Słyszała, jak wychodząc, ryglował drzwi.

Okno nie było zamknięte. Ale upadek z tej wysokości na twardą ziemię mógł się zakończyć złamaniem nogi. Nie mogłaby uratować Huntera, gdyby nie była w stanie jeździć.

- Gówno! - zakląła. Bycie damą nawet przez krótki czas zniszczyło ją. Nie umiała już porządnie kłamać, nie potrafiła się wysmyknąć z saloonu, żeby jej nie złapano, a nawet nie znajdowała przyjemności w przeklinaniu, chociaż sytuacja aż się o to prosiła.

Piwa nikt nie przyniósł. Bez wątpienia Blackjack zapomniał o niej w momencie, gdy Wrócił na dół. Zajął się pewnie butelką albo namawiał którąś z panienek na darmową zabawę we dwoje. Blackjack zawsze uważał, że jego wygląd pozwalał mu na korzystanie z usług dziwek, nie dając za nie ani grosza.

Dlaczego kiedykolwiek wierzyła, że jej bracia byli lepsi od innych mętów włóczących się po granicznym kraju? Przez całe życie słuchała ich historii o rozbojach, widziała, jak pysznili się własnym zdeprawowaniem. Mogłaby zaświadczyć, że nie zwracali uwagi na jakiegokolwiek inne życie, poza własnym.

Ale w jakiś sposób zawsze sfukała dla nich usprawiedliwienia, odmawiając przyznania nawet przed sobą samą, jacy naprawdę byli. Życie z cywilizowanymi ludźmi ukazało jej bezsens tych prób samOoszukiwania się. Maxie czuła się wręcz chora na myśl o swej głupocie.

Oczywiście nie ona jedna mogła być oskarżona o taką *bezmyślność*. Aaron Hunter robił, co mógł, by dać się zabić, pomimo tego, że zadała sobie tyle trudu, żeby go ostrzec. Niech diabli wezmą tego człowieka! Dlaczego nie mogła go nienawidzić, chociaż na to zasłużył. Widocznie wciąż kochała tego pełzającego syna węża.

Mniej więcej godzinę później pojawił się Blackjack z piwem.

- Zapomnij o tym - powiedział. - Przepraszam, mała siostrzyczko.

- Mogę teraz wyjść? Nie odpowiedział.

- My wyjeżdżamy, Max. Jak wrócimy, pójdziesz, gdziekolwiek będziesz chciała, dobrze?

- Jedziecie spotkać Huntera?

- To właśnie planowaliśmy. Zresztą, przez cały czas o tym wiedziałaś.

- Nie chcę, żebyś go zabił, Jack.

Blackjack zaśmiał się:

- Pewnie, tylko go troszkę zdraśniemy. Założę się, że się tak wystraszy, że narobi w spodnie.

- Blackjack, ja mówię serio! Jeżeli zranisz Huntera, pożałujesz tego!

- Nie bądź idiotką! - przyjrzał się jej z obrzydzeniem. - Co cię gryzie?

- Nie chcę żadnego zabijania.

Blackjack usiadł na materacu: - Max, ty zawsze byłaś zabawna, jeżeli chodzi o zabijanie. Teraz zrobiłaś kawał świetnej roboty z Hunterem. Ale w twoich oczach, kiedy wyciągnęliśmy cię od tych Indianców, zauważyłem, że podkochujesz się w tym mężczyźnie. To zrozumiałe, jesteś kobietą, Max, no i w ogóle. Zrobiłaś, co ci powiedziałem, i przyciągnęłaś nam tego faceta, ale, wydaje mi się, że złapałaś się na to samo lasso. Nie oskarżam cię, bo, jak powiedziałem, jesteś tylko kobietą.

Ale powiem ci, siostrzyczko, że len Hunter jest człowiekiem, który po prostu musi zginąć.

Maxie odwróciła się i spojrzała przez okno.

- Nigdy nie uważałam cię za mordercę, Blackjack. Wiem, że jesteś porywczy, ale nigdy nie sądziłam, że jesteś zimnokrwistym zabójcą.

- Kim ja jestem, to tak naprawdę nie twój interes, dziecino. Zanim staniesz się całkiem święta i uczciwa, pamiętaj, że mamy tego samego ojca, dziewczyno. Jeżeli jesteśmy zgnili wewnątrz, pamiętaj, że jesteś tak samo zgniła jak każdy z nas.

- Hunter tak samo może zabić cię, jak ty jego - ostrzegła. - On ma w sobie potworną ilość nienawiści do Maxwellów. Czy ty wiedziałeś, że Julia przyjechała na zachód, żeby wyjść za niego?

- Julia? Aa, tak. Nie mogę powiedzieć, żebym wiedział. Ale miło mi to słyszeć.

- On prawie mnie zabił, jak się dowiedział, że to ty ją porwałeś. To za tobą on idzie, Jack. Nie za mną.

- Nieważne, za kim idzie, Max, tak długo, dopóki idzie.

Maxie odwróciła się, by popatrzeć bratu w twarz.

- Zostaw go w spokoju, Jack. Możemy odjechać do Meksyku, jak planowałeś. Zapomnij o Hunterze. On jest częścią przeszłości.

Blackjack chrząknął:

- Jeszcze nie. Ale wkrótce będzie.

Powiedział te słowa kończąc dyskusję, a gdy drzwi zamknęły się za nim, zasuwa opadła z głośnym stuknięciem.

Dziesięć minut później, *gdy* Maxie wciąż rozważała ryzyko skoku przez okno, drzwi otworzyły się z trzaskiem. Do pokoju wparadował Tom, z piwem w jednej i butelką whisky w drugiej ręce.

- Co ty tu robisz?

- Upewniam się, czy nie przyszło ci do głowy wyłamać drzwi, uciec i ostrzec Huntera - powiedział Tom. - Jack powiedział, że kochasz się w tym typie.

- To nieprawda.

\_ Słuchaj, Max. Ja nie jestem zbyt szczęśliwy, że zostawili mnie tutaj, żeby pilnować swojej głupiej siostry, tak więc przestań pyskować. Masz - podał jej piwo. - Przyniosłem ci coś do picia.

\_ Mam już piwo.

\_ Możesz wypić dwa.

\_ Blackjack i Jim pojechali?

\_ Tak. Hunter to trup. Gdybyś nie zachowywała się tak dziwnie, też uczestniczyłbym w tej zabawie \_ rzucił jej zakłopotane spojrzenie. - Ty się chyba nie kochasz w nim tak naprawdę?

\_ Pewnie, że nie.

\_ Tak myślałem. Mówiłem to Jackowi, ale on nie chciał słuchać. Powiedział, że masz zostać w saloonie, dopóki nie wróci. A potem pojedziemy do Mexico City \_ Tom rozpromienił się z dumy.

Nieczęsto udawało mu się poskładać cztery zdania do kupy, tak, żeby miały one jeszcze jakiś sens. Meksyk byłby chyba najlepszym miejscem, do którego mogłaby się udać, pomyślała Maxie. Nie musiałyby pozostawać ze swoimi braćmi - ani z ojcem. Jej dziadek mieszkał gdzieś o kilka dni jazdy na północ od Mexico City. Maxie nie wiedziała jednak na temat ojca swojej matki nic poza nazwiskiem. Poza tym tam może się znaleźć wystarczająco daleko od Huntera, by o nim zapomnieć.

Potem Maxie przypomniała sobie, że nie musi podróżować aż do Meksyku, by znaleźć się daleko od Huntera. Za parę godzin będzie on martwy i znajdzie się najdalej od niej, jak tylko to jest możliwe.

\_ Chodźmy na dół - powiedziała.

Tom nie był szczególnie bystry, ale powierzonej mu roboty czepiał się jak kleszcz psiej skóry.

\_ Ohoho. Jack powiedział, żebyś tu został.

- Powiedział, że mamy zostać w saloonie, ty kurzy mózdzku. Saloon jest na dole.

- Racja - twarz Toma pojaśniała. - Możemy zagrać kilka partyjek pokerka. Nie ma nic lepszego do roboty.

Maxie uśmiechnęła się. Dlaczego wcześniej o tym nie pomyślała?

Pół godziny później udział Toma z ostatniego napadu, jego koń, siodło, srebrna sprzączka do pasa, którą wygrał w pokera sześć lat temu, a nawet buty przeszły na własność Maxie.

- Do diabła, Max, oskubałaś mnie do czysta. Kto cię uczył grać w pokera w taki sposób?

- Ta sama osoba, która uczyła ciebie, Blackjack. Ale' ty po prostu nie masz talentu - powiedziała mu Maxie. - Wygrywałam z tobą, odkąd skończyłam dziesięć lat. Stawiaj.

- Nie mam już nic więcej do postawienia. Chyba, że chcesz moją koszulę i spodnie.

- Nie potrzebuję twoich śmierdzących ciuchów.

Buty może będę mogła sprzedać, ale resztę musiałabym spalić - uśmiechnęła się złośliwie. - Chyba starczy tego, duży braciszku.

- Przestań, Max. Musisz mi dać szansę, żebym mógł się odegrać.

Maxie wzruszyła ramionami:

- A co masz?

- Stawiarn uździenicę.

- Już jest moja. Poszła razem z siodłem, nie pamiętasz?

- Nie. Nie ta - mam inną, nabijaną srebrnymi ćwiekami, dorwałem ją ostatniej wiosny, jak oskubaliśmy starego meksykańskiego ranczera.

- Chcesz ją postawić przeciwko temu wszystkiemu? - wskazała na swoje łupy. - Nie wystarczy. Ale dam ci szansę, bo jesteś moim bratem. Dorzuc pistolet i udział z następnego napadu i będzie równo. Jedna partia wygrywa wszystko:

Tom myślał ciężko, marszcząc brwi z wysiłku.

- Jack mnie zatłucze, jeżeli ci oddam pistolet. Mam cię przecież tutaj pilnować, wiesz.

- Głupek - powiedziała Maxie z łagodnym rozbawieniem. Jej lekki ton kontrastował z nerwowym biciem serca. - Opróżnij go. A potem wrzuc do puli.

Tom patrzył na nią podejrzliwie, a Maxie modliła się, żeby ta chwila nie była jednym z tych rzadkich momentów, kiedy Tomowi udawało się zademonstrować przeblysk inteligencji.

- Albo nie stawiaj - dodała niedbale. - Mnie nie zależy. To, co tu mam, wystarczy mi na jakiś czas.

- Do diabła. Czy komuś może zaszkodzić nie naładowany pistolet?

Dowiedział się tego pięć minut później, gdy Maxie zgarniała wygraną i nagle uderzyła go pistoletem w głowę. Barman i kilku innych bywalców saloonu ledwo rzuciło okiem, gdy Tom zsunął się pod stół, zrzucając przy okazji na drewnianą podłogę whisky i stertę znajdujących się w puli przedmiotów.

- Przykro mi, Tom - tłumaczyła się Maxie, pozbawiając brata pasa z amunicją i przewieszając go przez ramię. Załadowała pistolet, zważyła jego ciężar w ręce i wsunęła go za pas.

Potem zgarnęła pokaźną ilość swoich łupów ze stołu w rozpostartą chustę i zawiązała ją ściśle. Będzie potrzebowała pieniędzy. Jeżeli uratuje skórę Huntera po raz kolejny, znajdzie się na własnym utrzymaniu - bez rodziny i przyjaciół. Mogła z tym żyć, zdecydowała, jeżeli tylko Hunter wyjdzie z tego cało. Wtedy ona będzie mogła wyobrazić sobie, jak on uprawia ziemię na brzegu rzeki, a nawet jak ściga przestępców i utrudnia życie jej braciom. Ale jeżeli nie zdąży na czas ...

## **Rozdział 19**

Gniada klacz, którą Maxie "kupiła" od Pete'a Kelleya, miała wystarczająco dużo siły, by galopować przez' cały dzień, o ile było to konieczne. Ale teraz była spieniona i ciężko dyszała. Maxie jechała wystarczająco szybko, by zamęczyć konia o mniejszej wytrzymałości. Okrążyła miejsce, w którym Blackjack i Jim mieli czekać na Huntera, mając nadzieję na spotkanie Aarona, zanim uczynią to jej bracia. Nie miała żadnego planu, wiedziała jedynie, że jeśli Hunter zginie, siły vitalne opuszczają ją także. Jeżeli Hunter zginie przez jej głupotę ... Nie mogła o tym myśleć, to było zbyt straszne.

Ściągnęła dopiero w Odze na obrzeżu piaszczystego wąwozu. Kilkaset jardów dalej wąwóz przechodził w kanion o poszarpanych brzegach. Uwiązała klacz w gąszczu jałowców i wspięła się po skałach na krawędź kanionu. Trafiła idealnie. Jakiś jeździec zbliżał się w jej kierunku,

stanowiąc małą plamkę na tle szarzielonych, porośniętych mimozami zboczy. Maxie nie miała wątpliwości, że tą plamką- był Hunter. Zostawił w niej jakąś cząstkę samego siebie i to ona budziła się do życia, gdy tylko go widziała.

Maxie wyczekała, aż Hunter znajdzie się mniej więcej sto jardów od jej kryjówki, potem sięgnęła po strzelbę. Bardzo starannie wycelowała i nacisnęła na spust. Ogier Huntera rzucił się gwałtownie, gdy ołowiana kula minęła go i utkwiała w piasku dziesięć stóp za nim. Hunter zeskoczył z siodła i biegł w poszukiwaniu kryjówki, strzelając w biegu z trzymanego w dłoni pistoletu. Kula odbiła się rykoszetem od znajdującego się obok Maxie otoczaka, posyłając w stronę jej twarzy odłamki kamienia.

Maxie przytknęła dłoń do policzka. Był cały pokrwawiony. - Gównno! - zakłęła w głos. Hunter był jedynym człowiekiem jakiego знаła, który był bliski trafienia do celu nawet w biegu. Chybił tym razem o włos, ale w przeciwieństwie do jej nietrafienia, jego nie było zamierzone!

Wystrzeliła ponownie, z dala od celu, ale wystarczająco blisko, by uświadomić tej kreaturze o mulej głowie, że tu o coś chodzi.

- Wylaż stamtąd, Hunter, ty osłe o kurzym mózdzku! Wiesz przekłęcie dobrze, że nikt cię na to party nie zapraszał! - Medina i Cynthia zatrwożyłyby się, słysząc jej język, pomyślała Maxie z poczuciem winy.

- Maxie?

Na dźwięk jego głosu serce Maxie podskoczyło aż do gardła. Musiała sobie usilnie przypominać, że przybyła tu, by tego człowieka odpędzić, a nie, by rzucić mu się w ramiona. Strzeliła ponownie, nawet nie na tyle blisko, by napędzić mu strachu. Ale ten gest złagodził trochę jej frustrację.

- Wracaj, skąd przyszedłeś, Hunter! Jeżeli jedziesz za mną, zapomnij o tym! Jeżeli jedziesz za moimi braćmi, zapomnij o nich także!

- Zejdź na dół, Maxie. Chcę z tobą porozmawiać. Wyszedł zza skały, która dawała mu schronienie, z szeroko rozpostartymi ramionami, odsłaniającymi wystawioną na strzał klatkę piersiową.

- I przestań udawać, że chcesz mnie zastrzelić. Maxie wstała, ze strzelbą w ręce: - Nie myśl, że nie mogłabym tego zrobić, Hunter.

Nawet z odległości mogła zauważyć, jak Aaron uśmiecha się w odpowiedzi. Niech go diabli wezmą! Znał ją zbyt dobrze.

Powoli schodziła w dół wąwozu, czując przez cały czas, jak jakaś siła odciąga ją w przeciwnym kierunku. Nie planowała rozmowy z nim, chciała go tylko odstraszyć. Jakaś jej cząstka śpiewała z radości na myśl, że chociaż na chwilę znajdzie się blisko niego, inna drżała pełna lęku, że im bliżej podejdzie, tym silniejsza będzie jego władza nad nią. Coś ją ciągnęło, a zarazem odpychało od tego mężczyzny. ,

- Bliżej nie podejść, Hunter - uniosła strzelbę i wskazała mu drogę. - Rzuć pistolet tam na piasek, poza zasięg ręki. Będziesz go mógł zabrać z powrotem, jak będziesz odchodził.

Zrobił jak powiedziała: - Ja akurat tak samo chcę cię zastrzelić, jak ty mnie, Maxie.

- No to nie ma żadnego problemu, twój pistolet może sobie leżeć na piasku - odpowiedziała zjadliwie. - Dlaczego za nami jedziesz?

- To wolny kraj. Człowiek może jechać tam, gdzie mu się podoba.

~ Gównno - zakłęła. Jak mogła kiedykolwiek sądzić, że czuje do niego coś innego niż miłość? Mógł jej nienawidzić, obrażać, a ona wciąż będzie go kochać aż do bólu. Bo to bolało. Boże, jak bolało.

- Ty nas śledzisz, Hunter. Jedziesz za nami i wtykasz swój nos tam, gdzie nie powinieneś. Odejdź stąd i zastaw nas w spokoju.

- Nie sądzę, bym mógł cię zostawić w spokoju, Maxie.

No i co do diabła on myślał, mówiąc coś takiego?

- Nie rozumiesz po angielsku, Hunter? Odejdź. Wynoś się. *Adios*. Wsiadaj na konia i jedź tam, gdzie jest twoje miejsce.

- Nie.

- Będę strzelać, niech to szlag.

Uśmiechnął się tylko tym irytującym, wprawiającym w furję, absolutnie niszczycielskim



uśmiechem.

Maxie strzeliła. Kula wbiła się w piach pomiędzy jego butami. Nawet nie drgnął. Strzeliła znowu, jeszcze bliżej niego. Z takim samym rezultatem. Spojrzał tylko na nią. Poczwała, że zaraz się rozplacze. Niech go diabli wezmą!

- Dlaczego tak stoisz! Wsiadaj na konia i odejdz stąd!

- Bez broni?

Z westchnieniem, które było prawie szlochem, Maxie podeszła do miejsca, gdzie wylądował jego pistolet, podniosła go, opróżniła magazynek i rzuciła rozładowaną broń w kierunku Huntera. Złapał ją i wsunął w olstry jednym pewnym ruchem.

- Już masz broń.

Uśmiechnął się i spojrzał na nią wymownie:

- Bez ciebie?

- Piekielnie słusznie, beze mnie.

Ten człowiek był uparty jak muł i miał dokładnie tyle samo rozumu. Jeżeli tylko mu powie, że jej bracia zastawili na niego pułapkę, jego przekłeta męska duma bez wątpienia popchnie go do podjęcia ich wyzwania. Z drugiej strony, jeżeli udciłoby się mu zastrzelić jej braci - no cóż, jacy by nie byli okropni, byli w końcu jedyną rodziną, jaka jej pozostała.

- Wracaj ze mną do Agua Lindy, Maxie. Masz tam przyjaciół, którzy na ciebie czekają - przyjaciół, którzy są chorzy ze zmartwienia z twojego powodu. Mała Mary wypłakuje oczy. Tak bardzo rozpacza, że odeszłaś, że aż udało jej się zacząć mówić. Opowiedziała całą historię na temat waszego pobytu w tym obozie Apaczów.

- Co ja mam zrobić, żebyś odszedł? Strzelić do ciebie?

Hunter stał w miejscu, ignorując wycelowaną w jego kierunku strzelbę:

- Bardzo mi przykro z powodu tego, co ci wtedy powiedziałem. Zaskoczyłaś mnie tym pierścieniem Julii. Powiedziałem wiele idiotycznych rzeczy, choć tak nie myślałem. Udało ci się budować dla siebie lepsze życie, Maxie. Nie pozwól tego zepsuć takiemu gorącogłowemu idiocie, jak ja.

- Jesteś idiotą! - musiała być niegrzeczna, wystarczająco sprytna i okropna, by skłonić go do odejścia. - Myślisz, że chcę z tobą wrócić? - drwiła. - Sądysz, że podobali mi się ci wszyscy zadzierający nosa ludzie na ranczo Kelleyów? Boże, Hunter! Czy naprawdę myślisz, że lubiłam, jak mnie dotykałeś? Za każdym razem chciało mi się rzygać. To była pułapka, a ty dałeś się w nią złapać, jak chłopaczek, który nie wyrósł z krótkich spodenek. Moi bracia chcieli, żebyś poszedł za mną w pułapkę i popatrz, jakim się okazałeś frajerem.

- Taak - zgodził się Hunter uprzejmie. - Jestem frajerem, w porządku. :- Spojrzenie, które jej rzucił, przedarło się przez jej warstwę ochronną. Jego wzrok rozdarł jej serce i sprawił, że jej dusza zaczęła krwawić. Jak bardzo chciała błagać o wybaczenie, krzyczeć, że nigdy nie chce już żyć tym dzikim życiem! Chciała życia z nim. Ale nawet jeżeli on jej naprawdę pragnął, nie mogła z nim pójść. Jej bracia zawsze znajdą sposób, by, jak tym razem, wykorzystać ją przeciwko niemu. Nie miała zamiaru wciągać Huntera w pułapkę, ale to stało się samo przez się - dokładnie tak, jak zaplanował Blackjack.

Hunter zrobił krok w jej kierunku. Małe nasionko paniki zaczęło kiełkować w jej wnętrzościach.

- A więc ty mnie nienawidzisz, Maxie? - zapytał. Zrobił jeszcze jeden krok. I jeszcze jeden.

- Trzymaj się z dala ode mnie, ty sukinsynu!

Uniosła strzelbę. Jej żołądek skręcał się z dziwnego lęku, który w połowie był oczekiwaniem.

- Twój język zszedł do poziomu kompanii, z jaką przestajesz. Sądzę, że twoi bracia nie oczekują wiele jeżeli chodzi o kobiece zachowanie. Nie tak, jak ja - zachichotał.

- Zastrzelisz mnie, Maxie? Naprzód. Naciśnij spust. Ognia.

Stała jak sparaliżowana, gdy szedł w jej kierunku. Strzelba była martwym ciężarem w jej ramionach. Jej oddech stał się urywany, a serce kołatało się jak oszalałe. Sytuacja wymknęła się spod kontroli. Maxie powinna albo strzelić, albo uciec, a nie była zdolna ani do jednego, ani do

drugiego.

Hunter stanął tuż przed nią, tak blisko, że mogła wyczuć ciepło bijące z jego ciała. Wyjął strzelbę z jej odretwiących dłoni.

- Nie potrzebujesz tego - powiedział, rzucając broń na ziemię. - Masz silniejszą broń - dotknął jej policzka, przesunął palec wzdłuż szyi. - Ciekaw jestem, jak bardzo mnie nienawidzisz.

- Nie dotykaj mnie w ten sposób.

Zignorował jej żądanie:

- Dlaczego mnie nie zastrześliłaś, Maxie?

Milczenie.

\_ Dlaczego zadałaś sobie tyle trudu, by ostrzec mnie przed pułapką zastawioną przez twoich braci?

- zapytał spokojnie.

Z tym wciskającym się do gardła sercem, nie była w stanie nic odpowiedzieć.

\_ Może nie nienawidzisz mnie tak bardzo, jak twierdzisz, mała Maxie.

Powoli, jak we śnie, jego usta zbliżyły się do jej ust, ręce otoczyły jej głowę, palce wplątały się w jej włosy. Pocałunek był przemyślnie uwodzicielski. Zostawił ją bez oddechu, ogarniętą płomieniem pożądania.

\_ Mógłbym cię zabrać z powrotem już teraz - szepnął tuż przy jej ustach. - Mógłbym uczynić cię szczęśliwą, czy tego chcesz, czy nie.

Pocałował ją ponownie i poczuła, jak jej wnętrze zamienia się w gorący, słodki miód.

\_ Nie nienawidzisz mnie, kochanie. A gdy cię dotykam, z całą pewnością nie robi ci się niedobrze.

Maxie wygrzebała w sobie ostatnie rezerwy odwagi.

Wyobraziła sobie, jak kula posłana przez jej braci przebija ciało Huntera, jak silne mięśnie przyciśnięte do jej piersi eksplodują krwawymi strzępami. Ta koszmarna wizja mogła się okazać prawdziwa, jeżeli nie uda jej się odepchnąć Huntera od Maxwellów - wszystkich Maxwellów.

Wywinęła się z jego objęć:

- Chcesz wiedzieć, dlaczego cię ostrzegłam, Hunter? Myślisz, że kłamię, mówiąc, że cię nienawidzę? - prychnęła i wytarła usta wierzchem dłoni, jakby chcąc się pozbyć ostatniego śladu po jego pocałunku. - Wy, mężczyźni! Żaden z was nie jest w stanie uwierzyć, że nie wywołuje drżenia w sercu kobiety. Powiem ci, dlaczego cię ostrzegam, ty kawałku ośle gołwa. Zdecydowałam, że nie jesteś wal1 tej kuli, która miałaby cię zabić. Ani ryzyka. Jedziemy do Meksyku, moi bracia i ja. Chcę, żeby jechali tam cało. Zajmowanie się tobą nie jest warte ryzykowaniem ich życia.

- Nie masz zbyt wiele zaufania do ich zdolności.

- To zależy od przeciwnika - odpowiedziała.

- Jesteś lepszy od wielu innych w obchodzeniu się z bronią.

Hunter westchnął i spojrzał w dół. Gdy podniósł głowę, nie wyglądał na tak wściekłego, jak powinien, biorąc pod uwagę to, co przed chwilą usłyszał, pomyślała Maxie. W rzeczywistości wyglądał tak, jakby nie dotarło do niego ani jedno jej słowo.

- Maxie, dziewczyno, naprawdę nie chciałem ci tego mówić. Ale wydaje się, że zmuszasz mnie do wygarnięcia z obu luf.

- Co masz na myśli?

- Myślę, że tak naprawdę nie wiesz, z jakiego typu ludźmi wybierasz się do Meksyku.

- Powiedziałaś ci, że śmierć Julii była ...

- Nie mówię o Julii, Maxie. Mówię o Mary.

- Mary? Co moi bracia mają wspólnego z Mary?

- Mary nie była porwana przez Apaczów. Została im sprzedana przez Harrisona i Blackjacka Maxwellów.

\_ To kłamstwo! - wykrzyknęła zwrot, który powtarzała przez całe życie, gdy ktoś mówił coś złego o Maxwellach. - To przekłete, gówniane, parszywe kłamstwo.

\_ Mary rozpoznała Blackjacka, Maxie. Tak bardzo się bała o ciebie, gdy z *nim* odeszłaś, że udało się jej przełamać milczenie i wszystko mi opowiedziała. Oni napadli na jej ranczo, zabili rodziców i odjechali z nią. Nie pamięta zbyt wiele, ale pamięta Blackjacka i to, że została sprzedana.

\_ Skąd może wiedzieć, kto ją zabrał? Była dzieckiem i jest wariatką. Jak myślisz, dlaczego Indianie nazywali ją "Loco"?

- Ty wiesz, że to prawda.

Fala mdłości podeszła jej do gardła. Rabowanie kopalni i porywanie bydła było jedną sprawą, ale zabijanie niewinnych osadników i sprzedawanie ich dzieci Apaczom było czymś zdecydowanie gorszym. Ta historia musiała być kłamstwem albo pomyłką.

Napotkała spojrzenie Huntera i natychmiast odwróciła oczy. Hunter nie wyglądał na człowieka rozkoszującego się opowiadaniem takiego strasznego kłamstwa. Jego czoło było pofałdowane od zamyślenia, a usta zaciśnięte w wyrazie zmartwienia.

Jej bracia mieli jakieś interesy z bandą Nochesa.

Blackjack przyznał to, gdy wyjeżdżali z obozowiska Apaczów. Noches znał go i powitał w obozie.

A Mary, przypomniała sobie Maxie, była przerażona od momentu, gdy go zabaczyła. Wszystkie detale pasowały do siebie aż za dobrze.

Hunter wykorzystał okazję, by zmniejszyć mały dystans, jaki jej się udało pomiędzy nimi wytworzyć. Wyciągnął rękę i dotknął jej policzka, tym razem nie kusząco, ale łagodnie. Maxie drgnęła, ale coś w jego oczach powstrzymało ją przed cofnięciem się.

\_ Wracaj teraz do domu, Maxie.

- Jestem w domu - odpowiedziała gorzko. Powody, dla których nie mogła z nim jechać, nie zmieniły się. On tylko sprawił, że tak samo niemożliwe było odejście, jak i pozostanie. Chciała coś uderzyć, kopnąć. Hunter byłby najlepszym celem, ale tego nie mogła zrobić. Czuli się sparaliżowani, bezbronna, martwa. - Odejdź stąd - powiedziała.

- Maxie ...

- Odejdź stąd!

Twarz Huntera drgnęła. Gdy Maxie napotkała jego oczy, były one czarnymi kamieniami - twardymi, pustymi, niemożliwymi do odczytania.

- Idę - odwrócił się, poszedł w kierunku konia, nagle się zatrzymał. - Pomyśl o tym, jaki rodzaj ludzi uważasz za rodzinę, Maxie. - Zwrócony był do niej plecami, a jego głos był tak samo pusty, jak przedtem jego oczy. - Ty nie jesteś taka jak oni, dziecino. Absolutnie nie. Przynajmniej na razie.

Maxie nie poruszyła się, gdy dosiadał konia i odjeżdżał. Przez dłuższy czas stała nieruchomo na dnie małego wąwozu, a gdy się wreszcie ruszyła, to tylko po to, by opaść na piasek jak mała kupka nieszczęścia.

Blackjack i Jim spoczywali w cieniu granitowej skały, wpatrując się w rozciągający się pod nimi kanion. Nie był on specjalnie duży, ale stanowił odpowiednie miejsce na pułapkę, w którą powinien wpaść samotny jeździec, mający przejeżdżać pomiędzy jego porośniętymi krzewami ścianami.

- Gdzie on jest, do diabła? - zapytał Blackjack, zwracając się po trosze do siebie, a po trosze do lima, który opierał się plecami o skałę, naciągnawszy kapelusz na oczy. - Co ten sukinsyn robi - zatrzymał się na piknik? Do diabła. Jeżeli wyjechał z Tubac o wschodzie słońca, powinien znaleźć się tutaj godzinę temu.

Jim chrząknął, podniósł kapelusz i ziewnął:

- Może zaspał. Albo znalazł 'sobie jakąś senioritę i zabawił z nią trochę czasu.

- Jego seniorita jest zamknięta w barze w Tucson. - warknął Blackjack. - Dlatego on jedzie tą drogą.

- Gówno. To tylko Maxie. Trudno uwierzyć, że mężczyzna taki jak Hunter wpakuje się w kłopoty dla naszej siostrzyczki.

- Nie ma tu wystarczająco dużo kobiet, by mężczyzna, mógł być kapryśny. Poza tym, nasza mała siostrzyczka wygląda całkiem, całkiem, jak się wystroi. Tu i tam ma dokładnie to, co powinna mieć. Być może zarobi dla nas niezłą kupę szmalu w Meksyku.

- Kto, Max? - szyderczo zapytał Jim. - Nie zostałyby dziwką za całe złoto Meksyku. A jest uparta jak muł. Lepiej zapomnij o tym, jeżeli ci się m~rzy zarabianie na niej pieniędzy.

- Są inne sposoby na oskubywanie tych bogatych seniorów. Zobacz, co Maxie zrobiła z Hunterem. Ten sukinsyn był szachrajem i dezerterem, sprytnym i twardym jak wilk. Patrz na niego teraz, jak węszy za kobietą, nie zwracając uwagi na linę, która właśnie ma mu się zacisnąć dookoła głupiej szyi. Zamieniła go w przeklętn' miazgę.

Blackjack przerwał i uniósł rękę, nakazując ciszę.

- Coś słyszę.

Obydwaj siedzieli cicho. Powoli dźwięk stawał się głośniejszy, wznosząc się ponad hałasy wydawane przez małe zwierzęta i owady. Stukot kopyt, przesuwając się na północ, stopniowo zbliżając się coraz bardziej.

- Jedzie - powiedział Jim ze zdradzającym zdenerwowanie nieznacznym drżeniem w głosie, - Gównu. To nie Hunter. Zły kierunek.

- No to co to za diabeł?

- Niech mnie szlag, jeżeli wiem. Nie wściekaj się na mnie, chłopcze. Trzymaj po prostu broń w pogotowiu i patrz uważnie.

W końcu nadjeżdżający jeździec pojawił się na północnym krańcu kanionu. Nawet z dużego dystansu Jim rozpoznał przysadzistą postać Toma.

- Co on tu do diaska robi? - spytał Blackjack. Szybko się tego dowiedzieli. Pięć minut później Tom zatrzymał spienionego konia i ześlizgnął się na ziemię.

- Jest tu Max? - zapytał, gdy tylko jego stopy dotknęły gruntu.

- Nie, nie ma jej tutaj - odpowiedział Blackjack.

- Ty idioto. Coś ty zrobił? Pozwoliłeś jej wyslizgnąć się pomiędzy palcami?

- Niech to diabli wezmą! Ta mała skunksica wygrała wszystkie moje pieniądze, a potem rąbnęła mnie w łeb moim własnym pistoletem. Myślałem, że chciała po prostu przyłączyć się do zabawy.

Blackjack splunął na piasek i puścił wiązkę przekleństw, które zafascynowały nawet jego braci: - Masz robaki zamiast mózgu, ty głupi sukinsynu. Zostawiam cię, żebyś przypilnował jednej niedojrzałej dziewczyny, a ty pozwalasz jej się wymknąć.

Tom próbował się bronić: - Max jest może mała, ale chytra, jak Indianiec. Poza tym, siostra nie powinna człowieka oszukiwać w kartach i bić go po głowie.

- Wygrała wszystkie twoje pieniądze, tak? - zauważył Jim z uśmiechem. - Prawdopodobnie nawet nie musiała specjalnie oszukiwać, żeby tego dokonać. - Taak - przyznał zawstydzony Tom. -

Mojego konia też. Puściła go wolno, ta mała szelma. Ten tutaj należy do Jeda Bakera z wypożyczalni.

Blackjack nie widział w tym nic zabawnego, nic, co mogłoby usprawiedliwiać uśmiech Jima. - Niech to szlag trafi, Tom. Któregoś dnia oddam twoją głowę staremu Nochesowi, żeby miał na czym wieszać skalpy. Chyba tylko do tego twój łeb się nadaje. Zbieramy się. Możemy spokojnie stąd odejść.

- Co masz na myśli? - zapytał Jim. - Hunter może nadjechać w każdej chwili. Maxie możemy wysledzić kiedy indziej. Nietrudno będzie ją znaleźć.

- Jeżeli o mnie chodzi, to Max może iść do diabła - Blackjack odwiązał wodze swojego konia od krzaka i wskoczył na siodło. - Na pewno ta mała dziwka ostrzegła Huntera. Nieprędko przejedzie on tą drogą.

- Gdzie jedziemy? - zapytał Tom, jak zawsze chętny do wypełniania każdego polecenia Blackjacksa.

- Jedziemy do Motherlode, żeby pokazać Hunterowi, że jest nieco gorszy, niż mu się wydaje. Robota w środku miasta nie jest tym, co lubię, ale niech mi ktoś spróbuje stanąć na drodze - Blackjack uśmiechnął się w sposób, który wywołałby wahanie nawet u grzechotnika. - Mam nastrój na małą akcyjkę, chłopcy. Co na to powiecie?

Maxie siedziała na piasku, wpatrując się w ziemię. Czas mijał - minuty, może godziny - nic jej to nie obchodziło. Determinacja i zapał opuściły ją całkowicie. Nie była w stanie wykrzesać w sobie ochoty do dalszego życia, nie chciało się jej nawet ruszyć. Straszliwe zmęczenie nie pozwalało jej podnieść się z piasku. Była odrętwiała, drżąca i bardziej samotna niż kiedykolwiek w życiu.

W ciągu ostatnich kilku dni straciła zarówno kochanka jak i rodzinę. Wiadomość przekazana przez Huntera przecięła ostatnie więzy łączące ją z ojcem i braćmi. Przez całe życie szukała usprawiedliwień zarówno dla nich, jak i dla samej siebie. Od czasu pojawienia się w Agua Lindzie doświadczyła rzeczy, które wywołały w niej zważenie w dawne ideały. Powoli; ale nieubłaganie, zagnieździła się w jej mózgu świadomość czynionego przez Maxwellów zła. Wciąż jednak szukała dla nich usprawiedliwień. Robiąc to przez lata niemal w nie uwierzyła.

Ale mordowanie osadników i sprzedawanie ich dzieci Indianom przekraczało wszelkie pojęcie. Osadnicy nie mieli złota i srebra, nie mieli nic poza życiem swoim i swoich dzieci. Jej tatuś i bracia - jej dzika rodzina - zabierali im nawet i to.

Przez moment Maxie wydało się, że umrze leżąc na ciepłym piasku. Czowała się popsuta przez tę krew, która przebiegała przez jej żyły. Biegnąca Kobieta opowiedziała jej kiedyś o *di-yin*, który potrafił oczyścić ludzi ze złej krwi. Jak bardzo chciałaby znaleźć tego czarownika z plemienia Apaczów, który mógłby uczynić z niej nowego człowieka - może Kelleya, może Pruitta, albo ... Huntera. Huntera ...

Lzy napłynęły jej do oczu. Maxie oparła głowę o podciągnięte kolana i rozplakała się. Żaden indiański magik nie był w stanie odbudować przyjaźni, którą zaczęła cenić, ani miłości, której nauczyła się pożądać. Świat był tylko taki, jaki był. I to było to. Jej rodzina była potworna. Aaron Hunter i przyjaciele z tamtej strony prawa byli dla niej straceni. Maxie była samotna, i musiała sobie z tym poradzić najlepiej, jak potrafiła.

Podniosła się z piasku, otarła oczy grzbietem dłoni i zaczęła się wspinać na grzbiet wężowozu, do miejsca, gdzie uwiązała konia. Przynajmniej Jake mógłby się przy niej znaleźć. Powinna zahaczyć o Agua Lindę, zabrać psa i spakować kilka osobistych rzeczy, które tam pozostawiła. Na ranCzo będzie się mogła we właściwy sposób pożegnać z tym wszystkim, co prawie stało się jej życiem. Może wtedy poczuje się lepiej.

Dosiadając gniadej klaczy Maxie spojrzała do tyłu, tam, gdzie wąż zamieniał się w kanion. Niech jej bracia kiszą się we własnym, dzikim sosie, czekając na mężczyznę, który nie ma zamiaru nadjechać. Nie będzie im niczego wyjaśniała. Maxie Kaktus nie należy już do Maxwellów.

Zza ściany wążowozu Aaron Hunter przyglądał się z napiętą uwagą, jak Maxie kieruje konia na południe w stronę Agua Lindy. Wciąż tkwiła w nim chęć zabicia Blackjacka, ale po spotkaniu z Maxie najważniejsze stawało się nie wypuszczenie jej poza zasięg wzroku - i spod ochrony. Hunter czuł się rozdwojony: w głębi kanionu znajdował się Blackjack i słodka zemsta; w drugą stronę odjeżdżała z jego życia Maxie, dokładnie tak, jak sobie tego życzył parę godzin wcześniej. Hunter głośno zachnął się. Byłby idiotą, nie zdając sobie sprawy z tego, które z Maxwellów ma dla niego większe znaczenie.

Gdy Maxie zniknęła za wytworzoną przez siebie chmurą kurzu, Hunter popędził konia w tym samym kierunku.

Maxie dotarła do Agua Lindy tuż przed zachodem słońca. Skierowała konia na wierzchołek niewielkiego wzgórza i popatrzyła w dół na rancho. Bydło pasło się spokojnie na trawiastym brzegu zatoczki; świnię chrząkały w swoich zagrodach; konie dreptały w corralu. Słyszała szczekanie jednego z psów pasterskich, nie był to Jake. Na pewno siedzi teraz w .kuchni pod nogami Elsy, mając nadzieję na złapanie jednego czy dwóch spadających ze stołu kasków.

Nic się nie zmieniło - z wyjątkiem muru. Ściana otaczająca dom i podwórze została wreszcie ukończona. Niegdy więcej Apacze nie wpadną przez otwór, tak, jak wczesnym latem, kiedy ona i Medina musiały walczyć o życie z dwoma indiańskimi wojownikami. Obydwie straciłyby tego dnia skalpy, gdyby Medina tak dobrze nie strzelała. Maxie była bardzo zaskoczona, że taka dama jak Medina umie posługiwać się winczesterem. Pamiętała, że bardziej zafascynowała ją zimna krew i pewna ręka La Dony, niż fakt, że obie pozostały przy życiu.

Ostatnie promienie słońca skąpały pustynne trawy i krzewy łagodnym, czerwonym blaskiem. Elsa wyszła poza zabudowania, by rzucić świniom trochę odpadków. Jake deptał jej po piętach. Jeden z robotników uchylił kapelusza na widok przechodzącej kucharki. Dwóch innych szło z szopy w kierunku corralu z przewieszonymi przez ramiona siodłami.

Scena rozgrywająca się poniżej była tak pełna spokoju i godna pożądania, że w gardle Maxie zaczynał narastać bolesny ucisk. Gdy miała dwanaście lat, jej ojciec zabrał rodzinę do Tucson. Maxie przypomniała sobie, jak wpatrywała się w puszkę twardych cukierków stojących na sklepowej ladzie. Tak bardzo chciała dostać jednego cukierka! Pragnienie zamieniło się w fizyczny ból w żołądku, ale cukierek był bardziej odległy niż księżyc. Jej ojciec nie miał zamiaru nic jej kupować. Nie przeszkadzałoby mu, gdyby ukradła pełną garść słodyczy - o ile, naturalnie, nie dałaby się złapać. Sprzedawca był jednak zbyt uważny. Tak więc stała przed sklepem, czując napływającą do ust ślinę i burczenie w żołądku, pragnąc słodyczy i jednocześnie wiedząc, że są one dla niej nieosiągalne.

Spoglądanie w dół na Agua Lindę było prawie tym samym - z jedną tylko różnicą. Cukierki mogła w końcu ukraść, gdyby naprawdę nie mogła się bez nich obejść. Nie mogła natomiast ukraść Agua Lindy, ani życia, jakie się wiodło na ranczo. Spokojne, przyzwoite życie było po prostu nie dla niej. Ona była Maxwelllem i nawet najgorętsze pragnienie nie byłoby w stanie zmienić tego ponurego faktu.

Najlepiej więc będzie, jeśli zbierze swoje rzeczy, powie do widzenia i odejdzie do własnego życia, jakiegokolwiek nie miałyby ono być. Z pełnym rezygnacji westchnieniem Maxie pogoniła konia piętami i zaczęła zjeżdżać ze wzgórza.

Strażnik na murze zobaczył ją pierwszy. Zawołał coś w kierunku zabudowań i w mgnieniu oka przy bramie pojawiła się Medina, Catalina, Mary i Maria. Elsa podniosła wzrok i posłała w kierunku Maxie szeroki uśmiech.

- Powiedziałam im, że wrócisz - odezwała się kucharka, gdy Maxie przejeżdżała obok.

Medina i dwie meksykańskie pokojówki kręciły się dookoła Maxie, zadając jej tysiące pytań, a Mary stała obok cichutko, po jej policzkach spływały łzy. W końcu Medina uciszyła pozostałe kobiety wymownym spojrzeniem. - Musisz być zmęczona - powiedziała, zachowując własne pytania na później. - Właśnie przygotowaliśmy się do kolacji. Możesz iść się trochę umyć. Przypilnuję, żeby ktoś się zajął twoim koniem.

- Nie - Maxie potrząsnęła przecząco głową.

- Ja nie mogę zostać. Przyjechałam, żeby zabrać moje rzeczy i Jake'a, jeżeli pani pozwoli.

Medina zmarszczyła się: - Aleto, kochanie. Popatrz dookoła siebie. Za parę minut będzie kompletnie ciemno. Zostań przynajmniej na tę noc.

- Nie mogę. Naprawdę nie mogę.

Medina przyjrzała się jej uważniej: - Czy to prawo cię ściga?

Maxie pokiwała głową przecząco. Mało prawdopodobne, by jedyny przedstawiciel prawa w tej części Arizony kiedykolwiek próbował ją ścigać.

- Twoi bracia?

- Nie - wymamrotała.

- No to podaj mi rozsądny powód, dla którego nie możesz zostać?

Ponieważ im dłużej tu była, tym bardziej pragnęła pozostać w Agua Lindzie. Ale nie mogła tego powiedzieć Medinie.

- Tak myślałam - powiedziała Medina usatysfakcjonowanym tonem. - Teraz chodź. Wyglądasz tak, jakbyś potrzebowała dobrego posiłku i kąpieli. Potem możesz opowiedzieć nam, co się wydarzyło.

Nagle strażnik na murze krzyknął:

- Jeździec na horyzoncie!

Wszyscy się odwrócili. Nie było widać żadnego jeźdźcy, ale chmura kurzu sygnalizowała, że ktoś rzeczywiście nadciąga. Koń wjeżdżał na wzgórze po dalszej stronie zatoczki, na to samo wzgórze, z którego Maxie obserwowała Agua Lindę, śniąc na jawie. Sylwetka jeźdźcy zarysowała się na tle ciemnopurpurowego nieba. Nawet w nadciągającej ciemności i z takiej odległości Maxie nie mogła się pomylić. Żołądek podjechał jej do gardła.

Medina zmarszczyła brwi:

- Kto to?

- Hunter - wykrztusiła z siebie Maxie.

- Cóż, dobrze - La Dona wydawała się być niezwykle zadowolona. - Catalina, idź ustaw d\ya

dodatkowe nakrycia na stole. Dobrze, że przygotowaliśmy wystarczająco dużo chili, by nakarmić całe ranczo.

- Muszę iść - odezwała się Maxie.

Medina chwyciła jej ramię w żelazny uścisk:

- Aletto, już to przedyskutowaliśmy.

- Pani nic nie rozumie!

- Myślę, że jednak tak - powiedziała Medina z uśmiechem. - Teraz idź się umyć, a potem będziemy mieli szalenie interesującą kolację, jestem tego pewna. Sam, powiedz Hunterowi, żeby się umył i przyszedł jeść. Zaczekamy na niego.

Maxie nie miała wyboru, musiała iść za Medina. Hiszpańska dama była prawie tak niska jak ona, ale jej chwyt przypominał żelazne obcęgi.

Gdy Hunter wszedł do jadalni, stół był już nakryty. Pokój wypełniał wspaniały zapach przygotowanego przez Elbę chili - ulubionego dania Huntera, ale Aaron wydawał się tego nie zauważać.

- Siadaj, Aaronie - zaprosiła go Medina.

- Przyjechałeś w samą porę, by z nami zjeść. I by pożegnać się z Aletą. Ona odchodzi, wiesz?

- To ona tak sądzi - ton jego głosu wywołał uśmiech na twarzy Mediny. Maria i Catalina popatrzyły na siebie i zachichotały. Mary uśmiechnęła się z ulgą.

- Spokojni, dziewczęta - poleciała Medina.

- Wyglądasz Ja zmieszanego, Aaronie. Czy coś się stało?

Hunter poparzył na Maxie oczyma tak ponurymi jak wyraz jego twarzy. Dziewczyna złapała się brzegów krzesła, ściskając je tak silnie, że aż zbiały jej palce.

- Jestem tutaj służbowo - jego słowa były adresowane do Mediny, ale wciąż wpatrywał się w Maxie. - Przyjechałem, by zaarrestować naszą małą przyjaciółkę.

## **Rozdział 20**

- Aresztować mnie? - wykrzyknęła Maxie, unosząc się na krześle. - Za co?

- Próba dokonania morderstwa - powiedział Hunter ponurym, oficjalnym tonem. - Gdybym się postarał, mógłbym prawdopodobnie znaleźć i inne powody.

- On się najadł szaleju! - krzyknęła Maxie, patrząc po wszystkich, oczekując wsparcia. - Nigdy nic takiego nie zrobiłam!

Hunter uniósł w górę swe ciemne brwi: - A kto czekał na mnie w pułapce na południe od Tucson dzisiaj po południu? A może te strzały były po prostu twoim sposobem mówienia dzień dobry? - rzucił jej zagadkowy uśmiech.

- Ty bardzo dobrze wiesz, co to było! - Maxie rąbnęła pięścią w stół tak mocno, że stojące na nim talerze podskoczyły do góry. - Poza tym - powiedziała, zwiężając oczy we wściekłe szpareczki - trafiam w tego, do kogo celuję. Gdybym celowała do ciebie - ty ośle! - byłbyś teraz pożywieniem dla

sępów.

Maria i Catalina chichotały, słuchając słownego pojedynku Maxie i Huntera. Mary otworzyła szeroko oczy, a Medina spoglądała na nich z wyrazem dez. aprobaty. - Powinniśmy chyba kontynuować tę dyskusję nie przy kolacji. Catalina, odnieś chili z powrotem do kuchni i trzymaj ciepłe na ogniu. Maria, zabierz Mary i pomóż Cat.

Dziewczęta wносиły chili i naczynia tak powoli, jak potrafiły, bez wątpienia żałując tak dobrze się zapowiadającego przedstawienia. Zniknęły za drzwiami dopiero, gdy La Dona zmarszczyła gniewnie brwi.

- No, dzieci. Kontynuujcie.

Brwi Huntera zbiegły się pośrodku jego czoła:

- Medina, mógłbym porozmawiać z Maxie sam na sam?

- Nie - odpowiedziała z uśmiechem Hiszpanka.

- Myślę, że nie. Z jej .. wyglądu widać, że potrzebujesz tutaj kogoś dla własnej obrony. Aletto, kochanie, czy naprawdę zastawiłaś pułapkę na naszego szanownego szeryfa?

- Oczywiście, że nie! Cóż ... tak. Ale to nie było ... - zwróciła się do Aarona, jej oczy miały niebieskie błyskawice. - Ty kłamco. Ty ... ty!

- Hej, hej! - ostrzegł ją Hunter - pamiętaj, że jesteś w kulturalnym towarzystwie.

- Medina jest jedyną kulturalną osobą, którą tu widzę, ty pełzający, węzonosy synu skunksa - nie mogła stosować opisów bardziej adekwatnych w obecności La Dony. - Wiesz piekielnie dobrze, że nie próbowałam cię zabić, a jedy nie ocalić twoją przegniłą, bezwartościową skórę. Dlaczego to robisz?

Hunter uśmiechnął się niewinnie, zupełnie jakby nie zachowywał się jak najnikczemniejszy łajdak.

- Zdecydowałem, że więzienie będzie dla ciebie najprawdopodobniej najlepszym miejscem w tym momencie.

- Nie zbudowano jeszcze więzienia, z którego nie potrafiłabym się wydostać.

- Moje chyba jednak spełni swoje zadanie - odpowiedział łagodnie. - Medino, czy masz jakiś pokój z mocną zasuwą w drzwiach?

Brwi Mediny uniosły się niepewnie:

- Aaron, czy ty wiesz, co robisz?

- Zaufaj mi.

La Dona popatrzyła na kipiącą gniewem Maxie, potem znowu na Huntera.

- Każę jednemu z chłopców założyć zasuwę na drzwiach do pokoju AJety. To ten za kuchnią. Nada się? - Bardzo dobrze. Dziękuję.

Maxie nie wierzyła własnym uszom. Myślała, że Medina była jej przyjaciółką. Całe to zajście było jedynym wielkim koszmarem. Wydawało się jej wręcz, że w każdej chwili może się obudzić i stwierdzić, że wszystkie te letnie przygody były jedynie straszliwym snem.

- Chodźmy, Maxie - powiedział Hunter głosem, który Maxie wydawał się niewiarygodnie radosny.

- Idziesz do więzienia.

Maxie siedziała na łóżku i dumiała. Drzwi do jej pokoju były starannie zaryglowane, a okno wychodzące na stronę podwórza było zbyt wąskie nawet dla tak smukłej osóбки. Gdyby miała wystarczająco dużo czasu, obmyśliłaby sposób ucieczki, ale przed nią była tylko jedna noc. Potem Hunter zaciągnie ją do prawdziwego więzienia.

Siedziała wciąż na łóżku, próbując się skupić, gdy nagle ktoś zastukał do drzwi. Piekło i przekleństwo! Kto miał odwagę jej teraz przeszkadzać? Niebo za oknem było czarne jak sadza już od paru godzin. Dochodziła północ.

- Zjeżdżaj! - warknęła.

- Maxie, mogę wejść?

Usłyszała głos Huntera. Maxie nie mogła go nie podziwiać odwagę. Nie za rozum, ale za odwagę.

- Odwal się, ty pełzający sukinsynu. Jeżeli wejdiesz, wydrapię ci te przeklęte oczy.

Zasuwa szcęknęła przy otwieraniu. Hunter otworzył drzwi i wszedł do środka, nie wyglądając na specjalnie przerażonego pogróżką. Widok szerokich ramion Huntera i głęboki timbre jego głosu wywołały u Maxie przenikliwy dreszcz nawet po tym wszystkim, co się wydarzyło.

\_ Możesz wyjść, Hunter. Nie mam zamiaru z tobą rozmawiać. Masz szczęście, że nie wyrwałam ci z gęby tego kłamliwego jęzora.

\_ Wydrapać mi oczy? Wyrwać mi język? Maxie, ty się wcale nie ucywilizowałaś? - Aaron usadowił się wygodnie na łóżku, opierając się plecami o ścianę i wyciągając do przodu długie nogi.

\_ Cywilizowane damy nie siedzą w więzieniu - zadrwiła.

- O tym właśnie chciałbym porozmawiać.

\_ Cóż, ja nie chcę rozmawiać. Nie mam ochoty patrzeć na twoją wredną gębę, ani słuchać twoich kłamstw. Jestem na ciebie tak wściekła, że najchętniej bym cię opluła.

Uśmiechnął się:

- Wiem. Ale ciągle mnie kochasz. Zaskoczona Maxie otworzyła szeroko usta, potem je zamknęła z gniewnym sapnięciem. - Nie bądź głupim osłem.

\_ Nie jestem w stanie nic poradzić na to, że czasem bywam głupim osłem. Taki już jestem.



Po raz pierwszy w życiu Maxie nie wiedziała, co powiedzieć.

~ Chodź i usiądź przy mnie. - Nie czekał, aż to zrobi, lecz złapał ją i pociągnął na łóżko.

\_ Powiem ci prawdę, Maxie. Nie będzie pomiędzy nami więcej kłamstw. Masz więcej kolców od kaktusa, ale ja cię kocham. I ty mnie kochasz. Nigdy nie ostrzegłabyś mnie przed swoimi braćmi, gdybyś mnie nie kochała.

\_ Jeszcze czego! Masz o sobie zbyt wysoką opinię, jeżeli ...

\_ Zamknij tę swoją nadmiernie pracującą buzię i posłuchaj mnie. Rzeczywiście zrobiłem z siebie osła nie raz podczas ostatnich kilku tygodni. Myślę, że pokochałem cię od dnia, gdy zmiażdżyłaś mi wnętrzności w barze Hemanda. Ale cały czas trzymałem się myśli, że jesteś częścią przeszłości, której nie chciałem wspominać. Ja chciałem być cywilizowany i żyć w zgodzie z prawem. Potrzebowałem więc kulturalnej, żyjącej w zgodzie z prawem damy. A ty nią nie byłaś. Ale są rzeczy, Maxie, przeciwko którym człowiek nie jest w stanie walczyć. Nie chcę już kulturalnej, paplającej i rozswiergotanej damy. Ty nie jesteś moją przeszłością, a przyszłością. Pragnę ciebie. Kocham cię. Nie dbam o to, ani kim są twoi bracia, ani co oni zrobili, ani co ty zrobiłaś. Wyjdź za mnie, Maxie i zacznijmy od dzisiaj wszystko na nowo - zapomnijmy o idiotycznych błędach, które oboje popełnialiśmy.

Serce Maxie ścisnęło się z tęsknoty. Czasami zrobienie czegoś słusznego, dobrego i rozsądnego było trudniejsze, niż trafienie węża z odległości pięćdziesięciu stóp. Wezwwała na pomoc cały gniew, jaki jeszcze mogła w sobie odnaleźć.

- Kochasz mnie - powiedziała gorzko. - Chcesz się ze mną ożenić. I wtrącasz mnie do więzienia. To rzeczywiście ma wiele sensu.

- Więcej, niż pozwolenie ci na samotne odejście. To moje więzienie będzie cię trzymało tak długo, aż przyznasz, że do siebie należymy.

- Nie ma więzienia, które utrzymałoby kogoś z Maxwellów.

Hunter wyciągnął rękę i przesunął palcem po jej szyi. Maxie zadrżała.

- W takim razie przyjemnością będzie dla mnie stwierdzenie, że nie chcesz z niego uciec.

Zeskoczyła z łóżka i przeniosła się w miejsce, w którym była poza zasięgiem jego rąk. Ale wciąż czuła na skórze jego gorące palce.

- Nie mam zamiaru za ciebie wychodzić, Hunter.

Czy myślisz, że jestem idiotką? Czy, sądzisz, że chcę tu tkwić, podczas; gdy ty i moi bracia będziecie sobie skakać do gardeł?

Hunter wstał i podszedł do niej. Objął Maxie łagodnym uściskiem:

- Nie obchodzi mnie twoi bracia, Max. Mogą sobie znaleźć własną drogę do piekła. Jedynym Maxwellem, którego chcę, jesteś ty.

Maxie odepchnęła jego rękę: - Myślisz więc, że możesz tak po prostu odwołać wojnę? Boże, Hunter! Doprowadziłeś moich braci do fuńi i teraz wydaje ci się, że możesz się wycofać? - zaśmiała się nieprzyjemnie. - Pomyśl raz jeszcze, szeryfie. Ty mogłeś zacząć tę wojnę, ale' z całą pewnością oni chcą ją skończyć. W najbliższych dniach nafaszerują cię kulami, albo ty zrobisz to z nimi. W każdej sytuacji przegrywam ja, prawda? Moi bracia mogą być szumowinami, ale są Maxwellowskimi szumowinami. A jeśli chodzi o ciebie - cóż, był czas, kiedy naprawdę mi na tobie zależało.

Aaron uśmiechnął się: - Kochasz mnie.

- Och, no dobrze, kocham cię - to wyznanie nie brzmiało zbyt pieszczotliwie. - Ale nie mam zamiaru tu zostać, żeby kopać grób dla ciebie albo dla moich braci idiotów.

- Może nie będą potrzebne żadne groby.

- Jesteś dokładnie tak samo głupi, jak uparty.

- Kobieto, czy nikt ci nigdy nie powiedział, kiedy trzeba przestać mówić?

Maxie nie zauważyła, że w trakcie rozmowy Hunter podszedł blisko niej. Wystarczyło mu wyciągnąć rękę, by jej dotknąć - i zrobił to. Dotknął najpierw podbródka, potem policzka. Podszedł jeszcze bliżej i otoczył ją ramionami.

Kręgosłup Maxie zeszywniał:

- Odejdź ode mnie, albo zacznę wrzeszczeć.
- Nie wydaje mi się, żebyś była z tych wrzeszczących.

Przyciągnął ją do siebie i zanurzył twarz w gęstwinie jej włosów. Chciała krzyknąć, ale nie mogła. Cała jej determinacja nie mogła przeciwstawić się pożądaniu, które opanowało jej ciało.

- Nie usłyszałaś ani słowa z tego, co powiedziałam.
- Owszem, słyszałem - wymruczał w jej włosy. Potem westchnął, posadził ją przed sobą i patrzył na nią. Maxie stwierdziła, że musiałaby być zimniejsza od styczniowego mrozu, by nie odtajać pod ogniem tego spojrzenia. - Pod tymi wszystkimi kaktusowymi kolcami jesteś diabelską kobietą, kochanie. Kocham cię, Max. Kocham cię tak bardzo, że to aż boli. Ale kocham nas - razem - bardziej, niż kocham ciebie. Jeśli to egoizm, to w porządku, niech będzie egoizm. W taki, czy w inny sposób ty i ja będziemy razem. I będziemy szczęśliwi, niech to diabli, nawet, jeżeli miałyby to nas oboje zabić.

Maxie opanowywała chęć do śmiechu, wywoływaną takim, a nie innym przedstawianiem sprawy. Niech szlag tego Aarona! Dokładał wszelkich starań, by zignorować powagę sytuacji, w jakiej się znalazł.

- Jesteś chyba jedyną osobą, jaką znam, która jest bardziej uparta, niż ja - przyznała.
- Hunter tylko się uśmiechnął i pocałował ją we włosy. Jego usta przesunęły się na jej brwi, potem na czubek nosa, a po chwili na szyję.

- Chodź do łóżka - wymruczał.

Maxie pozwoliła mu popchnąć się łagodnie na materac. Z całą pewnością ustąpienie jeszcze ten jeden raz nie miało znaczenia. Zasłużyła sobie na jeszcze jedno zanurzenie się w jego objęcia, na poddanie się fali ognia płynącej przez żyły. To pełne pasji pożegnanie będzie musiało wystarczyć jej na całe życie. Przyszłość malowała się przed oczami jej duszy jako jałowa pustka. Jak mogła odmówić sobie przystanku w oazie przed wyruszeniem w tak bardzo pozbawioną radości podróż?

- Kocham cię, Hunter - szepnęła w jego pierś, leżąc przytulona do niego. Pierś Aarona była naga. Przy pomocy jakiejś magicznej sztuczki Hunter pozbawił ubrania ich oboje.
- Oczywiście, że tak - powiedział gorąco. - Jak mogłabyś mnie nie kochać, jeżeli ja tak bardzo szaleję za tobą? - przesunął dłoń przez jej piersi, podrażnił sutki, potem zrobił to samo ustami. Dreszcze przebiegły wzdłuż jej kręgosłupa i eksplodowały gorącem pomiędzy nogami. Wygięła się w jego stronę:

- Hunter, nie sądzę, bym była w nastroju, by robić to tak powoli.
- Cierpliwości - szepnął. - Mamy cały czas tego świata, wszystkie przyszłe lata, czasu, a czasu. Uparty i szalony, taki właśnie on był. Ale teraz nie była pora na to, by go przekonywać. Mieli tylko w tę noc kochać się po raz ostatni. Cała życiowa potrzeba miłości musiała zostać zmagazynowana w tym jednym końcowym spotkaniu.

- Teraz, Hunter - objęła go nogami i przyciągnęła w swą czekającą miękkość.

Hunter chrząknął ochryple, gdy poczuł jej ciepłą gotowość:

- Czego tylko sobie życzysz, kochanie.

Wszedł w nią, zsyłając na nich oboje wzrastające upojenie.

Zanim noc się skończyła, jeden raz zamienił się w dwa, potem w trzy. Zaspokojona Maxie dryfowała na granicy snu, powoli zaczynała ogarniać ją wyczerpanie. Ciągłe odczuwała potrzebę wytłumaczenia mu wszystkiego - teraz, gdy ich pasja została zastąpiona nasyceniem.

- Kocham cię, Hunter - wymamrotała sennie przytulając głowę do jego piersi. - Ale ciągle nie zamierzam wyjść za ciebie.

Hunter podniósł jej dłoń z materaca i przycisnął ją do ust. Poczula, jak jego wargi rozszerzają się w uśmiechu:

- Tak właśnie myślałem, Max - szepnął w odpowiedzi. - I dlatego właśnie idziesz do więzienia.

Cynthia stała na drewnianym chodniku przed wejściem do sklepu ojca. Jej rodzice znajdowali się wewnątrz, zdecydowani bronić swoich towarów, gdyby okazało się to konieczne, chociaż nieproszeni goście jak dotąd nie okazywali zainteresowania niczym innym poza whisky i

rozwiązłymi kobietami.

Nadjechali poprzedniego wieczoru. Jak podczas większości wtorkowych nocy, miasto było spokojne. Kilku poszukiwaczy złota upiło się - jeden chrapał spokojnie na zewnątrz saloonu, dwaj inni zostali wyrzuceni z domu Mamy Moses za niestosowne zachowanie (choć Cynthia nie była sobie w stanie wyobrazić jakie zachowanie miałyby być nie właściwe w takim domu). Ale noc była mimo wszystko spokojna - dopóki Maxwellowie nie wjechali do miasta.

Teraz, gdy minął już prawie cały ranek, w mieście było znowu cicho. Ale ta cisza była nienaturalna, zrodziła się ze strachu, nie ze spokoju.

Zastępca szeryfa Simon Curtis został bezceremonialnie zamknięty w swym własnym więzieniu, a Maxwellowie, wrzeszcząc i poszturchując się, wrzucili klucz do znajdującej się na tyłach biura latryny. Obiecali, że Curtis zagra główną rolę w podwójnej egzekucji, którą zaplanowali na czas powrotu szeryfa ..

Mieszkańcy Motherlode skryli się w swoich domach, próbując udawać, że ten dzień nie różni się od jakiegokolwiek innego. Oczywiście to nie był zwyczajny dzień; to był dzień zabijania. Każdy w mieście wiedział o tym, ale nikt nie miał wystarczająco dużo odwagi, by coś przeciwko temu zdziałać. Maxwellowie nie robili tajemnicy z celu swej wizyty. Obywatele Motherlode powinni zabrać się do wybierania nowego szeryfa, wykrzykiwali na ulicy, ponieważ Aaron Hunter był już trupem.

Jedyną osobą w Motherlode, która ośmieliła się sprzeciwić przestępcom była Mama Moses. Stała w progu swojego domu, z bronią w ręce i zabroniła im wejść do środka. Jej damy nie będą zaspokajając bandziorów, powiedziała. Śmiali się jej w twarz groźnym śmiechem, dopóki nie obsypała ulicy dookoła nich gradem pocisków. Wtedy ich ton uległ zmianie. Maxwellowie opowiedzieli jej z detalami, co z nią zrobią, gdy spotkają ją bez broni, ale w końcu się wycofali. Najmłodszy z nich chciał uniknąć atakowania kobiety i udało mu się odwieść braci od tego.

Ten najmłodszy Maxwell mógł mieć gdzieś wewnątrz jakiś cień przyzwoitości, pomyślała gorzko Cynthia, ale starsi bracia byli doszczętnie zepsuci. Trudno było zauważyć w nich jakiegokolwiek podobieństwo do małej Maxie. Maxie była trochę dzika, to prawda i czasami mogła się wydawać nieokrzesana jak na cywilizowane standardy. Ale wewnątrz była czysta jak nie oszlifowany, nie wypolerowany klejnot. Jak w jej żyłach mogła płynąć ta sama krew, co u szumowin, które właśnie przebywały w saloonie po przeciwnej stronie ulicy - tego Cynthia absolutnie nie była w stanie zrozumieć.

Cynthia chodziła tam i z powrotem po chodniku, z oczami utkwionymi w prowadzącą do miasta drogę. Prędzej czy później Aaron nadjedzie. Jeżeli zauważy go, zanim to zrobią Maxwellowie, będzie przynajmniej mogła go w jakiś sposób ostrzec.

Trzydzieści minut później dostrzegła nadjeżdżającego Huntera, z kimś jadącym obok niego. Zeszła na ulicę, zdecydowana przekazać mu gestem, że nie wszystko jest w porządku, ale widok twarzy spoglądającej na nią ponad wahadłowymi drzwiami saloonu całkowicie ją sparaliżował. Blackjack Maxwell, opierając ręce o drzwi, uśmiechnął się do niej i pokręcił przecząco głową. Przesłanie było całkiem jasne.

Serce Cynthii wykonało w jej piersi dziki taniec.

Przez moment dziewczyna wahała się, myśląc, czy nie sprzeciwić się bandycie. Ale tylko przez moment. Ten człowiek zabiłby ją, nie poświęcając temu większej uwagi, niż zabiciu muchy.

Zdrowy rozsądek zwyciężył i Cynthia weszła spokojnie do sklepu.

- Aaron nadjeżdża - powiedziała ojcu, który stał za ladą odkurzając butelki z medykamentami.

- Niech mu Bóg dopomoże - odparł pan Pruitt.

- Nikt inny w każdym razie tego nie zrobi! - spódnica Cynthii zawirowała gniewnie, gdy dziewczyna weszła za ladę. Wzięła skrzydełko do odkurzania z rąk ojca i wycelowała je w niego jak oskarżycielski palec. - Nie mogę uwierzyć, że żaden mężczyzna w tym podłym mieście nie chce mu pomóc! Jest tylko trzech Maxwellów, a przynajmniej stu mężczyzn chowa się za ścianami!

Jej ojciec wzruszył ramionami:

- Ilu z nich zginęłoby, próbując zabić tych bandytów? Dlaczego mężczyźni z tego miasta mieliby ryzykować życie? Wynajęli Aarona Huntera, by chronił Motherlode. Wydaje mi się, że uważają, że

powinien być także zdolny do chronienia samego siebie. Poza tym, Maxwellowie nie niepokoili żadnego sklepu czy banku.

Cynthia prychnęła w charakterystyczny dla damy sposób. - Zaczna! Jak tylko dostana Aarona, zajmą się miastem.

Pan Pruitt pokiwał ze smutkiem głową. Cynthia ze złością cisnęła skrzydełko do odkurzania na ladę.

- Boże, jak ja bym chciała być mężczyzną!

Gdy Hunter wjeżdżał z Maxie do miasta, nie podejrzewał niczego. Gdyby jego umysł nie był tak zaprzątnięty jadącą obok niego dziewczyną, być może wyczułby czyhające niebezpieczeństwo. Ale przez cały ranek jechał z jednym okiem zwróconym ku Maxie. Nie czyniła sekretu z tego, że ciągle jeszcze pragnie go opuścić, a on miał uczucie, że jeżeli uczyni chociaż jeden błędny krok, odejdzie z jego życia najcenniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek posiadał. Przeklęta, uparta kobieta.

Hunter oczekiwał raczej kłopotów ze strony Maxie, nie ze strony miasta. Gdy one nadeszły, wpadł w nie bez ostrzeżenia. On i Maxie mijali właśnie saJoon, gdy Aaron zauważył, że są otoczeni przez dwa pistolety i jedną strzelbę - każde trzymane w rękach jednego z Maxwellów. Zaskoczony z dłońmi zbyt daleko od własnej broni, Aaron zatrzymał się, gdy Maxwellowie zacieśnili dookoła niego i Maxie śmiertelny krąg.

\_ Się masz, Hunter - przywitał go Blackjack z za swej strzelby. - Naprawdę mnie rozczarowujesz. Myślałem, że jesteś za sprytny, żeby tak łatwo wleźć w pułapkę. Myślałem, że będziemy mieli trochę roboty, ścigając cię. Jesteś głupszy, niż sądziłem.

\_ Blackjack. Tom. Jim - głos Huntera był spokojny, ale Maxie wyczuwała w nim napięcie. Nagły widok braci podziałał jej na nerwy, teraz napięte do granic wytrzymałości.

\_ Zsiadaj, szeryfie - wskazał Blackjack lufą strzelby. - Zastrzelenie ciebie będzie czystą przyjemnością, ale bardzo nie chciałbym chybić i zranić twego wspaniałego konia - uśmiechnął się.

\_ Może mi się jeszcze przydać, jak ty będziesz już trupem.

\_ Blackjack! - wykrzyknęła Maxie. - To wariactwo! Dlaczego po prostu nie ...

\_ Zamknij się, Max. Zrobiłaś, co do ciebie należało. Teraz zjeżdżaj!

\_ Nic nie zrobiłam! - popatrzyła bezsilnie na Huntera.

\_ Wiem, że nie - pocieszył ją uśmiechając się. On jej wierzył. Po tym wszystkim, co mu powiedziała i zrobiła, on jej wierzył, idiota.

\_ Wyrwyj stąd, Max - zakomenderował Brudny Jim.

\_ Idź, Maxie - ton Huntera nie pozostawiał miejsca na nieposłuszeństwo. Serce dziewczyny łomotało jak bolesny młot w piersi. Zazgrzytała zębami we wścieklej, bezsilnej furii.

- Idź - powtórzył Aaron.

Napotkała jego spojrzenie po raz ostatni i pomyślała, że tak bardzo chciałaby mu powiedzieć tyle rzeczy, których nigdy już powiedzieć nie będzie mogła. Potem popatrzyła jadowym wzrokiem na braci, odwróciła się i ruszyła galopem w dół ulicy.

- Zsiadaj, Hunter - powiedział Blackjack z uśmiechem. - I odrzuć broń.

Hunter wykonał polecenie bardzo powoli.

- Weź jego konia, Jim. Ta strzelba przy jego siodle niekiepsko wygląda. Założę się, że ona sama warta jest, by zabić jej właściciela.

Jeżeli Blackjack miał nadzieję zauważyć u Huntera strach, to musiał czuć się rozczarowany. Aaron ani drgnął, gdy strzelba najstarszego z Maxwellów uniosła się w jego kierunku.

- Ciekawe, jakie to uczucie, jak komuś zdmuchują głowę z karku - zastanawiał się Tom z chichotem. - Założę się, że pewnego razu sam będziesz miał okazję tego doświadczyć - odpowiedział Hunter.

Uśmiech Toma zgasł:

- Dalej, Jack. Załatw to i idziemy świętować. Tam w saloonie czeka na mnie dziewczuszka.

- Nie tak szybko, Tom. Pozbawisz nas całej zabawy. Potrzebujemy trochę czasu na tę przyjemność, jaką jest zabijanie takiej zarazy jak Hunter. Co na to powiesz, szeryfie?

Hunter nie odpowiedział, tylko utkwiał wzrok w Blackjacku. Toma i Brudnego Jima ignorował.

- Może zacznę od przestrzelenia ci kolan. Albo ... albo, jeżeli cię to urządza, mogę najpierw

przedebrać ci stopy i potem iść w górę. - Oczywiście Blackjaka błyszczały złośliwie, gdy wpatrywał się w swą ofiarę, oczekując reakcji. - Albo jeszcze lepiej, mógłbym zacząć od środka, zdmuchnąć ci ją i potem wędrować w dół. To mogłoby być nawet zabawne.

Najlepszy nawet cień emocji nie pojawił się na twarzy Huntera. Wpatrywał się on tylko w swego prześladowcę oczami dzikimi jak u wilka.

- Jim - powiedział Blackjack z uśmiechem.

- Idź otworzyć więzienie i przyprowadź Curtisa. Nie chcielibyśmy, żeby zastępca Huntera został pozbawiony udziału w tej małej uroczystości.

- Ej, Jack. Poślij Toma.

Blackjack spojrział na swego ponurego brata. Hunter natychmiast wykorzystał tę okazję. Podczas krótkiego momentu, gdy uwaga Blackjaka była odwrócona, Aaron przykucnął, nabrał pełną garść piachu, rzucił nią w twarz Blackjaka i puścił się biegiem w stronę najbliższej bocznej uliczki. Jack zaklął, wypluł ziemię i strzelił na oślep. Nie trafił. Zdezorientowany Tom gapił się przez chwilę, potem posłał kule na szerokość całej ulicy, czemu Jim przyglądał się ze znużoną odrazą.

Hunter biegł zygzakiem, wydając się wymijać kule, które świstały dookoła niego i wzniewały tumanu kurzu wbijając się w ziemię. Przekleństwa Blackjaka ścigały go, gdy zniknął w mrocznym przejściu prowadzącym pomiędzy pustym budynkiem teatru, a sklepem skórzanym Herrery.

- Idziemy po linę, Hunter! - wrzasnął Blackjack.

- A kiedy cię złapiemy, powiesimy was obu, ciebie i twojego zastępcę. Szkoda na ciebie kuli.

Będziesz umierał powoli, ty żółtobrzuchy sukinsynu. Już ja tego dopilnuję, żebyś tańczył na linie na długo przedtem, zanim umrzesz! - Blackjack odwrócił się do braci i warknął. - Jim! Idź poszukaj jakiejś liny! Tom! Nie stój tak, jak głupek. Idź za Hunterem, niech to szlag! Ta uliczka ma tylko jedno przejście pomiędzy sklepem skórzanym i teatrem. Ja podejdem od tyłu i zamknę mu wyjście.

Hunter rozpląszczył się przy ścianie sklepu Herrery i uśmiechnął się ponuro. Trzech na jednego. Niezbyt dobrze, ale wychodził zwycięsko i z gorszych sytuacji. Przede wszystkim. musiał znaleźć lepsze miejsce do walki.

Odwrócił się, biegnąc dalej i omal nie upadł. Zagradzająca mu drogę przeszkoda wydała pełen oburzenia skrzek. Hunter, prawie oślepiiony po przejściu z pełnego słońca w cień, nie zauważył starego Jednookiego Duggeta, który przemieścił swe zapijaczone cielsko sprzed drzwi saloonu w obiecujący lepszy wypoczynek cień alejki.

- Niech to szlag, Jednooki! - Hunter usiłował otrząsnąć starego mężczyznę z pijackiego odrętwienia. - musisz stąd teraz odejść. Nadchodzą tu ludzie, którzy ... - nie zdążył skończyć zdania, gdy na rogu ulicy pojawił się Tom Maxwell z pistoletem w dłoni. - Leż płasko - ostrzegł pijanego Aaron. Wepchnął starego głębiej w cień, a potem rzucił się w kierunku szopy z uprzężami znajdującej się na tyłach sklepu Herrery. Stary właściciel wykorzystywał ją jako warsztat, w którym reperował zepsute wyroby ze skóry.

- Yiiiiieeee! - Tom wydał z siebie nędzną imitację wojennego okrzyku Apaczów i ruszył w pościg.

Spotkał go taki sarni los jak Huntera, i biedny Jednooki poczuł kolejną parę butów tratujących mu zębra. Tom wylądował na siedzeniu i przeklął. - Głupi staruch! Powinienem ... !

Zanim Tom zdążył unieść pistolet, Jednooki uniósł swoją ulubioną broń - butelkę whisky - i opuszczył ją na głowę napastnika. Tom runął twarzą na ziemię. Stary Jednooki miał już dość tych niezdarnych idiotów przeszkadzających mu w zażywaniu dobrze zasłużonej drzemki.

Słyszając przekleństwa Toma Hunter odwrócił się szybko. Był przekonany, że nawet Maxwellowie są ponad zabijanie starego, bezbronnego pijaka, ale przez moment wydawało się, że nie ma racji. Ale zanim ruszył Duggetowi na ratunek, stary wziął prawo w swoje ręce. Upadające ciało Toma wzniewało tuman kurzu.

Hunter zachichotał i zsalutował staremu. Może jednak szczęście go nie opuściło. Jeden wyeliminowany, pozostało dwóch. Podbiegł do miejsca, w którym leżał Tom i związał go jego własną chustą - niezbyt solidne więzy, ale z wyglądu Toma można było wnosić, że pozostanie wyłączony na dość długi okres czasu. Jednooki pomrukiwał coś do Huntera, gdy ten zajmował się wiązaniem Toma. Gdyby stary miał jeszcze jedną flaszkę, Huntera spotkałoby dokładnie to samo, co Maxwella.

Hunter podniósł pistolet Toma - nowy bębnekowy kolt, którego komory, zamiast prochu i ołowianych kul, zawierały lśniące, mosiężne naboje. Cały magazynek był pełny - wszystkie sześć komór. Hunter zakręcił kilka razy pistoletem na palcu, przekręcił bębenek, wetknął broń w olstry i uśmiechnął się. Sprawy miały się coraz lepiej.

Skierował się ponownie w stronę szopy z uprzężą - najlepszego miejsca; jakie mógł znaleźć by przechylić szalę na własną korzyść. Było słabo oświetlone, miało masę ciemnych zakątków, w których samotny strzelec mógł się skryć, czekając na ofiarę. Nie mógł sobie teraz pozwolić na jakąkolwiek nieostrożność. Dwóch Maxwellów wciąż pragnęło jego krwi, a ich siostra bez wątpienia nieźle mu przyłoży, jeżeli tylko któremuś z braci spadnie włos z głowy. Maxie opanowała na moment jego myśli, ale Hunter szybko przerzucił ją w dalsze zakamarki pamięci skupiając się na jej braciach.

Blackjack, okrążając tyły sklepu z uprzężą, zauważył Aarona, zanim ten zdążył dotrzeć do szopy.

- No, to by było na tyle, szeryfie! - krzyknął podążając za Hunterem.

Szopa była jeszcze ciemniejsza od uliczki. Światło przedzierało się tu tylko przez szczeliny w ścianach i przez małe okienko umieszczone wysoko na jednej z nich. Ale Aaron wiedział, jak się ma poruszać. Wślizgnął się w cień i wcisnął pomiędzy dwa zestawy upręży wiszące na ścianie w oczekiwaniu na reperację. Parę sekund później drzwi do szopy otworzyły się.

- Wiem, że tu jesteś, Hunter - zaśmiał się Blackjack. - Mój brat szuka liny - jednej z tych, co się rozciągają. I zawiążemy taki niecałkiem staranny węzeł. Nie chciałbym, żebyś wywinął się zbyt szybko ze złamanym karkiem. Będziesz tańczył na linie, aż twoja twarz zrobi się czarna, szeryfie. Potem może jeszcze pozwolimy ci trochę podyndać, tak, żeby wszyscy zobaczyli, co dzieje się z tymi, którzy zadzierają z Maxwellami.

Blackjack wyszedł ze światła, ale jego sylwetka rysowała się wyraźnie na tle otwartych drzwi. - Wyłaź, Hunter - zawołał - nic ci nie pomoże, że chowasz się tu jak szczur, którym jesteś.

Oczy Blackjacks odbijały mętne światło. On jest jak wilk, pomyślał Hunter, po czym natychmiast zmienił zdanie, gdyż porównanie wypadło zdecydowanie na niekorzyść wilków.

Hunter nie mógł znaleźć powodu, dla którego nie miałby zakończyć życia Blackjacksa w tej chwili i właśnie w tym miejscu. Blackjack był łatwym celem, a broń Aarona była uniesiona i gotowa do strzału. Skoro Tom został wyłączony z akcji, a Blackjack będzie martwy, pokonanie trzeciego z braci nie powinno stanowić żadnego problemu.

Wtedy znowu pojawiła się w jego umyśle Maxie.

"Wcześniej czy później oni podziurawią cię kulami, albo ty zrobisz to z rumi. W każdym przypadku ja będę stroną Rzeźgraną" - to były jej słowa. Blackjack mógł być ludzkim śmieciem, ale był bratem Maxie.

Hunter starannie wycelował i wystrzelił.

Mieszkańcy Motherlode wydobywali się powoli ze swych domów, żeby obserwować walkę z chodników. Kobiety wyglądały na przestraszone i oburzone, mężczyźni byli nieco zakłopotani.

Pomiędzy oburzonymi kobietami znajdowała się Mama Moses i Cynthia Pruitt, stojące przed wejściem do sklepu pana Pruitta. Przytrzymały szarpiając się Maxie, każda z nich wisiła u jednego jej ramienia. Schwyciły ją, gdy szła z wypożyczalni koni, gdzie umieściła swoją klacz i bezskutecznie usiłowała namówić kowala do pożyczania broni.

- Będziesz stała dokładnie tu, gdzie stoisz - poinstruowała ją Mama Moses.

- Tylko utrudniłabyś Aaronowi całą akcję - dodała Cynthia.

Maxie czuła, że jej furia osiaga punkt wrzenia.

Gdy tylko te dwie baby ją zobaczyły, rzuciły się na nią, jakby odczytały jej intencje i wiedziały, że chce komuś wyrwać pistolet z olstrów, by po raz kolejny uratować skórę Aarona.

- Pozwól mu samemu się uratować tym razem - poradziła Mama Moses. - Hunter potrafi zadbać sam o siebie. Jego nie tak łatwo zabić.

- Nie znasz moich braci - odparła ponuro Maxie.

- Nie. Ale znam Huntera.

- Patrzcie! - krzyknęła Cynthia.

Kilku śmielszych obywateli Motherlode wykorzystało fakt, że Maxwellowie zajęli się Hunterem i uwolniło Simona Curtisa przestrzeliwując zamek blokujący mu wyjście. Zastępca szeryfa udał się w stronę walczących i teraz wychodził z zacienionego pasażu, popychając przed sobą zataczającego się Toma Maxwella.

- Ten już nie sprawi Hunterowi kłopotów - powiedziała Moses z satysfakcją.

- Patrz, Maxie - dodała Cynthia z uśmiechem.

- Nie musiałaś się martwić. Simon zaprowadzi tego ... jak mu na imię?

- Tom - powiedziała zasmucona Maxie.

- Zaprowadzi Toma do doktora Cartera i wróci, by pomóc Aaronowi. .

- Nie będzie musiał - powiedziała Mama Moses. - Patrzcie, kto idzie.

Serce Maxie zabiło mocniej. Z uliczki wychodził Hunter we własnej osobie. Niósł przewieszony przez ramię ciało. Blackjack ...

- Blackjack! -- jej głos odbił ból, który nagle poczuła w sercu. Blackjack. Odważny, przystojny, z sumieniem grzechotnika. Jak mogła go jeszcze kochać, wiedząc, jaki jest podły?

- Nie bądź taka przerażona - powiedział Hunter, kładąc ciało na ulicy, tuż przed Maxie. Skinął przy tym na Simona, by ten zaprowadził Toma do więzienia. - On ma tylko guza na głowie.

Mówił prawdę. Blackjack ciągle oddychał. Maxie popatrzyła na Huntera roziskrzonymi radością oczami. Uśmiechnął się tym swoim porywającym, przymilnym, krzywym uśmiechem.

- Ten osioł zrobił mi tę grzeczność i stanął dokładnie pod lampą naftową, która zwisała z krokwi. Zestrzeliłem ją i spadła na niego.

- Och, Hunter! Ja ... !

- Rzuć broń, Hunter! - rozległ się głos Brudnego Jima. - Wszyscy do tyłu - polecił, wychodząc z saloonu, gdzie przygotowywał linę. - Ty też, Maxie. Odejdź od niego. Nie chcę, żebyś została ranna.

- Jim - powiedziała Maxie. - Nie bądź głupcem. To już załatwione. Skończone.

- Do diabła, jeżeli tak jest. Rzuć broń, Hunter, albo pozabijam, czekając, kilku niewinnych obywateli.

Niewinni obywatele słysząc tę kwestię gwałtownie wycofali się z powrotem za drzwi, przed którymi stali - z wyjątkiem Maxie, Moses, Cynthii i Simona, który przekazał swego więźnia wycofującemu się widzowi i sięgnął po broń.

- Nie rób tego, Curtis - ostrzegł Brudny Jim. Wycelował broń w kierunku zastępcy, potem przeniósł ją znowu na Huntera. - Rzuć broń, ty tam.

Simon posłuchał. Jego pistolet wyładował u stóp Jima.

Hunter trzymał dłoń z dala od znajdującego się w olstrach pistoletu: - Nie mam zamiaru rzucać swojego, Maxwell. Czy ty myślisz, że zdołasz mnie zabić, zanim ja zabiję. Ciebie?

Dziki wyraz twarzy Jima przeraził Maxie. Czy to był jej bliźniak, towarzysz dziecięcych zabaw i wieczny intrygant? Czy ona go w ogóle знаła?

- Ja mam już broń w ręku, Hun'ter - przypomniał Jim. - Nie jesteś w stanie pobić człowieka, który już trzyma broń.

- Założysz się o życie?

Głos Huntera był stanowczy, jego dłoń nie wykazywała śladu drżenia. Policzek Jima ściągnął się, a uśmiech znikł.

- Jim! - błagała Maxie. - Nie!

- Odejdź stąd, Max - obaj mężczyźni powiedzieli to jednocześnie.

Zaskoczyła ich obu, dostosowując się do polecenia. Z oczami pełnymi łez weszła do sklepu pana Pruitta. Moses i Cynthia spojrzały na siebie ostrożnie i poszły za nią.

- Opuść sobie, Jim - głos Huntera był łagodny, spokojny. Zauważył gwałtowny błysk w kobaltowoniebieskich oczach eWopaka, które mogły należeć do Maxie.

- Jesteś trupem, Hunter - palec Jima przybliżył się do cyngla. Z wykrzywionymi w diabelskim uśmiechu wargami chłopak strzelił.

Hunter uskoczył w bok. Jego bluff nie zadziałał, ale błysk w oczach lima ostrzegł go na ułamek

sekundy przed strzałem. Jednym skokiem Aaron znalazł schronienie za końskim korytem.

Jim strzelił ponownie. Z koryta posypały się drzazgi.

Strumień wody zaczął wyciekać na ulicę i biegł strużkami po piasku.

- Wyłaż, ty sukinsynu! - wrzasnął Jim. Strzelał raz po raz, dopóki kurek nie uderzył o pustą komorę. Hunter wstał. Wszystko, co musiał zrobić, to sięgnąć po swój pistolet i strzelić, podczas, gdy Jim po omacku szukał drugiego rewolweru. Nietrudne zadanie dla mężczyzny, który był jednym z najszybszych strzelców w przygranicznym kraju. Ale Hunter zamarł. Patrzenie na Brudnego Jima za bardzo przypominało patrzenie na Maxie. Chłopak miał jej oczy, jej usta, jej słodki, uparty podbródek. Miał nawet jej włosy. Przez moment Hunter nie mógł się zmusić do sięgnięcia po broń. Ta chwila wahaniaomal nie zakończyła się fatalnie.

Hunter widział, jak Jim chwyta drugi pistolet i odciąga iglicę - w zwolnionym tempie, jak mu się wydawało. Strzał zagrział w jego uszach. Szarpnął się, oczekując uderzenia kuli.

Ale to Jim upadł z wyrazem zaskoczenia na twarzy. Hunter odwrócił się, orientując się w końcu, że strzał padł zza jego pleców. Stała tam Maxie z dymiącym jeszcze rewolwerem w ręce - nowiutkim pistoletem bębnowym pochodzącym prosto ze sklepu pana Pruitta.

Maxie chwiała się, oszołomiona. Pistolet wypadł z jej palców i upadł na drewniany chodnik.

- Maxie! - powiedział Hunter miękko. - Mój Boże - popatrzył na nią z niedowierzaniem i zdumieniem w oczach.

Maxie przez chwilę czuła, że jej ciało robi się lodowate, świat zaczął wirować przed jej oczami.

- Maxie! - Hunter skoczył ku niej, wyciągając ramiona, by ją powstrzymać.

Wtedy Brudny Jim jęknął i sięgnął po pistolet, który wcześniej wypadł mu z ręki. Hunter odwrócił się kocim ruchem, wycelował i trafił w broń Jima, wysyłając ją poza jego zasięg.

Nowy przyptyw adrenaliny postawił Maxie na nogi.

Poczuła nagle, jakby z jej ramion spadł ciężar dwóch światów. Nareszcie wiedziała dokładnie, do którego świata należy. Wciąż drżąc, przytuliła się do Huntera, gdy ten podszedł bliżej, by wziąć ją w objęcia. - A on raz mi powiedział, że nigdy nie będę w stanie strzelić do człowieka, bo jestem tchórzem. Zawsze mówił, że jestem tchórzem.

Hunter uśmiechnął się i cmoknął Maxie w czubek głowy. Ludzie wypełzali na ulicę, otaczali ich, przyglądali się. Simon podszedł bliżej, by zająć się Brudnym Jimem, a doktor Carter polecił dwóm chłopcom, by podnieśli Blackjacksa i zawieźli go do jego gabinetu.

\_ Przedstawienie skończone - powiedział Hunter. \_ Jak na razie - odgarnął włosy z twarzy Maxie i patrzył, jak uśmiech powoli pojawia się na jej zapatrzonej w niego twarzy. - Ale bądźcie w pogotowiu, ludzie. Wieczorem będzie jeszcze lepsze przedstawienie - najgłośniejsze, najbardziej łobuzerskie wesele, jakie kiedykolwiek widzieliście.

Jego słowa były skierowane do tłumu, ale widział tylko Maxie.

\_ Chodź, dziewczyno - powiedział do niej. \_ Znam miejsce, gdzie możemy dostać coś chłodnego do picia i trochę ciepłej wody, żeby się umyć. A potem ... potem dziękuję ci, że strzelasz jak mężczyzna, a nie jak dama.

\_ Do diabła, Hunter - Maxie uśmiechnęła się do niego i pogłaskała go po ramieniu. - Od teraz mam zamiar być taką damą, jakiej jeszcze nie widziałeś.

### *Epilog*

*Ranczo CC Kwiecień, 1874*

Brudny Jim Maxwell popędził konia do cwału. Aaron Hunter nie będzie zadowolony, słysząc, że dwadzieścia pięć sztuk jego nowo sprowadzonego bydła herefordzkiego uprowadzono poprzedniej nocy. To stado białogłowych krów zaraz po żonie i córce było najbliższe sercu Huntera. Jimowi trudno było uwierzyć, że eks-rewolwerowiec może tak bardzo zakochać się w ranczo albo w kobiecie.

Gdy Jim przyniesie nowinę o zaginięciu bydła, Hunter będzie musiał stoczyć niezłą walkę nie tyle z porywaczami, co z Maxie. Pomimo, że była ona teraz stateczną mężatką, wciąż potrafiła ukazać Hunterowi tego diabła, który tkwił pod jej skórą, a Jim gotów był się założyć o ostatniego centa, że jego siostra będzie się paliła do towarzyszenia mężowi w wyprawie przeciw bandytom. Hunter



będzie miał obiekcje, jakie miałyby każdy rozsądny mąż, a Maxie będzie się klócić i upierać, aż Aaron rozzłości się na nią bardziej niż na porywaczy.

Jim sądził, że tym razem Hunter wygra. Gdy chodziło o bezpieczeństwo Maxie, Aaron na ogół nie ulegał, niezależnie od tego, jak bardzo jego żona dąsała się i złościła. Jim nigdy nie widział nikogo, kto tak dobrze potrafiłby postępować z jego pełną temperamentu siostrą. Aaron rzucał jej krzywy uśmiezek i unosił jedną brew, a Maxie uspokajała się jak dobrze ujeżdżona klacz.

Sześć lat małżeństwa wcale nie zmieniło Maxie, zadumał się Jim. Mogła teraz nosić suknie zamiast bryczesów i fartuch zamiast pasa z bronią, ale wciąż miała taki sam talent do rozrabiania. Na ogół Hunter nawet nie próbował jej hamować. Wydawał się być zadowolony z posiadania żony, która strzelała i jeździła konno lepiej od większości pracowników rancza Cc.

- Zatrzymaj się Jim - Jim ściągnął wodze, gdy pojawił się obok niego Pancho Galvan. - Ile sztuk zaginęło z zachodniej kwatery?

- Dwadzieścia pięć. A z twojej części coś zniknęło?

- Nie dzisiaj. Szef będzie niezłe wściekły. Jak diabli! Nadszedł generał Crook i zajął się Apaczami, tak więc będziemy mogli spokojnie załatwić tych przeklętych rabusiów.

Jim uśmiechał się, gdy jechali razem wzdłuż Chiricahua Creek, od której wzięło nazwę ranczo, nazywane przez wszystkich najczęściej ranczo CC.

- Nie zwracaj sobie głowy martwieniem się o Huntera, Pancho. Raczej powinienes współczuć tym złodziejom. Aaron Hunter nie jest człowiekiem, którego można lekceważyć. I moja siostra też nie.

Brudny Jim Max well o tym wiedział. Wciąż czuł bliznę w miejscu, w które trafiła go wystrzelona przez Maxie kula.

- Apacze próbowali wyrzucić ich z tego rancza, bandyci chcieli ich przegonić, a teraz ta banda rabusiów. Jeżeli byś mnie zapytał, powiedziałbym, że oni obydwój lubią walkę.

Pancha uśmiechnął się:

- Ty wiesz najlepiej. Pobyt Jima w więzieniu nie był tajemnicą dla żadnego z pracowników rancza, nie był także sekretem fakt, że jego dwaj bracia wciąż gnili w Yumie, w "Piekielnej dziurze", jak nazywali to więzienie mieszkańcy Arizony. Ale tylko nieliczni pracownicy wypominali Jimowi jego niechlubną przeszłość. Jeżeli Maxie uważała za słuszne wybaczyć mu i przyjąć go do pracy po wyjściu z więzienia, robotnicy nie widzieli powodu, by czynić mu jakiegokolwiek trudności.

Jim był wdzięczny za daną mu szansę. Więzienie było koszmarną kuracją choroby gorszej od koszmaru, ale poskutkowało. Czasami, jak powiedział mu Hunter, mężczyzna potrzebuje dobrego potrząśnięcia, by przejść ze złej strony drogi na właściwą.

Za zakrętem rzeki pojawił się budynek rancza - murowany kompleks zbudowany na wzór Agua Lindy Pete' a KeUeya.

- Może ty zanieśes wiadomości \_ zaproponował Pancho. - Ja pojedę zebrać trochę ludzi. Założę się, że szef będzie chciał wyruszyć jak najszybciej. - Dobra, tak zrobimy - zgodził się Jim.

Wjechał w zabudowania i zeskoczył z siodła. Ledwie dotknął stopami ziemi, a już mały zakurzony

diabełek z warkoczykami i piegami przypadł mu do kolan.

- Wujek Jim! Wujek Jim!

Kolana Jima były mniej więcej na tej wysokości, na jaką mogła dosięgnąć Teresa Medina Hunter w wieku lat pięciu, ale kiedy pOdrośnie, będzie mogła spowodować niemało szkód, posiadając taką ilość energii, pomyślał jej wujek. Mimo to posłał jej najcieplejszy ze swoich uśmiechów.

- Jak tam moja dziewczynka? \_ zapytał.

- W porządku, wujku Jim. Wstawisz się za mną u mamusi? Czy powiesz jej, że mogę jeździć na Dusterze?

Jim zachichotał, wyobrażając sobie swoją malutką siostrzenicę próbującą jazdy na na wpeł ujeżdżonym ogierze, z którym sam Aaron miał sporo kłopotów. Zwolnił, by pięcioletnie nóżki dziewczynki mogły dotrzymać mu kroku.

- Nie jesteś jeszcze na tyle duża, by dosiadać Duster, maluchu.

Dolna warga dziewczynki wysunęła się do przodu: - Jeździłam na nim i tylko dwa razy mnie zrzucił. Ale mama przyłożyła mi w pupę.

- Powinna ci przyłożyć nie tylko w pupę. Nie powinnaś nawet podchodzić zbyt blisko do tego konia - uśmiechnął się, przypominając sobie scenę z przeszłości: Maxie jeżdżącą w Stronghold na ogierze, na którego nikt nie odważał się wsiadać. Nie miał zamiaru opowiadać tej historyjki Teresie.  
- Dlaczego nie podskoczysz i nie przejedziesz się na mnie? - zaproponował.

Ochoczo uniosła rączki. Jim posadził ją sobie na ramionach.

- Teraz kieruj mnie w stronę tatusia. Mam mu coś do powiedzenia.

- Tędy. On podkuwa konie razem z Charlie'm. Teresa chwyciła za włosy Jima, gdy ten ruszył szybkim krokiem. - Wujek Simon i ciocia Elsa przyjeżdżają dzisiaj z wizytą - poinformowała go radośnie. - I przywożą Mary. Ona ma nowego przyjaciela.

- Mary ma ciągle nowego przyjaciela - odparł Jim ze śmiechem.

- On uczy Mary, jak strzelać z pistoletu - napomknęła mała.

- Naprawdę?

- Naprawdę - odpowiedziała uroczyście.

- Czy opowiadałem ci kiedyś, jak twoja mama prawie przestrzeliła mi stopę, gdy jako dzieci uczyliśmy się unosić broń?

- Ja nie przestrzeliłabym ci stopy, wujku Jimie. Czy nauczysz mnie strzelać?

Jim przeniósł siostrzenicę ze swych ramion na górną belkę ogrodzenia corralu.

- Lepiej spytaj o to mamy.

- Ale nauczysz mnie?

Jim nie odpowiedział. Słyszał już odgłosy podkuwania koni dochodzące zza rogu stajni. Miał ważną sprawę do załatwienia i nie mógł sobie pozwolić na tracenie czasu przekomarzając się z dzieckiem. Nie mógł jednak się oprzeć, by nie pogłaskać małej po policzku i nie uśmiechnąć się do niej. Tak bardzo przypominała mu niechlujną, piegowatą dziewczuszkę, z którą dawno temu kłócił się, bawił i szalał po terenach, które teraz były na najlepszej drodze do ucywilizowania się. Mała Teresa była podobna do swej matki, zarówno z wyglądu, jak i pod względem temperamentu.

- Biegnij do domu i powiedz mamie, że tu jestem - powiedział, ściągając ją z belki. - Muszę pomówić z twoim tatą. A jak przyjedzie szeryf Curtis, powiedz mu, żeby do nas podszedł. Mamy coś do roboty - mała zrobiła kwaśną minę, więc Jim dodał: - Potem porozmawiam z twoją mamusią o tych lekcjach strzelania.

Usatysfakcjonowana Teresa ruszyła pędem w stronę domu. Jim wpatrywał się w nią i dumał. Generał Crook okiełznał większość Apaczów. Aaron Hunter i ludzie tacy jak on stanowili prawdziwą przeszkodę dla rabusiów i bandytów. Czasem Jim myślał, że ta, dawniej dzika granica, staje się beznadziejnie spokojna, ale zmieniał zdanie, gdy patrzył na małą Teresę Medinę Hunter. Miał nadzieję, że Arizona zniesie na swym terytorium jeszcze jednego diabła, w którego żyłach płynie krew Maxwellów.